

An artistic illustration of a woman's face in profile, looking down. Her hair is dark and styled in a bun. She is surrounded by several large, vibrant yellow chrysanthemum flowers with dark green leaves. The background is a deep blue. The woman's eyes are closed, and her expression is serene. The overall style is painterly and evocative.

MIKKI BRAMMER

*Śmierć nie ma dla niej tajemnic,
ale czy zrozumie,
co znaczy żyć pełnią życia?*

OSTATNIA PRZEWODNICZKA

Mikki Brammer

OSTATNIA PRZEWODNICZKA



przełożyła Danuta Fryzowska



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Carlowi Lindgrenowi, który nauczył mnie szukać piękna tam, gdzie z pozoru go nie ma.

I kobietom z Cloverlea, które nauczyły mnie szukać magii.



Miałam pięć lat, kiedy po raz pierwszy widziałam, jak ktoś umiera.

Pan Hyland, mój wychowawca w przedszkolu, był pogodnym, przysadzistym mężczyzną o świecącej łysinie i okrągłej twarzy, które przypominały mi księżyc. Pewnego popołudnia z kolegami i koleżankami z grupy siedziałam przed nim po turecku na szorstkiej wykładzinie, zasłuchana w jego jakże teatralną interpretację historii o *Piotrusiu Króliku*. Pamiętam do teraz, jak mięsiste uda pana Hylanda wylewały się za krawędzie drewnianego dziecięcego krzeselka, które zajmował. Policzki miał zaróżowione bardziej niż zwykle, ale nic dziwnego, że tak się rozemocjonował tą świetną powiastką Beatrix Potter.

Kiedy fabuła osiągnęła punkt kulminacyjny – to znaczy, gdy Piotruś Królik zgubił kurtkę, uciekając przed złym panem McGregorem – wychowawca nagle zamilkł, jakby dla wzmocnienia efektu. Wszyscy podnieśliśmy na niego wzrok i czekaliśmy ze zniecierpliwieniem na ciąg dalszy. Ale on tylko wydał jakiś dźwięk podobny do czkawki, a oczy wyszły mu z orbit.

W następnej chwili upadł na podłogę jak ścięta sekwoja.

Zamarliśmy w bezruchu z szeroko otwartymi oczami, zastanawiając się, czy nasz ulubiony opiekun nie chciał w ten sposób jedynie spotęgować dramaturgii. Ale kiedy po kilku minutach nadal się nie poruszył – nawet nie zamrugał wciąż uniesionymi powiekami – wszyscy zaczęli panicznie krzyżeć.

Wszyscy z wyjątkiem mnie.

Podpełzłam do pana Hylanda na tyle blisko, żeby usłyszeć, jak wydaje ostatnie tchnienie. Kiedy na korytarzu rozpętało się pandemonium i inni nauczyciele wpadli do sali, siedziałam przy nim, spokojnie trzymając jego dłoń, i patrzyłam, jak ostatnia kropla krwi odpływa mu z twarzy.

Dyrekcja szkoły zaleciła, żebym po tym „incydencie” porozmawiała z psychologiem. Ale rodzice, skupieni wyłącznie na sobie, nie zauważyli żadnej znaczącej zmiany w moim zachowaniu. Kupili mi lody, pokleпали mnie po głowie i – tłumacząc sobie, że zawsze wydawałam się trochę dziwna – uznali, że nic mi nie będzie.

I rzeczywiście, właściwie nic mi nie było. Niemniej od tamtej pory wciąż się zastanawiałam, jak brzmiałyby ostatnie słowa pana Hylanda, gdyby nie opowiadał akurat o perypetiach wyjątkowo niesfornego królika.

Nie zamierzałam prowadzić statystyk i liczyć, ile osób zmarło na moich oczach od śmierci pana Hylanda trzydzieści jeden lat temu, ale moja podświadomość okazała się gorliwą księgową. Zwłaszcza że już niewiele mi brakowało, aby osiągnąć dość imponujący wynik, który dzisiaj wzrósł do dziewięćdziesięciu siedmiu.

Stałam na Canal Street i patrzyłam, jak tylne światła furgonu zmierzającego do kostnicy zlewają się z rzeką światel innych samochodów. Moja rola dobiegła końca i niczym biegacz sztafetowy przekazałam pałeczkę dalej.

Pomimo smrodu spalin i intensywnej mieszanki woni suszonych ryb oraz tamaryndy wciąż czułam w nozdrzach zapach śmierci. Nie mam na myśli odoru rozkładającego się ciała. Towarzyszyłam umierającym jedynie w chwili, kiedy balansowali na granicy między jednym światem a drugim, więc nigdy nie nabyłam takiego doświadczenia. Mówię o czymś innym – o wyraźnym zapachu rychłej śmierci. Naprawdę trudno go opisać. To coś jak niezauważalne przejście wiosny w lato, kiedy powietrze wydaje się odmienne, ale właściwie nie wiadomo dlaczego. Przez te wszystkie lata jako doula śmierci stałam się na niego wyczulona. To dzięki niemu wiedziałam, że przyszła na kogoś pora. A jeśli byli tam też jego bliscy, mówiłam im wtedy, że to odpowiedni moment, aby się pożegnać. Dzisiaj jednak ich zabrakło. Aż dziw bierze, jaki to częsty obrazek. Tak się składa, że gdyby nie ja, przynajmniej połowa z tych dziewięćdziesięciu siedmiu osób zmarłaby w samotności. Nowy Jork liczy z dziewięć milionów mieszkańców, ale jest pełen samotnych ludzi, którzy żałują wielu rzeczy. Ja z kolei mam zadbać o to, żeby ich ostatnie chwile nie były tak samotne.

Pewna kobieta z opieki społecznej skierowała mnie miesiąc temu do Guillerma.

– Muszę cię ostrzec – powiedziała przez telefon. – To gniewny i zgorzkniały staruszek.

Nie widziałam w tym problemu – na ogół znaczyło to, że taka osoba po prostu się boi, czuje się niekochana i odstawiona na boczny tor. Kiedy więc Guillermo prawie nie zwracał na mnie uwagi podczas kilku pierwszych spotkań, nie wzięłam sobie tego do serca. Jednak podczas czwartej wizyty, gdy się spóźniłam, bo niechcący zatrzasnęłam klucze w mieszkaniu, spojrzał na mnie ze łzami w oczach.

– Myślałem, że nie przyjdiesz – powiedział z cichą rozpaczą jak dziecko, o którym ktoś zapomniał.

– Przysięgam, że to się już nie powtórzy – obiecałam, ujmując oburącz jego szorstką dłoń.

A ja zawsze dotrzymuję słowa. Towarzyszenie konającym to prawdziwy przywilej – zwłaszcza jeśli jest się ich ostatnią opoką.

Płatki śniegu wirowały jak szalone, kiedy opuściłam ciasne mieszkanie Guillerma w Chinatown i ruszyłam pieszo do domu. Mogłabym podjechać autobusem, ale zawsze uważałam, że to byłby brak szacunku, gdybym wróciła do rutyny codziennego życia chwilę po tym, jak ktoś się z nim rozstał. Lubiłam czuć lodowaty dotyk wiatru szczypiącego w policzki i patrzeć na obłoki pary, które pojawiały się i znikwały przy każdym oddechu – świadectwo tego, że wciąż tu jestem, że wciąż żyję.

Choć przywykłam do widoku śmierci, to ilekroć ktoś umierał, później zawsze czułam się nieco zagubiona. W jednej chwili ta osoba jeszcze tu była, w drugiej już nie. Dokąd odchodziła? Tego nie wiem – w kwestiach duchowych należałam raczej do agnostyków. Dzięki temu pozostawałam otwarta na każdą wiarę wyznawaną przez moich klientów. Bez względu na to, dokąd udał się Guillermo, miałam nadzieję, że zdołał pozbyć się goryczy z serca. Z tego, co wiedziałam, raczej nie był w najlepszych stosunkach z Bogiem. Przy jego pojedynczym łóżku wisiał mały drewniany krucyfiks, wokół którego odłaziły kawałki pożółkłej tapety. Ale Guillermo nigdy nie patrzył na ten krzyż wprost, szukając pociechy, tylko rzucał ku niemu ukradkowe spojrzenia, jakby chciał uniknąć badawczego wzroku autorytetu. Na ogół odwracał się do niego plecami.

Przez te trzy tygodnie, kiedy przychodziłam do Guillerma, zdążyłam poznać na wylot każdy szczegół jego przestrzeni życiowej. Grubą warstwę brudu po zewnętrznej stronie jedyne okna, która przyćmiewała światło dzienne, przez co w mieszkaniu panował ponury nastrój. Świdrujący zgrzyt metalu o metal, kiedy mężczyzna zmieniał pozycję na rozklekotanym łóżku. Przenikliwy aż do szpiku kości chłód, nie wiadomo skąd. Niezbyt licznych lokatorów jego szafek kuchennych: jedną filiżankę, jedną miskę, jeden talerz – świadectwo samotniczego życia.

W tym czasie zamieniłam z Guillemem może z dziesięć zdań. Ale tyle wystarczyło. Zawsze

pozwalalam konajacym przejac inicjatywe, zdecydowac, czy chca spedzic ostatnie dni na rozmowie czy upajac sie cisza. Nie musieli nawet werbalizowac swojego zyczenia – ja to po prostu wiedzialam. Moje zadanie polegalo na tym, zeby zachowac spokoj i czujnosc, dac im wolna reke w tych cennych chwilach zycia.

Najwazniejsze to, zeby nigdy nie odwracac wzroku od czyjegos cierpienia. Nie chodzi tylko o fizyczny bol poddajacego sie ciała, ale tez o bol emocjonalny odczuwany przez konajacego, gdy widzi, jak jego zycie dobiega konca, i uwiadamia sobie, ze mogle przezyc je lepiej. Danie ludziom szansy na to, zeby ktos ich zauwazyl, kiedy sa najslabsi, jest bardziej kojace niz jakiegokolwiek slowa. A ja czulam sie zaszczycona, ze moge to dla nich zrobic – spojrzec im w oczy i dostrzec ich cierpienie, pozwolic, aby istniało w czystej formie – nawet jesli przytlaczal mnie smutek.

Nawet jesli pekalo mi serce.

U mnie bylo niemal duszno w porownaniu z mieszkaniem Guillerma. Zdjetam plaszcz i zarzucilam go na wierzch calej masy zimowych ubran wiszacych przy drzwiach. Wieszak zaprotestowal, a wełniana dwurzedowa bosmanka wyladowala zmieta na podlodze. Zostawilam ja tam, mowiac sobie, ze zajme sie tym pozniej, podobnie jak wiekszoscia mnozacych sie tu rupieci.

Dla jasnosci, nie wszystkie nalezaly do mnie. To dwupokojowe godne pozazdroszczenia lokum przypadlo mi w spadku po smierci dziadka. Coz, oficjalnie figurowalam na umowie najmu od dzieciinstwa. Dziadek sprytnie zadbal o to, zeby przez nowojorską biurokracje nie stracila naleznego prawa do tej spuscizny. Przez siedemnaście lat mieszkalismy razem na drugim pietrze czynszowki, ktora przy swoich wypielęgnowanych sasniadach z West Village wygladala raczej na zaniedbana. Dziadek zmarł przeszło trzynascie lat temu, a ja nadal nie moglam sie zmusic, zeby zrobic porzadek z tym, co po nim zostalo. Zamiast tego systematycznie upychalam swoje rzeczy w puste miejsca, ktorych bylo niewiele. Choc kazdego dnia patrzylam smierci w oczy, wciąz nie potrafilam zaakceptowac tego, ze juz nigdy nie bedzie obecny w moim zyciu.

Tak wlasnie smutek plata nam figle – wystarczy znajoma woń wody kolońskiej albo mignienie w tłumie twarzy kojarzacej sie z bliską osoba, i wszystko, co czlowiek zrobil, zeby sie pozbierac i poradzic sobie z bólem, bierze w łeb.

Trzymajac w dloniach parujacy kubek herbaty, stanalam przed regalami pelnymi dziadkowych podręczników do biologii, stęchlych amuletów i powiesci marynistycznych. Spośród calej tej zbieraniny w oczy rzucaly sie zwlaszcza trzy podniszczone notatniki – wcale nie ze względu na swój wyglad, tylko z powodu inskrypcji zdobiacych grzbiety. Na pierwszym widnialo slowo „Zale”, na drugim „Rady”, a na trzecim „Wyznania”. I to wlasnie te zapiski, zaraz po moich zwierzetach, ocalilabym z pozar.

Odkad zaczelam pracowac jako doula smierci, odprawialam pewien rytual – polegala on na dokumentowaniu ostatnich slow kazdego klienta, zanim ulecialo z niego zycie. Przez te wszystkie lata zorientowalam sie, ze ludzie czesto czuja potrzebe, aby cos powiedziec tuż przed smiercia, cos donioslego – zupełnie jakby uwiadamiali sobie, ze to ich ostatnia szansa, zeby zostawic po sobie jakis slad. Te przeslania na ogol dalo sie przyporzadkowac do jednej z trzech kategorii: to, co mogli zrobic inaczej; to, czego sie nauczyli po drodze; to, co trzymali w tajemnicy do czasu, az zdecydujac sie wyznac prawde. Uwazalam, ze utrwalanie tych slow to moj swiety obowiazek, zwlaszcza jesli oprócz mnie w pokoju nie bylo nikogo innego. A nawet jesli byli tam jeszcze jacyś bliscy, to zwykle – zbyt pogrązeni w smutku – nie myśleli o spisywaniu czegokolwiek. Ja z kolei zawsze dbalam o to, zeby nie dac sie ponieśc emocjom.

Odstawilam herbate i wspielam sie na palce, zeby wyjac notatnik z wyznaniem. Od mojego ostatniego wpisu minelo troche czasu, teraz jednak mialam wrazenie, jakby wszyscy u kresu zycia wyłacznie czegos zalowali.

Rozsiadlam sie wygodnie na sofie i otworzylam na pustej stronie zeszyt oprawiony w skore. Drobnym pismem zanotowalam pelne nazwisko Guillerma, jego adres, biezaca date i wyznanie. Szczerze mowiac, zaskoczył mnie swoimi slowami. Wyczulam, ze umiera, i wlasciwie myslalam, ze juz odszedl, gdy nagle otworzyl oczy i polozyl dlon na mojej rece – nie jakos dramatycznie, tylko delikatnie, jakby czesciowo byl juz za drzwiami, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, ze chcial mi o czymś powiedziec.

– Kiedy mialem jedenaście lat, niechcacy zabilem chomika swojej mlodszej siostry – wyszeptal.
– Zostawilem otwarte drzwiczki klatki, zeby zrobic jej na zlosc, i wtedy uciekl. Znalezlismy go trzy dni pozniej zgniecionego między poduchami kanapy.

Gdy tylko te slowa opuścily usta Guillerma, jego ciało rozluźnilo sie, osiagajac stan błogiej

nieważkości, zupełnie jakby unosił się na plecach na powierzchni wody w basenie.

A po chwili odpłynął.

Tego wieczoru nie mogłam przestać myśleć o tamtym chomiku, kiedy moje zwierzaki umościły się obok mnie na sofie. George – pulchny buldog, którego znalazłam sześć lat temu ryjącego w kubłach na śmieci, oparł mi mokrą brodę na kolanie. Lola i Lionel, rodzeństwo kotów uratowanych przeze mnie z pudła zostawionego pod kościołem przy Carmine Street, gdy były małe, teraz na zmianę zwiły się w kłębek przy moich stopach. Dotyk ich gładkiej sierści działał kojąco.

Staralam się nie analizować kwestii tego, czy chomik cierpiał. To dość delikatne stworzenia, więc pewnie agonia nie trwała długo. Biedny Guillermo nosił w sobie poczucie winy przez pięćdziesiąt lat.

Spojrzałam na telefon, który leżał na wypłowiełym oparciu sofy. Nie licząc automatycznych wiadomości dotyczących ubezpieczenia samochodowego albo lipnych kontroli skarbowki, dzwonił tylko wtedy, kiedy ktoś chciał mnie zatrudnić. Niestety nigdy nie opanowałam sztuki nawiązywania i utrzymywania kontaktów z innymi ludźmi. Jako jedynaczka wychowywana przez introwertycznego dziadka nauczyłam się doceniać własne towarzystwo. Nie żebym była przeciwna przyjaźni, po prostu jeśli człowiek się do nikogo nie zbliża, nie ryzykuje, że kogoś straci. A ja straciłam już wystarczająco dużo osób.

Mimo to czasem nachodziła mnie refleksja, jak znalazłam się w tym miejscu: miałam trzydzieści sześć lat i całe moje życie kręciło się wokół czekania, aż ktoś obcy umrze.

Delektując się zapachem bergamotki unoszącym się znad herbaty, zamknęłam oczy i po raz pierwszy od wielu tygodni pozwoliłam sobie na chwilę relaksu. Trzymanie emocji na wodzy bywa wyczerpujące, ale właśnie dzięki temu jestem dobra w tym, co robię. Muszę zachować spokój i opanowanie, nawet jeśli moi klienci są przerażeni, panikują i nie potrafią odpuścić.

Kiedy uczucia wreszcie zaczęły brać górę, oparłam się o poduchy i pozwoliłam, żeby smutek przygniótł mi pierś, a tęsknota boleśnie ścisnęła mnie za serce.

W tym mieście żyje mnóstwo samotnych ludzi.

Wiem, bo jestem jedną z nich.

Na ogół kiedy moja rola jako towarzyszki umierania dobiegała końca, przez cały kolejny dzień nadrabiałam zaległości w zwykłych codziennych obowiązkach, które zaniedbałam, poświęcając się innym. Prace domowe i opłaty wydawały się takie błahe w obliczu śmierci. W koszu na pranie, który akurat znosiłam do piwnicy, zalegały brudy z trzech tygodni. Nie dość, że dziadek zostawił mi w spadku rzadki skarb w postaci mieszkania w kamienicy czynszowej, to jeszcze w tym samym budynku mieściła się pralnia. W ten oto prosty sposób, oszczędzając mi uciążliwej wyprawy do pralni samoobsługowej, co dla większości nowojorczyków było przykrą codziennością, po raz kolejny ułatwił mi życie, nawet po śmierci.

W drodze powrotnej zatrzymałam się przy skrzynce pocztowej, żeby wyzwolić potok listów i katalogów, które z niecierpliwością czekały na moje sporadyczne wizyty. Trzeba przyznać, że rzadko kiedy przychodziło do mnie coś, co warto przeczytać.

Nagle ze schodów dobiegł do mnie chropawy głos:

– Znowu hulałaś na wakacjach, mała?

Szuranie stóp, które mu towarzyszyło, też brzmiało znajomo. Kiedy zamieszkałam tu z dziadkiem w wieku sześciu lat, Leo Drake był dziarskim pięćdziesięciosiedmiolatkiem. Niewiele zmienił się z upływem czasu, poza tym, że miał nieco bardziej siwe włosy i wolniejszy chód.

Leo to mój jedyny przyjaciel. Pod tym względem również niewiele się zmieniło.

– Chyba można tak powiedzieć – odparłam, czekając, aż pokona ostatnie stopnie. – Choć zamiast w pralni wolałabym je spędzić na plaży.

Leo był wysokim, szczupłym jegomościem o wydatnych kościach policzkowych, któremu wiek tylko dodawał szyku. Fascynujące, że modowe preferencje starszych ludzi zwykle zastęgały w pewnej epoce, najczęściej w czasach, kiedy osoby te miały po trzydzieści czy czterdzieści lat. Nierzadko taka tendencja wynikała ze zwykłej oszczędności – po co kupować nowe ubrania, skoro w szafach jest ich w bród. Większością kierowała jednak nostalgia za tym, co uważali za swoje dni świetności. Za czasami, kiedy jeszcze mieli przed sobą sporą część życia.

Styl Leo mocno wpisywał się w trendy krawieckie z lat sześćdziesiątych: świeżo wyprasowany kołnierzyk, klapy z wcięciem, jedwabna poszetka, a także – stosownie do okazji – powszechnie lubiany kapelusz filcowy. Ani razu nie widziałam, żeby wyglądał niechlujnie, nawet jeśli szedł tylko do sklepu po mleko. Pewnie ubierał się tak od czasu, kiedy pracował przy Madison Avenue. Mimo że początkowo został przydzielony do sortowania listów, swoim przenikliwym wzrokiem dokumentował każdy modowy akcent szych od reklamy, dla których jako czarnoskóry mężczyzna pozostawał niewidzialny. A kiedy wreszcie zaczął dysponować odpowiednimi funduszami, skopiował ten fason – i wyniósł na wyższy poziom – czyniąc z niego własny znak rozpoznawczy.

Tego dnia Leo wyszedł tylko po to, żeby sprawdzić pocztę, a i tak miał na sobie wyprasowaną elegancką koszulę i materiałowe spodnie w kancik. Jego strój rażąco kontrastował z moim: spodniami dresowymi i luźnym swetrem w stylu rybackim. Jeśli miałam rację co do powielania stylu z lat młodości, moja spuścizna modowa nie wyglądała zbyt obiecująco.

Leo uśmiechnął się chytrze i wsunął kluczyk do zamka w skrytce.

– A kiedy rewanż?

Dziadek nauczył mnie grać w madżonga, gdy tylko tu zamieszkałam. Dopiero po czterech latach zdołałam go pokonać – celowo nie dawał mi wygrać, tłumacząc, że taka strategia przyniesie dobry skutek. Z czasem zapamiętałam wszystkie możliwe układy madżonga i uważnie śledziłam ruchy dziadka, kiedy pozbywał się kamieni. Miał tylko jeden tik, który go zdradzał: gdy podejrzewał, że może przegrać, delikatnie drapał się po szyi prawym palcem wskazującym. Po moim wyjeździe na studia w szranki regularnie stawał z nim Leo, który później ze mną kontynuował tę tradycję spotkań przy grze. Nasza zażarta rywalizacja trwała już z dziesięć lat.

– Może w przyszłą niedzielę?

W stosie listów znalazłam tylko jeden wart przeczytania – od krewnych mężczyzny chorego na białaczkę, z którym pracowałam kilka miesięcy temu.

Podobnie jak Guillermo on też odszedł przepełniony żalem. A ja wciąż o nim pamiętałam. Kiedy

zaczęłam pracować jako doula śmierci, naiwnie próbowałam przekonać swoich klientów do tego, żeby skupili się na pozytywnych aspektach życia – na tych wszystkich rzeczach, za które powinni być wdzięczni. Ale dla kogoś, kto tylko złościł się na świat, śmierć była po prostu ostatecznym bezlitosnym ciosem od losu. W końcu rozumiałam, że nie powinnam ich zachęcać do upiększania rzeczywistości wbrew ich woli; miałam jedynie przy nich czuwać, wysłuchać ich i dać świadectwo. Nawet jeśli do ostatniego tchu czuli się nieszczęśliwi, to dzięki mnie przynajmniej nie umierali sami.

– Stoi – odparł Leo, uchylając róna wymyślanego kapelusza. – No chyba że wypadnie ci coś ciekawszego.

Dobrze wiedział, że w zasadzie nie prowadzę życia towarzyskiego, ale nie mógł się powstrzymać przed subtelnymi uwagami, sugerującymi coś przeciwnego. Oczywiście, chciał dobrze, niemniej zrobił ze mnie jeszcze większą kalekę życiową. Nie sądziłam, że po trzydziestce wciąż będę mieć tylko jednego przyjaciela. Tak to właśnie jest z tą samotnością: nikt jej nie wybiera.

– Dobrze – powiedziałam z uśmiechem. – Ale to mi raczej nie grozi.

– Cóż, nigdy nie wiadomo. – Wskazał głową piętro wyżej. – A propos, słyszałaś, że wprowadza się ktoś nowy? W przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że ta osoba okaże się bardziej rozmowna niż jej poprzednicy.

Cholera. Po cichu liczyłam na to, że mieszkanie na pierwszym piętrze, które wcześniej zajmowała wycofana para z Finlandii, postoi puste trochę dłużej. W przeciwieństwie do Leo cieszyłam się, że moje relacje z Finami ograniczają się do uprzejmych skinień głową i pobieżnych powitań.

Leo miał ucho do sąsiedzkich ploteczek. Znał je, zanim zdążyły się rozejść. W drodze na górę opowiedział mi o wszystkim, czego się dowiedział od naszego ostatniego spotkania. O dramacie, który rozegrał się w budynku obok, o nieprzyjemnym rozwodzie pary mieszkającej kawałek dalej, o potwornie drogiej restauracji zamkniętej za uchybienia sanitarne po tym, jak z toalety, z której akurat korzystał klient, wyskoczył szczur. Jako miłośnik pogawędek Leo przez większość czasu przechadzał się po okolicy i wciągał do rozmowy każdego, kto się napatoczył. Zawsze zachodziłam w głowę, dlaczego tak dobrze się ze sobą dogadujemy. Niewykluczone, że chodziło o klasyczną harmonię przeciwieństw.

Kiedy wspinaliśmy się po skrzypiących schodach, drzwi pustego mieszkania na pierwszym piętrze stały uchylone. Przez szparę dostrzegłam na podłodze kilka puszek z farbą, a tuż obok na tacy gotowy do użycia wałek malarski. Podczas gdy Leo cały czas trajkotał, w moim żołądku zagnieździł się niepokój.

W Nowym Jorku nowi sąsiedzi pojawiali się nieuchronnie, a ja przeżyłam ich wielu. Ilekroć jednak do kamienicy ktoś się wprowadzał, nadal odbierałam to jako swego rodzaju wtargnięcie, naruszenie mojej osobistej przestrzeni. Mojej rutyny. Mojej samotności. Wiązała się z tym konieczność rozgryzienia nieznanego osobowości, ustanowienia nowych rytuałów powitalnych i przyzwyczajania się do nowych dziwactw. Nowy sąsiad oznaczał coś nieprzewidywalnego.

A ja nie cierpię niespodzianek.

W tym samym dniu, kiedy usłyszałam, że moi rodzice nie żyją, dowiedziałam się także, że świnię tarzają się w błocie, aby uniknąć oparzeń słonecznych. To było we wtorek podczas przerwy na lunch, a ja chodziłam wtedy do pierwszej klasy. Siedziałam pod samotnym dębem na szkolnym boisku, wciśnięta między dwa wystające ponad ziemię powykręcane korzenie, które przypominały palce dotknięte artretyzmem. Właśnie tam przy sprzyjającej pogodzie spędzałam większość przerw, czytając, podczas gdy moi rówieśnicy hałaśliwie bawili się obok. Tego dnia pochłaniała mnie lektura książki przybliżającej rozmaite fakty na temat zwierząt. Prawie skończyłam fragment poświęcony pandom, kiedy zauważyłam, jak dyrektorka, pani Lucas, przemierza boisko, kierując się prosto na mnie. Obfita tapirowana fryzura poruszała się w rytm zdeterminowanego kroku, kiedy kobieta szła, ściskając poły poliestrowego żakietu. Sprawiała wrażenie, jakby chodziło o coś naprawdę ważnego. Poczułam z tyłu, tuż przy szyi, mrowienie. Myślałam, że biega mi po skórze jakiś owad, ale kiedy potarłam kark dłonią, niczego tam nie było.

Tuż za panią Lucas w formacji w kształcie litery V podążały moja wychowawczyni i szkolna pedagożka. Cała trójka wyglądała tak, jakby miała jakąś misję, więc spokojnie odłożyłam książkę na uda i czekałam, aż dotrą pod dąb.

– Clover, kochana. – Aż nadto słodki ton pani Lucas brzmiał podejrzanie wazeliniańsko. Dorośli zazwyczaj mówią w ten sposób, kiedy chcą nakłonić dzieci do współpracy. Pochyliła się sztywno z dłońmi wciśniętymi między kolana i zwróconymi na zewnątrz, czyli odwrotnie niż do modlitwy. – Zechcesz pójść z nami do mojego gabinetu?

Przez chwilę przeskakiwałam wzrokiem między kobietami, które stały po obu stronach pani Lucas z ponurymi uśmiechami. Zastanawiałam się, czy coś, co zrobiłam tego dnia, zasługiwało na karę. Czyżbym niechcący złamała jakąś zasadę? Naprawdę starałam się być grzeczna. Może zapomniałam zwrócić książkę do biblioteki? Czułam się zdominowana, więc postanowiłam nie ruszać się z miejsca, wdzięczna korzeniom za opiekuńcze objęcia.

– Wolałabym zostać tu, pod drzewem – odparłam, wręcz zachwycona tym, że zdobyłam się na ten niewielki akt buntu. – Przerwa na lunch jeszcze się nie skończyła.

Dyrektorka zmarszczyła brwi.

– Cóż, rozumiem, że chcesz się nacieszyć ładną pogodą, zanim się ochłodzi, ale muszę... to znaczy musimy z tobą o czymś porozmawiać i chyba będzie lepiej, jeśli wejdziemy do środka.

Czy miałam jakiś wybór? Pani Lucas i jej obstawa w obszernych bluzkach raczej nie zamierzały zostawić mnie w spokoju. Wstałam więc niechętnie, otrzepałam kurtkę z gałązek i posłusznie ruszyłam do budynku szkoły.

– Grzeczna dziewczynka – pochwaliła mnie pani Lucas.

W gabinecie dyrektorki wdrapałam się na drewniane obrotowe krzesło. Kiedy tak siedziałam z nogami zwisającymi wysoko nad linoleum, stare sprężyny ukryte pod skórzaną poduszką boleśnie wbijały się w moje chudziutkie uda.

Trzy posępne kobiety zajęły miejsca naprzeciwko mnie i wymieniały zbolące spojrzenia, jakby po cichu ciągnęły słomki, żeby zobaczyć, której przypadnie do wykonania jakieś niewdzięczne zadanie. Najwyraźniej pedagożka wyciągnęła najkrótszą. Nabrała powietrza, gotowa coś powiedzieć, lecz nagle się powstrzymała, aby jeszcze rozważyć swoje słowa.

– Clover – odezwała się wreszcie. – Wiem, że twoi rodzice wyjechali na wakacje.

– Do Chin – dodałam uprzejmie. – Stamtąd pochodzą pandy. – Przycisnęłam książkę do piersi niczym cenny skarb.

– Tak, chyba tak. Jesteś bardzo bystra.

– Pandy jedzą pędy bambusa. Ważą ponad czterdzieści kilogramów i są naprawdę dobrymi pływakami – powiedziałam, żeby utwierdzić je w tym przekonaniu co do mojej inteligencji, dopóki mnie słuchały. – Mama i tata wrócą za dwa dni. Liczyłam. – Miałam nadzieję, że nie zapomną mi przywieźć jakiegось upominku z podróży, tak jak ostatnio z Paryża.

Pedagożka odchrząknęła i zaczęła się bawić wymyślną broszką przypiętą do bluzki.

– No właśnie, à propos. Twoi rodzice planowali wrócić do domu w czwartek, ale zdarzył się...

wypadek.

Zmarszczyłam brwi i jeszcze mocniej ścisnęłam książkę.

– Wypadek?

Wychowawczynie pochyliła się i poklepała mnie po kolanie, pobrzękując tanimi bransoletkami.

– Clover, mieszkasz u znajomej mamy, zgadza się?

Niepewnie pokiwałam głową. Zaczęły mnie piec uszy, między skórzanym siedziskiem a udami poczułam spływającą kroplę potu, a dobiegające przez otwarte okno wrzaski rozbrykanych rówieśników tylko spotęgowały mój dyskomfort.

Sztywny uśmiech wychowawczynie, świadczący o jej skrępowaniu, był naprawdę niepokojący.

– Dzisiaj zostaniesz z dziadkiem. Przyjedzie z Nowego Jorku i odbierze cię po południu. Fajnie, prawda?

Nie miałam pojęcia, czy to fajnie czy nie. W ciągu swojego bądź co bądź krótkiego życia widziałam dziadka ze strony mamy tylko kilka razy, więc nie żywiłam do niego jakichś szczególnych uczuć. Wydawał się miły, choć nie mówił za wiele, a on i moja mama zachowywali się wobec siebie jak obcy ludzie. Zawsze jednak przysyłał mi prezent na urodziny – w tym roku książkę o zwierzętach, którą właśnie trzymałam na kolanach. Może teraz przywiezie mi coś nowego?

– Czemu nie mogę zostać z panią McLennan?

Stara panna, która mieszkała przecnicę od mojego domu, nie była zbyt miła, a w jej domu zawsze pachniało pieczeniem wołową, bez względu na to, co akurat gotowała. Ale poza tym, że mnie karmiła i zawoziła do szkoły, miałam święty spokój i robiłam, co mi się podoba, czyli zwykle siedziałam sama w pokoju i czytałam, podczas gdy ona szydełkowała na swojej przykrytej folią sofie. Ponieważ mama i tata często mnie do niej podrzucali na całe tygodnie, nauczyłyśmy się ze sobą koegzystować w zgodzie – choć jestem pewna, że ona robiła to tylko dla zwitka banknotów, który tata przed wyjściem wciskał jej do ręki.

Nauczycielki znów wymieniły ponure spojrzenia i porozumiały się jakimś tajnym szyfrem przy użyciu brwi, co pani Lucas skwitowała ciężkim westchnieniem.

– Clover, przykro mi to mówić, ale twoi rodzice nie żyją.

Pozostałe kobiety wciągnęły gwałtownie powietrze, zaszokowane jej bezpośredniością, jeśli chodzi o tak delikatną kwestię.

Równie wstrząśnięta otworzyłam szeroko oczy. Kobiety krążyły nerwowo wokół mnie, zupełnie jakby starały się przewidzieć kolejny ruch dzikiego zwierzęcia.

– Nie żyją...? Tak jak pan Hyland? – wyszeptałam w końcu.

Przypomniał mi się odcinek *Ulicy Sezamkowej*, który pokazano całej grupie po dramatycznym odejściu wychowawcy – ten, w którym Wielki Ptak zmagił się ze śmiercią swojego przyjaciela pana Hoopera.

– Niestety tak, Clover. – Pani Lucas cmoknęła ze smutkiem, usiłując zrekompensować wcześniejszą obcesowość. – Bardzo mi przykro.

Później, kiedy siedziałam obok dziadka w kolejce podmiejskiej Metro-North, zmierzającej z terkotem z Connecticut w kierunku Manhattanu, zdałam sobie sprawę, że nie pożegnałam się z kolegami i koleżankami z klasy. Z drugiej strony skoro i tak prawie ze mną nie rozmawiali, to chyba nie miało większego znaczenia. Inne dzieci już wcześniej nie poświęcały mi zbyt wiele uwagi, ale moja osobliwa reakcja na śmierć naszego nauczyciela – głównie to, że się nie wystraszyłam – jeszcze bardziej je do mnie zraziła. Kiedy jeden chłopak zaczął rozpowiadać, że „bujam się” ze zmarłymi, oficjalnie okrzyknięto mnie dziwaczką. Pewnie nikt nawet nie zauważył, że zniknęłam.

Dziadek zjawił się w szkole akurat wtedy, kiedy na korytarzach rozbrzmiał dzwonek obwieszczający koniec przerwy na lunch. W ręce trzymał małą błękitną walizkę, którą zabrałam do pani McLennan. Po krótkiej szeptanej rozmowie z nauczycielami, z której ledwo coś usłyszałam, dziadek z pełną powagą zaprowadził mnie do taksówki czekającej przed szkolną bramą.

W drodze na dworzec kolejowy zdradził mi tylko kilka szczegółów na temat wypadku, w którym zginęli rodzice – coś o starej łodzi, tropikalnej burzy i rzece o nazwie Jangcy. W odpowiedzi tylko pokiwałam głową, zastanawiając się w duchu, czy mama i tata widzieli jakieś pływające pandy. Kiedy jednak patrzyłam na przedmieścia przewijające się jak w pętli za brudnym oknem pociągu, powoli zaczęła do mnie docierać rzeczywistość.

Wiedziałam, że gdy ktoś umiera, to już nigdy, przenigdy nie wróci. Od tego momentu człowiek żył wyłącznie we wspomnieniach innych ludzi. Pamiętałam, jak w dniu, kiedy wylatywali do Chin, mama niecierpliwie poganiała mnie do wyjścia. I jak pocałowała mnie w roztargnieniu pod domem pani McLennan. Powiedziała, że mam „być grzeczną”, przeglądając się w szybie samochodu. Tata chyba pomachał do mnie z przedniego siedzenia, ale może tylko tak mi się wydawało. Tego ranka, jak zresztą każdego, na głowie mieli inne rzeczy.

Zdawałam sobie też sprawę z tego, że po czyjejś śmierci należy się wypłakać. Kiedy pan Hyland dostał zawału, bibliotekarka szlochała na korytarzu. A gdy usiadłam w pociągu, zauważyłam, jak dziadek kilkakrotnie przesuwając kciukiem pod oczami, a potem wyciera palec o rękaw. Czekałam więc z niecierpliwością, aż również z moich rzęs spłynie pierwsza łza. Co i raz wręcz dotykałam powiek, żeby sprawdzić, czy to już, ale nie – łzy się nie pojawiły.

Po dwóch godzinach, kiedy z budynku Grand Central wyszliśmy w mroczne objęcia wieczoru, na policzkach poczułam szczypiący wiatr, a uszy wypełnił mi uliczny zgiełk. Pierwszy raz zawitałam do wielkiego miasta – nie byłam pewna, czy mi się podoba.

Starając się odnaleźć w tym obcym otoczeniu, uczepliłam się dziadkowego płaszcza, kiedy wyrzucił rękę wysoko w powietrze i zagwizdał. To musiała być jakaś magiczna sztuczka, bo nagle przed nami zmaterializowała się żółta taksówka. Mimo że ledwo znałam dziadka, o dziwo, byłam pewna, że nic mi nie grozi. Oprócz niebieskiej walizki jedynie on dawał mi poczucie stabilności.

Krajobraz przemykający za szybą auta w niczym nie przypominał monotonnych przedmieść, na które się napatrzyłam podczas podróży pociągiem: strzeliste budynki, pulsujące światła, tłumy ludzi lawirujących między sobą na chodniku. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego dziadek w ogóle nie zwraca na to uwagi, tylko obojętnie wgapia się w oparcie fotela i mamrocze coś o tym, że musi kupić mleko.

Kiedy zajechaliśmy pod wąską kamienicę z elewacją z piaskowca, dziadek wręczył kierowcy równo złożony plik banknotów.

– Powiedz „dziękuję”, Clover – poinstruował mnie, otwierając drzwi.

– Dziękuję, panie kierowco.

Cuchnący czosnkiem malkontent burknął coś w odpowiedzi.

Wspinając się na drugie piętro, liczyłam na głos wszystkie stopnie. W chwili, gdy doliczyłam do czterestu, na schodach pojawił się mężczyzna w kapeluszu.

– Cześć, Patrick – rzucił do dziadka, schodząc z dumną miną, zanim mnie zauważył, schowaną za nogą sąsiada.

Dziadek odstawił walizkę, żeby uścisnąć mu dłoń.

– Leo – odezwał się – poznaj moją wnuczkę Clover.

Pan w kapeluszu spojrział na dziadka ze współczuciem, potem się pochylił i wyciągnął do mnie rękę, błyskając złotym zębem w szerokim uśmiechu.

– Miło cię poznać, mała – powiedział. Światło lamp sufitowych odbijało się w jego oczach jak promienie słoneczne w pełnej butelce coca-coli. – Witaj w naszym budynku.

Uścisnęłam jego dłoń najmocniej, jak potrafiłam, zachwycając się bursztynowym ciepłem jego skóry.

– Mnie też miło pana poznać.

Leo odsunął się i wykonał zamaszty gest ręką, jak pracownik teatru wskazujący widzom ich miejsca.

– No, nie zatrzymuję was. – Uchylił kapelusza. – Ale mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Gdy dotarliśmy na nasze piętro, patrzyłam, jak dziadek szuka właściwego klucza na breloku przypiętym do paska, po czym otwiera kolejne zamki. Kiedy odwieszał nasze kurtki na wieszak przy drzwiach, z zachwytem rozglądałam się po salonie. Wzdłuż ścian aż po sufit ciągnęły się regały zastawione różnymi przedmiotami – cennymi minerałami, zwierzęcymi czaszkami, stworzeniami w słoikach. Zupełnie jakby dziadek mieszkał w muzeum, podobnym do tego, w którym byłam miesiąc temu na szkolnej wycieczce.

I teraz ja też tu mieszkałam.

Po kolacji w postaci fasolki po bretońsku z grzankami, okraszonej raptem skrawkami rozmowy, dziadek zaprowadził mnie do małego pokoju w głębi. W jednym rogu stało ogromne drewniane biurko, gdzie piętrzyły się stosy papierów i książek przywodzące na myśl ciąg kominów. W drugim z kolei znajdowały się pojedyncze łóżko i szafka nocna z zieloną lampką bankierską i małym wazonem z samotną peonią w środku.

– Oto twój pokój – oznajmił dziadek, po czym wskazał sterty książek. – Tym zajmiemy się jutro.

– Wysunął spod biurka krzesło z giętego drewna i położył na nim walizkę. Błękitny plastik jaskrawo odcinał się od dominującej w pokoju stonowanej palety mahoni, skóry i tweedu. – To był... ciężki dzień. W razie potrzeby jestem w salonie. – Poklepał mnie sztywno po głowie i szybko schował ręce do kieszeni. – Dobranoc, Clover.

– Dobranoc, dziadku.

Stałam pośrodku pokoju, oswajając się z nową rzeczywistością. Czy teraz, kiedy mieszkałam w wielkim mieście, też musiałam co wieczór myć zęby? Pani McLennan miała na tym punkcie prawdziwego hopla. Wiele rzeczy pewnie się zmieni. Ciekawe, kto będzie mnie zawoził do nowej szkoły. Czy pozwolą mi wypożyczać książki ze szkolnej biblioteki? Czy na podwórzu też rośnie dąb?

Postanowiłam, że w ramach testu tej nocy „zapomnę” umyć zęby. Wślizgnęłam się pod kołdrę i wciągnęłam w nozdrza obcy zapach proszku do prania, zaprawiony naftalinową nutą kulek na mole. Bardzo szczerze opatuliłam się pościelą, ledwie mogłam obrócić się na bok. Domyślałam się, że właśnie tak czuje się człowiek w mocnym uścisku ramion, ale ponieważ mnie rzadko w ogóle ktoś obejmował, nie miałam stuprocentowej pewności.

Powoli przyciągnęłam za brzeg wyblakłą serwetkę na szafce nocnej, żeby wziąć z niej almanach o zwierzętach, nie strącając przy tym wazonu. Ponownie położyłam się na zbitej poduszce, oparłam książkę na piersi i przekartkowałam tom do haseł na literę P.

Stwierdziwszy z satysfakcją, że wiem wszystko o pandach, zaczęłam przyswajać wiedzę o pawiach.

Nie licząc przypadkowego spotkania z Leo przy skrzynkach pocztowych następnego dnia po śmierci Guillerma, przez kolejne pięć dni udało mi się uniknąć jakiegokolwiek kontaktu z ludźmi. Jednak z tymi dłuższymi okresami samotności bywało różnie. Z początku dawały mi ukojenie, osłaniały przed chaosem i oczekiwaniami wobec mnie jako człowieka. Lecz potem nagle ożywienie, jakiego doświadczałam, ustępowało miejsca otępiającemu wyalienowaniu.

W szóstym dniu odosobnienia, kiedy siedziałam na sofie, próbując sobie przypomnieć, jak dawno temu myłam włosy, zaczęłam to powoli odczuwać – coś jak charakterystyczne łaskotanie w gardle, zwiastujące zapalenie migdałków. Zaczęło się od typowych objawów, czyli przesiadywania przed telewizorem. Oczywiście nie ma nic złego w tym, że człowiek zatracą się w romantycznym filmie albo w programie telewizyjnym – w końcu o to w tym chodzi. Ale nawet ja zdawałam sobie sprawę, że istnieje cienka granica między oglądaniem czegoś dla zabicia czasu a oglądaniem czegoś dla zastąpienia prawdziwych uczuć. Wiedziałam, że balansuję na tej granicy, gdy tylko zaczynałam gapić się w kółko na te same romantyczne sceny, usiłując doszukać się w nich czegoś, czego tam nie było – jak gdyby przy setnej powtórcie w magiczny sposób miało się pojawić coś nowego. Dzisiaj na przykład co najmniej dwadzieścia razy obejrzałam wszystkie romantyczne momenty z filmu

Totalna magia. Ale zamiast przyjemnego zastrzyku oksytocyny, która zwykle mnie zalewała podczas takich seansów, poczułam w sercu wielką tęsknotę, jakby wszystkie emocjonalne wzloty i upadki Sandry Bullock stały się moimi.

Dorastając jako jedynak, człowiek uczy się przebywać w świecie fantazji niemal tak często jak w realnym życiu. Kiedy to ty kontrolujesz przebieg fabuły, nikt nie może cię zawieść – ani zostawić. Zatem gdy ciągle oglądanie tej samej historii miłosnej przestało zaspokajać moje potrzeby, często kontynuowałam opowieść w myślach, wyobrażając sobie dalsze losy bohaterów po ich ostatnim filmowym pocałunku i napisach końcowych.

Wtedy właśnie docierało do mnie, że powinnam wyjść z domu i znów poobcować z prawdziwym światem.

Kiedy niechętnie naciągałam na siebie płaszcz, w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy nagle rozbłysło światło. Zmierzch wciąż flirtował z dniem, więc tym razem trudniej było zajrzeć do środka, ponieważ w szybie odbijał się blask zachodzącego słońca. Mimo to udało mi się dostrzec dwie postacie: zdjęły wierzchnie okrycia, a potem tuliły się do siebie na sofie. W ciągu tych czterech lat, kiedy mieszkaliśmy naprzeciwko siebie, Julia i Reuben ani razu nie zaciągnęli żaluzji – nie byłam nawet pewna, czy je mają. To był nie tyle przejaw ekshibicjonizmu, ile znak, że w swojej intymnej bańce czują się tak dobrze, że nie zaprzatają sobie głowy tym, kto może ich obserwować z daleka. Patrząc, jacy są szczęśliwi w swoich objęciach, zastanawiałam się, jak to jest, kiedy ktoś pochłonięty drugą osobą całkowicie zapomina o bożym świecie i wszystko na zewnątrz przestaje się liczyć. Kąt padania promieni nagle się zmienił, oślepiając mnie i przesłaniając widok salonu. Z westchnieniem opuściłam żaluzje i zmusiłam się, żeby wyjść z domu.

Nigdy nie zgadzałam się z problematyczną reputacją Nowego Jorku jako wielonarodowego tygla; dla mnie był bardziej jak zupa jarzynowa z dużymi kawałkami warzyw, w której ludzie głównie tylko przepływali obok siebie bez jakiegokolwiek interakcji. Często w ciągu tygodnia wpadałam do niezależnego kina przy Szóstej Alei, żeby obejrzeć film z innymi samotnymi widzami – taka namiastka spotkania w gronie bliskiej rodziny. Rozrzuceni w różnych odstępach i rzędach jak paciorki na liczydło mogliśmy być samotni razem. A kiedy projektor wyłączał się z kliknięciem i zapalały się światła, wszyscy wychodzili z sali i kontynuowali swoją podróż w pojedynkę.

Jednak tego wieczoru wiedziałam, że oglądanie filmu choćby z nutą romantyzmu w tle – nawet w jakiejś grupce – tylko napędzi moje kompulsywne zachowanie. Zatem żeby wyrwać się z samotności, wsiadłam do metra w kierunku Midtown, udając się na jedyne towarzyskie spotkanie, w jakim zdarzało mi się uczestniczyć: do „kawiarni śmierci”.

Po raz pierwszy natknęłam się na „kawiarnię śmierci” jako dwudziestolatka, gdy podróżowałam z plecakiem po Szwajcarii. Któregoś dnia znalazłam postrzępioną kartkę przyklejoną do latarni – tekst zapraszał przechodniów do „café mortel”. Kto nie dałby się skusić? Te swobodne spotkania na ogół odbywały

się w restauracjach i zostały zapoczątkowane przez szwajcarskiego socjologa, niejakiego Bernarda Crettaza, w celu znormalizowania dyskusji na temat śmierci. Zupełnie obcy sobie ludzie zbierali się, żeby przy jedzeniu i winie porozmawiać o złożonej kwestii śmiertelności, a potem się rozchodzili, każdy w swoją stronę. Trzeba przyznać, że to genialny pomysł. Pewien Brytyjczyk Jon Underwood rozwinął go i stworzył nieoficjalną sieć tak zwanych kawiarni śmierci. Działały na całym świecie, a ostatnimi laty zaczęły się także pojawiać w Nowym Jorku. Zazwyczaj co kilka tygodni odwiedzałam jedno z tych miejsc, ciesząc się z faktu, że mogę poprzebywać z ludźmi bez emocjonalnego zaangażowania.

Poza tym śmierć to temat, który znałam na wylot.

Zatłoczone metro linii F było jedną wielką płataniną rąk uczepionych drążków, twarzy uchylających się przed plecakami i oczu unikających kontaktu wzrokowego. Ludzie na ogół nie przepadali za tą wymuszoną rezygnacją z osobistej przestrzeni, za tym uczuciem czyjegoś ciała, które jest przyciśnięte do ich własnego. Mnie z kolei to ekscytowało. Nie licząc sytuacji, kiedy zajmowałam się podopiecznymi – trzymałam ich za ręce, wycierałam im czoło, masowałam plecy – rzadko doświadczałam dotyku drugiego człowieka. Tak było od zawsze – nie wiedziałam nawet, czy mam łaskotki. Z wyjątkiem okazjonalnego poklepania po głowie lub po ramieniu dziadek okazywał mi czułość w bardziej praktyczny sposób, na przykład wyposażając mnie w niezbędne w życiu umiejętności. Tak więc delektowałam się każdą okazją do fizycznego kontaktu z inną osobą, nawet jeśli był tylko przelotny.

Pociąg zatrzymał się z jękiem przy Trzydziestej Czwartej Ulicy, a morze pasażerów na chwilę się rozstąpiło. Kiedy przesunęłam ręką po drążku nad głową, na miejsce obok mnie wślizgnął się szczupły mężczyzna w granatowym garniturze i szarym tweedowym płaszczu, trzymający przed nosem złożony egzemplarz „New York Timesa”. Drzwi się zamknęły, a podróżni stłoczyli się jeden przy drugim, zupełnie jakby ktoś związał niewidzialnym sznurkiem pęk patyków.

Siła rozpędu popchnęła nieznajomego w moją stronę, tak że moją twarz dzieliło raptem kilka centymetrów od nienagannego węzła jego prążkowanego jedwabnego krawata. Poczułam ciepło bijące od szerokiej piersi; zamknęłam oczy, wdychając zniewalającą zapachową mieszankę sandałowca, drogiego mydła i chyba nuty whiskey. Stojąc z policzkiem przyciśniętym do klapy jego płaszcza, wyobraziłam sobie, jak mnie obejmuje i wplata dłoń w moje włosy. Na tę myśl serce aż podskoczyło mi z radości.

– Czterdziesta Druga Ulica. Bryant Park – zagrzmiął automatyczny głos z głośnika.

Gwałtownie wyrwana ze świata fantazji niechętnie powłóczyłam nogami ku otwierającym się drzwiom. Mężczyzna w granatowym garniturze nawet nie oderwał wzroku od gazety. Kiedy jednak mozolnie wspinałam się po usianych gumą do żucia schodach, wydało mi się, że czuję na swoim płaszczu słaby zapach sandałowca.

Tego wieczoru spotkanie w ramach „kawiarni śmierci” odbywało się we wnętrzach Nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Na ogół starałam się nie uczestniczyć zbyt często w tych samych mityngach. Choć na sesjach pojawiali się nowi, nie dało się uchronić przed stałymi bywalcami, którzy przysysali się do każdej znajomej osoby. Na szczęście obecnie organizowano mnóstwo takich spotkań na terenie całego miasta, więc stosunkowo łatwo było zachować anonimowość.

Kiedy dotarłam na miejsce, sala świeciła pustkami, jeśli nie liczyć okręgu ze zsuniętych czarnych plastikowych krzeseł, czekających, aż ktoś je zajmie. Nie lubiłam tej presji bycia pierwszą, która przybyła, bo to znaczyło, że trzeba się witać z każdym kolejnym uczestnikiem, a potem wytrwać jakoś do rozpoczęcia spotkania, licząc się z ryzykiem, że ktoś może zechce zagać rozmowę. Dlatego przystanąłam przy regałach z książkami i udawałam, że przeglądam stojące w równych rzędkach woluminy o lotnictwie i kosmonautyce.

Kiedy w końcu usiadłam w okręgu, wszystkie krzesła były już zajęte oprócz jednego. Bez trudu dało się rozpoznać nowicjuszy – mieli rozbiegane spojrzenia i nie wiedzieli, co zrobić z rękami, jak ktoś, kto czuje się bardzo nieswojo. Wreszcie zegar na ścianie wskazał ustaloną godzinę. W sali zapanował niepokój. Prowadząca, uśmiechnięta Włoszka, uderzyła plikiem kartek o kolana, sygnalizując, że pora zaczynać. Nigdy wcześniej jej tu nie widziałam – na pewno zapamiętałabym ten rzymski nos.

– Witam wszystkich – powiedziała radośnie. – Nazywam się Allegra. – Zrobiła pauzę, widząc trzydziestoparolatka z komórką przy uchu, który zaglądał niepewnie w głąb sali.

– Dzień dobry! Przyszedł pan do „kawiarni śmierci”? – Zwykle przynajmniej jedna osoba potrzebowała dodatkowej zachęty do udziału w zebraniu.

Mężczyzna zasłonił telefon dłonią i zaśmiał się nerwowo.

– Tak, chyba tak. To znaczy tak – wydukał. – Przepraszam za spóźnienie. – Ze skruczą skinał głową do ogółu.

– Dobrze się składa, bo akurat zostało jedno wolne miejsce – zaszczębiotała Allegra. Zazdrościłam jej tej swobody i pewności siebie; taki efekt wywołuje świadomość, że jest się lubianym. – Zapraszam! Dopiero zaczynamy.

Mężczyzna pośpieszył w kierunku pustego krzesła, ale nagle zatrzymał się pośrodku okręgu – najwyraźniej przypomniał sobie, że osoba, z którą rozmawiał przez telefon, wciąż czeka na linii.

– Muszę kończyć, jestem zajęty – rzucił szeptem do komórki. – Po prostu dopilnuj, żeby to nie wyciekło. – Schował telefon do kieszeni i szybko usiadł, nie zdejmując płaszcza, mimo że w pozbawionym okien pomieszczeniu panowała duchota. – Przepraszam – zwrócił się ponownie do zebranych. – Praca. – Jego wyraźne zdenerwowanie ponownie wzbudziło napięcie, zupełnie jakby się zetknęły dwa przewody elektryczne.

– Skoro jesteśmy już w komplecie, pozwólcie, że powiem, jak bardzo się cieszę, mogąc się z tu z wami spotkać – oznajmiła Allegra, a ja nie potrafiłam przestać się głowić, jak to zrobiła, że jej miodowe włosy do ramion były zarazem schludnie ułożone i rozczochrane. – Rozumiem, że dla wielu z was to pierwsze spotkanie, dlatego chciałam pokrótce wyjaśnić, co tu robimy. – Urwała i z uśmiechem omiotła krąg wzrokiem, niezrażona spanikowanym wyrazem twarzy ludzi, którzy, włącznie ze spóźnialskim, wyglądali tak, jakby lada chwila mieli wziąć nogi za pas. – To przestrzeń do otwartej dyskusji. Nie istnieje tu żaden ustalony porządek, więc proszę śmiało zadawać pytania i poruszać wszelkie tematy związane ze śmiercią, jakie tylko przyjdą wam do głowy. W mieście funkcjonuje wiele „kawiarni śmierci” i pewnie niektóre z nich już odwiedziliście. Ta różni się tylko tym, że nie możemy serwować jedzenia ani napojów, ponieważ znajdujemy się w bibliotece.

Między innymi dlatego nie przepadałam za spotkaniami w tym miejscu – po powrocie do domu musiałam jeszcze wysmażyć jakąś kolację zamiast wcześniej zapchać się przekąskami. Miałam cichą nadzieję, że w zamrażalniku znajdę coś do szybkiego odgrzania.

– No więc – Allegra klasnęła w dłonie – przedstawmy się po kolei.

Grupa była zróżnicowana, jak zwykle.

Dwudziestoparolatek w szmaragdowym golfie – od zawsze zafascynowany śmiercią, tyle że nikt nigdy nie chciał z nim o tym rozmawiać.

Starsza kobieta w grubych czerwonych okularach we wczesnym stadium alzheimera, która próbowała

pogodzić się z faktem, że jej umysł przestaje działać.

Studentka aktorstwa – wychowywała się w rodzinie ateistycznej i teraz miała wrażenie, że przez brak uduchowienia nie jest przygotowana, żeby zmierzyć się z ostatecznością śmierci.

Jakiś turysta z Holandii, który po prostu natknął się na ulotkę reklamującą „kawiarnię śmierci” i uznał, że to dobry sposób na „doświadczenie Nowego Jorku” oraz podszlifowanie angielskiego. Na wspomnienie mojego pierwszego mityngu w Szwajcarii poczułam między nami pewną nić porozumienia.

I wreszcie spóźnialski, który nieustannie stukał prawą nogą o podłogę. Nie byłam pewna, czy moja lewa noga naśladuje ten ruch z empatii czy raczej ze stresu.

– Uch, cześć, mam na imię Sebastian. – Dziwacznie pomachał ręką i poprawił na nosie okulary w złotych oprawkach. – Chyba jestem tu dlatego, że moja rodzina nigdy tak naprawdę nie rozmawiała o śmierci, więc, cóż, niewiele o niej wiem. W zasadzie to śmierć mnie przeraża. Pomyślałem, że jeśli tu przyjdę i czegoś się o niej dowiem, to może jakoś pokonam ten strach.

Kilka osób na sali współczująco pokiwało głowami. Sebastian spojrział na kobietę obok niego, licząc, że teraz ona znajdzie się w centrum uwagi.

Kiedy się przedstawiła i powiedziała, że przyszła tu, gdyż podejrzewa, że jej mieszkanie jest nawiedzone, przygotowałam się na swoją kolej. W myślach powtórzyłam ułożoną wcześniej odpowiedź. Uczenie się na pamięć jakiejś kwestii zawsze zmniejszało ryzyko oratorskiej wpadki. Nigdy nie ujawniłam na takim spotkaniu, czym się właściwie zajmuję – to tylko zrodziłoby niepotrzebną ciekawość i pełne najlepszych intencji, acz nachalne pytania. Większość ludzi nigdy nie słyszała o douli śmierci, a tym bardziej żadnej nie spotkała. Dlatego na ogół prezentowałam tożsamość, która była im bliższa. Kiedy wreszcie spojrzenia zgromadzonych skierowały się na mnie, wzięłam głęboki wdech i zmusiłam się do uśmiechu.

– Jestem Clover – zaczęłam, błagając w duchu, żeby moja twarz nie oblała się czerwienią. – I niedawno zmarła mi babcia.

Po sali rozszedł się szmer współczucia, a mnie aż skreśliło w środku na myśl o tych andronach. Niemniej takie wyjaśnienie jak zwykle okazało się wystarczające; grupa skupiła uwagę na kobiecie po mojej lewej.

Po tym cyklu Allegra rozpoczęła rozmowę od artykułu o stroju pogrzebowym wykonanym z grzybów, które rozkładają ciało, ostatecznie zmieniając je w kompost. Następnie wśród uczestników spotkania rozgorzała żarliwa debata na temat tego, co lepsze: pogrzeb czy kremacja. Poruszono także kwestię zasadności pochówku na morzu i przekazania ciała na cele naukowe.

– Dla mnie pomysł, aby w formie kompostu połączyć się z ziemią, jest w porządku – oświadczyła ateistka. – Za życia ziemia żywi nas, a po śmierci to my żywimy ją własnym ciałem.

Holenderski turysta pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Tak, to zresztą zdecydowanie bardziej ekologiczne niż kremacja. Pomyślcie tylko o emisji tych wszystkich gazów.

– A gdybym zażyczyła sobie pochówku na morzu, czy moja rodzina mogłaby po prostu wypłynąć kutrem rybackim i wyrzucić mnie do Atlantyku? – Kobieta siedząca obok mnie stawiała na pragmatyczne rozwiązania.

– Nieee – zaprzeczył stanowczo facet w golfie. – Sprawdzalem tę opcję, bo mój wujek chciał być tak pochowany. Potrzeba na to całej masy pozwoleń i tak dalej. Choć jedna firma w Nowej Anglii może to załatwić. Wypływają wyczarterowanym jachtem na całodniowy rejs połączony z piknikiem, po czym spuszcza ciało do morza.

Te dyskusje były zawsze niezwykle zajmujące – większość nowojorczyków nie bała się dzielić swoimi opiniami. Ja wolałam odpowiadać w myślach, żebym nie musiała znosić tych wszystkich badawczych spojrzeń. Poza tym najbardziej intrygowały mnie przemyślenia innych na temat śmierci jako pojęcia abstrakcyjnego.

Moi podopieczni byli już umierający i często wyraźniej zdawali sobie sprawę z pewnych rzeczy. Świadomość nadciągającej śmierci pozwalała im lepiej radzić sobie z prawdami absolutnymi – zupełnie jakby został im ostatni element układanki, jaką tworzyło ich życie, i dobrze wiedzieli, gdzie powinien się znaleźć. Wizja, że nie czeka ich już żadna przyszłość, na której temat mogliby snuć domysły, dawała swoiste poczucie wolności.

Przeważająca część ludzi postrzegała jednak śmierć jako wielką niewiadomą – nieuchronne, acz

mgliste wydarzenie, które mogło nastąpić za kilka minut albo za kilka dekad. Z własnego doświadczenia wiedziałam, że ci, którzy za życia woleli nie myśleć o swoim końcu, z reguły na łożu śmierci żalowali najwięcej.

Na tych mityngach lubiłam grać w pewną grę sama ze sobą, a mianowicie zgadywać, jak każda z obecnych tam osób zachowałaby się w ostatnich chwilach życia. Niektórzy, tak jak Allegra, zapewne pogodziliby się z tym faktem i odeszliby z godnością. Innych, jak choćby takiego spóźnialskiego Sebastiana, niewątpliwie ogarnęłyby panika i wielki żal.

Mogłam mieć tylko nadzieję, że kiedy to nastąpi, będzie przy nich ktoś taki jak ja i pomoże im przez to przejść w spokoju.

Kiedy schodziłam po okazałych schodach biblioteki, dookoła wirowała mżawka. Po zaduchu, jaki panował w sali, wilgotne wieczorne powietrze oczyściło mi płuca niczym imbir kubki smakowe, a oddech zamienił się w obłok pary.

– Clover! – Usłyszałam za sobą entuzjastyczny głos.

Zaskoczyło mnie to z dwóch powodów. Po pierwsze, jak dotąd nie poznałam nikogo o moim imieniu, więc szanse na to, że ktoś taki (a) istnieje i (b) znajduje się gdzieś w pobliżu, były raczej nikłe. Po drugie, większość ludzi, z którymi przez ostatnie dziesięć lat miałam jakiś kontakt, już nie żyła, więc to, że ktoś woła akurat mnie, także wydawało się mało prawdopodobne.

Kiedy się odwróciłam, żeby zidentyfikować tę osobę, nagle dotarło do mnie, że przecież przed godziną przedstawiłam się pełnej sali. Teraz tymczasem spieszył ku mnie truchtem nikt inny jak Sebastian. Odruchowo poklepałam się po kieszeniach płaszcza, żeby sprawdzić, czy przez przypadek nie zostawiłam czegoś w bibliotece. Ale nie, wszystko stamtąd zabrałam.

– Clover, cześć! – Szeroki uśmiech Sebastiana mówił mi, że facet nie zauważył mojej zaszokowanej miny.

Zaczęłam rozważać, dokąd uciec. Żyjąc w Nowym Jorku, trzeba umieć unikać niechcianych interakcji. Na przykład nigdy nie należy pokazywać wszystkich kart – czyli nie wolno zdradzać, w którym kierunku się zmierza albo do której linii metra – dopóki druga osoba nie odkryje swoich. Wówczas można pójść w przeciwną stronę, żeby wykręcić się od dłuższej rozmowy, nie będąc nieuprzejmym.

W zasadzie mogłabym po prostu zwać, udając, że nie widzę Sebastiana, ale dobre maniery zwyciężyły. Uśmiechnęłam się słabo.

– O, hej, co tam...? – zawiesiłam głos, jakbym nie pamiętała jego imienia, żeby sobie nie pomyślał, że chcę z nim rozmawiać.

– Sebastian. – Wyciągnął dłoń, więc nie miałam wyjścia, musiałam ją uścisnąć.

– Sebastian, racja. – Nic więcej nie dodałam, licząc, że to przyspieszy sprawę, a on przejdzie od razu do rzeczy.

Cisza, która zapadła, była krępująca dla nas obojga. On nerwowo przestępował z nogi na nogę i wykręcał w rękach szalik – chyba kaszmirowy.

– Wiesz, przykro mi z powodu twojej babci. Moja babcia też ma się nie najlepiej.

Nie był to najlepszy sposób na złożenie komuś kondolencji, ale tak się składa, że wbrew temu, co powiedziałam na spotkaniu, obie moje babcie zmarły, zanim się urodziłam, więc nie wypadało mi go krytykować.

– Och, dziękuję za słowa współczucia. Tak, była cudowną kobietą – odparłam. Dziadek nie mówił za wiele o swojej żonie, a ja zawsze myślałam, że właśnie w ten sposób przeżywa żalobę; aczkolwiek raz wspomniał, że miała alergię na truskawki. Czy to haniebne kłamać na temat kogoś, kogo nigdy nie poznałam, nawet jeśli przedstawiłam tę osobę w dobrym świetle?

Sebastian nie odpuszczał.

– No więc zauważyłem, że ty też się tam właściwie nie udzielałaś. Dziwnie jest mówić o śmierci, no nie? Przyznam się, że mnie to naprawdę przeraża.

Czułam się zobligowana, aby zaprzeczyć temu twierdzeniu. Kiedy rozważałam, czy ujawnić swoją prawdziwą tożsamość, przestrzeń między nami znowu wypełniła cisza.

– W zasadzie to... – odezwał się wreszcie, po raz pierwszy spoglądając mu w oczy. Młodzieńcze rysy okrągłej twarzy kontrastowały z jego przyprószonymi siwizną włosami. Do tego okulary w złotych oprawkach i gustowny szalik nadawały mu urok ekscentrycznego profesora. – Nie uważam, żeby było w tym coś dziwnego. Śmierć stanowi naturalną część życia. Co więcej, jest w nim jedyną pewną.

Sebastian wyglądał na nieco zaszokowanego.

– No chyba masz rację. – Zaśmiał się nerwowo. – Poniekąd dlatego tu przyszedłem. Skoro i tak prędzej czy później stanę ze śmiercią twarzą w twarz, to równie dobrze mogę już teraz spróbować się zmierzyć ze swoim lękiem, żeby lepiej to znieść, jak już przyjdzie co do czego.

Pokiwałam głową, rozpaczliwie starając się wymyślić jakąś wymówkę, żeby w miarę uprzejmie

wymigać się od dalszej wymiany zdań. Ale on najwyraźniej jeszcze nie chciał kończyć.

– No więc, Clover, jaka jest twoja historia?

– Moja historia? – To się już robiło męczące. A ja czułam się bardzo nieswojo, ilekroć wymawiał moje imię, zupełnie jakbyśmy byli przyjaciółmi. – Och, właściwie nie ma o czym mówić. Jestem zwykłą dziewczyną, która się tu wychowała.

Odwrociłam się w stronę ulicy, licząc, że w ten sposób dam mu jasno do zrozumienia, że muszę już iść.

– Wychowałaś się w Nowym Jorku? Super. Teraz trudno tu spotkać rodowitych nowojorczyków. Prawie wszyscy są napływowci, tak jak ja.

Nie odbiłam tej jawnie konwersacyjnej piłeczki.

– Cóż, miło było cię poznać – rzuciłam szybko. – Ale muszę już lecieć.

Gdy znowu zaczęłam schodzić po schodach, on też ruszył i zrównał się ze mną.

– Hej, w którą stronę idziesz? Do metra? Może przejdziemy się razem?

Wiedziałam, że zgodnie z przyjętym konwenansem, w tej chwili powinnam życzliwie wyrazić żal, i miałam nadzieję, że moja mina to odda. Nigdy nie potrafiłam dobrze udawać.

– Och, w zasadzie chciałam złapać taksówkę. – Kolejne kłamstwo. W dorosłym życiu jechałam taksówką tylko raz, kiedy było tak zimno, że idąc pieszo, mogłabym się nabawić odmrożeń.

– Szkoda – stwierdził, trochę zbyt otwarcie demonstrując rozczarowanie.

Podbiegłam do krawężnika, modląc się w duchu do wszelkich możliwych bogów – bo chyba byłam z nimi wszystkimi w dobrych relacjach – aby zesłali mi taksówkę, która szybko mnie stąd zabierze. Najbardziej zdecydowanym ruchem, na jaki było mnie stać, wyrzuciłam rękę w powietrze. Kiedy moja modlitwa została wysłuchana, dałam nura do auta i omal nie zatrzasnęłam natychmiast drzwi. Ostatecznie tylko się odwróciłam i rzuciłam Sebastianowi na pożegnanie zdawkowe:

– Na razie!

Auto już ruszało, ale on jeszcze próbował mi coś powiedzieć przez uchylone okno.

– Czekaj! – krzyknął do odjeżdżającego samochodu. – Wyskoczmy kiedyś na kawę?

– Nigdy w życiu – mruknęłam pod nosem, kiedy Sebastian był już poza zasięgiem słuchu. Kierowca zmarszczył brwi w lusterku i chociaż nic nie powiedział, jego krytyczne spojrzenie trochę mnie zabolowało.

Taksówka przejechała na żółtym świetle w ostatniej chwili, zanim zmieniło się na czerwone, a ja odetchnęłam z ulgą. Przez szybę poznaczoną strugami deszczu patrzyłam w zamyśleniu, jak miejskie światła rozmywają się w neonowe smugi. Czy poprosić kierowcę, żeby wysadził mnie pod stacją metra przy Dwudziestej Trzeciej? Nie, za duże ryzyko. Pod tym względem Nowy Jork potrafił być naprawdę złośliwy – choć zamieszkiwały go miliony ludzi, nie mówiąc już o turystach, i tak często wpadało się na osobę, której akurat chciało się uniknąć. Nie zamierzałam igrać z losem, nawet jeśli miałabym się przez to wykosztować na taksówkę. W duchu skreśliłam tę „kawiarnię śmierci” ze swojej listy. Uznałam, że teraz, kiedy ta inicjatywa cieszy się coraz większą popularnością, bez problemu znajdę dla niej godne zastępstwo.

Wreszcie dotarłam do domu. George, Lola i Lionel już czekali na mnie przy drzwiach. Ponieważ nakarmiłam zwierzaki przed wyjściem, miło było wiedzieć, że ich entuzjastyczne powitanie nie jest motywowane potrzebą zaspokojenia głodu. Czułam, że ktoś za mną tęskni.

Odgrzałam w mikrofalówce placek z mięsem – jedyną rzecz, jaką znalazłam w zamrażalniku – i usadowiłam się na sofie z pilotem do telewizora. Po kilku minutach przewijania netflixowych propozycji dotarło do mnie, że w ogóle nie rejestruję tego, co dzieje się na ekranie. Niepokój przygniótł mnie swoim ciężarem. Dlaczego temu Sebastianowi tak bardzo zależało, żeby ze mną porozmawiać? W spotkaniu brało udział wiele innych osób, a ja prawie wcale na niego nie patrzyłam – tylko wtedy, kiedy się przedstawiał, bo tak wypadało. No i pod biblioteką dałam mu chyba jasno do zrozumienia, że nie mam ochoty na rozmowę. Dlaczego więc tak na nią nalegał? Perfekcyjnie potrafiłam wtapiać się w tło i przemykać przez życie bez rzucania się w oczy. Rzadko kiedy ktoś zwracał na mnie uwagę, więc musiał być ku temu jakiś szczególny powód.

Spojrzałam na kolejkę czekających na mnie komedii romantycznych z lat dziewięćdziesiątych i przez chwilę w żołądku poczułam przyjemne mrowienie.

Czy to możliwe, że nasze spotkanie na schodach biblioteki było wstępem do... przypadkowego zauroczenia?

Nie, wykluczone. Nie wyróżniałam się niczym na tyle, żeby jakiś mężczyzna zainteresował się mną bardziej niż na przykład taką Allegrą. Ogarnął mnie wstyd, że w ogóle to rozważałam.

Teraz nawet ta jego rozmowa telefoniczna wydała mi się podejrzana. Może był jakimś kanciarzem, który żeruje na cudzym nieszczęściu i chodzi po „kawiarniach śmierci”, szukając kolejnej ofiary. Mógł być pośrednikiem nieruchomości albo agentem ubezpieczeniowym, a może świadczył drogie usługi pogrzebowe. Pomagałam załatwiać sprawy pogrzebowe wystarczającej liczbie rodzin, żeby wiedzieć, że to wyjątkowo bezduszny sposób na wyciąganie oszczędności od ludzi, którym rozpacz nie pozwala trzeźwo ocenić sytuacji. Byłam niezwykle wyczulona na ten typ oszustów, żeby przypadkiem któryś z nich nie wykorzystał moich podopiecznych.

Nagle wszystko zaczęło składać się w całość. Wspomniałam o śmierci babci, a on pewnie pomyślał, że znalazł następną naiwniaczkę, którą może okantować. Drań! W jednej chwili pozbyłam się wyrzutów sumienia w związku z tym, że skłamałam. Głębiej wsunęłam się pod gruby koc z alpaki i wróciłam do przewijania tytułów, tym razem z większym skupieniem. Już miałam włączyć *Pretty Woman*, kiedy usłyszałam irytujące synkopowane trąbienie – tak nachalne, że przekroczyło moją tolerancję na typowy nowojorski hałas. Narzuciłam koc na ramiona i powłóczyłam nogami do okna, żeby zbadać sprawę.

Na dworze stała furgonetka firmy transportowej i niczym skrzep siejący spustoszenie w tętnicy blokowała jednokierunkową drogę. Mocno umięśnieni mężczyźni szli jeden za drugim i sumiennie jak mrówki przenosili pudła, głusi na jazgot klaksonów. Ten jeden raz naprawdę współczułam trąbiącym kierowcom – kto zamawia ekipę od przeprowadzek na dziewiątą wieczorem?

Współczucie szybko ustąpiło miejsca rozgoryczeniu, kiedy w dole ujrzałam coś niepokojącego. Okazało się bowiem, że kordon tragarzy zmierza prosto do mojego budynku.

Oho, zjawił się nowy sąsiad.

Jedną z wielu rzeczy, za które kochałam George'a, było to, że nigdy nie czuł pilnej potrzeby, żeby wyjść i się załatwić. Domyślałam się, że nauczył się wstrzymywać z czystego lenistwa, nawet jeśli po raz ostatni wypróżniał się osiem godzin wcześniej. To znaczyło, że mogę wyjść z nim na spacer późnym wieczorem, kiedy ekipa od przeprowadzek już odjedzie. Miałam nadzieję, że przybysz będzie wtedy zajęty rozpakowywaniem pudeł.

Poczekalam do dwudziestej trzeciej, zanim wcisnęłam George'a w psie wdzianko i przypięłam smycz. Ponieważ zwykle lubił obwąchiwać każdy kąt na klatce schodowej, wzięłam go na ręce i przemknęłam na paluszkach przez skrzypiący korytarz na pierwszym piętrze. Rozkoszując się tym, że ktoś go niesie, George przyglądał mi się z lekkim zdziwieniem, jakby chciał dać do zrozumienia, że zachowuję się niedorzecznie. Kiedy dotarliśmy do skrzynek pocztowych, zdałam sobie sprawę, że przez całą drogę na dół wstrzymywałam oddech.

Moja próba wymknięcia się ukradkiem spelzła jednak na niczym. Ledwo wyszłam na zewnątrz, zobaczyłam przed sobą kobietę, która akurat szła po frontowych schodkach z papierową torbą w ręce. Wetknęła pukiel ciemnych włosów pod wełnianą czapkę i uśmiechnęła się do mnie szeroko.

Poczułam się jak mysz przyłapana w kuchni na pałaszowaniu.

– Ty musisz być Clover! – Kobieta wskoczyła na ostatni stopień i dołączyła do mnie na ganku. – Kiedy odbierałam klucz, poznałam Leo. Wszystko mi o tobie opowiedział. – Wyciągnęła dłoń na powitanie, choć widziała, że trzymam na rękach dwadzieścia pięć kilo żywej masy, czyli buldoga w kraciastym zimowym ubranku. – Jestem Sylvie.

Przywarłam do George'a jak do tarczy, opierając go sobie o biodro, żebym mogła wysunąć rękę spod jego ogromnego zadka.

– Cześć – powiedziałam, trochę zła na Leo. – Witamy w naszym budynku...?

Nie chciałam, żeby to zabrzmiało jak pytanie, ale zdradziła mnie zmiana intonacji.

W orzechowych oczach Sylvie zaigrały iskierki rozbawienia.

– A co to za przystojniak? – Pogłaskała mojego pupila po głowie wierzchem palców, a on uśmiechnął się do niej głupkowato i wystawił język, który potem zawisnął mu z boku pyska.

– Yyy, to mój pies George. – Skrzywiłam się. Przecież widać, że jest psem.

– Fajnie cię poznać, George – powiedziała nieco przesłodzonym głosem, którym ludzie zwracają się tylko do zwierząt i małych dzieci. – Ciebie również, Clover. I chętnie poznam cię bliżej!

Oszołomiona zdobyłam się jedynie na nieznaczny uśmiech. Sylvie przypominała pszczołę chaotycznie bzyzącą wokół mojej głowy. Może jeśli będę stać nieruchomo i ją ignorować, sama odleci, pomyślałam. Ale niezręczna cisza, która między nami zapadła, najwyraźniej nie przeszkadzała mojej nowej sąsiadce, a na jej twarzy wciąż malowało się lekkie rozbawienie.

– Cóż, widzę, że wybieracie się właśnie na spacer, więc nie chcę was zatrzymywać – oznajmiła, grzebiąc w kieszeni płaszcza. – I tak zaraz wystygnie mi pho.

– Miło było cię poznać – wydukałam i szybko pokonałam pozostałe stopnie. – Dobrej nocy!

– Nawzajem! Ach, Clover... – Sylvie zaczęła szukać klucza wśród innych przyczepionych do breloka.

– Wybierzmy się kiedyś na kawę!

– Och, okej. Jasne.

Nie oglądając się za siebie, szłam różnym krokiem, aż George znalazł jakieś miejsce, gdzie mógł przycupnąć. Lęk ścisnął mnie za gardło. Znajoma trasa, którą przemierzałam już tysiące razy, nagle wydała mi się zupełnie obca – światło latarni niemal oślepiało, a pęknięcia w chodniku były bardziej zdradzieckie. Pobiegałam w kierunku biblioteki; pędziłam przed siebie, wciąż odmawiając George'owi prawa do zatrzymania się i obwąchania tego czy innego miejsca.

Poczułam się jak w potrzasku. Ogarnęła mnie złość na samą siebie, że nie potrafię wymyślić na poczekaniu żadnej wymówki. Z nerwów zbyt szybko przystałam na zaproszenie Sylvie. Po wspólnie wypitej kawie nie sposób już wrócić do kurtuazyjnego witania się skinieniem głowy na schodach. A im częściej rozmawiało się z tą osobą, tym więcej dawało się jej powodów do tego, żeby w końcu mogła cię odtrącić.

Popełniłam ten błąd z Angellą, Australijką, która dwa lata temu mieszkała w tym samym lokalu na

pierwszym piętrze. Kilka tygodni po przeprowadzce zaproponowała, żebyśmy wybrały się do pobliskiej herbaciarni, którą dopiero co otworzyli. Zdziwiłam się, ale też zrobiło mi się miło, co więcej, nawet się lekko podekscytowałam na myśl o tym, że zaprzyjaźnię się z inną dorosłą osobą niż Leo. Kiedy obie sączyłyśmy matcha latte, uznałam, że nasze towarzyskie spotkanie idzie całkiem nieźle. Nie byłam zbyt zestresowana i nawet kilka razy udało mi się ją rozśmieszyć. Kiedy jednak wyznałam, czym się zajmuję zawodowo – czyli że w gruncie rzeczy siedzę i patrzę, jak ludzie umierają – rozmowa nagle przestała się kleić. Ni stąd, ni zowąd Angela przypomniała sobie, że ma coś do załatwienia, i wybiegła z herbaciarni, choć nie dopiła herbaty. A potem przez cały rok, kiedy mieszkała w naszym budynku, zamieniła ze mną może raptem dwa słowa.

Teraz wiedziałam już, jak rozpoznać tę reakcję. Od tamtej pory doświadczyłam jej nieraz, ilekroć wspominałam o swojej pracy. Ludzie nagle tężeli albo uciekali gdzieś wzrokiem. I o dziwo nigdy nie mieli czasu na rozmowę. Zupełnie jakby sama moja obecność mogła przyśpieszyć ich odejście w zaświaty.

Tym razem nie zamierzałam dać się złapać w tę pułapkę. Bezpieczniej odtrącić Sylvie, zanim ona odtrąci mnie.

Dziadku, czemu umieramy?

Kiedy o to spytałam, miałam sześć lat i siedziałam naprzeciwko dziadka w barze, kilka przecznic od naszego mieszkania. W ciągu miesiąca, odkąd zabrał mnie do siebie, jego stały lokal, w którym co weekend jadał śniadania, siłą rzeczy stał się też moim stałym lokalem. On zwykle zamawiał zapiekankę z mieloną wołowiną, ja prosiłam o tosty francuskie.

– To bardzo dojrzałe pytanie jak na tak małą dziewczynkę – stwierdził. – Ale też bardzo dobre.

Zanurzył łyżeczkę w czarnej kawie i zadumał się, mieszając. Przez ostatnie tygodnie tyle razy patrzyłam, jak to robi, że zaczęłam się już zastanawiać, czy na dnie kubka kawy leżą odpowiedzi na wszystkie trudne pytania. Wreszcie uniósł łyżeczkę i uderzył nią trzykrotnie – zawsze trzykrotnie – o ściankę kubka z lewej strony.

– Widzisz, Clover, każdego dnia rodzi się tylu ludzi, że nie starcza nam już miejsca ani zasobów na tej planecie. To znaczy, że jedni muszą umrzeć, żeby inni mogli przyjść na świat.

Zamyśliłam się nad tym, układając na talerzu uśmiechniętą buźkę z borówek.

– A nie moglibyśmy się po prostu przenieść na inną planetę? Na przykład na Jowisza? Albo na Neptuna? One mają pierścienie, więc pewnie jest tam też dużo wolnego miejsca. Tylko że trzeba by było polecieć tam rakieta.

Dziadek podrapał się po kilkudniowym zarostie pokrywającym brodę, wydając przy tym znajomy odgłos, który działał na mnie kojąco.

– Może kiedyś zamieszkamy na odległych planetach, ale jeszcze nie wykombinowaliśmy, jak to zrobić.

Wysunął spod stołu długą nogę i wyprostował ją z wyraźną ulgą. Ciasny boks dodatkowo podkreślał imponujący wzrost dziadka, z kolei moje sześciolatnie ciało wydawało się w nim jeszcze mniejsze. Z boku wyglądaliśmy pewnie jak znak zapytania siedzący naprzeciwko przecinka.

– Któregoś dnia – kontynuował – nasze organizmy tak się zestarzeją, że przestaną działać, jak należy.

– Wskazał na swoją siwiejącą głowę. – Kiedyś miałem takie same włosy jak ty. A moje dłonie były równie gładkie jak twoje. Ale z wiekiem ciało nie jest już takie jak dawniej.

Zmarszczyłam czoło, po czym uniosłam brwi z troską.

– Czy ty umierasz, dziadku?

Sięgnął po łyżeczkę i znów zaczął mieszać w kubku.

– Zasadniczo tak. – Puk, puk, puk. – Tak jak wszyscy.

Wziął promocyjne pudełko zapalek leżące obok przypraw. Wyjął patyczek z zieloną główką, potarł nim o draskę i nagle błysnął małeńki płomień. Podczas gdy ogień pełził ku jego palcom, patrzyłam, jak prosta jasnożółta zapalka odkształca się i czernieje.

Wystarczył jeden szybki ruch nadgarstka i płomień zamienił się w smużkę dymu.

– Nie powinieneś bawić się zapalkami, dziadku. – Z dumą powtórzyłam radę, którą niedawno usłyszałam od nauczycieli w nowej szkole.

W kącikach ust zagrał mu uśmiech.

– Masz rację, Clover. Ale tym razem zrobimy wyjątek, żeby zgłębić twoje pytanie. Zgodna?

Zakręciłam słomką w soku, rozważając propozycję.

– Okej. Tylko obiecaj, że będziesz bardzo, ale to bardzo ostrożny.

– Obiecuję – oznajmił uroczyście. – Wyobraźmy sobie zatem, że każda z tych zapalek reprezentuje ludzkie życie.

Odsunęłam od siebie talerz i oparłam łokcie na stole, a brodę na dłoniach.

– W teorii – ciągnął dziadek – każda z tych zapalek powinna płonąć tyle samo czasu, prawda?

– Tak.

– Ale zdarza się, że zapalasz zapalkę, a ona natychmiast gaśnie. Kiedy indziej przestaje płonąć w połowie.

– Albo się łamie, kiedy próbujesz ją zapalić.

– Otóż to! – Aprobata dziadka była dla mnie prawie jak nagroda. – Więc nawet jeśli z pozoru wydają się takie same, w rzeczywistości każda jest unikalna. Czasem okazuje się nie dość wytrzymała sama w sobie

z powodów, których nie widać gołym okiem. Ale mogą na nią wpłynąć także czynniki zewnętrzne, na przykład to, jak mocno potrzemy siarką o draskę albo jak wilgotne jest powietrze, albo to, czy w chwili, gdy chcemy ją zapalić, wieje silny wiatr. Wszystkie te rzeczy mogą oddziaływać na długość palenia się zapałki.

Winyłowe siedzisko zaskrzypiało pod moim ciężarem, kiedy się poruszyłam zniecierpliwiona.

– Tylko jaki to ma związek z umieraniem?

Dziadek teatralnym gestem zapalił kolejną zapałkę, a ta, jakby na potwierdzenie jego słów, od razu zgasła.

– Cóż, moja droga, tak samo jak w przypadku zapałki nie wiemy, jak długo będzie płonąć, dopóki jej nie zapalimy, nie wiemy też, ile potrwa nasze życie, dopóki go nie przeżyjemy. A często zależy to od czynników, na które nie mamy wpływu.

– Więc kto decyduje o tym, kiedy umieramy? Mama i tata nie byli tak starzy jak ty. Dlaczego oni umarli?

Patrzyłam, jak pierś dziadka powoli unosi się i opada. Wewnętrzne kąciki jego oczu zalśniły, jakby rozbłysły tam małe diamenty.

Wzruszył bezradnie ramionami.

– Niestety to jedno z wielu ważnych pytań, na które nie znamy odpowiedzi.

– W takim razie – podjęłam, dziabiąc tost widelcem – przed nami sporo roboty, no nie?

Siedząc z pełnym żołądkiem przed pustym talerzem, patrzyłam, jak dziadek przygląda się niechlujnemu pismu na naszym rachunku. Uprzejmie dał znak dłonią tyczkowatemu piegusowi z ulizanymi włosami, który nas obsługiwał.

– Przepraszam. – Podniósł świstek. – Nie chcę przeszkadzać, ale wygląda na to, że zapomniał nam pan policzyć za sok pomarańczowy wnuczki.

Zdziwiony tak uprzejmym zwróceniem uwagi młody kelner spojrzał na rachunek, po czym lekceważąco machnął ręką.

– Och, nie ma sprawy. Powiedzmy, że to na koszt lokalu.

Dziadek wyjął swój klips z pieniędzmi i spojrzał chłopakowi w oczy.

– To bardzo miłe, ale jeśli pan pozwoli, wolałbym zapłacić.

Kelner zmarszczył brwi, potem wzruszył ramionami.

– Jak pan chce. To będą dwa dolary więcej.

Dziadek wyjął kilka banknotów i położył je równo na rachunku. Chowając pieniądze do kieszeni na piersi, pochwycił moje spojrzenie.

– Zawsze warto być uczciwym, Clover. Nawet jeśli nikt tego od ciebie nie wymaga.

Kiedy wyszliśmy na chodnik i staliśmy tam ramię w ramię, musiałam wysoko zadrzeć głowę, żeby na niego popatrzeć, zupełnie jakbym próbowała dojrzeć szczyt wieżowca. Swoją dziecięcą rączką zdołałam objąć tylko dwa jego długie palce; trzymałam je posłusznie, czekając, aż będziemy mogli przejść przez ulicę. Tosty francuskie były super, ale drugą część naszego nowego niedzielnego rytuału lubiłam jeszcze bardziej.

Ilekcję przekraczaliśmy próg księgarni, nasze przybycie zawsze obwieszczał mały blaszany dzwonek nad podwójnymi czerwonymi drzwiami. Jego dźwięczne, dzyń, dzyń przypominało mi Boże Narodzenie – cóż, przynajmniej to filmowe, ponieważ rodzice nigdy nie obchodzili tych świąt. Kiedy ich o to pytałam, mówili, że czczenie kogoś, w kogo się nie wierzy, zakrawa na obłudę. Nie byłam pewna, czy mają na myśli Świętego Mikołaja czy Dzieciątko Jezus.

– Witaj, Patricku! Cześć, Clover!

Panna Bessie, właścicielka księgarni, balansowała w szpilkach na stołku, układając na najwyższej półce cały zastęp kryminałów. W obcisłej poliestrowej sukience jej bujne piersi wyglądały tak, jakby spoczywały na dwóch dmuchanych kołach do pływania. Byłam ciekawa, czy dzięki temu biustowi lepiej utrzymywała się na wodzie, kiedy odpoczywała na plaży.

Dziadek uchylił kapelusza.

– Dzień dobry, Bessie. Miło cię widzieć.

Podał jej rękę i pomógł zejść ze stołka.

– Dzień dobry, panno Bessie – dodałam nieśmiało zza pleców dziadka.

Kobieta posłała mi promienny uśmiech.

– Kochana, ale masz szczęście. W tym tygodniu przysłała dostawa pięknych książek dla dzieci.

– Wyciągnęła do mnie dłoń. – Chcesz zobaczyć?

Dziadek uśmiechnął się z wdzięcznością do panny Bessie, po czym spojrzał na mnie.

– No śmiało. – Poklepał mnie czule po głowie. – Ale pamiętaj: możesz wziąć tylko jedną książkę, więc wybierz mądrze.

Poczułam na barkach brzemień jego dramatycznej intonacji – tę cotygodniową misję traktowałam bardzo poważnie. O tyle dobrze, że nie musiałam się śpieszyć z podjęciem decyzji, bo dziadek zawsze spędzał całe wieki w dziale z literaturą faktu, wybierając coś dla siebie. On w końcu też miał limit na jedną książkę.

Kiedy skręciłyśmy za róg do kolorowego kącika dla dzieci, panna Bessie sięgnęła za doniczkę z roślinką i wyjęła stamtąd miskę pełną słodczy. Wyciągnęła ją w moją stronę i przyłożyła palec wskazujący do ust.

– Ciii – szepnęła. – Możesz wziąć dwie sztuki, tylko nie mów dziadkowi.

Gapiąc się na słodkości, byłam rozdarta – miałam ochotę zarówno na czekoladki Hershey's, jak i na lizaka. W zasadzie dziadek nie zabronił mi wziąć dwóch sztuk, ale panna Bessie zachowywała się tak, jakby to była jakaś wielka tajemnica. Z namysłem zakołysałam się na piętach.

– Dziękuję. – Uniosłam głowę i spojrzałam pannie Bessie w oczy. – Ale wezmę tylko jednego cukierka.

Godzinę później byliśmy już w drodze do domu, każde z nas z wybraną lekturą pod pachą – dziadek z grubą biografią Ludwika Pasteura, ja z kompleksowym przewodnikiem po mistycznej wiosce gnomów. Dobrze wiedziałam, jak spędzimy resztę popołudnia. Dziadek zasiądzie w sztruksowym fotelu, ja umoszczę się na worku do siedzenia u jego stóp i razem uciekniemy do różnych światów ukrytych między stronami naszych książek, przy czym on od czasu do czasu poklepie mnie po głowie, żeby się upewnić, że wciąż tam jestem.

Przyśpieszyłam kroku, żebyśmy dotarli na miejsce jak najszybciej. Jak na zimę było wyjątkowo ciepło, więc sporo ludzi zapełniało chodniki w West Village. Idąc w ślad za dziadkiem i lawirując między obcymi parami nóg, przyglądałam się mijającym nas zabieganym przechodniom i wyobrażałam sobie każdą osobę jako częściowo spaloną zapalkę.

Gdy spojrzałam na górującego nade mną dziadka, poczułam w żołądku lekkie ukłucie paniki. Ciekawe, jak długo on jeszcze będzie się palił.

Zawsze miałam najlepsze zamiary, żeby od razu odkładać wyprane rzeczy na miejsce, ale te plany zwykle rozwiewały się gdzieś między pralnią a moimi wejściowymi drzwiami. Dlatego też przez ostatni tydzień kosz z praniem stał przed szafą, gotowy do rozładunku. Lola i Lionel zwyczajowo umościли się na czystych ubraniach, dbając o to, żebym nadal była kobietą, której strój nie jest kompletny, jeśli nie pokrywa go kocia sierść.

Kiedy próbowałam wydobyć bluzę spomiędzy mruczków, w lustrze na drzwiach szafy mignęło mi moje odbicie. Rzadko przyglądałam się swojej twarzy, więc teraz czułam się trochę tak, jakbym przypadkiem wpadła na kogoś, kogo nie widziałam od miesiący. Zawsze się zastanawiałam, czy starość zakrada się powoli, czy człowiek po prostu budzi się któregoś dnia i już wygląda staro. Na razie udało mi się uniknąć wyraźnych oznak upływu czasu – te dwie zmarszczki na czole pojawiły się tuż po dwudziestce, a poza tym miałam tylko kilka siwych włosów. Przynęłam się bliżej, tak że lustro zaparowało od mojego oddechu, i zmrużyłam oczy, żeby zobaczyć, jak bym wyglądała z kurzymi łapkami. Może dystygowanie. A może jak mizerotka. Nie żeby to miało jakieś znaczenie – z wyjątkiem Leo pewnie nikt by nie zauważył, że posunęłam się w latach.

Przeniosłam wzrok na zdjęcie w rogu lustra. Przedstawiało moich rodziców – stali w drzwiach domu, który dla mnie istniał tylko w postaci strzępków sensorycznych doznań. Pamiętałam na przykład szorstką fakturę chodnika na schodach, który drapał mnie w bosc stopy, korzenny zapach wilgotnych żywoptotów przed oknem mojej sypialni czy też ciche terkotanie sufitowego wentylatora, który młócił powietrze jak wirnik śmigłowca. Dziadek dał mi to zdjęcie wkrótce po tym, jak z nim zamieszkałam. Kilka zachowanych przeze mnie wspomnień po rodzicach było właściwie zlepkiem tego, co wydarzyło się naprawdę i co sama sobie dopowiedziałam, przez tyle lat wpatrując się w tę samą fotografię. Wyobrażałam sobie, że ten uśmiezek na twarzy taty to oznaka jego buntowniczego ducha, z kolei jaskrawoczerwona szminka na ustach mamy świadczy o jej szyku. A to, jak się trzymają za ręce – palce splecione w ciasnym uścisku – dowodzi ich wielkiej obopólnej miłości.

Wiedziałam na pewno, że tata był prawnikiem. Lubiałam myśleć, że walczył o prawa człowieka, ale chyba zajmował się spółkami. Poza tym często wyjeżdżał za granicę. Mama z kolei była dość znaną baletnicą. Z tego, co w ciągu wielu lat zdradził mi dziadek, moje niespodziewane przyjsie na świat zastopowało jej karierę, rozwiewając nadzieję na to, że z tancerki zespołowej awansuje na solistkę. Pewnie dlatego wołała towarzyszyć tacie w jego zagranicznych podróżach zamiast spędzać czas ze mną.

Poza tym rodzice stanowili dla mnie zagadkę. Patrząc na to zdjęcie, zastanawiałam się głównie, czy powinnam za nimi bardziej tęsknić.

Kiedy wróciłam do salonu, prawie zwymiotowałam przez unoszący się tam zapach – zastały fetor kociego żwirku konkurował ze stęchlizną wiekowych przedmiotów, które należały do dziadka. Ciekawe, jak długo już tu tak śmierdziało. Tak bardzo przywykłam do tego zapachu, że nie zwracałam na niego uwagi do momentu, aż stał się nie do zniesienia.

Kiedy otworzyłam okno, odpadły płatki złuszczonej farby liczącej kilkadziesiąt lat. Lekki podmuch wiatru rozproszył zatęchłe powietrze. Zapaliłam kadzidełko i czekałam, aż płomień przeskoczy na kolejne. Wołałam korzenno-drzewny zapach palo santo, ale uznałam, że to nie w porządku używać go w charakterze zwykłego odświeżacza, skoro stanowi tak ważne narzędzie w rytuałach umierania. Część swoich studenckich wakacji spędziłam w peruwiańskich Andach, gdzie u boku szamana studiowałam tradycje Inków związane ze śmiercią. Najbardziej podobało mi się to, że czasem chowali zmarłych w pozycji embrionalnej, żeby niejako zwiększyć ich szanse na odrodzenie się w nowym życiu. Ta idea przygotowywania kogoś do wędrówki zamiast zwykłego żegnania się z nim, była naprawdę cudowna.

Zapach palo santo zawsze przywoływał wspomnienia z tamtych czasów. To uczucie, kiedy stało się na wysokiej górze ponad chmurami, wydawało się wręcz surrealistyczne, zupełnie jakby człowiek przekraczał granicę między światem realnym a duchowym. Od tamtej pory ilekroć na prośbę konającej osoby odprawiałam rytuał okadzania, odnajdywałam w nim ukojenie. Sam rytuał polegał na usuwaniu negatywnej energii za pomocą wiązek zapalanej szalwii albo właśnie palo santo, a ja zgłębiłam wystarczająco dużo religii i obrządków, żeby uwierzyć w istnienie takiej niewidzialnej energii krążącej w każdym z nas. I nawet jeśli to oczyszczanie działało tylko na zasadzie placebo, mogłam osobiście zaświadczyć, że daje ludziom nadzieję

i poczucie nowego początku.

A przynajmniej pozwala im odejść w spokoju.

Włożyłam rozżarzone kadzidełko do glinianego kubeczka i patrzyłam, jak dym wije się ku otwartemu oknu niczym wąż ku swojemu zaklinaczowi. Z ulicy jak zwykle dobiegał jazgot syren, zbyt czułych alarmów samochodowych i hałaśliwych rozmów. Te odgłosy tła w gruncie rzeczy nigdy mi nie przeszkadzały – raczej dotrzymywały towarzystwa. Lecz nagle przez miejski zgiełk przedarł się znacznie mniej typowy dźwięk dzwoniącego telefonu.

Kiedy wydobyłam go spod brzucha George'a, na wyświetlaczu zobaczyłam numer szpitala w Upper East Side.

Nowe zlecenie.

W ciągu godziny siedziałam już w pociągu linii 6 – której nie znosiłam tylko odrobinę mniej niż linii R – terkoczącym w kierunku przedmieść. Na ogół robiłam sobie przynajmniej dwutygodniową przerwę między zleceniami. Przyjęłam tę luźną zasadę, gdy przed kilkoma laty doświadczyłam okropnego wypalenia. Ale to wcale nie przebywanie z umierającymi tak mnie przytłoczyło, tylko ciężar służenia im za opokę, kiedy wszyscy wokół – na ogół pogrążeni w smutku członkowie rodziny – byli w emocjonalnej rozsypce.

Jednak w przypadku tego zlecenia moje zadanie najpewniej nie trwałoby dłużej niż dzień. Pielęgniarka, z którą rozmawiałam przez telefon, wyjaśniła, że pacjentka – dwudziestosześcioletnia bezdomna kobieta o imieniu Abigail – została znaleziona nieprzytomna przy bankomacie w Midtown w ostatnim stadium niewydolności wątroby. Do tego stanu zapewne przyczyniła się marskość narządu... i cała butelka dżinu, którą spożyła. Chociaż Abigail odzyskała świadomość i mówiła, prognozy nie brzmiały zbyt optymistycznie. Jej rodzice byli już w drodze z Idaho, choć raczej nie mieli szans dotrzeć na czas.

Nikt by mi za to nie zapłacił, ale nie mogłam pozwolić, żeby Abigail umarła w samotności. W podobnych sytuacjach po prostu służyłam swoją obecnością. W przepelnionych szpitalach zwykle brakowało personelu, więc pielęgniarka nie dałaby rady czuwać na okrągło przy jednej pacjentce. Dlatego zaczęto korzystać z pomocy wolontariuszy – w tym doul śmierci, aby zapewnić komfort psychiczny tym, którzy nie mieli nikogo. A nawet tym, którzy nie byli całkiem sami. Niestety śmierć nie zawsze przebiega tak spokojnie, jak w filmach – często jest to długi i bardzo nieprzyjemny proces. Sensoryczny chaos funkcji organów, które przestają spełniać swoje zadanie albo działać, jak należy. Ciężki oddech. Panika na twarzy osób kurczowo trzymających się resztek życia, jakie im pozostały. Czasem członkowie rodziny odwracają wzrok albo wybiegają z pokoju, żeby ta okropna scena nie utrwaliła się w ich świadomości jako ostatnie wspomnienie ukochanej osoby.

Dlatego tak ważna jest obecność kogoś takiego jak ja. Kogoś, kto nie odwróci wzroku bez względu na to, jak wstrząsający będzie widok, który zobaczy.

Abigail spała, kiedy zjawiłam się przy jej łóżku w wydzielonej wąskiej części oddziału szpitalnego. Pomijając charakterystyczne żółte zabarwienie skóry i półkoliste cienie pod oczami, wcale nie wyglądała, jakby była bliska śmierci. Ale ja wiedziałam, jak dobrze ludzkie ciało potrafi ukrywać wewnętrzny tumult – aparatura, do której była podłączona, mówiła mi coś bardziej przygnębiającego.

Usiadłam na twardym krześle z ekoskóry stojącym przy łóżku, sięgnęłam do pękatej torby i wyjęłam książkę. Lubiłam przychodzić zaopatrzona w rzeczy, które być może umilą konającym ich ostatnie chwile. Miałam przy sobie również mały bezprzewodowy głośnik do puszczenia muzyki albo odgłosów przyrody oraz iPada do wyszukiwania zdjęć miejsc, z którymi wiązały się ich najmiłsze wspomnienia, bądź też fragmentów z preferowanych tekstów religijnych. Zabierałam ze sobą także perfumowany balsam do masowania dłoni, papeterię oraz długopis do pisania listów i dokumentowania ostatnich życzeń. Oprócz tego przynosiłam kilka małych świec, które pozwalały stworzyć bardziej intymny nastrój, jak również naturalne kadzidła z szaławii i palo santo. Palenie czegokolwiek w szpitalu jest zabronione, lecz nie cofnęłabym się przed niczym, gdyby chodziło o spełnienie życzenia wypowiedzianego na łożu śmierci. Raz nawet przemyciłam puszkę guinnessa.

Zdażyłam przeczytać trzy rozdziały *Podróży z nim i samotnie* Marthy Gellhorn, gdy usłyszałam, że Abigail się budzi. Na jej twarzy malowała się dezorientacja, która przerodziła się w wyraźny niepokój, kiedy zobaczyła te wszystkie rurki płożące się jak pędy winorośli wzdłuż jej wychudzonych kończyn. Młasnęła językiem o podniebienie, desperacko pragnąc nawilżenia. Wcisnęłam guzik przywołujący pielęgniarkę i sięgnęłam po papierowy kubeczek z wodą, po czym przysunęłam końcówkę słomki do ust pacjentki.

Abigail skrzywiła się, kiedy zaczęła pić.

– Źle ze mną, prawda? – Oczami błagała mnie, żebym zaprzeczyła.

Serce mi się ścisnęło, ale uśmiechnęłam się ze spokojem. Moje zadanie polegało na tym, żeby umilić jej ostatnie godziny, co jednak nie znaczyło, że mam ją okłamywać. Nie było jednak sensu podsycać strachu, więc starałam się mówić jak najogólniej.

– Tak – odparłam, siląc się na spokojny ton. – Ale lekarze naprawdę dobrze się tobą zajmują – zapewniłam. Z tą woskową żółtą cerą wyglądała na znacznie więcej niż dwadzieścia sześć lat. Tak to jest, kiedy ktoś nadużywa alkoholu. – Jestem Clover. Mam ci dotrzymać towarzystwa. Abigail, tak? – Uśmiechnęłam się delikatnie, a ona potwierdziła skinieniem głowy. – Podobno pochodzisz z Idaho. Zawsze chciałam tam pojechać.

Znużony uśmiech obnażył jej równe, lecz zaniedbane zęby.

– Tak, z Sandpoint. – Rozejrzała się. Fluorescencyjne światło jarzeniówek podkreślało każdą plamę na jasnołososiowej zasłonie oddzielającej jej łóżko od pozostałych. – Bardzo tęsknię za domem.

Abigail chyba czuła się na siłach na rozmowę, więc kontynuowałam:

– Co w nim najbardziej kochasz? – Z doświadczenia wiedziałam, że jeśli pomożemy komuś zwizualizować sobie ukochane miejsce, to go uspokoi, pozwoli ucześć się czegoś pokrzepiającego i znajomego. Zwłaszcza jeśli przez dłuższy czas przebywał wyłącznie w sterylnej sali oddzielonej zasłoną.

– Moje rodzinne miasto jest piękne, otoczone górami i położone nad samym jeziorem. – Uśmiech zniknął jej z twarzy. – Ale kiedy byłam nastolatką, wydawało mi się zbyt nudne, więc przyjechałam do Nowego Jorku. Chciałam zostać artystką.

– O, super – powiedziałam, zwracając uwagę na coraz szybsze pikanie kardiomonitora.

Abigail wbiła wzrok w beżowy sufit.

– Było znacznie trudniej, niż myślałam. Chyba nie miałam wystarczająco grubej skóry i to miasto tak jakby mnie pożarło.

To wiele wyjaśniało. Kiedy dyrektor szpitala wreszcie namierzył rodziców Abigail, okazało się, że od pięciu lat nie dostawali żadnych wieści od córki. Zerwała z nimi kontakt po tym, jak próbowali ją nakłonić, żeby poszła na odwyk alkoholowy. Nie mieli pojęcia, że przez rok żyła na ulicy.

– Nowy Jork potrafi dać w kość. – Lekko położyłam dłoń na jej kolanie. Nie każdy lubi być dotykany, więc lepiej podejść do tego ostrożnie i sprawdzić, jak ktoś na to reaguje. – Zawsze miałaś zacięcie artystyczne?

Delikatnie ścisnęła moje palce.

– Właściwie od małego codziennie coś rysowałam albo malowałam. – Mówiła coraz wolniej, walcząc z sennością. – Rodzice twierdzili, że ciągle mazałam kredkami po ścianach i meblach. Podobno traktowałam nasz dom jak jedno wielkie płótno. – Ból stłumił jej śmiech, a twarz przybrała poważny wyraz. – Przyjadą?

Przytaknęłam, starając się zrobić to z przekonaniem, ale bez zbędnej przesady.

– Są już w drodze. Powinni niedługo dotrzeć. Wiem, że nie mogą się doczekać, żeby cię znów zobaczyć i przytulić.

Nadzieja miała magiczną moc uzdrawiania – a przynajmniej pomagała wytrzymać choć odrobinę dłużej. Nie tylko Abigail zależało na tym, żeby po raz ostatni zobaczyć się z rodziną; żywi także potrzebowali czegoś w rodzaju epilogu. Brak możliwości pożegnania się z bliską osobą pozostawiał trwałe emocjonalne blizny. Po trzynastu latach moje wciąż się nie zagoiły, a ja obiecałam sobie, że zrobię wszystko, żeby oszczędzić tego innym.

– To dobrze. – Abigail rozluźniła ramiona. – Wiesz, wiele razy myślałam, żeby do nich zadzwonić i zapytać, czy pozwolą mi wrócić do domu. Mogłam nawet pójść na odwyk. Ostatecznie zrezygnowałam. Pokonał mnie wstyd. – Zatrzepotała rękami i zaczęła szeptać: – Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ich kocham. Potem zrobiło się za późno, żeby im to powiedzieć...

Byłoby lepiej, żeby nie zasypiała, bo istniało ryzyko, że się już nie ocknie. Ale sen zmorzył ją, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Nie poruszyła się nawet na dźwięk plastikowych kółek chroboczących o metal, kiedy pielęgniarka odciągnęła lichą zasłonę.

– Obudziła się i przez chwilę kojarzyła – poinformowałam go, kiedy metodycznie sprawdzał parametry życiowe Abigail. – I wciąż przyjmuje niewielkie ilości płynów.

– Dobrze, że pani tu jest – odparł z ponurą miną.

Rodzice Abigail dotarli chwilę po wpół do drugiej w nocy. Na ich twarzach malowały się ślady zmęczenia po nieplanowanej podróży przez pół kraju, a także dezorientacja, bo oto nagle znaleźli się

w dramatycznej sytuacji w zupełnie obcym mieście.

Przeszłam na drugi koniec łóżka, żeby czuli się możliwie najswobodniej w tym ciasnym kącie. Aparat EKG, do którego podłączono Abigail, pikał miarowo jak metronom wybijający rytm do gorączkowego tempa życia toczącego się za szpitalną zasłoną.

– Abigail opowiadała mi, że uwielbia malować, że pragnęła być artystką. Bardzo państwa kocha i tęskniła za domem. – Moje oczy uśmiechały się mocniej niż usta. W ten sposób mogłam przekazać ciepło i dać pokrzepienie, nie odmawiając nikomu smutku związanego z tym, co się stało.

Rodzice dziewczyny stali w bezruchu, nie mogąc uwierzyć, że dostali tak bolesny cios od losu.

– Mogą państwo do niej mówić, usłyszysz – zachęciłam ich spokojnym tonem. – Słowa miłości zawsze docierają do człowieka, nawet jeśli jest nieprzytomny. – Niestety tak się składało, że często właśnie wtedy były wyrażane po raz pierwszy. – W razie potrzeby jestem na zewnątrz w poczekalni.

Oboje pokiwali głowami, uczepli siebie, jakby byli gałęziami drzew podczas powodzi, które jako jedyne dają szansę, że nie porwie ich fala.

Abigail zasnęła snem wiecznym o szóstej zero cztery.

Była dziewięćdziesiąta ósma. I po raz kolejny moja rola dobiegła końca.

Szaleńczy chaos godzin szczytu i moje wyczerpanie z powodu niewyspania sprawiły, że powrót metrem ze szpitala po odejściu Abigail był jeszcze bardziej nieprzyjemny. Starając się nie zasnąć przy drążku, obserwowałam nastolatkę, która zawzięcie szkicowała coś w notesie. Dziewczyna pracowała nad swoim dziełem w skupieniu podobnym do transu, nie zwracając uwagi ani na zniecierpliwionych pasażerów, ani na wywołujące mdłości kołysanie wagonu.

Nagle poczułam bolesne ukłucie między żebrami. Jedno twórcze życie rozkwita, inne w tym czasie się kończy; w tej kruchości ludzkiego istnienia było coś pięknego.

Kiedy wychodziłam z metra, poranne słońce poraziło blaskiem moje zmęczone oczy. Wydobyłam więc z torby swoją miejską zbroję – okulary przeciwsłoneczne i duże słuchawki redukujące zewnętrzne odgłosy. Kontakt wzrokowy był zaproszeniem do rozmowy, a kiedy przywdziewałam pancerz, tylko najwięksi śmiałkowie – zazwyczaj niemieccy turyści – zdobywali się na odwagę, żeby mnie zagadnąć, najczęściej pytając o drogę. Ale słuchawki miały nie tylko odstraszać; pozwalały też na mentalne wyciszenie. Z reguły niczego nie słuchałam – wystarczyło mi samo poczucie, że jestem odcięta od całej reszty. Kiedy je zakładałam, zamykałam się we własnym świecie i stawałam się bierną obserwatorką tego, co dzieje się wokół.

Podobało mi się to, że miasto porusza się jednocześnie w dwóch różnych tempach. Jedno to powolne powłóczenie nogami, typowe dla zafascynowanych turystów, którzy po raz pierwszy zwiedzali Nowy Jork i chłonęli każdy szczegół ulicznego krajobrazu. Drugie to wprawne rutynowe omijanie i wyprzedzanie tychże turystów, opanowane do perfekcji przez miejscowych pragnących jedynie dotrzeć jak najszybciej z punktu A do punktu B. Miałam wrażenie, jakbym patrzyła na ryby przemykające między kołyszącymi się wodorostami.

Kiedy ruszyłam przed siebie, słońce na chwilę ukryło się za ponurym kłębowiskiem chmur, kreując atmosferę, która bardziej pasowała do mojego nastroju. Choć to po prostu praca, i tak okropnie było patrzeć na dwie osoby umierające w odstępie tygodnia. Zza ciemnych szkieł obserwowałam każdego przechodnia – jego wyraz twarzy, mowę ciała, to, jak obcuje ze światem. Wszyscy zdawali się nieświadomi tego, że są jedynie płonącymi zapalkami, które w każdej chwili mogą niespodziewanie zgasnąć.

Nagle jakby na podkreślenie tych myśli gdzieś z tyłu rozległy się krzyki i pisk opon. Jakiś mężczyzna zapatrzony w telefon wszedł na jezdnię, niemal pod koła furgonetki UPS, i o włos uniknął z nią zderzenia. Jego płomień przez chwilę zadrżał, ale wciąż płonął.

To jeden ze szczęśliwców.

Do mojego mieszkania sączyły się smużki porannego słońca, kiedy usiadłam w ulubionym fotelu dziadka, żeby sporządzić notatki o Abigail. Szałwiowy sztruks miał wytarte brzegi od jego szerokich ramion, a siedzisko było nieco bardziej wgłębione z jednej strony, bo zazwyczaj zakładał nogę na nogę. Elegancko siedział w nim każdego ranka z gazetą, prezentując swój wybór skarpetek na dany dzień, przy czym zawsze były to jakieś z paskami. Para unosząca się znad jego czarnej kawy igrała z promieniami słońca, które zawsze padały w to samo miejsce w salonie.

W dzieciństwie ten fotel wydawał się ogromny, a dziadek wręcz przerysowany. Kiedy jednak po studiach ponownie wprowadziłam się do tego mieszkania, odniosłam wrażenie, że z czasem mebel jakby się skurczył, podobnie zresztą jak dziadek. Jako mężczyzna o wzroście bez mała stu dziewięćdziesięciu centymetrów górował nad resztą świata, i to tak bardzo, że mogło się wydawać, że nieustannie pochyla z szacunkiem głowę. U kresu życia mierzył już bliżej metra osiemdziesięciu.

Rozsiadłam się w fotelu, jakbym się wtulała w jego objęcia, i zamyśliłam się nad tym, co napisać o Abigail. Ludzie na ogół nie zdają sobie sprawy, że właśnie wymawiają swoje ostatnie słowa. Zazwyczaj mówią coś bardzo prozaicznego, na przykład: „Jak tu zimno” albo „Jestem zmęczona”, albo bełkoczą bez sensu jak w delirium. Ale dokumentowałam je mimo wszystko w jednym z trzech notatników, tak gwoździ ścisłości. Później jednak dopisywałam do tych notatek coś przejmującego albo wzruszającego, co powiedziała dana osoba, kiedy się nią zajmowałam. Uznałam bowiem, że to trochę nie fair zapamiętywać kogoś za coś, tylko dlatego, że oświadczył to tuż przed śmiercią.

Ostatnie słowa Abigail, choć wypowiedziane kilka godzin wcześniej, były stałym motywem przewijającym się w notatniku z żalami. Gdybym kiedyś przeanalizowała wszystkie zebrane zapiski pod kątem

statystycznym – któregoś dnia może tak zrobię – okazałoby się pewnie, że najczęściej słyszałam, czego ludzie żałują.

„Żałuję, że nie powiedziałam/nie powiedziałem, jak bardzo go kocham... ją kocham... ich kocham”.

Mieli na myśli rodziców, małżonków, przyjaciół... Różnie, ale niemal za każdym razem żalowali, że byli tak bardzo zajęci innymi sprawami, że traktowali obecność swoich bliskich jak coś oczywistego.

Albo żalowali, że nigdy nie potrafili znaleźć właściwych słów.

Mało słów bardziej naraża człowieka na zranienie niż „kocham cię”. Tak przynajmniej wywnioskowałam z relacji wielu osób – sama nigdy nie wymówiłam ani nie byłam adresatką podobnego wyznania. Moi rodzice niezbyt chętnie wyrażali uczucia w jakiegokolwiek formie. I choć wiedziałam, że dziadek kocha mnie najbardziej na świecie, nigdy nie powiedział tego na głos. O ile mi jednak wiadomo, „kocham cię” to jeden z najtrudniejszych zwrotów do wyartykułowania. Nie chodzi o kłopot z wymową – według mnie pod tym względem wygrywa słowo „synekdocha” – tylko o jego wagę. O to, jak czai się niepewnie na końcu języka, trochę jak dziecko stojące na brzegu basenu, tuż zanim po raz pierwszy wskoczy do wody. Serce podchodzi do gardła, puls wali jak w werbel, a w głowie huczy pytanie: czy już za późno na odwrót?

Muszę przyznać, że to nawet trochę ekscytujące. Z drugiej strony jednak darzenie drugiej osoby miłością oznacza, że kiedyś się ją straci – jeśli nie z powodu odrzucenia czy zdrady, to na pewno wskutek śmierci. Wybierając życie w pojedynkę, człowiek przynajmniej nie ryzykuje, że będzie cierpiał z powodu odejścia kogoś bliskiego. No bo nie można stracić czegoś, czego się nie ma.

Na końcu przecznicy dzwony kościelne obwieściły, że jest ósma rano – tradycyjnie, jak od wielu lat, zabrzmiały trzy minuty za późno. Często rozważałam, czy nie poinformować kogoś o tym opóźnieniu, ale podobała mi się ta niedokładność. Dowodziła, że nie żyjemy jednym, zsynchronizowanym rytmem.

Przez całą noc nie zmrzyłam oka, więc kusiło mnie, żeby od razu położyć się spać. Wiedziałam jednak, że nie powinnam igrać z moim cyklem dobowym. Postanowiłam być aktywna przynajmniej do zmierzchu. Telewizja by mnie tylko uspiła, więc musiałam zająć się czymś, co pozwoli mi zachować czujność.

I dokładnie wiedziałam czym.

Z początku kiedy zaczęłam zapisywać ostatnie słowa umierających, chciałam je po prostu udokumentować, tak jakby uwiecznić życie tych ludzi – bez względu na to, jak bardzo było niedoskonałe i pogmatwane – zwłaszcza jeśli nie mieli nikogo, kto by ich zapamiętał. Jednak od jakichś dwóch lat, ilekroć czułam niepokój, byłam zdołowana albo zwyczajnie tęskniłam za towarzystwem drugiego człowieka, wracałam do tych wpisów i je przeglądałam. Czytając ostatnie wyznania moich podopiecznych, odnosiłam wrażenie, jakby wciąż byli blisko i kierowali mną poprzez mądrość swoich doświadczeń. Skupiając się na nich zamiast na własnej samotności, miałam coś, dla czego warto żyć; coś, co wypełniało mi dni i wyrwało mnie z przygnębienia. Myślałam, że może studiując to, co oni uznawali za najważniejsze, kiedy wspominali całe życie i wreszcie łączyli kropki, ja także odnajdę właściwą drogę. Od czasu do czasu wybierałam więc jakiś wpis z jednego z notatników i kombinowałam, jak przełożyć tę wiedzę na konkretne działania.

W notatniku z radami wyszukiwałam jakąś mądrą wskazówkę i przez najbliższy tydzień starałam się według niej postępować. Niekiedy to było coś banalnie prostego, jak na przykład kupienie sobie świeżych kwiatów, choćby ze sklepu na rogu – ta rada pochodziła od Bruce’a, hydraulika z zamiłowaniem do gardenii. Kiedy indziej chodziło o coś bardziej poruszającego, jak w przypadku Dorothy, psiej fryzjerki z uroczymi dołeczkami w policzkach. Zdradziła mi, że najważniejsza rzecz, jakiej się nauczyła w życiu, to żeby więcej słuchać, a mniej mówić. Takiej introwertyczce jak ja łatwo było się zastosować do tej rady.

Jeśli chodzi o notatnik z wyznaniem, to musiałam się wykazać pewną kreatywnością. Chyba nie do końca wierzę w karmę, ale uznałam, że nie zaszkodzi zrobić czegoś, co wynagodziłoby jakiś niechlubny czyn, do którego przyznał się klient. W przypadku Guillerma mogłabym na przykład zostać wolontariuszką w schronisku dla zwierząt, żeby zadośćuczynić za przypadkową śmierć chomika jego siostry. Był też Ronald, gburowaty księgowy chorujący na raka płuc. Wyznał on, że okradał ulicznych grajków, kiedy ci nie patrzyli. W jego imieniu zawsze miałam przy sobie dziesięciodolarówki, żeby wrzucić je muzykantowi do kapelusza albo do futerału na instrument, gdy tylko na jakiegoś trafię. Starałam się robić to dyskretnie, zawijając dziesiątaka w banknot jednodolarowy, żeby później spotkała tego człowieka miła niespodzianka, kiedy będzie podliczał dzienny utarg.

Z notatnika z żalami wybierałam z kolei coś, co mogłabym jakoś uhonorować – gdyby udało mi się

uniknąć czyjegoś błędu, gdybym wyciągnęła morał z czegoś, czego ktoś inny żałował, wówczas nadałabym temu jakiś sens. A skoro i tak siedziałam już z tym notatnikiem, zamknęłam oczy i pozwoliłam, żeby kartki przesypały mi się między palcami i zatrzymały na losowym wpisie – tak zawsze wydawało mi się najsprawiedliwiej.

Camille Salem.

O tak, świetne trafienie. Radosna kobieta, która najbardziej żałowała tego, że zaczęła jeść mango dopiero po pięćdziesiątce.

– Kiedyś zjadłam jedno w dzieciństwie, ale wydało mi się strasznie oślizgłe. Nie cierpiałam tego – wyznała mi ze smutkiem, leżąc na szpitalnym łóżku. Straciła rzęsy wskutek chemioterapii, ale jej oczy wciąż błyszczały zielenią. – A potem mąż dał mi je ponownie do spróbowania podczas urlopu na Filipinach i niemal dostałam orgazmu, takie było pyszne. Pomyśl tylko, ile mnie ominęło, bo wzdragałam się przed tymi owocami przez pięćdziesiąt lat!

Szczerze mówiąc, nie przepadałam za mango. Wolałam bardziej cierpkie owoce, takie jak maliny. Ale dziś postanowiłam zjechać całe miasto w poszukiwaniu naprawdę smacznego mango. Potem zamierzałam usiąść i rozkoszować się nim, jakby to była najwyborniejsza rzecz na świecie. Już widziałam, jak sok ścieka mi po brodzie, podczas gdy będę celebrować i doceniać każdy mięsisty kęs. Dzięki Camille uchroniłam się przed czymś, czego być może bym pożałowała.

Gdybym tylko równie łatwo mogła uchronić się przed całą resztą.

Dotarcie do „kawiarni śmierci” w Harlemie było nieco kłopotliwe. Kiedy jednak wyłoniłam się z dusznego, obsikanego metra i w półmroku zobaczyłam kamienice z piaskowca, ucieszyłam się, że się tu wybrałam.

Leo urodził się i wychował w Harlemie. Czasem, kiedy jako dziecko zostawałam pod jego opieką, zabierał mnie do swojej ulubionej lodziarni. Albo opowiadał o nielegalnych barach i jazzie, spacerując ze mną wzdłuż szeregowców. Teraz rzadko pojawiał się w tej okolicy – nie mógł znieść widoku zgentyfikowanych ulic, które tak kochał w młodości. Ja jednak lubiłam mu przypominać, że część tych miejsc pozostała w niezmiennym stanie. Kto wie, może w drodze powrotnej kupię mu nawet kubek lodów.

Spotkanie odbywało się w domu kultury. W środku unosił się wyraźny zapach mięty. Do rodziny prowadzącej należała pobliska restauracja ze swojską kuchnią, więc często przy tych okazjach serwowano smażonego kurczaka oraz babeczki – kolejny powód, dla którego zdecydowałam się na tę uciążliwą podróż metrem. Zjawiłam się piętnaście minut przed czasem, żeby dobrać się do bufetu, zanim oblegną go pozostali. Uzbrojona w pełen po brzegi papierowy talerz – tego wieczoru w ramach urozmaicenia zaserwowano też makaron z serem – usadowiłam się na krześle w rogu sali i z większym niż to konieczne skupieniem zaczęłam nabijać jedzenie na plastikowy łyżkowidelec. Zgodnie z przewidywaniami już po chwili wokół bufetu tłoczyło się siedem osób, walcząc ramię w ramię o najlepsze kęsy kurczaka.

Pośrodku pomieszczenia stał długi stół na kozłach z rozstawionymi dookoła dziesięcioma krzesłami. Poza prowadzącym Philem – postawnym mężczyzną, którego pucułowate policzki i życzliwe oczy sprawiały, że wyglądał na wiecznie młodego – nie znałam tam nikogo. Te spotkania na ogół charakteryzowała spora rotacja, ponieważ dla niektórych nieustanne dyskusje o śmierci były zbyt wyczerpujące emocjonalnie. Ponadto według mnie wiele osób przychodziło na nie tylko dla pokrzepiającego jedzenia. Byłam wdzięczna Philowi, że nigdy nie próbował do mnie zagadać, choć mnie kojarzył i wiedział, że przychodzę dość regularnie. Wystarczyło nam jedynie zdawkowe skinienie głową na powitanie. Zajęłam miejsce i wstrzymałam oddech jak w samolocie tuż przed startem, licząc na to, że siedzenie obok mnie pozostanie wolne. Na szczęście starszy pan po mojej drugiej stronie był równie niechętny do wdawania się w przyjazną pogawędkę. Siedzieliśmy w milczeniu, a ja rozważałam w duchu, czy nie poczęstować się jeszcze jednym kawałkiem kurczaka, zanim przystąpimy do prezentacji.

– Clover!

Poczułam mrowienie na karku. Ten entuzjastyczny męski głos mógł należeć do różnych osób, niekoniecznie do tej, której się obawiałam. Zaczęłam się zastanawiać, jak bardzo okazałabym się nieuprzejma, gdybym po prostu to zignorowała. Niestety odpowiedź na to pytanie plasowała się znacznie poniżej mojego najniższego dopuszczalnego progu, jeśli chodzi o złe maniery.

Sebastian, domniemany rekin pogrzebowy/nieruchomościowy/ubezpieczeniowy, właśnie zdejmował szalik, kiedy się odwróciłam, żeby połączyć głos z twarzą. Jego szeroki uśmiech sprawił, że w mojej piersi wezbrał gniew – czyżby krążył po wszystkich „kawiarniach śmierci” w mieście, polując na niczego nieświadome ofiary? Kusiło mnie, żeby go zdemaskować przed całą salą, ale musiałam najpierw zdobyć jakiś dowód na potwierdzenie moich przypuszczeń. Jeśli ktoś, tak jak ja, spędza dużo czasu sam na sam ze swoimi myślami, to zdarza się, że niekiedy zaczynają one szaleć.

– Ze wszystkich „kawiarni śmierci” na świecie... – powiedział, bardzo marnie naśladując Humphreya Bogarta. Akurat pod tym względem uważałam się za ekspertkę, bo *Casablancę* widziałam co najmniej z trzydzieści razy i pewnie mogłabym wyrecytować każdą kwestię słowo w słowo.

Udałam zmieszana.

– Przepraszam... my się znamy?

Wzdrygnął się, ale szeroki uśmiech pozostał na jego twarzy.

– Tak! Poznaliśmy się na podobnym spotkaniu w Bibliotece Nowojorskiej, pamiętasz? – Uśmiech nieco przygasał. – Mówiłaś, że niedawno zmarła ci babcia.

Co za tupet! Gdyby moja babcia naprawdę niedawno umarła, leżałaby teraz w grobie i na pewno nie potrzebowałaby niczego, czym ten koleś handluje. A może tylko grał na zwłokę, próbując wy badać, czy nie mam innych chorych krewnych?

– Proszę, zajmijcie miejsca. – Phil ostentacyjnie popatrzył na moją rozmówcę.

Sebastian przysunął krzesło bliżej stołu; wydawał się bardziej wyluzowany niż podczas naszego pierwszego spotkania. Pewnie dlatego, że znał już zasady gry. A może udawanie zdenerwowanego nowicjusza było częścią jego planu? Kiedy przyszedł czas, żeby się przedstawić, powtórzył tę samą bajeczkę co ostatnio, że w jego rodzinie nigdy nie rozmawiało się o śmierci. Ja również trzymałam się swojej wersji o niedawno zmarłej babci. Sebastian w zasadzie obwieścił to całej sali, więc byłoby dziwne, gdybym o tym nie wspomniała.

Phil bardziej spontanicznie podchodził do formuły spotkania niż inni prowadzący. Nie narzucał nam tematu do rozmowy, tylko dawał wolną rękę.

– No, to chyba pora zaczynać – powiedział lekko świszczącym głosem. – Kto chciałby coś omówić?

Ruda kobieta we wzorzystym, krzykliwym stroju ochoczo podniosła rękę. Niepotrzebnie nią machała, skoro nikt się nie wyrywał. Od początku wiedziałam, że jest zadufana w sobie – można to wyczytać z czyjejś dominującej postawy, z tego, jak opiera łokcie na stole i rozgląda się po zebranych, licząc na nawiązanie kontaktu wzrokowego.

Phil skinął głową w jej stronę, zerknąwszy przelotnie na wydartą kartkę z notesu, którą miał przed sobą. Widziałam, jak podczas wstępnej prezentacji narysował na niej diagram stołu i zapisał imię każdej osoby zgodnie z porządkiem siedzenia.

– Tabitha, zgadza się? – Uniósł wzrok. Rudowłosa energicznie przytaknęła, jakby miała jakiś sekret, który koniecznie musi wyznać. – Tabitho, czym zatem chciałabyś się z nami podzielić?

Kobieta ścisnęła w dłoni wielki różowy kryształ, który zwiślał jej z szyi.

– No więc... – zaczęła, przesuując spojrzeniem po wpatrujących się w nią niepewnie twarzach. – Czy zastanawialiście się kiedyś nad tym, że może każdy z nas ma określoną ilość czasu na tym świecie? Że to, kiedy umrzemy, jest z góry przesądzone? Na pewno znacie te wszystkie historie o ludziach, którzy uniknęli śmierci na przykład podczas katastrofy lotniczej albo kiedy zawałił się budynek, a kilka miesięcy później zginęli w jakimś wypadku. To trochę tak, jakby ich dni były policzone i nic nie mogli na to poradzić.

Choć nigdy bym się do tego nie przyznała, rzeczywistość często przychodziło mi coś takiego do głowy. Przez te wszystkie lata widziałam wystarczająco dużo dziwnych rzeczy, żeby podejrzewać, że każdy ma z góry ustaloną datę śmierci. Kilka lat temu miałam podopiecznego – maklera giełdowego po pięćdziesiątce – który był śmiertelnie chory i dawano mu jakieś trzy miesiące życia. Ku zdumieniu jego lekarzy w pełni wyzdrowiał, ale trzy miesiące później spadł z drabiny, kiedy wymieniał żarówkę w swoim domku nad jeziorem, i zmarł wskutek urazu głowy.

– Ja wierzę, że tak jest – odezwała się krępa dziewczyna z kocim okiem namalowanym eyelinerem, ubrana w wiele warstw czerni. – Według mnie wyrok zapada już w chwili naszych narodzin. – Pochyliła się nad miską makaronu z serem, zniżając głos dla wzmocnienia dramaturgii: – Pytanie tylko, czy gdyby istniała taka możliwość, chcielibyście poznać datę swojej śmierci.

Na sali zapadła cisza. Kiedy wszyscy to przetwarzali, gdzieś w pobliżu zawyła syrena. Muszę przyznać, że tej kwestii nie rozważałam.

Sebastian odezwał się pierwszy.

– Nigdy w życiu – zaprzeczył żarliwie. – Gdybym wiedział, kiedy umrę, obsesyjnie starałbym się zmienić bieg wydarzeń. I pewnie byłbym nieszczęśliwy.

Niestety musiałam się z nim zgodzić.

Tabitha przeszła Sebastiana spojrzeniem.

– Osobiście – zaczęła, bawiąc się kryształowym wisiosem – chyba chciałabym wiedzieć. Mogłabym wtedy ustalić priorytety w życiu. Ty też pewnie lepiej byś spożytkował czas, no nie?

Siedzący u szczytu stołu Phil przytaknął w zamyśleniu.

– Słusznie, Tabitho. Ale przecież to oczywiste, że wszyscy kiedyś umrzemy. Ot, nieuchronna kolej rzeczy. Czy zatem nie powinniśmy i tak żyć pełnią życia?

– Owszem – odezwałam się, zaskakując samą siebie. Kiedy wszyscy skupili wzrok na mnie, natychmiast pożałowałam swojej wyrywności. – Ludzie tuż przed śmiercią z reguły ubolewają nad wieloma rzeczami, bo żyli tak, jakby byli niezniszczalni. O swoim końcu myślą dopiero w ostatniej chwili. Większość z nich nie bierze pod uwagę tego, że śmierć często bywa losowa i okrutna. Nie dba o to, czy byliśmy dobrzy. Ani o to, czy się zdrowo odżywialiśmy, często ćwiczyliśmy i zawsze zapinaliśmy pasy albo zakładaliśmy kask.

Ma gdzieś, że pozostawiona bliska osoba może bez końca odtwarzać w myślach minione wydarzenia i zadrećcać się hipotetycznymi pytaniami w stylu „Co by było, gdyby?”. Ludzie wmawiają sobie, że przed nimi jeszcze mnóstwo czasu, aż tu nagle okazuje się, że są na łasce czyjegoś bezmyślnego zachowania, na przykład rozmawiającego przez telefon kierowcy albo sąsiada, który zostawił w mieszkaniu zapaloną świecę. A wtedy już za późno.

– To trochę jak w tym filmie z Bradem Pittem – wtrącił Sebastian. – W tym, gdzie gra śmierć pod ludzką postacią i przychodzi po Anthony’ego Hopkinsa, ale zakochuje się w jego córce.

Teraz, kiedy wyszło na jaw, że Sebastian zna kolejny z moich ulubionych filmów, zirytowałam się jeszcze bardziej.

Blondyn siedzący obok Tabithy przewrócił oczami.

– Stary, nie wierzę, że obejrzałeś *Joe Blacka* do końca. To trwa ze cztery godziny.

– Dorastałem z trzema siostrami – wyjaśnił Sebastian, wzruszając ramieniem. – I muszę przyznać, że jest całkiem niezły. Świetna ścieżka dźwiękowa, chyba skomponowana przez Thomasa Newmana.

Blondyn pokręcił głową z jeszcze większym rozdrażnieniem i nadział na łyżkowidelec ostatni kawałek smażonego kurczaka.

Phil postukał długopisem o stół.

– Ktoś chciałby jeszcze o czymś porozmawiać? – Celowo unikał wzroku Tabithy, która ewidentnie paliła się do dyskusji i nie miała żadnych skrpułów w związku z tym, że zdominowała całą rozmowę.

Tymczasem poruszono bardziej praktyczne kwestie, na przykład, kto powinien decydować o formie naszego pochówku.

Blondyn stwierdził, że nie chce uroczystego pogrzebu.

– Zamiast tego wypijcie piwo albo zapalcie jointa na moją pamiątkę – ogłosił.

Jak dało się przewidzieć, Tabitha miała odmienne zdanie.

– Pogrzeby nie są dla zmarłych – oznajmiła. – Tylko dla tych, którzy ponieśli stratę, żeby mogli zamknąć pewien rozdział.

Sebastian pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Tak, według mnie to ważne, żeby ludzie pożegnali się z bliskimi. Poza tym po śmierci i tak nie mamy nad tym żadnej kontroli.

Wiedziałam. On pewnie jeszcze by nakłaniał żalobników do kupowania różnych zbędnych rzeczy, choćby ostentacyjnych wieńców pogrzebowych albo idiotycznych pokazów slajdów w PowerPoincie. Z całych sił starałam się trzymać język na wodzy, aż w końcu Phil zakończył spotkanie, zachęcając wszystkich, aby się częstowali pozostałym jedzeniem. Miałam już się rzucić na resztki, kiedy dostrzegłam, że Sebastian rozmawia ze starszym mężczyzną, który siedział obok mnie. Wręczył mu swoją wizytówkę i poklepał go po ramieniu, a ja wręcz nie mogłam uwierzyć, jak bezceremonialnie namierza swój kolejny cel. Zbulwersowana wyrzuciłam talerz do kosza na śmieci i wybiegłam z budynku. Niczego nie tknęłam.

Żeby znowu nikt mnie nie zaczepił przed wejściem, szybkim krokiem ruszyłam w kierunku metra. Trudno, lody dla Leo kupię następnym razem. Ściskając w dłoni kartę miejską, zbiegłam na peron, a kiedy byłam już przy bramce, na widok podjeżdżającego pociągu serce aż mi podskoczyło. Jednym zwinnym ruchem przeciągnęłam kartę przez czytnik i napałam na obrotowe ramię.

Biiip. Na wyświetlaczu pojawił się zielony napis nakazujący, żebym ponownie wczytała kartę.

Poczułam ból w udzie od uderzenia o drążek. Wytarłam pasek magnetyczny o rękaw płaszcza i postąpiłam zgodnie z instrukcjami.

Biiip. To samo.

Ręce zaczęły mi się trząść z frustracji i przyływu adrenaliny, kiedy z wnętrza pociągu dobiegł monotony komunikat: „Proszę odsunąć się od drzwi”.

Raz jeszcze gorączkowo przeciągnęłam kartę przez czytnik, a wyświetlacz ogłosił swój drwiący werdykt: „Karta została już użyta”.

Jeśli przeklinam, to tylko w myślach i wyłącznie okazjonalnie. I właśnie dzisiaj zaistniała taka okoliczność.

Kurwa!

Powinłam się precyzyjnie pod ramieniem bramki i pobiec sprintem w kierunku malejącego otworu w zamykających się drzwiach wagonu, ale zbyt długo się wahałam. Teraz mogłam jedynie patrzeć, jak pociąg

z sykiem opuszcza stację. Tablica informacyjna tylko pogłębiła moje rozczarowanie: do kolejnego odjazdu miałam dziewiętnaście minut. Według zupełnie arbitralnej zasady obowiązującej w nowojorskich środkach komunikacji, przez najbliższe osiemnaście minut nie mogłam ponownie wczytać karty, bo ta została przed chwilą zarejestrowana jako użyta. Udałam się więc do kasy biletowej, ale nikogo w niej nie zastałam – byłam zdana na łaskę pracownika transportu publicznego, który wybrał najmniej odpowiedni moment na zrobienie sobie przerwy.

Kiedy zaczęłam rozważać możliwe rozwiązania, jakiś zaniedbany facet rozpiął rozporek i ulżył sobie w potrzebie przy biletomacie, roztaczając wokół zapach moczu. Spomiędzy jego dłoni wytryskiwała parująca żółta struga, a on tylko przechylił głowę i posłał mi szyderczy uśmiešek.

Wykluczone, żebym tu czekała.

Wspiełam się więc szybko po schodach na poziom ulicy, zastanawiając się, czy nie zainwestować w opaskę fitness do rejestrowania tych wszystkich jakże energicznych ćwiczeń. Fluorescencyjna poświata bijąca od drogerii Duane Reade zachęcała, abym się tam schroniła. I tak musiałam kupić jakieś witaminy, żeby zrekompensować brak warzyw w mojej dotychczasowej diecie. Ruszyłam w stronę sklepu, ustawiając timer w telefonie na piętnaście minut – wystarczająco dużo, aby w porę dotrzeć na stację.

Kiedy przeczesałam wzrokiem półki z całą feerią multiwitamin, z drogeryjnego systemu nagłośnienia sączyła się nosowa ballada w stylu country.

– O, co za spotkanie! – usłyszałam nagle.

Pozwoliłam sobie znów zakląć w myślach.

Sebastian stał obok mnie z rękami wbitymi w kieszenie płaszcza.

– Cześć. – Nawet się nie siliłam na przyjazny ton.

– Pomyślałem, że wstąpię i kupię coś na alergię – wyjaśnił. – Stężenie pyłków w powietrzu bije rekordy, mimo że wciąż mamy zimę.

Czerwonawy odcień skóry wokół jego nozdrzy teoretycznie potwierdzał te słowa, ale nie zaszczyciłam natręta odpowiedzią.

Podjął kolejną próbę.

– Widzę, że robisz zapasy witamin.

Z obawy, że będę musiała znosić jego gadkę, w końcu pękłam.

– Dlaczego mnie śledzisz? – spytałam z irytacją, a przez to też nieco głośniej, niż zamierzałam. – Nie chcę niczego, czym handlujesz!

Ściągnął brwi zmieszany.

– Czym handluję? Co masz na myśli?

– No, usługi pogrzebowe, nieruchomości, ubezpieczenia na życie... Nie wiem, co robisz, żeby oskubać ludzi z pieniędzy, ale widziałam, jak wciskasz tamtemu człowiekowi wizytówkę.

Odstawiłam słoiczek z multiwitaminami z takim impetem, że te stojące obok aż się przewróciły. Oboje łapaliśmy spadającą kaskadę, dając popis nieudolnej żonglerki.

Sebastian wciąż kręcił głową zdezorientowany, kiedy odkładał witaminy na półkę.

– Nie wiem, o czym mówisz... To znaczy, owszem, pracuję w Banku Rezerw, ale opracowuję jedynie modele ekonomiczne. Nie nazwałbym tego oskubywaniem ludzi.

Kiedy się schyliłam, żeby podnieść pozostałe słoiczki, dotarło do mnie, że trochę przesadziłam, tworząc tę oburzającą historyjkę o Sebastianie.

– To czemu ciągle widuję cię w „kawiarniach śmierci”? – spytałam, zbyt dumna, żeby przyznać się do błędu.

Wzruszył ramionami, jakby odpowiedź była oczywista.

– Już mówiłem: nigdy nie miałem okazji porozmawiać o śmierci. Moja rodzina jest trochę zahamowana emocjonalnie i takie tam. Kiedy usłyszałem o takiej inicjatywie, pomyślałem, że to może być dla mnie okazja, żeby się oswoić z tym tematem – powtórzył to samo wyjaśnienie. Na moje policzki wpadł rumieniec wstydu. Sebastian spojrział na buty i zaczął szurać stopą po podłodze. – Ale chyba masz rację. To nie jedyny powód – odezwał się po krótkiej chwili. Pąs zniknął mi z twarzy. A jednak to, co powiedziałam, nie było aż tak irracjonalne. – Coś nas łączy – wyznał wreszcie.

– Ach tak? – Teraz to ja się pogubiłam.

– Chodzi o moją babcię. Kilka tygodni temu dowiedzieliśmy się, że umiera. Nikt z mojej rodziny nie chce jednak o tym mówić, co według mnie jest niedorzeczne.

Po raz drugi tego wieczoru niechętnie się z nim zgodziłam – milczenie na temat czyjejś śmierci niczego nie ułatwia. Zdobyłam się na odrobinę współczucia.

– Przykro mi to słyszeć. Na pewno jest ci ciężko.

Odniosłam wrażenie, jakby wyrzuty sumienia, które mnie ogarnęły, bo niesłusznie posądziłam go o najgorsze intencje, wpłynęły na zmianę jego wizerunku. Ta fasada mola książkowego – tworzona przez okulary, szalik – nagle wydała mi się całkiem urocza.

– To prawda. – Spojrzał na mnie z nadzieją. – Ale wiem, że mnie rozumiesz, skoro też straciłaś babcię.

Wyrzuty sumienia nieprzerwanie ścisnęły mi żołądek. Okazało się, że z nas dwojga to ja jestem tą nieuczciwą.

– Cóż, yyy...

– W każdym razie – wszedł mi w słowo – naprawdę przepraszam, jeśli to wyglądało tak, jakbym cię śledził. Po prostu pomyślałem, że dobrze by było porozmawiać z kimś, kto przeszedł przez to samo. A że dziś na ciebie wpadłem, to czysty przypadek. Miła niespodzianka. Mieszkam w Upper West, więc do tej „kawiarni śmierci” mam całkiem blisko.

Bycie nieuczciwą to jedno, ale zwodzenie kogoś, kto jest pogrążony w smutku z powodu bliskiej osoby, zakrawa na zwykłe okrucieństwo.

Nabrałam powoli powietrza.

– Właściwie... moja babcia nie umarła. To znaczy, owszem, umarła, jedna i druga, ale jeszcze zanim się urodziłam, więc nigdy ich nie poznałam.

– Och. – Sebastian potarł brodę. – To czemu skłamałaś?

– Bo nie chcę mówić o tym, jak zarabiam na życie.

– A co to ma do „kawiarni śmierci”? Na tych spotkaniach i tak nikt nie opowiada o pracy.

– No tylko że śmierć to tak jakby moja praca.

– Jesteś płatną zabójczynią? – Nerwowy ton zdradzał, że Sebastian tylko po części żartuje.

– Nie, jestem doułą śmierci.

– Kim? Wow, nigdy nie słyszałem o takiej profesji. Brzmi złowieszczo.

Słumiłam targające mną emocje: wstyd, że dałam się ponieść fantazji i przyłapać na kłamstwie, współczucie dla Sebastiana i jego umierającej babci, a także zdenerwowanie faktem, że przystojny facet w moim wieku nie dość, że nie ignoruje mojej obecności, to jeszcze uważnie mi się przygląda. Z trudem próbowałam sklecić spójne zdanie.

Z opresji wybawił mnie dźwięk timera w telefonie.

– Muszę lecieć. – Powoli odstawiłam na półkę ostatni słoiczek witamin, żeby nie spowodować kolejnej lawiny. – Miłego wieczoru! – rzuciłam szybko.

– Czekaj, może...

Zanim zdążył dokończyć, zniknęłam już za przesuwными drzwiami.

Po tygodniu, w ciągu którego niebo nad miastem nieustannie spowijała bawełniana szarość, w końcu powitał mnie bezkresny czysty błękit. Stałam akurat na chodniku przy Siódmej Alei i czekałam, żeby przejść przez ulicę. Byłam wdzięczna za ten przebłysk słońca – niedziele bez dziadka wciąż wydawały się pochmurne. Po jego śmierci przez kilka miesięcy nie mogłam się zmusić, żeby wstąpić do naszego baru. Ani do księgarni. Kontynuowanie wspólnej cotygodniowej tradycji boleśnie przypominało mi o tym, że byłam na drugim końcu świata, kiedy on potrzebował mnie najbardziej. Że nawet jeśli nie zapobiegłabym jego śmierci, to mogłam przynajmniej spędzić z nim więcej czasu, zanim nadeszła.

Nigdy nie rozumiałam tego typowo zachodniego spaczonego postrzegania smutku jako czegoś wymiernego i skończonego, jako problemu, który można rozwiązać. Osiem miesięcy po pogrzebie lekarz doradził mi, żebym udała się do terapeuty, bo wciąż nie zaakceptowałam faktu, że dziadek odszedł. Już po pierwszym spotkaniu psychiatra zdiagnozował u mnie zaburzenie określane jako „przewlekła żałoba” i zasugerował, żebym zaczęła przyjmować antydepresanty. Okazuje się, że zdaniem większości ekspertów proces przeżywania żałoby nie powinien trwać dłużej niż sześć miesięcy. A jeśli do tego czasu ci nie przejdzie, to z klinicznego punktu widzenia coś jest z tobą nie tak.

Cholera, co?

Założenie, że wrócę do normalnego życia sześć miesięcy po stracie osoby, której egzystencja tak mocno spletała się z moją, wydawało się naprawdę bezduszne. Nie było chwili, kiedy nie tęskniłam za dziadkiem. Właśnie dlatego między innymi

zostałam doułą śmierci. W towarzystwie innych żałobników pogrążonych w smutku, czy to najbliższych osób, czy też samego konającego, który opłakiwał swoje nietrafione życiowe wybory, czułam się bardziej rozumiana.

W końcu uznałam, że kontynuowanie naszych tradycyjnych wypadów do baru i księgarni jest jednym z niewielu sposobów na to, żeby wciąż być blisko dziadka. Dlatego teraz w każdą wolną od pracy niedzielę jadłam śniadanie sama w naszym ulubionym boksie, a potem szłam do księgarni, przy czym jego nieobecność odczuwałam równie wyraźnie jak niegdyś jego obecność. Wprawdzie po przeszło dziesięciu latach ból nie był już tak dotkliwy, ale mój smutek wcale nie zmalął. Po prostu przyjął inną formę.

Z fałszywym poczuciem sytości w żołądku – tosty francuskie wręcz ociekały tłuszczem – okryłam się szczelniej płaszczem i pokonałam pieszo tych kilka przecznic z baru. Trwająca dwadzieścia lat inwazja komercji pozbawiła tę okolicę wielu oryginalnych perełek, ale księgarnia Bessie przetrwała. Jej właścicielka, teraz już po siedemdziesiątce, trzymała się równie nieźle – w pasie znacznie się zaokrągliła, ale uśmiechała się tak samo przyjaźnie, jak zawsze. I wciąż próbowała mnie kusić słodyczami.

– Clover, skarbie! – Bessie wcisnęła się bokiem między dwa regały, żeby jakoś zmieścić w tej wąskiej przestrzeni swoje pokaźne gabaryty. – Za ladą mam tę biografie, na którą czekałaś. Georgii O’Keeffe. Widzę, że jesteś prawdziwą fanką samotnych pionierek!

– Dziękuję, Bessie. – Idea samotnego życia w górach i na pustyni w Nowym Meksyku na pewno do mnie przemawiała. – Tylko się szybko rozejrzę i sprawdzę nowości.

– Proszę bardzo!

Nie potrzebowałam już więcej książek, ale uwielbiałam tego kopa, jaki dawała mi dopamina, ilekroć trafiałam na nowy tytuł, który mogłabym dodać do listy potencjalnych lektur. Dział z książkami naukowymi obeszłam szerokim łukiem, żeby nie wyobrażać sobie wysokiej sylwetki dziadka stojącego między regałami i przeglądającego półki.

Dwóch młodych, trochę niezgrabnych mężczyzn przesuwano wzrokiem po grzbietach tomów między literami E i K. Niższy oparł głowę na ramieniu wyższego i splótł jego mały palec ze swoim małym palcem. Wycofałam się po cichu, żeby nie zakłócać tej intymnej chwili. Każdy z nich wolną ręką zdejmował z półki po jednej książce i czytał szybko notkę na okładce, po czym odkładał powieść na miejsce, nie przerywając uścisku. Od czasu do czasu jeden podawał jakiś tytuł drugiemu, okraszając ten gest uśmiechem i szepcząc: „To powinno ci się spodobać”.

Zazdrościłam im tej bliskości. Tego skarbu, jakim jest obecność kogoś, kto zna twój gust literacki. I ramienia, na którym można oprzeć głowę, przeglądając zasoby księgarni.

Nagle w sercu poczułam ziejącą pustkę i odechciało mi się szukać nowych lektur.

Kiedy wyszłam i skręciłam za róg z biografią Georgii O’Keeffe pod pachą, pomyślałam o jednym z wpisów w moim notatniku z radami, który przeczytałam rano. To były słowa Olive, kartografki o czarująco głośnym śmiechu – wykryto u niej złośliwego czerniaka. Kiedy kazała mi obiecać, że zawsze będę się smarować kremem z filtrem – co też robiłam od tamtej pory – udzieliła mi jeszcze zaskakującej porady.

– Ilekroć przeprowadzałam się do nowego miasta albo zaczynałam nowy związek, zawsze zmieniałam perfumy – wyznała. – W ten sposób gdy tylko poczułam któryś z tych zapachów, cofałam się w przeszłość i przypominałam sobie najlepsze chwile z tamtych czasów. Zatem kiedy zechcesz coś zmienić albo rozpocząć kolejny rozdział w życiu, znajdź zapach, który będzie się z tym wiązał.

Nigdy wcześniej nie używałam perfum. I z całą pewnością nie planowałam przeprowadzki ani nawet nie myślałam o związku. Musiałam jednak przyznać, że zapachy naprawdę pomagają utrwalić wspomnienia – wyraźny korzenny aromat wody po goleniu, której używał dziadek, w mgnieniu oka przenosił mnie do dawnych dni – a sam pomysł wybierania perfum wydał mi się ciekawym sposobem na urozmaicenie mojego dość monotonna życia. Nie zaszkodziło zaopatrzyć się w kilka próbek, żeby ustalić, które nuty zapachowe do mnie pasują.

Kiedy ruszyłam w kierunku najbliższego centrum handlowego, w kieszeni płaszczka poczułam wibrowanie telefonu. Nie znałam tego numeru, ale to nic dziwnego, bo często dzwonił do mnie ktoś obcy w sprawie zlecenia. Schowałam się pod markizą sklepową i wzięłam głęboki wdech. Śmierć nie przerażała mnie tak, jak rozmowa przez telefon. Dlaczego ludzie nie mogą po prostu wysłać mejla?

– Halo, tu Clover.

Chwila ciszy, potem chrząknięcie.

– Yyy, cześć, Clover.

Natychmiast poznałam, czyj to głos.

– Sebastian z tej strony. Ten z „kawiarni śmierci”. – Nerwowy śmiech. – I z witaminowej alejki w Duane Reade.

Mogłam się po prostu rozłączyć, ale powstrzymała mnie ciekawość. Dlaczego miałby do mnie dzwonić po mojej tchórzliwej ucieczce z drogerii? I skąd w ogóle wytrzasnął mój numer?

– Cześć.

– Przepraszam, że cię niepokoję w niedzielę... Pewnie się zastanawiasz, jak cię znalazłem.

– Można tak powiedzieć.

– Przysięgam, że cię nie śledzę. To znaczy, w pewnym sensie... niby faktycznie, ale nie tak, jak myślisz. – Niezręczna cisza. – Wtedy, kiedy wybiegłaś z drogerii, wróciłem do domu i sprawdziłem w internecie, czym dokładnie zajmuje się doula śmierci. A im więcej o tym czytałem, tym bardziej się przekonywałem do tego, jaka to świetna sprawa.

– Rozumiem. – Muszę przyznać, że jego pochlebstwa nieco mnie obłaskawiły, choć nie były skierowane bezpośrednio pod moim adresem.

– Dotarło do mnie, że właśnie kogoś takiego potrzebuje moja babcia. Myślę, że to by jej bardzo pomogło. – Mówił coraz szybciej, jakby próbował te informacje z siebie wyrzucić, zanim mu przerwę. – Ona chce zostać w domu, więc przez całą dobę ma u boku opiekunkę. Ale przydałby się jej ktoś taki jak ty. Ktoś, kto pomógłby jej... no wiesz, poradzić sobie z tym doświadczeniem. Bo właśnie czymś takim się zajmujesz, prawda?

– Tak jakby – odparłam ostrożnie. – Ale skąd wzięłeś mój numer?

Znowu ten sam niespokojny śmiech.

– Nie było trudno go zdobyć. No bo ile doul śmierci o imieniu Clover może mieszkać w Nowym Jorku? A ja umiem szperać w sieci.

Gromada rozkrzyczanych nastolatków przebiegła obok mnie na chodniku.

– W mieście jest wiele doul śmierci, które mogą pomóc twojej babci – oznajmiłam, starając się nie podnosić głosu. – Mogę ci jakieś polecić.

– Tak, niewykluczone, ale wydaje mi się, że ty byś jej bardzo spodobała.

Upór Sebastiana był już trochę męczący.

– Nic o mnie nie wiesz. A to, co myślałeś, że wiesz, okazało się kłamstwem. – Zaczęła mnie boleć szyja od spinania ramion.

– W każdym razie czy przyjmujesz nowych klientów?

Trudno odrzucić propozycję potencjalnej pracy. Długie przerwy między kolejnymi zleceniami nie służyły mojemu budżetowi, choć żyłam oszczędnie. Doułą śmierci nie zostaje się dla pieniędzy, a ja zwykle dostosowywałam swoją stawkę do możliwości finansowych klientów. Czasem, jak w przypadku Abigail, robiłam to nawet za darmo. Zresztą bez względu na honorarium babcia Sebastiana nie zasługiwała na samotną śmierć.

– Tak... ale teraz chyba jednego już mam. Sprawa nie jest jeszcze potwierdzona. – Nie zwykłam kłamać, ale ilekroć z nim rozmawiałam, przychodziło mi to jakby instynktownie.

– Z chęcią zapłacę więcej niż twoja zwykła stawka. Po prostu podaj kwotę.

– Nie wiesz nawet, czy jestem dobra w tym, co robię.

– Wręcz przeciwnie – oznajmił z drażniącą satysfakcją. – Kiedy szukałem twoich danych kontaktowych, znalazłem w sieci nekrolog, w którym ktoś o tobie wspomniał, dziękując za wsparcie – wyjaśnił. Ciekawe, o kogo mogło chodzić. Rzadko kiedy publicznie okazywano mi uznanie. – Tak się składa – kontynuował Sebastian – że mój znajomy jest pielęgniarem w szpitalu, gdzie ta osoba... no wiesz, zmarła. Popytał tu i tam i wreszcie podał mi twoje nazwisko oraz namiary.

Odebrałam to trochę jak naruszenie prywatności. Ale z drugiej strony, gdyby ktoś inny przedsięwziął te same kroki, żeby się ze mną skontaktować i zaproponować mi pracę, pewnie wcale bym się nad tym nie zastanawiała.

Niezrażony moim milczeniem Sebastian mówił dalej.

– Masz wspaniałe referencje, co, rzecz jasna, wcale mnie nie dziwi. To by dla mnie wiele znaczyło, gdybyś zgodziła się pomóc mojej babci. Chciałbym jej to wszystko jak najbardziej ułatwić.

Jakaś część mnie desperacko pragnęła odmówić. Czułam się nieswojo w towarzystwie Sebastiana, zwłaszcza teraz, kiedy przyłapał mnie na kłamstwie. Postąpiłabym jednak nieetycznie, gdybym odmówiła komuś pomocy, której mogłam udzielić. Poza tym dziadek byłby mną rozczarowany.

Westchnęłam.

– Okej, daj mi chwilę do namysłu. Prześlij mi swojego mejla. Jeśli nie wypali z tym drugim potencjalnym klientem, dostarczę ci wszystkie standardowe dokumenty i zobaczymy, co da się zrobić. – Jeszcze jedno kłamstwo na drogę.

– Świetnie. Już się cieszę na nasze kolejne spotkanie, Clover.

Serce radośnie uderzyło mi w piersi. Nawet jeśli Sebastianowi chodziło tylko o kwestie zawodowe, po raz pierwszy usłyszałam takie słowa od mężczyzny.

Na moje dziewiąte urodziny dziadek sprezentował mi trzy rzeczy: oprawiony w skórę granatowy notatnik, srebrne pióro wieczne i lornetkę. Kiedy siedzieliśmy w barze przed pustymi talerzami, nagle spod stołu wyjął paczkę i przesunął ją po blacie w moim kierunku.

– Wielu szczęśliwych powrotów, kochana.

Umierając z ciekawości – bo zauważyłam, że ściska coś pod pachą, już kiedy wychodziliśmy z mieszkania – niecierpliwie rozerwałam prążkowany papier. Asymetryczne zakładki i duże ilości taśmy klejącej zdradzały, że dziadek pakował podarek własnoręcznie.

– Dzięki inteligencji możesz osiągnąć naprawdę wiele – oświadczył, przyglądając mi się z zadowoleniem. – To samo dotyczy dowcipu i wdzięku. Ale dwie rzeczy przydadzą ci się w życiu bardziej niż inne.

Emfatyczna pauza, którą uczynił, kazała mi oderwać wzrok od skarbów skrywanych przez papier. Dziadek był małomówny, więc wiedziałam, że powinnam słuchać uważnie, kiedy znajdował czas na przekazanie jakiejś mądrości.

– Czyli co?

Z namysłem upił kawę.

– Niepohamowana ciekawość i umiejętność obserwacji.

W końcu spod warstw papieru wydobyłam notes i przesunęłam palcami po gładkiej skórzanej okładce. Był dwukrotnie owinięty paskiem skóry, na nim zaczepiono wieczne pióro. Przez te wszystkie lata widziałam, jak dziadek nosi ze sobą niemal identyczny kajecik, w którym regularnie coś gryzmołi, opisując życie takie, jakim je widział.

A teraz doczekałam się własnego.

– Dziękuję, dziadku! Ale prezenty! Są super. – Podniosłam lornetkę do oczu i rozejrzałam się po obrzeżach baru.

– Drobiazg, skarbie – powiedział. – Ale jest jedno zastrzeżenie.

– Co to znaczy?

– To taki warunek albo jakaś zasada.

– Jaka?

– Kiedy będziesz korzystać z lornetki, nie wolno ci naruszać niczyjej prywatności – oznajmił stanowczym tonem. – Wiem, że w Nowym Jorku wszyscy żyjemy obok siebie. Ale ta bliskość może zachęcać do zagłębiania się w czyjeś życie... albo do zaglądania komuś w okna... w sposób, który się nie godzi. Zatem żadnego szpiegowania sąsiadów, rozumiano?

– Zrozumiano – odparłam równie poważnym tonem, choć w duchu żalowałam, że mu to przyrzekłam. Obserwowanie rozświetlonych okien w kamienicy naprzeciwko, z których każde miało własnych bohaterów i odrębną opowieść, było jednym z moich ulubionych zajęć. A lornetka z pewnością ułatwiłaby mi śledzenie losów tamtejszych lokatorów.

– Zuch dziewczyna! – pochwalił dziadek. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej swój notatnik, po czym pomachał nim kusząco. – Pomyślałem, że moglibyśmy się dziś wybrać na małą wycieczkę. Co ty na to?

Wyprostowałam się gwałtownie, dając wyraz swojemu entuzjazmowi.

– Jasne! Chętnie!

Dziadek zawsze znajdował jakiś pamiętny sposób na uczczenie moich urodzin. Rok wcześniej zabrał mnie do akwarium na Coney Island, a potem na hot dogi i chruściki. A dwa lata wstecz udaliśmy się w poszukiwaniu przygód do opuszczonej stacji metra pod budynkiem ratusza.

– Jeszcze jedno, zanim pójdziemy – dodał, ponownie wsuwając notatnik do kieszeni. Wskazał głową w kierunku kuchni.

Hilda – kelnerka, którą uwielbiałam za jej fikuśne fryzury i równie fascynującą osobowość – zmierzała w naszą stronę, w lewej ręce niosąc coś, co zasłaniała plastikową kartą dań. Kiedy odsunęła menu na bok, moim oczom ukazała się babeczka Red Velvet z płonąca pośrodku pojedynczą świeczką. Jako okazjonalna gwiazda bardzo awangardowych spektakli, Hilda w niezwykle teatralny sposób odśpiewała „Sto lat, niech żyje nam”. Dziadek tymczasem swoim aksamitnym głębokim barytonem, który oszczędzał na specjalne okazje,

postawił kropkę nad i, dodając:

– A nawet dłuuużej.

Po uroczystym śniadaniu usadowiliśmy się z lornetkami na szyi i notatnikami na kolanach w kolejce linii C, która niemrawo telepała się w kierunku Upper West Side.

W ciągu tych trzech lat, odkąd ze sobą zamieszkaliśmy, dzienniki dziadka obudziły we mnie niezaspokojoną ciekawość. Czasem natykałam się na nie pozostawione bez nadzoru – na ogół rozłożone na stoliku obok jego ulubionego fotela. Rozwiązany troczek wabił. Ale opierałam się pokusie, żeby do nich zajrzeć. Cóż było tak dużej wagi, że wymagało równie obszernego dokumentowania? Jako wykładowca biologii na Uniwersytecie Columbia dziadek miał słabość do kategoryzowania różnych rzeczy. Ponieważ jego gabinet stał się moją sypialnią, każde wolne miejsce w mieszkaniu zajmowały teraz jego przybory pedagogiczne. Na półkach w salonie tłoczyły się rzędy słoików z naturalnymi próbkami i okazami. A odkąd nauczyłam się obsługiwać metkownicę, dziadek zwerbował mnie do pomocy w oznaczaniu zawartości każdego nowego nabytku w kolekcji. Powoli dyktował skomplikowane naukowe nazwy, a ja posłusznie przesuwałam w tę i w tę pokrętko, wytłaczając na wieczność każdą literę. Najmilej wspominam Ornithorhynchusa, chociaż maleńki płód dziobaka zanurzony w formalinie bynajmniej nie był uroczy.

Kiedy wysiedliśmy przy Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy, ruszyliśmy ścieżką przez Central Park do lasu znajdującego się za zamkiem. Bajki o księżniczkach czekających na księcia nigdy tak naprawdę do mnie nie przemawiały, ale podobała mi się idea mieszkania w zamku z nieskończoną liczbą pokoi i lochów, które można eksplorować. Od czasu do czasu wyobrażałam sobie, że jakiś książę towarzyszy mi w tych ekspedycjach, ale to zawsze ja im przewodziłam.

Szliśmy pod gęstym baldachimem drzew, gdy nagle dziadek zatrzymał się przy latarni.

– Co widzisz, patrząc na tę latarnię?

Przyjrzałam się jej uważnie, wodząc wzrokiem z góry na dół, żeby nie umknął mi żaden szczegół, po czym odpowiedziałam. Jediną rzeczą, która odróżniała ją od innych, była płytka z numerem przymocowana w połowie wysokości słupa.

– Liczby? – powiedziałam niepewnie, szukając jakiejś wskazówki na twarzy dziadka, choć patrzył na mnie z wyuczoną pokerową miną. Wkrótce jednak jego uśmiech potwierdził moje przypuszczenia. Pojawił się zupełnie jak ukryte drzwi, które uchylają się po wymówieniu tajnego hasła.

– Otóż to. – Podciągnął nogawki spodni i ukląkł na jednym kolanie, zrównując się ze mną wzrokiem.

– Jeśli kiedykolwiek zgubisz się w Central Parku, te tabliczki pomogą ci odnaleźć drogę.

Ze zmarszczonymi brwiami spojrzałam na losowy ciąg cyfr.

– Jak?

– Przyjrzyj się dwóm ostatnim cyfrom. – Przesunął palcami po wytłoczonym metalu. – Jeśli są nieparzyste, to znaczy, że jesteś bliżej zachodniej części parku. A jeśli parzyste, bliżej wschodniej.

– A co oznaczają dwie pierwsze?

– To numer najbliższej przecznicy. – Oparł się łokciem o kolano. – Jeśli więc na tej płytce widzisz „7751”, to jaka ulica jest według ciebie najbliższa?

Zaczęłam machać rękami, rozmyślając nad odpowiedzią.

– Zachodnia Siedemdziesiąta Siódma?

Puścił do mnie oko.

– Mądra dziewczynka.

Kiedy ta nowo nabyta wiedza ukorzeniła się w moim mózgu, odczułam satysfakcję z odkrycia kolejnej z niezliczonych tajemnic świata. W podskokach podążyłam za dziadkiem, bo już ruszył ścieżką ku małej polanie w pobliżu jeziora, z szeregiem ławek rozstawionych na obrzeżu.

– Siądźmy. – Wskazał ostatnią.

Nogi zwiślały mi bezwładnie z krawędzi; przesunęłam ręką po łuku żelaznego oparcia.

– To jedno z najlepszych miejsc do obserwacji ptaków – powiedział, wymownie poklepując lornetkę.

– A jeśli popatrzysz na tamtą kępę drzew, pewnie dostrzeżesz rodzinę rubinobrodych koliberków.

Przyłożyłam gumowe oprawy do oczu.

– Niczego nie widzę – stwierdziłam z żalem, przyglądając się ledwie chwilę wierzchołkom drzew.

– Bo brakuje ci tego, co w prowadzeniu obserwacji jest najważniejsze.

Spojrzałam na niego znad dużych okularów.

– Czego?

Znacząco poruszył brwiami.

– Cierpliwości.

Westchnęłam, po czym ponownie skierowałam lornetkę na drzewa i czekałam zdeterminowana, aby pokazać, jak bardzo potrafię być cierpliwa. Minęły trzy minuty, zanim pośród liści mignęło mi coś w kolorze karmazynowym.

– Widzę jednego! – wyszeptałam, żeby nie spłoszyć małego stworzenia. – Widzę czerwoną szyjkę.

Dziadek pochylał się do mnie i zniżył głos.

– Czyli to samiec. U samic na ogół są białe. Co jeszcze możesz o nim powiedzieć?

– Ma długi ostry dziób. Dłuższy niż u innych ptaków. I jest w ciągłym ruchu, nie siedzi na gałęzi.

– Kolibry rzadko przestają się ruszać. W czasie lotu trzepoczą skrzydłami nawet do osiemdziesięciu razy na sekundę, wydając przy tym charakterystyczny brzęczący odgłos.

– Łooo, ale szybko.

Kiedy ptak znów zniknął wśród drzew, opuściłam ręce i spojrzałam na dziadka, gotowa dowiedzieć się czegoś więcej.

– Żeby zrozumieć przyrodę, musimy wypatrywać powtarzających się w niej schematów. Jeśli chodzi o ptaki, to wiemy, że pojawiają się o konkretnej porze roku, preferują określone gatunki drzew i konkretny rodzaj pożywienia. – Założył nogę na nogę, ukazując skarpetkę w niebiesko-zielone paski naciągniętą na kostkę. – A oto kolejny przykład: pory roku. Skąd wiesz, że jest jesień?

– Stąd, że liście zmieniają kolor i spadają z drzew.

– No właśnie. To coś, co się powtarza cyklicznie. A dzięki temu, że drzewa gubią liście, wiemy chociażby, jak się ubrać albo jakie zasiać warzywa.

– Albo że już niedługo Halloween.

– Zgadza się. Zatem żeby poznać świat, najlepiej szukać powtarzających się wzorców. – Poklepał swój notatnik. – I dlatego mam to. Zapisując ciekawe rzeczy, które rzucają ci się w oczy, w końcu zauważysz, że niektóre z nich pojawiają się z pewną regularnością. Dzięki temu zrozumiesz, jak wszystko wokół nas funkcjonuje. To jak? Zanotujemy, co do tej pory zaobserwowaliśmy?

– Taaak! – zawołałam z radością. Od rana niecierpliwie czekałam, żeby wreszcie zrobić swoją pierwszą notatkę. Zdjęłam skuwkę z pióra i zaczęłam starannie opisywać latarnię.

– Wiesz, nie tylko przyroda przyjmuje pewne wzorce. – Dziadek wskazał głową w kierunku polany, gdzie wypoczywało kilka grup osób. – O ludziach także można się sporo dowiedzieć z samych obserwacji.

Uniosłam lornetkę do oczu i skierowałam ją na trzy dziewczyny siedzące na kocu piknikowym. Dziadek położył dłoń na tubusach i obniżył je, delikatnie naciskając.

– Pamiętaj, o czym mówiłem: żadnego szpiegowania.

– To za-strze-że-nie – powiedziała dumna, że zapamiętałam trudne słowo.

– Tak, właśnie, zastrzeżenie. – Uśmiechnął się. – Ale w miejscu publicznym wolno nam obserwować z daleka.

Ułożył rękę na oparciu i dyskretnie wskazał na jedną z ławek po drugiej stronie polany.

– Powiedz mi, co tam widzisz.

Przymrużyłam oczy w skupieniu.

– Pana i panią z dwójką dzieci. – Poczulałam się nieco urażona, że zapytał mnie o coś tak oczywistego.

– Ale jak myślisz, co robią?

– On coś mówi... ale ona chyba go nie słucha.

– A skąd takie przypuszczenie?

– No bo jest od niego odwrócona i się rozgląda.

Pokiwał głową.

– A czy widzisz, że jego nogi są zwrócone w jej stronę i im mocniej on się do niej nachyla, tym bardziej ona się odsuwa?

– Widzę.

– Co ciekawe, pewnie żadne z nich nie jest świadome tych zachowań. Obserwując czyjąś mowę ciała, można się wiele dowiedzieć. Często nawet więcej niż to, co ten ktoś chce ci powiedzieć.

– Według mnie on ją nudzi – wydedukowałam, a następnie zanotowałam swoje spostrzeżenie.

Dziadek zaśmiał się cicho.

– Chyba masz rację.

Spojrzałam na dwie dziewczynki bawiące się u ich stóp.

– Ale ona nie zwraca też uwagi na swoje dzieci. – Ta obserwacja nieco mnie zabolęła. Byłam niemal pewna, że na twarzy mojej matki widziałam tę samą obojętną minę. – Może jest nieszczęśliwa. Sprawia wrażenie, jakby nie chciała być w parku.

Dziadek już miał odpowiedzieć, ale nagle zastygł z otwartymi ustami, zupełnie jakby zarzucił wędkę i czekał, nawijając żyłkę.

– Niewykluczone – odezwał się w końcu i spojrzał ponad wierzchołkami drzew. – Niestety na świecie wielu ludzi jest niezadowolonych ze swoich wyborów.

– To naprawdę przykre, dziadku. – Wyrzuciłam nogi przed siebie i postukałam butem o but. – Nie możemy im jakoś pomóc?

– Czasem możemy, ale nie zawsze powinniśmy.

Zerknęłam na niego niepoczyszona.

– Ale to nie fair w stosunku do jej dzieci.

Podrapał się po brodzie, jakby nad czymś dumał.

– Clover, zdradzę ci pewien sekret o dorosłych – powiedział po chwili. – Nawet jeśli wydaje się, że wiedzą, co robią, często po prostu improwizują. Zwłaszcza rodzice. Pewnie wszystkie mamy i wszyscy ojcowie żałują, że kiedyś nie zrobili czegoś inaczej dla swoich dzieci.

Spojrzałam ponownie na kobiety i dwie dziewczynki.

– Myślisz, że rodzice mogli żałować, że nie spędzali ze mną więcej czasu? I nie zabierali mnie ze sobą w podróże?

– Istnieje takie prawdopodobieństwo. – Zauważyłam, że lekko się skrzywił. – Wiesz, kiedy twoja mama była tak mała jak ty, ja też sporo podróżowałam służbowo, przez co nie spędzałam z nią tyle czasu, ile bym chciała.

– Ale przeżyłeś wiele przygód. – Uwielbiałam jego historie o wyprawach biologicznych do odległych dżungli i na samotne wyspy. – A dla małej dziewczynki pewnie były zbyt niebezpieczne, prawda?

Chyba go zaskoczył mój tok rozumowania.

– Tak, prawda. To samo mogło dotyczyć przygód, które spotykały twoich rodziców.

Zastanowiłam się nad tym, co usłyszałam.

– Czyli gdyby zabrali mnie wtedy ze sobą do Chin, to teraz by mnie tu nie było.

Ponownie podrapał się po zarostcie.

– Tego się nigdy nie dowiemy – stwierdził. – Ale jedno wiem na pewno: cieszę się, że tu jesteś.

Uśmiechnęłam się do niego promiennie, biorąc go pod rękę.

– Ja też.

Siedzieliśmy tak przez dłuższą chwilę, obserwując dzieci bawiące się na oczach rodziców, aż w końcu dziadek postukał piórem w notatnik.

– Morał z tego taki, moja droga, że niemal wszystko, nawet ludzi, można poznać i zrozumieć, jeśli zadasz sobie wystarczająco dużo trudu. Niektórzy mają do tego wrodzony talent i od razu potrafią przejrzeć człowieka na wylot. Reszta musi sobie pomagać, szukając schematów.

– Na przykład jakich?

– Cóż, w miarę poznawania nowych postaci zauważysz, że istnieje cała masa różnych osobowości, a to znaczy, że nie możesz podchodzić do każdego w ten sam sposób. Dla przykładu, ty lubisz spędzać czas, siedząc po cichu i czytając książki, zgadza się?

– Uhm.

– Ale dla innych to byłby koszmar. Woleliby mieć wokół siebie tłum ludzi, z którymi mogliby porozmawiać.

Jakoś mu nie wierzyłam.

– Naprawdę? – Dla mnie koszmarem byłoby życie bez książek.

– Tak, naprawdę – potwierdził. – No więc jak już się z kimś zetkniesz, zadaj sobie trud i go poobserwuj. Przyjrzyj się, jak obcuje ze światem. Czy lubi rzucać się w oczy, czy może woli być niewidzialny? Czy rozwiązuje problemy w sposób kreatywny, czy raczej rozumowy? Co go pobudza, a co uspokaja? – wymieniał.

Moje pióro zawisło nad kartką, ale dziadek nie przestawał mówić: – Jeśli poznasz te schematy, najlepiej się komuś przysłużysz. Nigdy nikogo całkiem nie zrozumiesz, bo ludzie to skomplikowane istoty, ale przynajmniej wyrobisz sobie pewne pojęcie o tym, co nimi kieruje.

– Ludzie, schematy, wskazówki. Załapałam. – Skrzętnie notowałam, słowo w słowo, jakby to był jakiś skomplikowany matematyczny wzór.

Coś mi podpowiadało, że to swoiste urodzinowe szkolenie kiedyś mi się przyda. Nie znałam jeszcze zbyt wielu osób, ale kiedyś to się zmieni. I nie mogłam się już doczekać, żeby się dowiedzieć, jak najlepiej przysłużyć się światu.

Myślałem, że rozplynęłaś się w powietrzu – zażartował Leo, przyglądając się rozsypanym na stole kamieniom do madzonga. Obracał jeden kamień między kciukiem a palcem, zastanawiając się nad kolejnym ruchem. – Nie widziałem cię od tygodnia. Wychodziłaś w ogóle z domu?

– Jasne, że tak – odparłam bardziej impulsywnie, niż chciałam, ale on drażnił się ze mną celowo. – Z George’em, dwa razy dziennie.

– To się nie liczy, chyba że przy okazji spotkałaś się z innym człowiekiem. – Odłożył kamień na miejsce i zamiast niego wziął drugi, leżący obok. – Nie wiem, jak możesz tyle czasu siedzieć w domu i z nikim się nie widywać.

– Nie każdy jest taki towarzyski jak ty, Leo. Dlaczego w ogóle miałabym się z kimś spotykać? Lubię być sama ze sobą.

Rozparł się na krześle, krzyżując ręce na piersi jak bramkarz odmawiający komuś wstępu do klubu.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się zamykasz na innych. Na świecie jest tylu interesujących ludzi.

Wiedziałam, dokąd to zmierza. Od jakiegoś miesiąca Leo przejawiał wzmożoną tendencję do filozofowania, zupełnie jakby nagle zdał sobie sprawę, że się starzeje i nadal nie rozważył wielu istotnych kwestii. Niestety to znaczyło, że zaczął także zgłębiać istotę mojego życia.

Wzruszyłam ramionami i zabrałam kamień z muru.

– Po prostu na ogół wystarczy mi własne towarzystwo.

W zasadzie to prawda. Plusem tego, że straciłam rodziców w bardzo młodym wieku, o ile można tak powiedzieć, była bezwzględna samowystarczalność. Moi rodzice, zbyt zaaferowani swoim życiem, nigdy nawet nie pomyśleli o tym, aby zorganizować dla mnie wspólną zabawę z innymi dziećmi. Kiedy więc osiągnęłam wiek szkolny, nie miałam pojęcia, jak nawiązywać przyjaźnie, ani nie widziałam w tym sensu. Gdy po śmierci pana Hylanda rówieśnicy zaczęli mnie unikać, po prostu wycofałam się jeszcze bardziej do świata fantazji i stałam się tak samodzielna, że nie potrzebowałam do szczęścia nikogo. Oczywiście podczas licznych podróży na studiach poznałam wielu interesujących ludzi i nawet przez chwilę utrzymywałam z nimi kontakt mejlowy, ten jednak urwał się, kiedy zmarł dziadek. W brutalny sposób przekonałam się wtedy, że kiedy ktoś pyta, jak się czujesz po śmierci bliskiej osoby, to w rzeczywistości nie chce tego wiedzieć. Moi znajomi pragnęli jedynie usłyszeć, że to przebolełam i ruszyłam dalej, bo nie mogli patrzeć na moje cierpienie. A kiedy się okazało, że wciąż przeżywam stratę, mejle stopniowo przestały przychodzić.

Leo jednak nie dał się tak łatwo zbyć.

– Przecież świetnie radzisz sobie z ludźmi. Popatrz choćby na swoją pracę. – Wyciągnął rękę, żeby uszczyplić mnie w policzek, zupełnie jakbym wciąż była tą małą dziewczynką sprzed lat. – Musisz się tylko trochę bardziej otworzyć.

Uchyliłam się przed jego dotykiem.

– Łatwo „radzić sobie z ludźmi”, kiedy umierają. Zdaję sobie sprawę, że im pomagam, i wiem też, czego potrzebują: pocieszenia, towarzystwa i kogoś, kto ich wysłucha – wyliczyłam, na palcach dla większego efektu.

Leo burknął, jakby nie zgadzał się z moim zdaniem.

– Chyba nie doceniasz, jaki to rzadki talent, mała. Każdy podchodzi do śmierci inaczej. Cholera, większość nawet nie chce o niej mówić, dopóki ta nie zapuka do drzwi. Trzeba być naprawdę wyjątkowym człowiekiem, żeby towarzyszyć innym w procesie umierania i pomagać im przez to przejść świadomie, na ich własnych zasadach.

– Niby tak. Ale ja jestem w tym dobra, bo to moja praca – zaznaczyłam dobitnie. Jego uporczywe przesłuchanie działało mi już na nerwy. – Przed umierającymi nie muszę niczego udawać. I nie czuję presji, żeby zrobić dobre wrażenie, bo i tak nie będzie komu mnie zapamiętać. – To oznaczało również, że nic nie ryzykuję, bo wiem, jak ta relacja się skończy, zanim jeszcze na dobre się zaczęła.

– Moim zdaniem grasz zbyt ostrożnie – uznał Leo. – Co to za życie, jeśli nigdy nie pozwalasz nikomu zobaczyć, jaka jesteś naprawdę?

Cała się spięłam, żeby nie zdradzać zakłopotania. Jego pytanie miało sens.

– Ty widzisz, jaka jestem naprawdę. – Teraz też w zasadzie nie kłamałam.

– Ale jestem dwa razy starszy od ciebie. Nie będę żył wiecznie. – Pokręcił głową. – Nie chcesz się kiedyś ustatkować?

Wzruszyłam ramieniem z nadzieją, że wyszło na luzie.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – odparłam.

Oczywiście, że się zastanawiałam. Nad tym, jak by to było mieć kogoś, kto uważa, że jego życie ze mną u boku jest lepsze, pełniejsze. Kto myślałby o mnie nieustannie, nawet pod moją nieobecność. I kto by wierzył, że nie złamię mu serca i że jego świętym obowiązkiem jest odwdziżyć się tym samym.

– Cóż, nie chcę odgrywać roli twojego dziadka, ale może w końcu powinnaś o tym pomyśleć. Być zakochanym... wspaniały stan, nawet jeśli nie trwa tak długo, jak byśmy sobie tego życzyli. – Oczywiście Leo rozbłysły, kiedy spojrział na zachwycający portret żony Winnie, która czuwała nad naszymi partyjkami madžonga. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych on i Winnie byli stałymi bywalcami klubów jazzowych, ale ich godna pozazdroszczenia miłość – mogłabym o niej słuchać całymi dniami – została przerwana, kiedy kobieta zginęła w wypadku samochodowym w wieku trzydziestu pięciu lat. Od tego zdarzenia minęło przeszło pół wieku, a Leo nadal nosił na palcu ślubną obrączkę. Myślę, że to kolejny powód, dla którego tak dobrze się dogadujemy – nasz smutek mógłby współistnieć. Podobało mi się to, że nie zdjęła obrączki, chociaż wszyscy wokół sugerowali, że już pora. To frustrujące, że nasze społeczeństwo tak usilnie pragnie zdefiniować, jak długo powinniśmy odczuwać smutek, zupełnie jakby czas mógł osłabić siłę miłości. Albo na tej samej zasadzie próbuje się nam wmówić, że żałoba po kimś, kogo znało się tylko przelotnie, powinna trwać równie krótko. A przecież matka, która poroniła i nigdy nie miała okazji wziąć swojego maleństwa na ręce, zdążyła je już pokochać, wymarzyć sobie dla niego przyszłość i żywić względem niego pewne nadzieje. To z kolei znaczy, że cierpi podwójnie, bo nie tylko oplakuje zmarłe dziecko, ale też życie, którego nie było jej dane przeżyć.

Kimże jesteśmy, żeby mówić innym, że ich ból nie jest nic wart?

Leo posłał Winnie całusa i znów przeniósł wzrok na swoje kamienie, marszcząc przy tym brwi.

– Wszyscy twierdzą, że chcieliby żyć wiecznie, ale nie mają pojęcia, jak to jest, kiedy twoi najbliżsi i przyjaciele nie żyją, i zostałeś tylko ty. Człowiek czuje się wtedy taki piekielnie samotny.

Na te słowa serce ścisnęło mi się boleśnie. Nie musiałam żyć wiecznie, żeby wiedzieć, co znaczy samotność.

Później tego wieczoru, kiedy stałam przy kuchence, podgrzewając mleko do czekolady, rozmyślałam o rozmowie z Leo. Choć niuanse fikcyjnej miłości były mi dobrze znane, tej prawdziwej jeszcze nie zgłębiłam. A ściślej rzecz biorąc, jeszcze jej nie przeżyłam. Tymczasem mojej wyobraźni wystarczyło jedynie przelotne spojrzenie czy też muśnięcie ramion, żeby się rozmarzyć. Przez te wszystkie lata zdarzało mi się to wielokrotnie – zadurzałam się w baristach, bibliotekarzach, kierowcach autobusów czy też kasjerach, ale oni zazwyczaj w ogóle mnie nie zauważali. Ja z kolei byłam zbyt nieśmiała, żeby ich sobą zainteresować; nie miałam nawet pewności, czy jestem warta ich uwagi. Dlatego wołałam wycofać się do świata fantazji, obserwować otaczających mnie ludzi i tych na ekranie, żyjąc ich życiem. Uznałam, że tak bezpieczniej.

Zamknęłam oczy i wciągnęłam w nozdrza cynamonową parę unoszącą się nad mlekiem, które bulgotało na wolnym ogniu w miedzianym rondelku. Jego rączka wytarła się już w dwóch miejscach i zmatowiała od wieloletniego używania przez mnie i dziadka. Kiedy przechyliłam wysłużone naczynie, spływający z dzióbka kremowo-brązowy płyn utworzył melancholijną wirującą spiralę.

Zacisnęłam dłonie na ceramicznym kubku i nagle ogarnęło mnie znajome, acz dziwne uczucie – byłam rozdarta między potrzebą samotności a chęcią nawiązania emocjonalnej więzi. Właściwie nie brakowało mi towarzystwa, ale też nie chciałam czuć się sama.

Przesunęłam krzesło do kąta przy oknie, postawiłam kubek na parapecie i owinęłam się kocem z alpaki. Zgasiałam wszystkie lampy w salonie, tak, żeby do środka sączył się tylko blask latarni. Podciągnęłam żaluzje tak wolno, że z zewnątrz nie dało się tego zauważyć. Po chwili podszedł do mnie George, żeby zająć swoje stałe miejsce podczas dobrze znanego mu rytuału. Posadziłam go sobie na kolanach i uniosłam lornetkę do oczu.

Światło w mieszkaniu naprzeciwko świeciło jasno niczym latarnia morska wskazująca drogę mojemu statkowi. I oto ich ujrzałam. Jak zwykle o tej porze siedzieli obok siebie przy stole, pod kątem prostym.

Julia i Reuben.

Oczywiście to nie były ich prawdziwe imiona. Przynajmniej tak zakładałam, bo na dobrą sprawę nigdy

się nie zetknęliśmy. Znałam za to dość intymne szczegóły ich życia. Wiedziałam, że to głównie Reuben gotuje, a Julia wybiera wino do posiłku – zawsze czerwone – i wypija dwa kieliszki, on natomiast tylko jeden. Wiedziałam, że zazwyczaj na chwilę przerywają kolację, żeby się pocałować, jakby chcieli przeczyścić podniebienie między przystawką a daniem głównym. Wiedziałam też, że kiedy siadają na sofie – Reuben zawsze po lewej stronie Julii – i oglądają telewizję, on bezwiednie kreśli dłonią kółka na jej plecach, a ona czule przeczesuje palcami jego włosy.

Tego wieczoru widziałam, jak Reuben objął Julię od tyłu, kiedy ta zmywała naczynia, i odgarnął jej zbłąkany kosmyk z oczu, żeby nie musiała tego robić mokrymi rękami w gumowych rękawicach. A potem patrzyłam, jak na przemian zanurzają łyżki w tym samym kubelku lodów, podczas gdy na ekranie wyświetla się czołówka filmu. Ta ich intymna więź – raczej podskórnie wyczuwalna niż ostentacyjnie okazywana miłość – napełniła mnie prawdziwą radością, zupełnie jakbym to ja była na ich miejscu.

A tęsknota w moim sercu powoli zaczęła słabnąć.

Wiem. Trochę dziwne, że w wieku trzydziestu sześciu lat nie mam żadnych przyjaciół z wyjątkiem osiemdziesięciosiedmioletniego sąsiada. Ktoś, kto zawsze otaczał się mnóstwem znajomych, pewnie nie potrafi sobie wyobrazić, jak można nie mieć kolegi czy koleżanki. Ale to znacznie prostsze, niżby się wydawało. Prawda jest taka, że życie samotniczki wzięło mnie z zaskoczenia. Coś jak niepozorne krople wody, które nagle zamieniają się w problematyczną kałużę.

Ludzie znajdują pociechę w przyzwyczajeniach – właśnie dlatego, jak uczył mnie dziadek, tak łatwo ich rozgryźć na podstawie utartych schematów. Sęk w tym, że kiedy już myślimy, że coś lub kogoś rozpracowaliśmy, to na ogół nie chcemy tego kwestionować. Owszem, każdą przerwę lunchową spędzałam pod drzewem z książką, bo nie przepadałam za dziećmi z klasy. Robiłam tak, ponieważ czytanie było dla mnie największą przygodą – dzięki temu podróżowałam do nowych światów i patrzyłam na życie cudzymi oczami. We własnym wyobrażeniu stawałam się nieustraszoną odkrywczynią, moi rówieśnicy uważali jednak, że jestem zdziwaczka samotniczką. A skoro nie chcieli się ze mną zadawać, to ja też nie próbowałam się z nimi kumpłować.

Szczerze mówiąc, fascynacja śmiercią wcale mi tego nie ułatwiała – zwłaszcza w liceum. W pierwszej klasie wszystkie trzy projekty socjologiczne poświęciłam właśnie temu tematowi, co okazało się kiepskim pomysłem. Podobnie jak napisanie na angielski wiersza z perspektywy przedsiębiorcy pogrzebowego. Ale cóż, śmierć kształtowała moje życie, odkąd ukończyłam pięć lat, pragnęłam więc ją zgłębić i rozszyfrować. Chciałam odnaleźć sens w czymś, co wydawało się zupełnie bezsensowne.

Owszem, raz próbowałam się z kimś zaprzyjaźnić.

Na początku drugiej klasy liceum, kiedy chodziłam do Stuyvesant High School, rodzina Priyi przeprowadziła się z Singapuru na Manhattan.

Tamtego popołudnia, gdy szkolna pedagoga przyszła z nią na nasze zajęcia z nauk społecznych, patrzyłam akurat przez okno na chmury burzowe zbierające się nad rzeką Hudson. W klasie zawsze unosił się ten sam zapach drewnianych strużyn z ołówków, konkurujący ze smrodkiem mokrej psiej sierści, typowym dla nastoletnich chłopców.

Nauczycielka skierowała Priyę do ławki obok mnie – tej, która zawsze stała pusta. Serce aż mi podskoczyło z radości.

– Hej. – Uśmiechnęła się do mnie niepewnie, wślizgując się na krzesło.

– Cześć – odpowiedziałam równie nieśmiało, starając się ukryć wielkie zdziwienie tym, że się do mnie odezwała. – Chyba zanosi się na deszcz.

Priya z pewnym skrępowaniem wyjrzała przez okno.

– Och, tak... na to wygląda – powiedziała, po czym zajęła się wykładaniem zeszytów i pisaków. Tych fajnych, żelowych.

Kiedy się jej przyglądałam, poczułam przyływ wdzięczności do losu. Razem z nią w klasie była teraz parzysta liczba uczniów, co znaczyło, że kiedy nauczycielka zapowie pracę w parach, nie będę już musiała się wstydić jako ta, która zawsze zostaje sama. Ani znosić pełnego politowania spojrzenia pani Lynd – zwykle w takich sytuacjach zwracała się do pierwszej z brzegu pary z prośbą, abym mogła dołączyć i realizować projekt we trójkę.

Poza tym Priya zaczynała z czystą kartą. Nie miała pojęcia o panujących tu układach. Ani o tym, że przezywano mnie „Clover z krypty”. Wprawdzie nikt nie powiedział mi tego w twarz, ale słyszałam te prześmiewki i szeptki na korytarzu. Kiedy więc zsunęłyśmy nasze ławki do wspólnego zadania, pomyślałam, że wreszcie nadeszła ta chwila: zdobędę pierwszą w życiu przyjaciółkę. Priya była pod wrażeniem mojej wiedzy o Singapurze – dziadek opowiadał mi o swoim urlopie naukowym, który tam spędził, zanim się urodziłam. Ucieszyła się też na wieść, że umiem grać w madżonga. A kiedy sama mi wyjawiała, że uwielbia książki Virginii Woolf i Joan Didion, wiedziałam, że idealnie do siebie pasujemy. Tamtego popołudnia wracałam do domu brzegiem rzeki i – chcąc nie chcąc – wyobrażałam sobie, jak by to było przyjaźnić się z kimś w swoim wieku, w dodatku z dziewczyną.

Zwróciłam uwagę na przekłute uszy, pomalowane paznokcie i kolorowy błyszczyk Priyi. Widziałam również, jak chichocze i bawi się swoim kucykiem, kiedy chłopcy z naszej klasy stroili sobie żarty. Na pewno

przydałby mi się ktoś, z kim mogłabym porozmawiać o damsko-męskich sprawach. Jako nastolatka zaczęłam podejrzewać, że chyba brakuje mi pewnej podstawowej wiedzy, bo nie miałam nikogo na wzór matki. Dotychczas udawało mi się unikać pułapek dojrzewania dzięki książkom ze szkolnej biblioteki. To znaczy, dziadek naukowo wyjaśnił mi, co dzieje się z moim ciałem, i dał pieniądze na zakup niezbędnych środków higieny intymnej, ale poza tym nie był zbyt pomocny. A kiedy moje koleżanki z klasy zaczęły się malować, próbowałam iść ich tropem i zaopatrzyłam się w kilka produktów w drogerii. Ponieważ jednak nie miałam nikogo, kto by mi doradził w kwestii odpowiedniego odcienia do mojej karnacji – czy też wskazał zalety oszczędnego stosowania kosmetyków – efekty moich starań sprawiły, że wyrzekłam się makijażu.

Przyjaźń z Priyą mogła to odmienić.

Ale nie chciałam za bardzo naciskać ani wyjść na desperatkę. Dlatego z początku starałam się rozegrać to na spokojnie. Ilekroć widziałam ją na korytarzu, uśmiechałam się do niej albo zagadywałam ją przed lekcjami, polecając książki, które hipotetycznie przypadłyby jej do gustu. Pomyślałam, że poczekam ze dwa tygodnie i wtedy zapytam, czy wybierze się ze mną po szkole do księgarni Bessie. Potem niby od niechcenia zaproponowałabym jej wypad na kawę lub do kina, i – ot tak – nasza przyjaźń by rozkwitła. Kto wie, może nawet zaprosiłaby mnie do siebie na wspólną kolację z rodzicami. Jej mama była pewnie tak samo wyrafinowana jak ona. Może musiałabym nawet sprawić sobie telefon z klapką, tak jak wszystkie dzieciaki w klasie, skoro wreszcie miałabym kogoś, kto chciałby się ze mną kontaktować. Poza dziadkiem, rzecz jasna. On wciąż był moim najlepszym przyjacielem i kochałam go za to, że zawsze znajduje dla mnie czas, ale byłam gotowa rozwinąć skrzydła i w końcu nawiązać prawdziwą przyjaźń.

Nie pamiętałam, czy kiedykolwiek byłam aż tak podekscytowana.

* * *

Dwa tygodnie później po ostatnim dzwonku czekałam przy szafce Priyi. Po drodze wstąpiłam do łazienki, żeby sprawdzić, czy nie przekrzywiły mi się klipsy, które kupiłam na stoisku przy Canal Street. Miałam nadzieję, że Priya zauważy także mój nowy truskawkowy błyszczczyk do ust.

Kiedy zobaczyła, że na nią czekam, nie kryła zdziwienia.

– O, cześć, Clover. Co tam? – Miała na sobie połyskujący sweter, który wyglądał na drogi.

– Hej, Priya. – Chciałam nonszalancko oprzeć się o sąsiednią szafkę, ale niemal straciłam równowagę.

– Wybieram się do mojej ulubionej księgarni w West Village i pomyślałam, że może też chcesz iść.

Priya nie oderwała wzroku od szafki, do której w wielkim skupieniu wkładała książki, jedna za drugą.

– Dzięki, ale dziś nie mogę.

– No trudno – odparłam. – Możemy pójść jutro. Albo w przyszłym tygodniu?

Powoli zamknęła szafkę, delikatnie zatrzasnąwszy drzwiczki, a następnie odwróciła się do mnie.

– Bardzo mi przykro, Clover, chyba nie mogę się z tobą dłużej zadawać. – Spuściła wzrok na swoje nieskazitelne sneakersy za kostkę. – To, co mówią o tobie inni, jest naprawdę nie fair... ale ja też staram się jakoś dopasować. Będzie lepiej, jeśli ograniczymy kontakt tylko do wspólnych lekcji.

– Aha, okej – powiedziałam cicho, chociaż ból odręczenia nieznośnie nasilał się w mojej piersi.

– Rozumiem.

Uśmiechnęła się potulnie.

– Dziękuję. No to widzimy się jutro na WOS-ie.

Patrzyłam ze smutkiem, jak się oddala i dołącza do grupki dziewczyn, które znałam od podstawówki. Kiedy się wokół niej stłoczyły, podziwiając jej sweter, poczułam ukłucie zazdrości, nagle skrępowana z powodu mojej byle jakiej bluzy Old Navy.

Tego dnia zaczęło do mnie docierać, jak trudno nie być tą osobą, za którą mają nas inni.

Turkusowa farba wokół moich paznokci niemal świeciła w ostrym bursztynowym świetle na ganku przed moim budynkiem. Wróciłam właśnie z warsztatów malarstwa abstrakcyjnego, na które się zapisałam na cześć pewnej osiemdziesięcioletniej biochemiczki. Lily – tak miała na imię – nigdy nie rozwinęła swojej pasji do malowania, bo w dziewiątej klasie usłyszała od nauczyciela wprost, że nie ma do tego talentu i powinna się skupić na naukach ścisłych. Kilka dni przed śmiercią Lily przyniosłam jej płótno i farby, żeby w końcu dała upust tłumionej tyle lat kreatywności. Jednak z powodu artretyzmu jej ręce były już tak słabe i obolałe, że tylko ogarnął ją większy smutek i żal, że tak długo z tym zwlekała.

Na razie sama nie przejawiałam zbyt dużego talentu malarskiego, ale przynajmniej mogłam powiedzieć, że spróbowałam.

Na klatce schodowej jak co piątek unosił się zapach przypraw, które Leo dodawał do swojej kremowej bisque z owoców morza, i nasilał się, w miarę jak wspinałam się po cichu do swojego mieszkania. Jak dotąd od kilku tygodni z powodzeniem unikałam ponownego spotkania z nową lokatorką.

Już myślałam, że bezpiecznie pokonałam pierwsze piętro, ale z tego wszystkiego zapomniałam o ostatniej, najbardziej skrzypiącej desce, i nagle za sobą usłyszałam odgłos otwieranych drzwi.

– Clover, hej! – zawołała Sylvie.

Niechętnie odwróciłam się do sąsiadki, która opierała się o framugę. Miała na sobie szarą bluzę z nazwą jakiegoś zespołu.

– Och, cześć, Sylvie. – Jak dobrze, że zdążyłam wyjąć klucze i mogłam czymś zająć ręce. – Miło cię znów widzieć.

– Wzajemnie! – Uśmiechnęła się promiennie, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy zawsze rozpieął ją taki entuzjizm. – Miałam nadzieję, że na ciebie wpadnę, ale jakoś ciągle się mijamy. Na szczęście usłyszałam twoje kroki. Wiedziałam, że to nie Leo, bo nie dałby rady wchodzić tak szybko po schodach.

– Ach, racja – odparłam rozczarowana samą sobą. – No więc... co słyhać? – Nie mogłam nie odwzajemnić jej uprzejmości. Była wręcz zaraźliwa.

– Wreszcie się rozpakowałam! No dobra, zostało jeszcze kilka pudeł, ale już nie mogę się doczekać, aż poznam okolicę. No i sąsiadów, rzecz jasna.

– Super. Wiem, że Leo uwielbia poznawać nowych ludzi. – Miałam nadzieję, że złapie aluzję.

– Och, tak, Leo to stary czarus... i ewidentnie kocha owoce morza. – Sylvie spojrzała w górę, marszcząc nos. – Ale chętnie dowiem się czegoś więcej o tobie. Może jutro w końcu wybierzemy się na tę kawę?

Naprawdę trudno będzie schodzić jej z drogi. No i Leo – jak sam zauważył – nie jest wieczny, a kiedy odejdzie, już nikt mi nie pozostanie. Muszę mieć przynajmniej kogoś, kogo podam jako osobę do kontaktu w razie nagłych wypadków. Choćby z tego powodu to rozsądne nawiązać nową znajomość. Poza tym chodzenie na paluszkach po schodach przez najbliższy rok i ukrywanie się przed Sylvie na pewno będzie strasznie męczące. Może jednak warto spróbować. Tylko pod żadnym pozorem nie mogłam się do niej przywiązać ani zdradzić zbyt wiele o sobie.

– Pewnie – rzuciłam wcale nieprzekonana do tego pomysłu. – Byłoby miło. – Teraz już kłamka zapadła.

– Świetnie! – ucieszyła się Sylvie. – To widzimy się jutro na dole o dziesiątej?

Ręce i nogi zaczęły mi drżeć – taki sam koktajl adrenaliny i zdenerwowania zalewał mnie, ilekroć podejmowałam jakieś ryzyko. To mi przypomniało, jak dawno tego nie robiłam.

– Może być. – Pewnie powinnam udać, że muszę najpierw sprawdzić w grafiku, czy mam czas.

– Doskonale. W takim razie do zobaczenia! – Sylvie po raz ostatni posłała mi szeroki uśmiech, po czym zamknęła drzwi.

Dziwnie było wejść do kawiarni w towarzystwie drugiej osoby – przywykłam do tego, że na ogół kierowałam się prosto do pojedynczego stolika w rogu. Rozejrzałam się po ludziach ściśniętych po dwie lub trzy osoby przy sąsiednich stolikach, zazdroszcząc im nonszalancji. Czy widzieli, że to moje pierwsze prawdziwe spotkanie przy kawie? Czy wychwyciła to Sylvie?

Gdy tylko usiadłyśmy, zaczęłam się bawić saszetkami z cukrem leżącymi na środku blatu, żeby nie

myśleć o parciu na pęcherz wywołanym stresem.

– No więc – zaczęła Sylvie bez żadnego wyraźnego skrępowania – wiem, co robi doula towarzysząca przy porodzie, ale czym właściwie zajmuje się doula śmierci?

Leo musiał wspomnieć jej o mojej pracy. Czekałam, aż ujrzę krytyczną minę pełną odrazy, którą zwykle przybierali moi rozmówcy, gdy zdradzałam im swoją profesję. Tym razem jednak jej nie dostrzegłam. Sylvie miała przyjazny wyraz twarzy, jakby była szczerze zainteresowana tym, co odpowiem. Mimo to zachowałam ostrożność.

– Cóż, jak się tak zastanowić, to właściwie tym samym, ale jakby w odwrotnej kolejności – wyjaśniłam, układając saszetki w rzędku. – Jedna doula pomaga przyjść na świat, druga pomaga z niego spokojnie odejść.

Sylvie uniosła brwi z zaciekawieniem.

– Ale nie jesteś lekarką, prawda? Czy do tego są wymagane jakieś medyczne kwalifikacje?

– W niektórych przypadkach tak, ale nie w moim. To, co robię, jest bardziej... – szukałam właściwego określenia – kontemplacyjne. Ja po prostu dotrzymuję towarzystwa umierającym ludziom i słucham, dając im możliwość refleksji nad swoim życiem, jeśli tego chcą. Pomagam im także pogodzić się z tym, że popełnili błędy, zaakceptować to, czego żałują. Takie tam rzeczy. A jeśli nie mają nikogo bliskiego, trzymam ich za rękę, kiedy umierają.

– Uch, poważna sprawa – sapnęła Sylvie. – Nie przygnębia cię to? Ja chyba nie dałabym rady patrzeć raz po raz, jak ktoś umiera. To zbyt dołujące.

– Chyba po prostu nauczyłam się wyłączać uczucia. – Byłam dumna ze swojej siły psychicznej. – Jestem lepsza w tym, co robię, jeśli nie angażuję się w to emocjonalnie.

Twarz Sylvie – z lekko uniesionymi brwiami – wyrażała teraz coś jakby sceptycyzm.

– I nawet od czasu do czasu nie zdarza ci się uronić łzy? No rozumiesz, jeśli czyjaś śmierć naprawdę ściśnie cię za serce?

– Nie. – Wzruszyłam ramionami. – Właściwie nigdy nie płaczę.

– Nigdy przenigdy? Tak w ogóle? Nawet na filmach?

Pokręciłam głową.

– Nie, nie płaczę. – Kolejna rzecz, którą mogłam się poszczycić.

Sylvie przyjrzała mi się z ciekawością.

– Kochana, nie wiem, czy to zdrowe. To, że nie przyznajesz się do uczuć, nie znaczy, że nie istnieją.

– Jak dotąd ta strategia zdaje egzamin. – Asertywny ton w moim głosie szczerze mnie zaskoczył.

– Skoro tak twierdzisz – skwitowała, choć ewidentnie pozostały w niej wątpliwości. – Tak czy siak, założyłam się, że ludzie na łożu śmierci zwierzali ci się z naprawdę szalonych rzeczy.

W tym momencie pomyślałam o notatnikach stojących na półce w moim mieszkaniu. Zgromadziłam w nich wyznania z wielu lat – jedne mniej, inne bardziej szokujące. Ale do kwestii etyki podchodziłam naprawdę poważnie i nigdy nie zdradziłabym nikomu ani słowa.

– No, zdarzyło się kilka.

Sylvie pochyliła się nad blatem.

– Czy ktoś kiedykolwiek poprosił cię, żebyś załatwiła za niego jakieś niedokończone sprawy?

Ja także się pochyliłam, zupełnie jakbym miała powierzyć jej jakąś tajemnicę.

– Czasem pomagam odbyć trudne rozmowy telefoniczne albo napisać list z przeprosinami. Ale na ogół kończy się rozczarowaniem, bo większość ludzi zwleka z tym zbyt długo i tej drugiej osoby nie da się już w porę namierzyć.

– O rany, to przykre. Mam nadzieję, że mnie nic takiego nie spotka. – Wesoły nastrój Sylvie chwilowo się ulotnił. – Ale z drugiej strony, ja naprawdę rzadko kiedy chowam urazę. Na ogół po kilku dniach zapominam, dlaczego właściwie się na kogoś pogniewałam.

Wcale mnie to nie dziwiło – gdyby Sylvie miała ogon jak pies, pewnie nieustannie by nim merdała. Musiałam przyznać, że byłam nieco oczarowana jej ogólnym optymizmem, z jakim podchodziła do życia. Dzięki temu świat wydawał się jakby lepszy.

Spróbowałam płynnie przejść do innego tematu.

– No więc Leo wspominał, że jesteś historyczką sztuki. – Ludzie na ogół uwielbiali mówić o sobie, więc rzadko się orientowali, że próbuję odwrócić uwagę od siebie.

– Owszem – potwierdziła, po czym wyciągnęła szyję i przez chwilę wpatrywała się we mnie, jakby

próbowała odczytać przekaz jakiegoś dzieła. – Ale nie myśl, że nie zauważyłam, że zmieniłaś temat.

– No tak, przepraszam. – Zacerwieniłam się zawstydzona tym, jak łatwo dałam się rozszyfrować.

– Jesteś stąd?

– Nie. Z Chicago. – Nagle ośmielona wyprostowała się. – Zawsze się zarzekałam, że nigdy nie będę mieszkać w Nowym Jorku. No i proszę. Przez dwa lata pracowałam w muzeum sztuki w Tokio, a potem dostałam propozycję z The Frick, której nie mogłam odrzucić. Tak więc nigdy nie mów nigdy.

– Uwielbiam Tokio. Na studiach spędziłam cały semestr za granicą.

Nie sądziłam, że tak szybko znajdziemy wspólny język.

– Czekaj. Co trzeba studiować, żeby zostać doułą śmierci?

Skuliłam się pod świdrującym spojrzeniem kelnera, który akurat przyniósł kawę.

– Jak już wspomniałam, każdy podąża własną ścieżką. – Poczekajłam, aż kelner się oddali, po czym mówiłam dalej: – Ale ja zdobyłam dyplom z tanatologii.

– A co to takiego?

– Nauka o śmierci.

– Nie gadaj. Naprawdę są takie studia? Ale super.

Super. Jeszcze nikt nie użył tego słowa w kontekście mojej osoby.

– Cóż, można się skupić na wielu aspektach, ja wybrałam zwyczaje związane ze śmiercią w różnych kulturach. Właśnie tym zajmowałam się w Japonii.

Naszą uwagę przykuła seria bluzgów, która dobiegła z sąsiedniego stolika. Jakaś Brytyjka z kręconymi włosami gorączkowo wycierała plamę po napoju kawowym na swojej białej sukience, podczas gdy jej towarzysz usiłował powstrzymać powiększającą się kałużę na stole.

– Proszę. – Sylvie podała kobiecie garść serwetek z pełnym współczuciem uśmiechem, po czym znów zwróciła się do mnie: – Czyli dużo podróżujesz?

– Już nie... z powodu pracy.

Brytyjka tylko pogarszała sprawę, zapalczywie trąc zabrudzenie.

– Trudno cokolwiek zaplanować, jeśli w grę wchodzi czyjaś śmierć, no nie? – Sylvie dodała cukru do swojej latte. – Zdajesz sobie sprawę, że zasypię cię teraz pytaniami na temat twojej pracy, prawda?

Schlebiało mi to, że dostrzegła we mnie coś interesującego.

– Co chcesz wiedzieć?

– Na początek, jak to się stało, że podróżniczka studiująca zwyczaje związane ze śmiercią wyładowała tu, w Nowym Jorku, i zaczęła pracować jako doula śmierci?

Pomieszałam czarną kawę, zastanawiając się, czy chcę się zagłębiać w ten temat.

– Mój dziadek umarł samotnie, kiedy byłam za granicą – odparłam cicho. – To mi uświadomiło, jak wiele osób odchodzi w ten sposób i że bardziej przysłużyć się światu, jeśli zostanę doułą śmierci, a nie naukowczynią, która tylko bada śmierć w oderwaniu od rzeczywistości. Poza tym po jego śmierci odechciało mi się podróżować. Chyba już straciłam do tego serce. Zostając w Nowym Jorku, miałam wrażenie, jakby dziadek wciąż był blisko mnie.

– Przykro mi. Tak, słyszałam od Leo, że byliście bardzo życzliwi.

– Dziękuję, to prawda. – Chciałabym wiedzieć, czy było coś, o czym Leo jej nie powiedział.

– A z ciekawości, w której dzielnicy Tokio mieszkałaś?

Tym razem Sylvie łaskawie nie wypomniała mi zmiany tematu.

– Głównie w Ginzie. Miałam tam precudne mieszkanie. Następnym razem pokażę ci zdjęcia.

„Następnym razem”. Na myśl o ponownym spotkaniu z Sylvie ogarnęło mnie nieznane dotąd uczucie możliwości. Zupełnie jakbym po raz pierwszy wkładała nowy skórzany but. Niby pasował, ale trochę uwierał.

Czyżby tak wyglądały początki przyjaźni?

Kiedy zobaczyłam Sebastiana – stał oparty o ogrodzenie z kutego żelaza przed domem przy Zachodniej Osiemdziesiątej Czwartej – przez głowę przemknęła mi myśl, żeby wycofać się z naszej umowy i uciec z powrotem do metra. Ale nagle do mnie pomachał, a moje nogi same ruszyły naprzód. Pomimo sympatycznego wyglądu przyjął pozę sugerującą, że nie brak mu poczucia własnej wartości, zupełnie jakby był pewny swojego miejsca na świecie i celu, w jakim się tu znalazł – nogi skrzyżowane w kostkach, ręce luźno w kieszeniach.

Kiedy dzielił nas tylko metr, zatrzymałam się gwałtownie.

– Cześć, Sebastian.

Na ogół podczas spotkania z nowym klientem zakładałam maskę profesjonalizmu i od razu przechodziłam do sedna przekonana o tym, że jestem dobra w swoim fachu i wiem dokładnie, po co tu jestem. Tym razem jednak niepokój dał mi się bardziej we znaki.

– Hej, Clover, miło cię widzieć!

Zrobił pół kroku, jakby chciał mnie przytulić. Ale najwyraźniej dostrzegł moje zmieszanie, bo zamiast tego szybko wyciągnął rękę do uścisku.

– No więc muszę ci się do czegoś przyznać – oznajmił, wspinając się po stopniach prowadzących do frontowych drzwi. – Babcia wie o tym, że masz przyjść, ale nie o tym, że jesteś doułą śmierci.

Dzwony bijące mi w głowie na alarm rozbrzmiały jeszcze głośniejsze.

– To za kogo mnie uważa?

– Powiedziałem, że jesteś moją znajomą, która chętnie zobaczy jej zdjęcia.

– Ale ja się zupełnie nie znam na fotografii. – Nie podobało mi się to, że Sebastian zmusza mnie do kłamstwa. Jeśli miałam być nieuczciwa, to przynajmniej na własnych warunkach.

– Dasz sobie radę – stwierdził, choć niezbyt przekonująco. – Jak zaczniesz opowiadać i wspominać, nawet nie zauważy, że nic nie mówisz.

Poczułam ukłucie złości, że dałam się w to wciągnąć. Niestety nie mogłam się już wycofać – jego babcia spodziewała się mojej wizyty.

Hol, którym poprowadził mnie Sebastian, okazał się znacznie większy, niż przypuszczałam. W porównaniu z moim mieszkaniem pełnym różności wystrój był znacznie skromniejszy, ale celowo – każdy przedmiot wyglądał tak, jakby został wybrany z rozmysłem i zaaranżowany z niezwykle starannością.

– Twoja babcia ma ładny dom. – Przypomniałam sobie, że Sebastian w zasadzie jest moim pracodawcą, więc pomimo tego oszustwa ze znajomą powinnam się zdobyć na uprzejmość.

– No chyba. – Sebastian rozejrzał się, choć tak naprawdę nie patrzył. – Dziadek kupił go w latach pięćdziesiątych, ale budynek ma pewnie co najmniej ze sto lat. W dzieciństwie spędziłem tu sporo czasu. Rodzice wysyłali mnie do dziadków praktycznie w każde wakacje.

Idąc za Sebastianem, mogłam ukradkiem lepiej mu się przyjrzeć. Na oko był w moim wieku – w przypadku mężczyzn zawsze trudniej to stwierdzić – i tylko nieco wyższy ode mnie. Za każdym razem, gdy go spotykałam, miał na sobie to samo: czarną koszulę na guziki, czarne chinosy, okulary w złotych oprawkach i grafitowy szalik. Pewnie był jednym z tych typów, którzy kupowali po pięć identycznych sztuk z każdego rodzaju odzieży, żeby nie komplikować sobie życia.

Wzdłuż ścian – w odstępach odmierzonych z wojskową precyzją – wisiały oprawione w ramy fotografie. Spodziewałam się raczej sztywnych rodzinnych portretów, ale te czarno-białe, działające na wyobraźnię kompozycje były jak portale, które przenosiły do odległych światów. Umieśniony koń stojący dęba pośrodku pustyni, z lśniącą grzywą falującą na wietrze niczym płomieniem. Przeszywające spojrzenie mężczyzny w turbanie, którego poorana bruzdami twarz zdradzała, jak wiele przeżył.

– Wspominałeś w mejlu, że twoja babcia była fotoreporterką.

Zatrzymał się i spojrzał na fotografię, której się przyglądałam.

– Tak. W tamtych czasach niewiele kobiet się tym zajmowało. Zanim wyszła za mojego dziadka, podróżowała po świecie i robiła zdjęcia do gazet.

– To jej praca?

– Nie inaczej. – Stojąc obok mnie, lekko wypiął pierś. – Praktycznie każde zdjęcie, które tu znajdziesz,

jest autorstwa babci. – Ruszył dalej. – Później cię oprowadzę, najpierw powinnaś ją poznać. Uwielbia przesiadywać w ogrodzie.

Przez drzwi balkonowe oddzielające kuchnię od ogrodu zobaczyłam starszą panią wtuloną w wiklinowy fotel. Ramiona okrywał jej chabrowy szal, a na kolanach leżał gruby zielony koc. Siedziała z zamkniętymi oczami i twarzą zwróconą ku słońcu, na której malował się spokojny uśmiech. Czułam się niemal jak intruz, tak ją nachodząc.

Sebastian chyba się tym nie przejmował.

– Cześć, babciu! – Podszedł do niej i złożył pocałunek na obu policzkach. Uniosła ramiona i delikatnie ujęła jego twarz. Widać było, że oboje się uwielbiają.

– Witaj, skarbie. – Jej czysty, silny głos nie szedł w parze z drobną, steraną czasem posturą. – Słuchałam ptaków i próbowałam złapać trochę słońca, zanim powróci nieuchronna zimowa szaruga.

Sebastian przywołał mnie do siebie gestem.

– Babciu, to jest ta znajoma, o której ci opowiadałem. Clover.

– Miło mi panią poznać, pani Wells. – Wyciągnęłam rękę na powitanie.

– Och, proszę, mów mi Claudia. – Uśmiechnęła się, zamykając moją dłoń w swoich dłoniach. – Rzadko mam okazję poznać przyjaciół wnuka.

Sebastian przeskoczył między nami wzrokiem, uradowany.

– Clover i Claudia. Fajne zestawienie.

– Coś jak dwie krnąbrne siostry z powieści Jane Austen – zauważyła babcia.

– A zatem miło cię poznać, Claudio – powiedziałam oczarowana jej niefrasobliwym tonem. – Zawsze chciałam mieć siostrę.

Claudia pochyliła się z zadziorną miną.

– Nie będziemy się przejmować jakąś głupią różnicą wieku. – Wskazała stojący obok wiklinowy fotel. – Proszę, usiądź. Sebastianie, zrobisz nam kawę?

Skinął posłusznie głową i zniknął w głębi domu.

– Wnuk mówił, że interesujesz się fotografią – zagadnęła, owijając się ciasniej szalem. Napięta tkanina dodatkowo uwypukliła kościsty łuk pleców.

Po raz kolejny poczułam urazę do Sebastiana za to, że zmusił mnie, abym oszukiwała tę uroczą starszą kobietę. Modliłam się w duchu, żeby moje policzki nie oblały się rumieńcem i mnie nie zdradziły.

– Owszem – odparłam najswobodniej, jak potrafiłam, czyli wcale nie swobodnie. Musiałam jednak przyznać, że fotografia to rzeczywiście interesująca dziedzina, więc może tak całkiem nie skłamałam. – Ale najchętniej posłuchałabym o twojej karierze fotoreporterki. W latach pięćdziesiątych to musiał być bardzo niekonwencjonalny zawód dla kobiety.

– Żebyś wiedziała. – Claudia zmarszczyła brwi i spojrzała na niebo. – Ojciec niemal się mnie wyrzekł, kiedy mu powiedziałam, co zamierzam robić. Na szczęście upór odziedziczyłam po matce, która zabroniła mi czegokolwiek mi zabraniać.

– Twoja matka wyprzedzała swoje czasy. – Podobało mi się to, że Claudia miała na ustach czerwoną szminkę, nawet jeśli tylko siedziała w ogrodzie.

– I tak, i nie – odpowiedziała z dłońmi elegancko złożonymi na podołku. – Zachęcała, żebym poszła do college’u i realizowała tę pasję tak długo jak to możliwe, czyli w jej mniemaniu do czasu, aż znajdę męża. Bo żadna praca nie powinna kolidować z małżeństwem. Tak twierdziła. Co więcej, od kobiet z naszej warstwy społecznej wręcz oczekiwano, że nie będą wstępować na ścieżkę kariery. No chyba że uznać, że „żona salonowa” to też zawód. Organizowanie gali i urządzenie wystawnych kolacji zapewne wymaga określonych umiejętności, ale mnie nigdy to nie rajcowało.

– A jak poznałaś męża?

– Był przyjacielem mojego brata – odparła. – Po studiach dostałam staż w redakcji magazynu informacyjnego, tutaj, w Nowym Jorku. Do tamtej pory nie przyjęli do siebie żadnej kobiety... No, a on już tu mieszkał. Brat i ojciec poprosili go, aby miał mnie na oku, i...

– Zakochałaś się? – Perspektywa romantycznej historii sprawiła, że w kończynach poczułam buzujące endorfiny.

– Niezupełnie. Wówczas miłość nie była wymogiem niezbędnym do zawarcia małżeństwa – oznajmiła oschle Claudia, ponownie poprawiając szal. – Powiedzmy, że się docenialiśmy, ale najważniejsze, że rodzice

uznali go za odpowiednią partię. A kiedy to zostało ustalone, moja krótka przygoda z fotoreportażem dobiegła końca. W obecnych czasach młode kobiety, takie jak ty, mają szczęście, że nie muszą wybierać między karierą a mężem i dziećmi.

Cóż, dla mnie mąż i dzieci właściwie nigdy nie wchodzili w rachubę, zatem i tak nie musiałabym wybierać. Chyba można więc było uznać, że mam szczęście – albo że jestem naprawdę żalosna.

Przyszedł tu jednak po to, żeby skupić się na życiu Claudii, nie na swoim.

– Racja – przyznałam. – Teraz mamy znacznie więcej swobody. Choć nie tyle, ile mogłybyśmy mieć i powinnyśmy. – Gdy tylko te słowa opuściły moje usta, pożałowałam, że ujawniłam osobiste poglądy. Zwykle starałam się zachować neutralność.

Niemniej na widok pełnego aprobaty uśmiechu Claudii zrozumiałam, że niepotrzebnie się martwię.

– Coś mi mówi, że się dogadamy, moja droga.

Kiedy Claudia ucięła sobie drzemkę na słońcu, weszłam z powrotem do środka. Sebastian zostawił nas, żebyśmy „się poznały”, a sam zajął się zadaniami, które powierzyła mu babcia. Wymiana żarówki w bibliotece. Dokręcenie kranu w toalecie.

Spacerując samotnie po domu, nie mogłam się oprzeć pokusie, żeby zajrzeć do pokoi odchodzących od przestronnego korytarza. W salonie również dominowała paleta neutralnych kolorów – lekko złamana biel i jasne odcienie szarości. Jedyne barwne akcenty to hortensje starannie zaaranżowane w prostych, kanciastych wazonach. Przywiodło mi to na myśl zabytkowe domy sławnych ludzi, które zwiedziłam w trakcie studenckich podróży – dom Moneta w Giverny czy Elvisa w Graceland. Zza lin podziwiał się typowe sceny domowe, niejako zamrożone w czasie, zupełnie jakby mieszkańcy wyszli tylko na chwilę. Wszystko w tym domu wydawało się surowe, sterylne i zupełnie niepasujące do tej ciepłej i pełnej życia kobiety, którą poznałam w ogrodzie.

Nagle na marmurowych schodach usłyszałam szuranie stóp, więc czmychnęłam z salonu na korytarz. Żyły pulsowały mi poczuciem winy. Sebastian pokonywał ostatnie stopnie z ogromnym futerałem na wiolonczelę – obejmował go oburącz w połowie, jakby próbował tańczyć walca z partnerką o bujnych kształtach. Skrzywił się, kiedy uderzył nim o ścianę, choć trudno było stwierdzić, czy bardziej przejął się instrumentem czy rysą na białej, nieskazitelnie czystej farbie.

– O, hej! – Oparł bulasty koniec futerału o podłogę. – Z babcią wszystko w porządku?

– Tak, przysnęła. Uznałam więc, że lepiej, jeśli nie będę jej przeszkadzać. – Spojrzałam zaciekawiona na futerał. – To jej wiolonczela?

– Nie, moja. Babcia lubi słuchać, jak gram, więc czasem przywożę instrument i, no rozumiesz, gram jej serenady, że się tak wyrażę.

To nowe, wrażliwe oblicze Sebastiana sprawiło, że złość na niego trochę mi przeszła. Pewnie miał swoje powody, aby uciekać się do kłamstwa, podobnie zresztą jak ja.

– To bardzo miłe z twojej strony – stwierdziłam. – Muzyka potrafi przynieść ukojenie umierającym.

Wzdrygnął się na moje ostatnie słowo.

– To nic wielkiego, ale chyba poprawia jej samopoczucie. Babcia czasem prosi, żebym grał i grał, a ona tylko siedzi i słucha z zamkniętymi oczami. Wygląda przy tym tak spokojnie, zupełnie jakby śniła o czymś przyjemnym.

Posłałam mu pokrzepiający uśmiech.

– Takie niby drobnostki z reguły mają największe znaczenie dla ludzi w tym stadium.

Zapadła niezręczna cisza; patrzyliśmy na wszystko, tylko nie na siebie.

Sebastian zerknął na zegarek.

– Cóż, muszę już lecieć. – Oparł wiolonczelę o frontowe drzwi i wyjął telefon. – Jedziesz do centrum? Mogę cię podwieźć.

– Och, nie, nie trzeba. Pojadę metrem. – W samochodzie musiałabym siedzieć obok Sebastiana i zdradzić mu swój adres, a to wydało mi się trochę zbyt... intymne.

– To nie problem. Mieszkasz gdzieś w okolicy West Village, prawda? Słyszałem, jak wspominałaś o tym babci. Mój zespół kameralny ma próbę obok NYU, więc podrzuciłbym cię po drodze.

Gdybym mu powiedziała, że wolę jechać metrem, to byłoby jawne kłamstwo. Mogłam sobie za to nagle „przypomnieć” o jakiejś sprawie do załatwienia w Upper West Side. Ale z drugiej strony chętnie skorzystałabym z okazji, żeby omówić przyszłe wizyty u Claudii. Akurat temu kłamstwu należało położyć kres.

– Gdybyś mógł mnie podwieźć do Washington Square Park, byłabym wdzięczna.

Rozpromienił się.

– Fajnie! Zamówię ubera.

Po krótkiej szarpaninie z wiolonczelą, która nie chciała się zmieścić do bagażnika, wsiedliśmy do lawendowej toyoty i ruszyliśmy wzdłuż Columbus. Za kierownicą siedziała Rhonda, blond Teksanka w średnim wieku. Kiedy jadąc, znaleźliśmy się na tyłach Muzeum Historii Naturalnej, ogarnął mnie smutek – spędziłam tu z dziadkiem niejedno popołudnie. Kolejny raz żal ścisnął mnie za serce w najmniej

spodziewanym momencie. Spojrzałam na siedzącego obok Sebastiana. Za kilka lat znajdzie pocieszenie w fakcie, że troszczył się o babcię w ostatnich dniach jej życia. Ale poczucie, że mógł zrobić więcej, pewnie i tak go nie ominie.

– Claudia wspominała, że tylko ty z waszej rodziny mieszkasz w Nowym Jorku.

Sebastian wydawał się zdziwiony, że przerwałam ciszę.

– Tak, tylko ja. Mama, tata i moje trzy starsze siostry wciąż mieszkają w Connecticut, w mieście, w którym dorastałam.

– Ale rzadko tu bywają?

– Przyjeżdżają na wakacje i takie tam. – Zaczął się bawić guzikiem przy rękawie koszuli. – Tata raz wpadł, kiedy jechaliśmy z babcią do gastroenterologa. To był jakiś jego znajomy ze studiów i chyba pociągnął za kilka sznurków, żeby w miarę szybko załatwić jej tę wizytę.

– Jaka była diagnoza?

Jego brązowe oczy zmętniały.

– Czwarte stadium raka trzustki.

– Przykro mi. – Pozwoliłam, żeby te słowa zawisły na kilka sekund w powietrzu. – Ile zostało jej czasu?

– W najlepszym razie około dwóch miesięcy.

– To musiał być dla was szok. Zwłaszcza dla niej.

– I w tym cały szkopał. – Sebastian wyraźnie się spiął. – Lekarz poinformował o tym najpierw mojego ojca, a ten poprosił go, żeby nie mówił babci, że ona umiera.

– Co? – Zwalczyłam w sobie pokusę, żeby wyrazić swój sprzeciw. Powinnam pozostać bezstronna. – To bardzo...

– Nieetyczne? Owszem. Wściekłem się na niego, kiedy kazał mi przysiąc, że się przed nią nie wygam. Twierdził, że lepiej dla niej, jeśli nie będzie wiedzieć. Wydaje mi się jednak, że po prostu nie potrafi jej tego przekazać. – Zdjął okulary i zaczął je polerować szalikiem. – Mógłbym się z nim jeszcze posprzeczać, ale w końcu chodzi o jego matkę. A w naszej rodzinie zawsze było tak, że słowo ojca jest święte. – W jego tonie wyczułam rozgoryczenie.

– Ale ona wie, że jest nieuleczalnie chora, prawda?

– Wie, że ma raka, ale raczej nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji.

– Twoi bliscy są świadomi, że wkrótce umrze, mimo to nie odwiedzają jej częściej? – No dobrze, trochę maglowałam Sebastiana. Trudno, musiałam się tego dowiedzieć, jeśli miałam nadal przychodzić do Claudii. Skomplikowane relacje rodzinne wymagają bardziej delikatnego podejścia.

Potwierdził ruchem głowy.

– Cóż, tak moja rodzina zawsze radziła sobie ze śmiercią: nie mówiąc o niej i udając, że nie nastąpi. Nie jesteśmy całkiem normalni.

– Ja bym powiedziała, że to dość normalne, przynajmniej w kulturze zachodniej. Właśnie rozmawianie o tym otwarcie należy uznać za nietypowe.

Rhonda zatrzymała się na światłach przed Centrum Lincoln, a Sebastian zapatrzył się na fontannę z wdziękiem wyrzucającą w powietrze pióropusze wody.

– Pewnie przyjadą, kiedy będzie już blisko końca – oświadczył w chwili, gdy światło zmieniło się na zielone. – Rok temu, jeszcze przed diagnozą, próbowali ją przekonać, żeby zamieszkała w jakiejś placówce opiekuńczej dla seniorów. Odmówiła. Dlatego załatwili jej opiekę domową. Selma przychodzi wczesnym rankiem, żeby pomóc babci wziąć prysznic, ubrać się i tak dalej, a potem o szóstej zmienia ją Joyce i zostaje na noc.

– A Claudii taka całodobowa opieka nie wydaje się dziwna?

– Nie sądzę. To znaczy, w żaden sposób tego nie komentowała. Tata oznajmił jej, że jeśli chce nadal mieszkać w domu, to musi się z tym pogodzić. Raczej nie może narzekać na brak miejsca.

– Do czego więc jestem potrzebna? – Claudia najwyraźniej miała do pomocy wystarczająco dużo osób, które nie musiały udawać, że interesują się fotografią.

– Cóż, Selma i Joyce są świetne, lecz tylko pilnują, żeby brała leki, i starają się zaspokoić jej codzienne praktyczne potrzeby. Nie siedzą z nią i nie ucinają sobie długich pogawędek o życiu.

Poczułam, że muszę stanąć w ich obronie – opiekunowie domowi naprawdę nie mają lekko.

– Trudno znaleźć na to czas, kiedy na głowie jest tyle innych rzeczy.

– No, nie wątpię – przyznał niemal ze skrucą. – Cóż, chyba po prostu liczyłem, że pomożesz babci z bardziej filozoficznej perspektywy. Tak żeby była lepiej... przygotowana, kiedy przyjdzie co do czego.

Ponownie zalała mnie fala empatii.

– Jest szczęściarą, że cię ma.

Wzruszył ramionami.

– Naprawdę dobrze mnie traktowała, kiedy dorastałem. Pod wieloma względami tworzyła mój azyl. Przynajmniej tak mogę się jej odwdziaczyć.

– Mnie i dziadka łączyła podobna więź. – Z reguły nie zdradzałam klientom osobistych informacji, ale te słowa po prostu się ze mnie wylały.

– Byliście ze sobą blisko?

– On mnie wychował.

– O, a co z twoimi rodzicami? – Ledwo to powiedział, uniósł dłoń, jakby chciał zatrzymać ruch na ulicy. – Nie, czekaj, zapomnij, że spytałem. To bardzo nietaktowne.

– Nie, nic nie szkodzi. Nie ma sensu udawać, że ludzie nie umierają. No i sama przed chwilą wypytywałam cię o babcię. – Nie pamiętałam, kiedy ostatnio rozmawiałam z kimś o swoich rodzicach. – Mieli wypadek na łodzi podczas wakacji w Chinach. Ich ciał nigdy nie odnaleziono.

– Współczuję. Przykra sprawa. – Życzliwość bijąca z jego oczu wydawała się szczerą.

Wzięłam głęboki wdech.

– Nikt nie chce stracić rodziców, ale szczerze mówiąc, słabo ich pamiętam. Miałam zaledwie sześć lat, kiedy zginęli.

– Jezu, nie zazdroszczę – rzucił.

Rhonda z zaciekawieniem przyglądała się nam w lusterku wstecznym. Wołałam nie rozprawiać o swoim życiu przy dwojgu obcych mi ludzi, więc wróciłam do tematu Claudii.

– Powiem szczerze, Sebastian, nie wiem, jak te moje wizyty powinny wyglądać, skoro twoja babcia nie zna prawdy. Kłamanie na temat fotografii i tak jest wystarczająco złe. A także, jak sam przyznałeś, poniekąd nieetyczne.

Znowu się skrzywił.

– Rozumiem. Ale może spróbujesz choćby przez dwa tygodnie? Wiem, że pewnie w końcu o wszystkim się dowie. Chcę jednak, żeby jeszcze trochę pożyła w błogiej nieświadomości. Nie żeby to, co przechodzi, było błogostanem.

– Jasne, rozumiem. – Nie dało się zaprzeczyć jego dobrym intencjom, nawet jeśli nie były całkiem moralne. – Ale bajeczka o tym, że przychodzę do niej kilka razy w tygodniu tylko po to, żeby porozmawiać o fotografii, wydaje się trochę naciągana. No i w takiej sytuacji nie zdołam wykonywać swojej pracy jak należy. Cała idea polega na tym, żeby pomóc drugiej osobie oswoić się z perspektywą nieuchronnie zbliżającej się śmierci. Zaprzeczanie temu faktowi mija się z celem.

– Wiem, wiem. – Westchnął ciężko. – Pogadam o tym z ojcem, ale proszę cię... powiedz, że na razie będziesz do niej przychodzić. Czuję się taki bezsilny. Gdybyś spędzała z nią czas, to przynajmniej miałbym poczucie, że coś dla niej robię, nie sprzeciwiając się przy tym woli ojca.

Nagle pomyślałam o dziadku. Dałabym wszystko, żeby móc umilić mu ostatnie dni – i chwile. Cóż, najwyżej poproszę Bessie, żeby poleciła mi jakieś książki o fotografii.

– Okej. – Westchnęłam. – Dwa tygodnie.

Kiedy Rhonda i Sebastian podrzucili mnie na plac Waszyngtona, zabawiłam tam jeszcze chwilę, obserwując dramaty rozgrywane się w parku dla psów. To kolejna z tradycji, które kultywowaliśmy z dziadkiem, gdy byłam mała. Każdej niedzieli w drodze powrotnej z księgarni przyglądaliśmy się temu spektaklowi, komentując hierarchię społeczną jego psich uczestników. W grupie zawsze znajdował się jakiś rozentuzjasmowany, beztroski szczeniak, za którym biegały inne psy, zachwycone jego wrodzoną pewnością siebie. Zazwyczaj był też jakiś nieśmiały pies, który nie przepadał za tymi hałaśliwymi zabawami i stał cicho na skraju parku, mając swojemu właścicielowi za złe, że każe mu cierpieć te katusze. Ten ostatni archetyp był mi bardzo bliski. Wchodzenie w interakcje z otaczającym nas światem bywa przytłaczające.

Ponieważ w drogerii wpadłam na Sebastiana i ostatecznie nie kupiłam żadnych witamin, zmierzając Szóstą Aleją, wstąpiłam do apteki. Po drugiej stronie przejścia między regałami rozpoznałam sylwetkę pewnego mężczyzny – opierał się o ladę, czarując młodą farmaceutkę opowieścią o starych dobrych czasach. Poczekaliśmy, aż uchyli rondo filcowego kapelusza i odwróci się w moją stronę.

– Witaj, nieznajoma! – Leo powitał mnie swoim niezawodnym szerokim uśmiechem. Ilekroć tak robił, w głowie zawsze słyszałam metaliczne „ding”, które rozbrzmiewało w komediach, kiedy ktoś błyskał złotym zębem.

Żartobliwie trąciłam go w ramię.

– Teraz to ty rozplynęłaś się w powietrzu. – Rzadko zdarzał się tydzień bez partyjki madzonga z Leo albo bez przypadkowego spotkania na schodach.

– Tak, tak – powiedział. – Wiesz, jak to jest, kiedy przyjeżdżają do ciebie goście i chcą, żeby ich oprowadzić po mieście. Przez jakiś czas robisz za lokalnego przewodnika.

Cóż, jako że nigdy nie miałam gości, nie wiedziałam.

Spojrzałam na pękata torebkę w jego ręce, z doczepioną receptą.

– Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym! – Potrząsnął białą papierową torebką; zagrzechotała jak marakasy. – Zrobiłem zapas tabletek na cholesterol, żebym mógł się dalej opychać cheeseburgerami.

– Leki na cholesterol tak nie działają, Leo. Chodzi raczej o to, żeby je przyjmować i przestać jeść tłuste rzeczy.

– Eee tam, wolę własną interpretację – odparł kpiarsko. – A skoro już o jedzeniu mowa, to masz teraz chwilę? Przegryziemy coś w barze?

W brzuchu już mi burczało.

– Tak, chętnie. – Witaminy mogły poczekać.

Poza tym, że bar stracił trochę blasku, wyglądał niemal tak samo jak zawsze. Wyblakłe laminaty i winylowe siedzenia przypominały pozostawioną na słońcu pocztówkę. Podobało mi się to, że od tylu lat nic się tu nie zmieniło – ten lokal był jak kapsuła czasu, która mnie karmiła.

Leo – wyraźnie w swoim żywiole – opowiadał sąsiedzkie ploteczki. Choć dziadek zawsze powtarzał, żeby nie zachęcać go do paplania o cudzym życiu, od czasu do czasu folgowałam swojemu przyjacielowi.

– No więc, przede wszystkim, w sklepie spożywczym rozegrał się koci dramat – obwieścił.

– Oho, intrygujące. – Właściwie nie potrzebował zachęty do rozwinięcia tematu, ale lubił wiedzieć, że ma oddanych słuchaczy.

– Kojarzysz tę grubą rudą kotkę ze spożywcza przy Grove?

– Tę, która się okociła między paczkami chipsów?

– Zgadza się. – Zdjął górną część bułki z cheeseburgera, żeby wyskubać pikle, po czym posłał mi zagadkowe spojrzenie. – Zaginęła w zeszły wtorek.

– Ktoś ją ukradł czy uciekła?

– Nie wiadomo. Ale teraz najlepsze: trzy dni później w tajemniczy sposób wróciła.

– Nie ma w tym nic tajemniczego, Leo – oznajmiłam, polewając francuskie tosty syropem. – Koty czasem znikają. Taka ich kocia natura.

– Ha! Oczywiście. – Zanurzył frytki w keczupie. – Ale czy wracają ze zmienioną płcią?

– Chcesz powiedzieć, że kot, który się pojawił, jest samcem?

Leo rozparł się na siedzeniu zadowolony, że udało mu się mnie zaskoczyć tym nieoczekiwanym zwrotem akcji.

– Tak.

– Aha, czyli ktoś go podmienił. – Połknęłam haczyk. – Kto mógł to zrobić? Nie mają tam kamer?

– Są wszędzie, z wyjątkiem alejki z chipsami.

– Więc jaką ukułeś teorię?

– Stawiam na szajkę rozmnażającą koty. Zobaczymy, czy za kilka miesięcy w sklepach zoologicznych nie przybędzie rudych kociąt.

Leo szurał nogami jeszcze wolniej niż zwykle, kiedy wracaliśmy do domu oddalonego o kilka przecznic. Przywykłam do tego, że w jego towarzystwie na ogół zwalням tempo, ale dzisiaj miałam wrażenie, jakby z każdym moim krokiem on robił dwa. A kiedy trzymałam go pod rękę, klucząc między nadchodzącymi pieszymi, kilka razy przechylił się w moją stronę.

Jak przystało na kapryśną wczesnomarcową pogodę, słońce ni stąd, ni zowąd schowało się za chmurami. Wielkie, z początku tylko sporadyczne krople zaczęły rozpryskiwać się na chodniku, a w ciągu kilku minut padał już rześisty deszcz. Kiedy jednak chciałam schronić się z Leo pod wąską markizą klubu jazzowego, on zaprotestował.

– To tylko trochę wody, mała. Poza tym, czy aż tak często nadarza się człowiekowi okazja, żeby pohasać w deszczu? – Spojrzał na niebo z szerokim uśmiechem. – Chciałbym się nim nacieszyć, póki jeszcze mogę.

Zachowałam tę chwilę w pamięci, żeby móc zawsze do niej wracać.

– Masz rację. – Ścisnęłam go mocniej za rękę, podążając za jego wzrokiem ku niebu.

Przez kolejne dziesięć minut staliśmy ramię w ramię, a krople deszczu spływały nam po policzkach.

Hej, C. Jestem zbyt leniwa, żeby wchodzić po schodach i pukać do twoich drzwi. LOL. Chcesz iść ze mną jutro na jogę? Ktoś musi mnie przypilnować, haha.

Był wczesny sobotni wieczór, kiedy mój telefon oznajmił nadejście tej wiadomości. Z jednej strony, to dobra okazja, żeby poobcować towarzysko z Sylvie bez większego zaangażowania – no i ucieszyłam się, że jej nie spłoszyłam po naszym spotkaniu w kawiarni. Z drugiej jednak strony, nigdy nie uprawiałam jogi i nie chciałam się zbłąźnić.

Spojrzałam na swoje notatniki i przypomniałam sobie radę, której tuż przed śmiercią udzielił mi pewien miły ogrodnik Arthur.

„Jeśli chcesz czegoś, czego nie masz, musisz zrobić coś, czego do tej pory jeszcze nie robiłaś”.

Tak na dobrą sprawę nigdy nie spędzałam czasu z inną kobietą w moim wieku – w każdym razie nie z taką, która nie była bliska śmierci. Pojawiła się więc szansa na to, żebym wreszcie nawiązała prawdziwą przyjaźń.

Przeczytałam kilkakrotnie wiadomość od Sylvie i przygotowałam kciuki do odpowiedzi.

Pewnie. O której?

Trzy kropki, potem żadnej. Wreszcie wiadomość.

O 8:00...? Ajć. Nie za wcześnie?

Przez chwilę rozważałam, czy się taktownie nie wykręcić.

Może być, tylko że nie znam się zbyt na jodze.

Lepiej, żeby nie miała zbyt dużych oczekiwań.

Sylvie odpisała natychmiast. Jak ona to zrobiła tak szybko?

Nie przejmuj się! Dam ci kilka wskazówek. Do zobaczenia na dole o 7:40. S xx.

Tak oto zamiast obejrzeć tego wieczoru francuską komedię romantyczną, przekopałam się przez serię filmików o jodze na YouTube. Staralam się zapamiętać niektóre pozycje, żebym nie wyszła na kompletną nowicjuszkę. Nie byłam zbyt gibka – niestety nie odziedziczyłam po mamie jej baletowego wdzięku. Miałam za to wzrost po dziadku – całe sto siedemdziesiąt pięć centymetrów, przez co moje kończyny wydawały się nieproporcjonalnie długie w stosunku do reszty ciała.

Kiedy rano zjawiłam się na frontowym ganku, Sylvie już na mnie czekała. Z matą do jogi przewieszoną przez plecy i termosem w ręce wydychała obłoki pary niczym wygimnastykowany smok ze sprężystym kucykiem.

– Clover, cześć!

– O, hej, Sylvie.

Podawała mi termos.

– Pomyślałam, że może będziesz chciała napić się kawy.

– Dziękuję. To naprawdę miłe. – Poczułam się otoczona opieką.

Sylvie machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć „drobiazg”, po czym odwróciła się i zeskoczyła ze schodów, pokonując dwa stopnie naraz.

– Przynajmniej tak mogę ci wynagrodzić to, że wyciągam cię z domu o barbarzyńsko wczesnej porze.

W drodze do studia jogi, które mieściło się dwie przecznice dalej, Sylvie nie przestawała trajkotać.

– Zdradzę ci co nieco o stałych bywalcach. Byłam tu może ze cztery czy pięć razy, ale chyba rozgryzłam większość osób – oznajmiła z nutką dumy. Moje skinienie głowy wystarczyło, żeby kontynuowała: – Instruktorka jest świetna, praktykowała w Indiach. Jedyne minus to jej nowozelandzki akcent, który zawsze mnie irytuje podczas medytacji, zwłaszcza to, jak wymawia słowo „kokon”.

Na tych filmikach z YouTube’a nie mówili o żadnych kokonach, więc miałam nadzieję, że uda mi się coś tam zaimprovizować. Mimo wszystko jednak ogarnęło mnie lekkie zwątpienie.

Sylvie ciągnęła:

– Przychodzi tu taki naprawdę seksowny facet; zawsze zajmuje miejsce w pierwszym rzędzie, pośrodku. Jest niesamowicie rozciągnięty, no i świadomy swojego wyglądu, więc przez to wydaje się jakby mniej atrakcyjny.

Zaśmiałam się nerwowo.

– No tak.

– Ach, przy okazji, wiesz, że w tym studiu prowadzą też zajęcia z psiej jogi? Powinnaś przyjść tu kiedyś z George'em! Na pewno mu się spodoba.

Ja akurat byłam pewna, że mu się nie spodoba.

Kiedy dotarliśmy do studia, które mieściło się na parterze kamienicy z piaskowca, z paniki moje i tak obolałe mięśnie jeszcze bardziej się spięły. Wielokrotnie przechodziłam obok tych tłumów ćwiczących joginów odzianych w lycrę i muszę przyznać, że nawet miło mi się na nich patrzyło z daleka. Ale myśl o tym, że miałabym się wyginać z nimi – albo co gorsza, że ktoś mnie zobaczy – była nieco przerażająca.

Drzwi zamknęły się za nami i jakimś cudem całkowicie wygłuszyły miejski zgiełk. Dzięki niewidocznym, sprytnie rozmieszczonym dyfuzorom w powietrzu unosiła się subtelna mieszanka zapachów eukaliptusa, lawendy i chyba mirry. Z równie zmyslnie ukrytych głośników dobiegały kojące dźwięki mis tybetańskich.

Sylvie posłała uśmiech mężczyźnie stojącemu za minimalistycznym drewnianym pulpitem, który zdobiło jedynie drzewko bonsai. Broda recepcjonisty, upstrzona kasztanowymi refleksami, była niepokojąco dobrze zadbana. Ciekawe, czy do zarostu na twarzy i do koczka na głowie używał tego samego grzebienia.

– Sylvie Anderson i Clover Brooks – obwieściła, a potem z przebiegłą miną zerknęła na mnie ukosem. – Znam twoje nazwisko ze skrzynki pocztowej.

– Czekał – powiedziałam, kiedy wkładaliśmy buty i torby do schowków pod wyściełaną ławką. – Ile jestem ci winna za te zajęcia?

Sylvie pokręciła głową.

– Nie martw się o to. Możesz zapłacić za następne.

Za następne? Nie byłam nawet pewna co do tych pierwszych.

Poczłapałyśmy do sali z jasną dębową podłogą i sztucznie postarzonymi betonowymi ścianami. We wnętrzu wznosiła się piramida jednakowo zwiniętych mat; cała konstrukcja przypominała stos polan. Sylvie podała mi jedną i odbiła w bok.

– Lubię rozkładać się przy oknie, żeby mieć na co popatrzeć, jeśli się znudzę, stojąc nieruchomo dziesięć minut w jednej pozycji.

Kiedy zaczęła wykonywać skomplikowane ćwiczenia rozciągające (ewidentnie umknął mi filmik, na którym radzono, żeby się rozciągnąć przed zajęciami polegającymi na rozciąganiu), usiadłam na macie i przyjrzałam się pozostałym osobom na sali. Ich stroje przylegały do każdego wyrzeźbionego mięśnia, a skóra wręcz promieniała blaskiem, co było albo zasługą wewnętrznego spokoju, albo drogich zabiegów pielęgnacyjnych.

Sylvie wskazała głową na środek pomieszczenia, gdzie muskularny mężczyzna o gładkiej cerze balansował na dłoniach z nogami założonymi na ramiona.

– To ten superseksowny i elastyczny koleś – wyszeptała. – Gdy tylko trochę się tu ociepli, zdejmie koszulkę. Idę o zakład, że wyłącznie na pokaz. Nie jest w moim typie. Ja wolę raczej chudzielców o artystycznej duszy. Ale może to ktoś dla ciebie? – Wymownie poruszała brwiami, kręcąc drugim nadgarstkiem.

Wyciągnęłam rękę w poprzek tułowia i próbowałam się ukradkiem zorientować, czy to „ktoś dla mnie”. Nigdy mnie o to nie pytano.

– Stąd trudno ocenić. – Liczyłam, że ta zdawkowa odpowiedź ją zadowoli.

Nagle naszą rozmowę przerwał jedwabisty głos, w którym pobrzmiwał nowozelandzki akcent.

– Witam wszystkich. – Z przodu sali stała drobna, umięśniona kobieta, cała na biało, w obcisłym kostiumie. Ciekawe, jak udało jej się dobrać odpowiednią bieliznę do tego stroju. – Mam na imię Amelie; bardzo się cieszę, że mogę was tutaj gościć – powiedziała łagodnie, jakby chciała ululić dziecko. – Dziękuję, że postanowiliście zacząć dzień w tym pięknym studiu we wspólnym gronie.

Sylvie zakasłała konspiracyjnie.

Muszę przyznać, że byłam z siebie całkiem zadowolona, bo nadażałam za większością wykonywanych ćwiczeń. Na pewno pomogło też to, że powtarzaliśmy je wielokrotnie, więc mogłam podejrzeć, co robią inni wokół mnie. Wyzwaniem okazało się za to utrzymanie na wodzy własnej wybujałej fantazji. Moje myśli szybko zaczęły krążyć wokół tego, dlaczego kobieta przede mną zdecydowała się na tatuaż iguany na plecach i czy tego żałuje. Albo wokół himalajskich lamp solnych mających poprawiać samopoczucie. To pewnie tylko placebo, ale może na wszelki wypadek warto sobie taką kupić. Sylvie musiała mnie parę razy szturchnąć, kiedy przyszło do zmiany pozycji. Dlatego żeby się skupić na ćwiczeniach, wybrałam do rozmyślań najbardziej nieciekawą rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

Kamień. Szary, nudny kamień.

– Mogę cię dotknąć?

To zaskakujące ciche pytanie padło z ust Amelie, która przechadzała się po sali i korygowała pozycje przybierane przez uczestników.

O to też nikt mnie jeszcze nie pytał. Zaczęły mnie piec uszy.

– Yyy, jasne, okej – odpowiedziałam szeptem, naśladując instruktorkę. W trakcie zajęć najwyraźniej obowiązywała niepisana zasada, żeby nie mówić normalnym tonem.

Stałam akurat w pozycji *uttanasana*, czyli głębokiego skłonu. Amelie uklękła przede mną i położyła mi obie dłonie na łopatkach. To uczucie stanowczego ciepłego ucisku było mi obce, ale przyjemne, a moje ciało wręcz ożyło.

Niebezpieczeństwo bujania w obłokach zostało zażegnane.

– Właśnie tak – wyszeptała czule Amelie. – Po prostu odyyyychaaaj podczas rozciągania.

Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś mnie tak długo i celowo dotykał. Często trzymałam swoich podopiecznych za dłonie, żeby dać im pociechę albo pomóc wstać z łóżka czy fotela, ale robiłam to wszystko z myślą o nich.

Teraz po raz pierwszy od wielu lat poczułam na sobie dotyk będący wyrazem troski i energii przeznaczonej wyłącznie dla mnie.

* * *

Zajęcia zakończyły się medytacją kierowaną, podczas której głos Amelie brzmiał jeszcze bardziej monotonicznie i chropawo.

– Wyobraźcie sobie, że otacza was pięcęgkne kojące światło, niczym złoty ko-kon – wyskandowała ostatnie słowo. Sylvie parsknęła śmiechem. – Ten ko-kon to wasze bezpieczne, uzdrawiające miejsce, w którym nic wam nie grozi – dodała instruktorka.

Otworzyłam oko i spojrzałam na Sylvie, która trzymała się za nos, żeby stłumić śmiech. Cała aż się trzęsła.

Rzeczywiście to, jak Amelie wymawiała „kokon”, wyraźnie dzieląc dźwięki, brzmiało trochę dziwnie – przypominało staccato refrenu piosenki *So Long, Farewell* śpiewanej przez rodzinę Trappów pod koniec koncertów. Starłam się nie ulec zaraźliwemu chichotowi Sylvie. Ale im bardziej się wzbraniałam, tym trudniej było mi się przed nim powstrzymać. W końcu po policzkach zaczęły spływać mi łzy – najpierw pojedynczo, potem strumieniami.

Amelie odchrząknęła ostentacyjnie.

– Pamiętaaaajmy, że spokój bierze początek w nas samych, w naszym złotym ko-konie.

W tym miejscu Sylvie dała za wygraną. Usiadła prosto i dotknęła mojego ramienia, którym wciąż wstrząsał śmiech.

– Zbierajmy się stąd – wyszeptała.

Nie patrząc na siebie nawzajem – ani na Amelie – zwinęłyśmy maty, po czym na paluszkach pokonałyśmy labirynt rozciągniętych na brzuchu, medytujących adeptów jogi. Miałam wyrzuty sumienia, bo zakłóciłam zajęcia, ale kiedy zabrałyśmy nasze rzeczy i uciekłyśmy ze studia, poczułam, jak zalewa mnie ciepła fala takiego cichego poczucia wspólnoty. Ruszyłyśmy truchtem wzdłuż przecznicy, jakby istniało ryzyko, że Amelie zacznie nas gonić w transowym amoku.

Za giem Sylvie zwołniła do marszu.

– Co porabiasz w tym tygodniu? – Rozpuściła włosy i ponownie związała je w kucyk. – Wciąż masz „wakacje”?

– Jutro widzę się z nową klientką.

– Super, opowiadaj.

– To starsza kobieta z Upper West Side. W latach pięćdziesiątych była fotoreporterką.

– Tak? Ale czad! Chciałabym ją poznać. Założę się, że to charakterna babka, skoro się tym zajmowała.

– Sylvie poprawiła pasek od maty przewieszony przez pierś. – Jak na nią trafiłaś? Swoją drogą, jak doule śmierci znajdują klientów?

– Poznałam jej wnuka. Najwyraźniej nikt jej nie odwiedza oprócz niego.

– Rany, smutne. – Na pochmurnej twarzy Sylvie nagle pojawiła się przebiegła mina. – Wnuka, mówisz? Fajny?

Policzki spłonęły mi rumieńcem.

– No, może.

– Może? Dziewczyno, z doświadczenia wiem, że albo ktoś ci się podoba, albo nie.

No dobra, już się nad tym zastanawiałam. Ale kiedy dotarło do mnie, że robienie ze zleceniodawcy obiektu zainteresowania jest bardzo nieprofesjonalne, stłumiłam tę myśl w zarodku.

Musiałam znaleźć jakiś zastępczy temat.

– No więc... jak ci idzie w The Frick?

– Och, w zasadzie dobrze. Na początku zawsze jest dziwnie. Poznajesz ludzi, wdrażasz się w nowe zadania i takie tam. No i jeszcze trzeba się zorientować w wewnętrznej polityce. W mojej branży panuje zaciekle rywalizacja. – Sylvie pomachała do przechodzącego obok jamnika, ignorując jego właściciela.

– Fakt, mój dziadek był profesorem na wydziale nauk ścisłych i opowiadał, jak wyrachowani potrafią być pracownicy akademicy.

– Totalnie. A najgorsze, że są strasznie pasywno-agresywni. Ja wolę mówić wprost zamiast dusić wszystko w sobie, ale wątpię, czy moi współpracownicy są w stanie znieść brutalną prawdę.

Podobało mi się to, że Sylvie jest szczerą i otwartą, bo nie musiałam się niczego domyślać. Dzięki temu nie czułam się zbyt nieswojo w jej towarzystwie. Byłam nawet lekko rozczarowana, że tak szybko dotarliśmy na nasz ganek.

– Dziękuję, że zwlekłaś się z łóżka, żeby pójść ze mną na jogę. Fajny poranek, no nie?! – Sylvie wsunęła klucz do zamka. – Serio, dawno się tak nie uśmiełam. Musimy to powtórzyć. O ile Amelie nam pozwoli.

– Byłoby super – odparłam zdziwiona, że naprawdę tak myślałam.

Kiedy wspinałam się po schodach, lekko piekły mnie pobudzone do życia mięśnie ud, a policzki lepiły mi się od łez wylanych ze śmiechu. Nagle dotarło do mnie, że poza pracą jeszcze nigdy nie spędziłam tyle czasu z kimś innym niż Leo.

Pomyślałam o Olive i jej radzie odnośnie do perfum. Wciąż nie znalazłam swojego ulubionego zapachu, ale po raz pierwszy od wielu lat poczułam, że moje życie zaczyna się zmieniać.

W dniu moich dwudziestych urodzin wschodzące słońce rozlało się po wulkanach górujących nad Antiguą w Gwatemali, pogłębiając intensywność odcieni ochry, w których utrzymana była barokowa architektura miasta. Moje kroki rozbrzmiewały na chłodnym bruku, aż dotarłam do zdobionej żelaznej bramy wewnętrznego dziedzińca, gdzie stała podniszczona mozaikowa fontanna, otoczona bujnym listowiem. Wokół dziedzińca siedzieli mieszkańcy pobliskiego budynku – seniorzy, czyli *abuelos*. Nie mając pieniędzy ani krewnych gotowych się nimi zaopiekować, spędzali oni zmierzch życia w tym oto domu pomocy społecznej. Niektórzy patrzyli w dal, inni przysypiali w ciepłym słońcu. Jak zwykle wszystko toczyło się w wolnym tempie i spokojnej atmosferze.

Byłam akurat w połowie swojego dwumiesięcznego pobytu między drugim a trzecim rokiem studiów. Mieszkałam u miejscowej rodziny, kilka przecznic dalej, i pomagałam jako wolontariuszka w domu opieki, który zmagał się z brakiem funduszy. Po raz pierwszy spędzałam urodziny bez dziadka, odkąd się do niego wprowadziłam. Przez ostatnie dwa lata studiowałam socjologię na Uniwersytecie McGilla w Montrealu, dzięki czemu nieco rozwinęłam skrzydła i poznałam nową kulturę, a od Nowego Jorku dzielił mnie tylko krótki lot samolotem. Zamierzałam pójść w akademickie ślady dziadka, tylko że zamiast studiować biologię, chciałam podróżować po świecie i zgłębiać różne zwyczaje związane ze śmiercią.

– Dzień dobry, Clover! – Bramę otworzyła mi Felicity, wolontariuszka, studentka medycyny z Vancouver. Pracowała w domu opieki przez cały semestr i tak bardzo lubiła rezydentów, że została również na wakacje, aby pomagać pielęgniarkom.

– Cześć, Felicity! Ładnie dziś wyglądasz – powiedziałam, kiedy za mną zamykała.

Nawet medyczna koszulka w kolorze złamanej bieli i gumowe chodaki nie potrafiły przyćmić jej naturalnego piękna: błyszczących czarnych włosów, rozświetlonej skóry i promiennego uśmiechu. Ponieważ jednak była rozbijająco szlachetna i szczerą, nie mogłam mieć jej tego wspaniałego wyglądu za złe.

– Och. – Spojrzała na siebie z zakłopotaniem. – To miłe z twojej strony, Clover. Ty też bardzo ładnie wyglądasz. – Choć wiedziałam, że mówi szczerze, miałam wrażenie, że to gruba przesada, zwłaszcza w porównaniu z tym, jak ona się prezentowała.

Spojrzała na zegarek.

– Muszę zacząć rozdawać leki. Na razie – rzuciła i ruszyła do budynku.

Kiedy przemierzałam dziedziniec, otoczyło mnie kilkoro podekscytowanych *abuelos*. Jako że byłam stosunkowo nową twarzą w ich szarej codzienności, moja obecność stanowiła dla nich miłą odmianę. Najwylewniej, jak zawsze, powitała mnie Rosita – drobna kobieta, raptem półtora metra wzrostu. Podeszła do mnie tanecznym krokiem z roziskrzonymi oczami i bezzębnym uśmiechem, emanującym radością. Choć była głucha i nie mówiła, nie miała najmniejszego problemu z wyrażaniem swojego zapału do życia. Kiedy objęła mnie w pasie, serce aż podskoczyło mi w piersi. Uwielbiałam te jej codzienne uściski – gdyby tylko wiedziała, jak rzadko doświadczałam tego, co ona tak chętnie oferowała.

Nie każdy prezentował tak entuzjastyczną postawę jak Rosita. Inni rezydenci siedzieli stępczo na wózkach. Ze spokojem patrzyli przed siebie, jakby szykowali się na to, że zostaną zignorowani, w pełni świadomi tego, że reszta społeczeństwa już dawno o nich zapomniała. Kiedy jednak witałam się z każdym z osobna, ich stoicyzm gdzieś ulatywał, a w smutnych dotychczas oczach zaczynała płonąć nadzieja, gdy z uznaniem odpowiadali mi szeptem po hiszpańsku.

W ciągu ostatniego miesiąca życie udzieliło mi jednej z najważniejszych lekcji. Podczas kilku pierwszych tygodni, które tu spędziłam, nieszczęsna sytuacja tych ludzi przepełniała mnie głębokim smutkiem. Wszystko, co widziałam, to ich choroby i słabnące ciała. Z czasem jednak zaczęło do mnie docierać, że uzalanie się nad nimi nie zmniejszy ich bólu. Najlepsze, co mogłam w tej sytuacji zrobić, to patrzeć im w oczy i traktować po ludzku. Wtedy właśnie przysięgłam sobie, że nigdy nie odwrócę wzroku od nikogo, kto cierpi, choćbym nie wiem jak tego chciała.

– *Buenos dias*, Clover – zawołał ktoś zza moich pleców z wyraźnym amerykańskim akcentem.

Tętno mi przyśpieszyło, kiedy się odwróciłam, modląc się w duchu, żeby zachować spokój.

– O, hej, Tim – wydukałam. – To znaczy, *buenos dias*.

Tim też był wolontariuszem. Pochodził z Seattle i zaczął pracować w domu opieki tydzień później niż

ja. Ponieważ to mnie przypadł w udziale zaszczyt, żeby pierwszego dnia oprowadzić go po placówce, zdążyliśmy się już w miarę dobrze poznać. W interakcji z ludźmi zawsze lepiej sobie radziłam, kiedy przyświecał mi jakiś cel. Poza tym jedną z zalet podróżowania do odległych miejsc, gdzie nikt cię nie zna, jest anonimowość i możliwość wystartowania z czystą kartą. W Gwatemali nie odbierano mnie jako dziwną samotniczkę; byłam zabawna, pewna siebie i żądna przygód. A przynajmniej na taką się kreowałam przez ostatni miesiąc.

– Rany, ale mam kaca – poskarżył się Tim, choć jego opalone atletyczne ciało pływaka nie zdradzało braku formy.

– Zabalowałaś wczoraj? – Czułam, że muszę rzucić jakiś lekki tekst, żeby to nie zabrzmiało jak przesłuchanie. – Praca na kacu to mordęga. – Tak w każdym razie słyszałam.

– Och, żebyś wiedziała. – Zdjął czapkę z logo Seahawks i podrapał się po głowie. – Z paroma wolontariuszami wbiliśmy wczoraj do baru z tequilą.

– A, okej. – Nikt mi nie wspominał o żadnym grupowym wyjściu.

Ścisnął mnie za ramię.

– Zaprosilibyśmy cię, Clover, ale to wypadło dosłownie w ostatniej chwili.

Przykleiłam na twarz uśmiech.

– W porządku. I tak byłam zajęta. – Zajęta pisaniem dziennika, ale w zasadzie nie skłamałam.

Rosita, która wciąż kurczowo trzymała się mojej talii, podniosła rękę i żartobliwie pociągnęła za szelkę jego plecaka.

Tim spojrział na nią trochę bezradnie; wyraźnie nie wiedział, jak zareagować.

– Och, cześć, Juanita. – Rozejrzał się z pewnym zakłopotaniem. – Idę się wpisać. Muszę odnotować swoją obecność, skoro właśnie z tego powodu tu jestem. – Nachylił się do mnie i zniżył głos. – Wielkie firmy finansowe lubią, kiedy kandydaci do pracy mają w życiorysie jakieś dobre uczynki.

Poranna wilgoć przyniosła aromat żółtego jaśminu. Dziedziniec pachniał subtelną słodyczą, kiedy ruszyłam z Rositą do środka. Moje obowiązki tego dnia sprowadzały się do czegoś, co wspomniałobyś nazywano „terapią zajęciową”. Chodziło o pomoc w układaniu puzzli albo tworzeniu dzieł sztuki z подарowanych materiałów, takich jak plastikowe sztuczce, papierowe talerze i stare guziki. Na ogół jednak po prostu pilnowałam *abuelos*, kiedy siedzieli jak urzeczeni przed pudłowym telewizorem stojącym na szafce i śledzili akcję meksykańskiego serialu, która posuwała się naprzód w tempie lodowca.

Kiedy weszłam do pokoju, *abuelos* już tworzyli swoje arcydzieła. Wszyscy rezydenci domu opieki otrzymywali ten sam standardowy komplet ubrań – mężczyźni szare koszulki w serek i spodnie w kancik, a kobiety zwykle proste sukienki z jednakowym kwiecistym deseniem. Zawsze się zastanawiałam, jacy byli w młodości, zanim w ogóle przyszło im do głowy, że społeczeństwo może o nich zapomnieć – albo przynajmniej przestać ich cenić. Potrafiłam co nieco wywnioskować na temat ich osobowości ze sposobu, w jaki się nosili. Podczas gdy jedni porzucili dotychczasowe nawyki związane z higieną albo nie byli już w stanie o siebie dbać tak jak dawniej, inni szczylicili się własnym wyglądem – na przykład José, który zawsze zaczesywał krótkie włosy gładko na bok, albo Pilar, która zwijała warkocze i upinała je w schludny kok. Do tego dochodziły jeszcze drobne, choć znaczące ozdobniki, które wyróżniały ich prawie identyczne stroje – falbaniasty fartuszek Valerii, naszyjnik z koralików Carmen i szydełkowy sweter Fernandy.

Byłam ciekawa, o czym marzyli w moim wieku. Co chcieliby zrobić inaczej teraz, kiedy wiedzieli, że koniec już blisko?

W rogu pokoju na sfatygowanym krześle siedział džentelmen o okrągłej twarzy, z dłońmi splecionymi na kolanach, i czekał cierpliwie, aż do niego przyjdę. W zeszłym tygodniu Arturo oznajmił mi z dumą, że jest poetą, ale odkąd jego palce opanował artretyzm, nie mógł już zapisywać swoich dzieł. Zaoferowałam więc, że go wyręczę, i przez kilka poranków uważnie notowałam jego poetyckie spostrzeżenia na temat życia i miłości.

Dzisiejszy wiersz mówił o tym, aby pamiętać, że na każdego gdzieś czeka wielka miłość, nawet jeśli się na nią jeszcze nie trafiło.

– Do czasu, aż się spotkamy, będę spoglądał na księżyc, bo to jedyna rzecz, jaką dzielimy – wyrecytował po hiszpańsku, a jego ciemne tęczówki wręcz rozbłysły.

– Jakie to romantyczne – zachwyciłam się oczarowaną nieskrępowaną sentymentalnością mężczyzny.

– Ty na pewno znalazłaś już kogoś wyjątkowego. – Delikatnie trącił mnie łokciem.

– Może i tak – odparłam, odwzajemniając kuksańca.

Miał rację – i byłam pewna, że Tim czuje to samo, co ja. Przez ostatnie dwa tygodnie skrupulatnie dokumentowałam w dzienniku wszelkie oznaki, które wskazywały na odwzajemnioną sympatię. To, jak mnie obejmuje, kiedy ze mną rozmawia. Albo jak mnie prosi, żebym rozmasowała mu zeszywniałe ramiona. Ilekroć chciał, żeby ktoś przejął jego zmianę, najpierw zwracał się do mnie, bynajmniej nie dlatego, że radziłam sobie najlepiej z *abuelos*, tylko po prostu wiedział, że może na mnie liczyć. A kiedy raz poszliśmy na drinka z innymi wolontariuszami, koniecznie chciał siedzieć obok mnie i nawet ścisnął mnie za kolano, gdy za niego zapłaciłam, bo zapomniał portfela.

Jako nowoczesna, niezależna kobieta uznałam, że nie muszę czekać, aż to on wykona pierwszy ruch. A moje urodziny wydawały się idealną okazją do tego, żeby wyjść z inicjatywą. Zamysł był taki, że pod koniec naszej zmiany, kiedy wszyscy rezydenci dostaną kolację, wyjawię mu, że mam urodziny, i zapytam, czy nie wyskoczyłby ze mną do restauracyjki na rogu, żeby to uczcić.

Wtedy wyznam mu swoje uczucia.

Obmyśliłam już nawet plan, jak utrzymać nasz związek na odległość, kiedy on wróci do Seattle, a ja do Montrealu. Ogólnie to duże wyzwanie, ale zrobiłabym wiele, żeby się udało. Może nawet poszlibyśmy na studia podyplomowe w tym samym mieście. Istniała duża szansa, że przeniesie się do Nowego Jorku – w końcu to jedna z finansowych stolic świata.

Byłam naprawdę podekscytowana tą myślą. Liczyłam, że wreszcie przeżyję swój pierwszy pocałunek.

Brzęczenie dzwonka w domu opieki zasygnalizowało, że czas na kolację. Przywiązani do swoich nawyków *abuelos* powłóczyli nogami do ascetycznej stołówki i zajęli miejsca przy długich stołach.

Nagle poczułam, że ktoś ścisnął mnie za ramię. Zdenerwowałam się jeszcze bardziej, kiedy Tim nachylił się do mojego ucha i wyszeptał:

– Hej, *señorita* Clover, mogłabyś mnie zastąpić na piętnaście minut? Muszę szybko coś załatwić.

W moim brzuchu zatrzepotała cała chmara motyli, kiedy przysunęłam się do niego, żeby odpowiedzieć – także szeptem – napawając się tą chwilą intymności w chaosie panującym na stołówce.

– Jasne.

Ponownie ścisnął mnie za ramię.

– Jesteś wielka.

Biegałam jak kot z pęcherzem, obsługując jego stoliki i swoje. W pocie czoła wydawałam rezydentom ich standardowe porcje ryżu z fasolą oraz flan. Ale ani trochę nie było mi żal, że się zgodziłam zastąpić Tima. Związki wymagają poświęceń – miałam okazję pokazać, że chętnie zadam sobie dodatkowy trud.

Czterdzieści pięć minut później, kiedy Tim wciąż się nie pokazywał, zaoferowałam również, że pozmywam za niego naczynia. Pewnie coś go zatrzymało – w końcu w Antigu wszystko dzieje się wolniej.

Podczas gdy ogromny przemysłowy zlewozmywak napełniał się gorącą wodą, upchnęłam włosy pod siatką i zauważyłam, że butelka z płynem do mycia jest niemal pusta. Wszyscy w kuchni sprawiali wrażenie zabieganych, więc sama poszłam poszukać nowej. Ruszyłam wąskim korytarzem do magazynu. Po drodze przystanąłam na chwilę, żeby rozgnieść karalucha. Na miejscu okazało się, że magazyn jest zamknięty – dość nietypowe, ale ktoś pewnie chciał dobrze, naiwnie zakładając, że to powstrzyma insekty. Otworzyłam drzwi szarpnięciem i po omacku zaczęłam szukać włącznika światła. Najpierw usłyszałam czyjś chichot, potem odgłos gwałtownie wciąganego powietrza, kiedy migocząca jarzeniówka rozświetliła ciemność.

W rogu pomieszczenia stali Tim i Felicity, spleceni kończynami i zespoleni ustami. Nawet w ostrym blasku skóra i włosy Felicity wciąż pięknie błyszczały.

Udając niewzruszoną, poprawiłam siatkę na głowie, weszłam głębiej i zdjęłam z półki detergent. Potem bez słowa opuściłam magazyn i delikatnie zamknęłam drzwi.

Kiedy stałam w korytarzu ze złamanym sercem, nauczyłam się drugiej, jakże ważnej w życiu rzeczy.

Znacznie łatwiej mierzyć się z cudzym bólem niż z własnym.

Butelka pinot noir ciążyła mi w dłoni, kiedy stałam przed drzwiami Sylvie. Po raz pierwszy ktoś mnie do siebie zaprosił na przyjacielską kolację, więc miałam poczucie, że to naprawdę doniosła chwila.

W ogóle się nie orientowałam, w jakich winach gustuje moja sąsiadka, dlatego opisałam ją pobieżnie sprzedawcy w sklepie z alkoholami. Ten z kolei uznał, że tasmańskie pinot noir będzie dość zuchwałym, acz świetnym wyborem dla kogoś tak obytego.

– Niektórzy grają zachowawczo i kupują kalifornijskiego merlota albo cabernet sauvignon – oznajmił z nieskrywaną wyższością, która chyba była wymogiem, jeśli chodzi o pracę w takim przybytku. – Ale skoro pani przyjaciółka dużo podróżowała i lubi wyzwania, to myślę, że tasmańskie czerwone wino powinno ją mile zaskoczyć.

Moja przyjaciółka. To wyrażenie przez chwilę tłukło mi się po głowie, aż nagle poczułam w żołądku dziwny niepokój.

Z ręką zawieszoną w powietrzu, gotową zapukać do drzwi Sylvie, po raz ostatni przyjrzałam się swojemu strojowi. Nie wychodziłam z budynku, więc wolałam, żeby nie wyglądało tak, jakbym się specjalnie wystroiła. Niemniej nie chciałam też sprawiać wrażenia, że mi nie zależy – a w domu czasem ubierałam się niechlujnie. Ostatecznie postawiłam na dżinsy i swój najładniejszy wełniany sweter.

Nabrałam powietrza i zapukałam trzykrotnie. Odgłos kroków dobiegających z mieszkania spotęgował moje zdenerwowanie. Drzwi się otworzyły i w progu ujrzałam Sylvie z tym charakterystycznym promiennym uśmiechem. Oczywiście wiedziałam, że Sylvie uśmiecha się sama z siebie, bez względu na to, kogo ma przed sobą. Ale jej ciepłe wystudiowane spojrzenie zawsze sprawiało, że czułam się tak, jakbym była znacznie bardziej interesująca niż w rzeczywistości.

– Clover! Tak się cieszę, że przyszłaś. Od rana czekałam, aż będziemy mogły porozmawiać. – Przesunęła się i zamasztył gestem ręki zaprosiła mnie do środka. – Za mną kiepski dzień w pracy i chcę już tylko o nim zapomnieć. Cudownie ujrzyć przyjazną twarz!

– Miło, że mnie zaprosiłaś. – Nie przywykłam do tak entuzjastycznych powitań. Wyciągnęłam w jej kierunku wino. – Dla ciebie.

– Ooo, dzięki. – Obróciła butelkę w dłoniach, żeby przeczytać etykietę. – Australijskie, czerwone. Dobrze mnie znasz.

Już chciałam podziękować za komplement, ale akurat tego kłamstwa mogłam uniknąć.

– Facet ze sklepu pomógł mi wybrać.

Sylvie zmrużyła jedno oko.

– Mówisz o winiarni przy Trzeciej Zachodniej? I o tym wkurzającym typie, który rozmawia z tobą tak, jakbyś nigdy w życiu nie widziała winogron, a tym bardziej wina?

– Owszem, był trochę protekcyjny. – Ulżyło mi, że nie tylko ja odniosłam takie wrażenie.

– „Trochę” to mało powiedziane – stwierdziła. – Czasem lubię tam wpadać i wypytywać go o mało znane trunki, a potem patrzeć, jak się wiję, bo nie wie, co powiedzieć. Moja macocha produkuje wino, więc ufam jej bardziej niż jemu. – Podniosła butelkę. – Pewnie wściekłyby się, gdyby wiedział, że kupujesz je dla mnie.

Wszystko, na co się zdobyłam, to nerwowy śmiech.

– Otwórzmy je, dobrze? – Podeszła cicho do stołu kuchennego. – Czy mogłabyś zdjąć buty?

Zatrzymałam się w pół kroku, zanim zdążyłam postawić stopę na podłodze, i cofnęłam się pod drzwi zawstydzona, że naruszyłam zasady panujące w domu Sylvie.

– Oczywiście, przepraszam. – A co ze skarpetkami? Na wszelki wypadek je też ściągnęłam.

– Nie ma sprawy. – Sylvie uśmiechnęła się szeroko. – Przez kilka lat mieszkałam w Japonii i jakoś nie mogę się zmusić do noszenia obuwia w domu. – Wskazała stołki barowe przy blacie. – Usiądź sobie!

Pod względem rozkładu jej mieszkanie było wierną kopią mojego, tyle że w ciągu ostatnich dwudziestu lat zostało zmodernizowane. Jeśli chodzi o naprawy, ja ograniczałam się tylko do nagłych wypadków, takich jak zalana toaleta, żeby nie dawać gospodarzowi powodu do podnoszenia mojego niskiego czynszu, który obrósł już miejską legendą. Niemniej pod względem estetyki lokum Sylvie stanowiło antytezę mojego. I u niej, i u mnie znajdowało się dokładnie tyle samo okien, z dokładnie takim samym widokiem, ale z niezrozumiałych

powodów w jej mieszkaniu było znacznie jaśniej, nawet o zmierzchu.

– Jeszcze się urządzasz? – spytałam, przyglądając się minimalistycznemu wystrojowi. Ani jeden odcień w całej palecie nie odbiegał od bieli, kremowego, jasnej szarości czy koloru drewna. Nad sofą wisiał abstrakcyjny obraz, ale poza tym iście alabastrowe ściany były gołe. Na stoliku kawowym i kredensie leżały równe stosiki książek, których grzbiety kolorystycznie harmonizowały z otoczeniem. Półki tymczasem niemal świeciły pustkami. Zauważyłam zaledwie parę rozmieszczonych z rozmysłem lakierowanych ceramik, świecę, która wyglądała na drogą, i szklany wazon z zasuszonymi liśćmi eukaliptusa. Mimo to jakimś cudem to wszystko tworzyło przytulny nastrój.

Sylvie się roześmiała.

– Nie, tak ma być. Chyba udzielił mi się też cały ten japoński minimalizm. Choć zawsze skłaniałam się ku stylistyce Agnes Martin. – Rozejrzała się po swoich skromnych wnętrzach. – Boże, jestem stereotypowym milenialsem, prawda?

– Nie zbierasz pamiątek z podróży czy czegoś w tym stylu? – Nawet jeśli to był głupi magnes na lodówkę, zawsze przywoziłam jakiś drobiazg z odwiedzonych miejsc. Przez pewien czas kolekcjonowałam kamienie i muszelki, dopóki nie uświadomiłam sobie kulturowych i duchowych konsekwencji wynikających z ich rozgrabiania.

Sylvie zmarszczyła nos.

– Nie, nie lubię gromadzić rzeczy. Wystarczą mi wspomnienia tego, co przeżyłam. Ale ilekroć dokądś jadę, staram się wybrać na warsztaty kulinarne, żeby nauczyć się przyrządzać jakąś lokalną potrawę. A skoro o tym mowa... – Powietrze wypełnił zapach kokosa i trawy cytrynowej, kiedy uniosła pokrywkę lekko bulgoczącego garnka. – Mam nadzieję, że smakuje ci tajska kuchnia.

Po kolacji, którą jadłyśmy, siedząc na poduszkach przy stoliku kawowym, przycupnęłyśmy po przeciwnych stronach sofy i zaczęłyśmy rozpijać butelkę shiraza od macochy Sylvie. Wkrótce już paliły mnie policzki, więc chyba trochę się wstawiłam. Gdybym się nie bała, że poplamie winem nieskazitelnie czyste meble sąsiadki, pewnie całkiem bym się rozluźniła.

– Jak ci idzie z nową klientką? – Sylvie siedziała na boku z podkulonymi nogami.

– Miałaś rację – odparłam, zwracając uwagę na jej elegancko pomalowane paznokcie u stóp. Może ja też powinnam sobie pomalować? – Anegdutki Claudii z życia fotoreporterki są naprawdę interesujące.

Sylvie spojrzała przebiegle znad kieliszka.

– A jak się miewa jej wnuk? Jak mu tam?

– Sebastian. – Kiedy wymówiłam jego imię, poczułam się niepewnie, zupełnie jakby zaraz miał się zjawić w pokoju. – W porządku. A co?

– Nic, po prostu pomyślałam, że może poznałaś go trochę bliżej i zaiskrzyło.

– To mój zleceniodawca – zaprotestowałam. Chyba powinnam wyjaśnić, że mój rumieniec na twarzy to efekt wina.

– Wiadomo, ale nie oszukujmy się. To praca na czas określony – zauważyła. – Kiedy babcia umrze, on przestanie być twoim szefem, więc będziesz z nim mogła robić, co tylko chcesz. Nawet jeśli miałyby to być przelotna zabawa. Taki układ, coś na zasadzie przyjaciół do łóżka.

– Och. – Przeniosłam wzrok na obraz wiszący nad sofą i udałam, że fascynuje mnie jego kojąca geometria.

– Ale może to nie w twoim stylu. – Uśmiech Sylvie trochę mnie pokrzepił. – Dla wielu ludzi w grę wchodzi jedynie związek.

– Cóż... – Nie byłam pewna, czy jestem gotowa wdawać się w takie rozmowy. Ale jeśli miałam dalej spotykać się z Sylvie, czego chciałam, to pewnie prędzej czy później musiałabym do tego przywyknąć. – Chodzi raczej o to, że jeszcze nigdy nie miałam okazji... spróbować.

– Czego? Seksu? Czy bycia w związku?

– Yyy, ani tego, ani tego. – Może gdybym powiedziała to szeptem, szok byłby mniejszy.

– Och, rozumiem. – W reakcji Sylvie nie wyczułam jednak oczekiwanej krytyki.

– Czyli jesteś asem?

– Asem?

– No wiesz... osobą aseksualną? To naprawdę bardzo spoko. Mam trochę takich znajomych. Nigdy nie zastanawiałam się nad tym, jak bym się określiła pod względem seksualnym.

– Nie, chyba nie. To znaczy, czuję pociąg do innych.

– Do facetów? Czy do kobiet? A może do obu płci? Osobiście wolę się nie ograniczać. – Rozciągnęła usta w uśmiechu. – Nigdy nie byłam zwolenniczką binarnego sposobu myślenia.

Przypomniałam sobie wszystkie osoby, w których się kiedyś podkochiwałam – fikcyjnych bohaterów, nieznanym z metra, profesorów uniwersyteckich, Tima – i oznajmiłam:

– Pociągają mnie raczej faceci.

To niby nie sensacja, ale kiedy wymówiłam te słowa, obudziło się we mnie coś, czego wolałam nie budzić.

Sylvie aż usiadła prosto.

– To czemu z nikim się nie umawiałaś? Fajna z ciebie laska. Wiesz o tym, prawda? Mądra, obyta w świecie, miła, spostrzegawcza, zabawna...

Jej opis bardzo mi schlebiał – przy Sylvie, która była istnym wulkanem energii, zawsze czułam się nudna i nijaka.

– Nie wiedziałam za bardzo, jak się do tego zabrać. – Wzruszyłam ramionami. – Wiem, że wystarczy po prostu poczekać i pozwolić, żeby to się zadziało zupełnie spontanicznie, ale kiedy tak robiłam, jakoś nigdy nie wychodziło. Nikt mnie nigdy nie zauważał.

Sylvie spojrzała na mnie życzliwie, lecz bez politowania.

– Jestem pewna, że ludzie cię zauważają, Clover. Może powinnaś się po prostu bardziej otworzyć, żeby też to dostrzec. I móc podjąć odpowiednie kroki.

– Ale randkowanie jest takie nieprzewidywalne. Zawsze wolałam skupić się na tym, co można badać i studiować, co opiera się na jakichś zasadach. – Czułam, że zaczynają mnie zjadać nerwy. – A z miłością nigdy nic nie wiadomo. Zwyczajnie nie rozumiem, jak to działa.

– Jak to działa? Cóż, w tym właśnie szkopał. Nikt nie kuma miłości. Każdy, kto twierdzi inaczej, kłamie albo żyje w ułudzie. Wszyscy odkrywamy to na bieżąco.

– A jeśli się pomyślę co do partnera? Albo będę w tej relacji naprawdę kiepska? – Nie było już odwrotu, więc równie dobrze mogłam być do bólu szczerą. – Jeszcze z nikim się nawet nie całowałam.

– Nigdy nie będziesz w tym dobra, jeśli nie zbierzesz się na odwagę i nie spróbujesz. – Sylvie rozlała do kieliszków resztkę wina. – Miłość przypomina trochę drapanie się w miejscu po ukąszeniu komara: sprawia ból, ale wywołuje też euforię. Po prostu przestań analizować i zdej się na swoje serce.

Nawet nie próbowałam ukryć zakłopotania.

– Tylko że to też trochę przerażające.

– Oczywiście! Ale właśnie dlatego warto o to zawalczyć – powiedziała z przekonaniem Sylvie. – Ludzie na łożu śmierci żałują, że czegoś nie zrobili, prawda? W kółko ci o tym mówią. A ty, idę o zakład, żałujesz tego, że nawet nie podjęłaś próby, aby nawiązać z kimś intymny kontakt.

Sylvie miała rację, lecz nagle przypomniał mi się ten jeden raz, kiedy faktycznie spróbowałam – a raczej prawie spróbowałam.

Zamiast rozumu posłuchałam serca i ostatecznie tego pożałowałam.

Deszcz lał jak z cebra, kiedy dotarłam do domu Claudii na nasze trzecie spotkanie – punkt czternasta. Drzwi otworzyła kobieta w kwiecistej koszulce medycznej z wysoko upiętym kokiem w kolorze espresso.

– Clover, tak? Selma. Wygląda na to, że będziemy się często spotykać. – Jej ton mówił sam za siebie. – Claudia jest w kuchni. Prosiła, żebym cię wpuściła.

– Dziękuję. Miło cię poznać, Selmo. – Patrzyłam, jak wkłada granatową wiatrówkę; na lewym ramieniu rozpoznałam emblemat programu domowej opieki zdrowotnej. – Idę po kawę, ale wrócę za jakieś pół godziny. Powinna zjeść sałatę, którą zrobiłam jej na lunch. Nie daj się podejść, niech cię nie namówi na śmieciowe jedzenie.

– Jasne.

Kiedy przemierzałam korytarz, moje kroki rozbrzmiewały echem, podkreślając panującą w domu pustkę, zarówno jeśli chodzi o ludzi, jak i przedmioty. Czarno-białe zdjęcia na ścianie przypominały mi o kłamstwie, w którym musiałam trwać – wczoraj do późna wbijałam sobie do głowy podstawy fotografii.

Przysłona. Zasada trójpodziału. Balans bieli.

Zamierzałam zasypać Claudię pytaniami, a potem w razie potrzeby jedynie podtrzymywać rozmowę. Na szczęście teraz przynajmniej przygotowałam sobie grunt. Sylvie miała niewiele rzeczy, ale tak się składa, że jedną z nich był dość drogi aparat cyfrowy. I z ogromną przyjemnością mi go pożyczyła.

– Żartujesz? Weź mój! – powiedziała, kiedy zapytałam, czy może mi doradzić przy kupnie aparatu. – Wkręciłam się w tę fotograficzną grę z umierającą staruszką i jej wnukiem. To dla mnie zaszczyt, jeśli będę mogła odegrać małą rolę w ich rodzinnej sadze.

Claudia siedziała na ławie w kąciku śniadaniowym. Przyglądała się mżawce znaczącej szybę mokrymi smugami.

– Moja kochana Clover. – Uśmiechnęła się; siateczka zmarszczek pokryła jej twarz. – Tak się cieszę, że przyszaś. Chodź, usiądź.

– Dzień dobry, Claudio! – Osunęłam się na ławę obok niej. – Po drodze poznałam Selmę.

– Ach, tak, Selma. Bardzo kategoryczna kobieta. Nic, tylko mnie poucza, żebym o sobie dbała i zjadała warzywa, jakbym była dzieckiem.

– Na pewno ma dobre intencje. – Z doświadczenia wiedziałam, że praca z pełnymi werwy, upartymi staruszkami na ogół wymaga pewnej dozy asertywności. Nie dziwota, że Selma zachowywała się dość szorstko.

– Wiem, wiem. Robi tylko, co do niej należy. – Mrugnęła do mnie. – Ale życie zawsze staje się bardziej interesujące, jeśli jest w nim miejsce na małą debatę. Lubię o niej myśleć jak o swoim adwersarzu.

Ja też puściłam do niej oczko.

– Rozumiem.

– No więc, skoro nie ma kota, to może myszy trochę poharcują?

– Czyli? – Uznałam, że lepiej zachować ostrożność, dopóki nie wiem, na co się piszę.

Na ustach Claudii zaigrał nikczemny uśmiezek.

– Pomożesz mi trochę nagiąć zasady?

– To znaczy?

– Mam ochotę na małe co nieco. – Ruchem głowy wskazała wielki ceramiczny słoik na jednej z półek nad zlewozmywakiem. – Poprosiłam Maxwella, uroczego dżentelmena, który przychodzi mnie czesać, żeby schował dla mnie kilka paczków z cukrem pudrem. Pozwólmy sobie na jednego lub dwa.

Zastanowiłam się nad tą propozycją. Stałam raczej po stronie Claudii, nie Selmy. A moim zadaniem było umilić starszej pani jej ostatnie dni, nawet jeśli o tym nie wiedziała.

W końcu rozejrzałam się ukradkiem, jakby istniało ryzyko, że ktoś nas przyłapie – choć dobrze wiedziałam, że Selma wróci dopiero za pół godziny – i oznajmiłam:

– Jestem za.

Kiedy schowałam wszystkie papierki po paczkach do kieszeni, usiadłyśmy przy stole. Na blacie znajdowała się zaimprovizowana martwa natura: miska z owocami i porcelanowy czajnik.

– Nigdy nie przepadałam za tymi nudnymi kompozycjami, gdzie centralne miejsce zajmują

beznamiętne przedmioty – powiedziała Claudia. – Ale dzięki temu nauczysz się zmieniać głębię ostrości i obszar rozmycia.

– Co więc najbardziej lubisz fotografować? – Spojrzałam przez wizjer, kciukiem i palcem wskazującym manewrując obiektywem.

– Ludzi, rzecz jasna – odparła, jakby to było coś oczywistego. – Są znacznie bardziej interesujący niż jabłko czy jakiś tam banan. Albo nawet krajobraz.

– Domyślam się, że fotografowanie postaci wymaga zupełnie innych umiejętności. – Odłożyłam aparat na stół. – Te portrety na ścianie w holu są zachwycające. Co jest kluczem do zrobienia komuś dobrego zdjęcia?

Claudii zaświeciły się oczy.

– Cierpliwość.

Wróciłam pamięcią do swoich urodzin i lekcji, jakiej udzielił mi dziadek w parku. Nagle ogarnął mnie smutek, ale odsunęłam go od siebie i skupiłam się na swojej podopiecznej.

– To znaczy?

– Zanim kogoś sfotografowałam, zwykle poświęcałam trochę czasu, żeby poznać tę osobę. Pytałam ją o dziecięce fantazje, najdroższe wspomnienia i ludzi, którzy są jej najbliżsi – wyjaśniła. – A potem, kiedy mi o tym opowiadała, zaczynałam pstrykać zdjęcia.

– Czyli zagłębiałaś się w jej wnętrze.

– Otóż to. Ludzie, którym okazuje się zainteresowanie, opuszczają gardę, stają się bardziej przystępni. Chętniej wyrażają uczucia i siebie. O to właśnie chodzi w fotografii. Żeby dać innym odczuć, że są dostrzegani. Oczywiście każdego dnia patrzymy na ludzi, ale rzadko się zatrzymujemy, żeby się im przyjrzeć i dostrzec ich prawdziwe ja.

– To ma sens.

Ciekawe, czy coś by to zmieniło, gdyby ktoś dostrzegł prawdziwą mnie. Sama zwykle starałam się ukrywać emocje, żeby nie udzielały się innym; moi klienci mieli czuć, że stoją w centrum zainteresowania i są rozumiani. Z wyjątkiem dziadka i Leo nigdy nie pozwalałam, żeby ktoś zrobił podobną rzecz dla mnie.

– Najsmutniejsze, moja droga, jest to – podjęła Claudia, odczepiając złotą bransoletkę, która wciąż zahaczała o rękaw jej swetra – że w większości odmawiamy tego naszym bliskim. Wpadamy w rutynę i patrzymy na nich tak, jak zwykle, nie dostrzegając tej osoby, którą się stali lub którą usiłują być. To straszne, że tak odnosimy się do tych, których kochamy.

– Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób. – Czy zrobiłam to dziadkowi? Może był zupełnie innym człowiekiem niż postać zachowana przeze mnie w pamięci. Nigdy właściwie nie postrzegałam go jako kogoś innego niż mojego opiekuna i nauczyciela.

– To uczucie, kiedy się otwierasz i pozwalasz, żeby ktoś cię naprawdę dostrzegł, jest bardzo wyzwalające – oświadczyła starszka. – Nie każdy ma szansę tego doświadczyć.

– Ale ty ją dostałaś?

Obserwowała krople deszczu uderzające o szybę.

– Bardzo dawno temu. – Poklepała moją dłoń. – I modłę się, żeby ciebie też to spotkało. Mam nadzieję, że wyciągniesz z tego morał, który mnie umknął, a mianowicie, że nie należy odtrącać od siebie kogoś, kto może ci to dać, tylko dlatego, że boisz się podjąć ryzyko.

Selma wpadła do kuchni dziesięć minut wcześniej, niż zapowiadała. Odruchowo położyłam rękę na kieszeni, błagając w duchu, żeby na stole nie było śladów cukru pudru, które mogły nas zdradzić.

– Czas na leki, Claudio. – Trzymała w ręce plastikowy kubeczek z tabletkami. – Tym razem pozwolę ci nawet zagryźć je masłem orzechowym.

– Wolę dżem malinowy – zaproponowała starsza pani.

Selma westchnęła ze zniecierpliwieniem.

– Masło orzechowe przynajmniej zawiera proteiny, a dżem malinowy to sam cukier.

Kobiety spojrzały na siebie wyzywająco – żadna nie chciała ustąpić. Żeby nie występować w roli rozjemcy – i ukryć dręczące mnie poczucie winy w związku z tym, że pomogłam Claudii w jej małym pączkowym szwindlu – zaczęłam przeglądać zdjęcia w aparacie. Muszę przyznać, że byłam całkiem zadowolona ze swoich postępów – może ta cała maskarada wyjdzie mi na dobre.

Selma wreszcie dała za wygraną, przełamując krótki impas.

– No dobrze. Możesz zjeść łyżeczkę dżemu i łyżeczkę masła orzechowego.

– Myślę, że to uczciwy kompromis – stwierdziła wyniośle Claudia.

Opiekunka podała jej lekarstwa wymieszane ze smarowidłami i znowu wypadła z kuchni.

Claudia nachyliła się do mnie.

– Właściwie wolę masło orzechowe. Ale lubię się z nią droczyć.

– Ona tylko stara się dobrze wypełnić swoje obowiązki. – Poczulałam, że znów muszę stanąć w obronie Selmy. Opiekunowie domowi są obarczeni wieloma niewdzięcznymi zadaniami, których sama na szczęście nie musiałam wykonywać, zwłaszcza kiedy organizm klienta powoli przestawał funkcjonować.

– Och, masz naprawdę wielkie serce – zachichotała Claudia. – Po prostu chcę się trochę zabawić, zanim odejdę.

Odczekałam chwilę, po czym spytałam, siląc się na neutralny ton:

– Dokąd?

Głęboka czerwień szminki Yves Saint Laurent zebrała się w zmarszczkach wokół ust kobiety.

– Właśnie dlatego, że masz takie wielkie serce, kochana Clover, uwolnię cię od konieczności uczestniczenia w tej grze pozorów.

Pod pachami poczułam krople potu.

– W jakiej grze pozorów?

– Wiem, że umieram – oznajmiła spokojnie. – I wiem też, co myślą moi bliscy. Że nie jestem tego świadoma.

– Jak to? – Intuicja podpowiedziała mi, żeby udać głupią.

– Mój syn poinstruował lekarza, żeby nie wyjawiał mi diagnozy. To, rzecz jasna, wielce nieetyczne, ale moralność mojego syna czasem pozostawia wiele do życzenia. Podejrzywałam, że zataili przede mną część prawdy, więc sama zadzwoniłam do szpitala.

W duchu aż kipiałam ze złości na Sebastiana, że mnie w to wplątał. Nie miałam wyjścia, musiałam się przyznać.

– Przepraszam, Claudio.

– Och, ty akurat jesteś najmniej winna. – Wskazała głową w kierunku drzwi, za którymi niedawno zniknęła Selma. – I naprawdę doceniam wysiłki Sebastiana, żeby załatwić mi kogoś do towarzystwa, nie licząc opiekunek dbających o moje zdrowie. Uwielbiam, kiedy mnie odwiedzasz.

– Ja również lubię tu przychodzić. – Mimo to czułam się współwinna zdrady.

– Pozostaje pytanie... – Spojrzała mi prosto w oczy. – Czy rzeczywiście jesteś tylko jego znajomą, która odkryła w sobie kiełkujące zamiłowanie do fotografii?

Skrzywiłam się.

– Cóż, interesuję się fotografią. Ale nie, nie jestem tylko jego znajomą.

– Tak myślałam – stwierdziła zadowolona z siebie. – No więc...?

– Jestem... doułą śmierci.

Jej najeżone brwi aż podskoczyły.

– Doułą śmierci – powtórzyła, jakby wymawiała te słowa po raz pierwszy. – Cóż, stworzyłam sobie wiele teorii na temat twojej tożsamości, ale na coś podobnego bym nie wpadła. Muszę przyznać, że to niezwykle intrygujący zwrot akcji.

– Cieszę się, że tak do tego podchodzisz – powiedziałam wciąż zawstydzona. – Przepraszam, że wcześniej nie wyjawiałam całej prawdy.

– Było, minęło. – Machnęła dłonią, jakby odpędzała muchę. – No to powiedz mi, po co konkretnie tu jesteś, skoro nie po to, żeby nauczyć się fotografii.

– Uch, cóż, jak sama powiedziałaś, mam ci dotrzymać towarzystwa, ale też pomóc uporządkować różne sprawy. Może jakieś chciałabyś zamknąć w tym krótkim czasie, który ci został. Jestem tu także po to, żeby po prostu porozmawiać o śmierci, kiedy będziesz na to gotowa.

Claudia zaśmiała się bez entuzjazmu.

– Mój wnuk zapewne cię poinformował, że nasza rodzina nigdy nie była skora do takich rozmów. To zwyczajnie „nie przystawało”. – Odgarnęła siwy kosmyk z czoła. – I choć nie podoba mi się to, że zdecydowali za mnie, rozumiem ich intencje. My, konserwatywni protestanci, często trochę dziwacznie okazujemy miłość.

– Jesteś bardzo wyrozumiała. Czy chciałabyś o czymś pomówić? A może masz jakieś pytania?

- zagadnęłam łagodnie. – Dla jasności, żaden temat nie stanowi tabu.
- Dziękuję, moja droga. Dzisiaj poprzestańmy na naszej lekcji. Masz zadatki na dobrego fotografa. Szkoda, że nie myślisz o tym poważnie.
- Nigdy nie wiadomo. Może mnie zainspirowałaś. – Zawahałam się chwilę, zanim wzięłam aparat.
- Muszę cię jeszcze o coś zapytać. Czy chcesz, żebym tu dalej przychodziła?
- Oczywiście, że tak – odparła Claudia. – Od lat nie przydarzyło mi się nic równie ciekawego. Tak łatwo z tego nie zrezygnuję.
- Chciałam poczuć ulgę, ale chyba zdążyłam się już za bardzo zżyć z jej rodziną.

Gdy tylko zatrzasnęłam za sobą drzwi do domu Claudii, w mojej piersi wezbrała złość. Intuicja podpowiadała mi, żeby zignorować to uczucie – żeby je zdusić dla dobra innych, tak jak to zwykle robiłam. Jednak kiedy zmierzałam do metra, wszystko się we mnie kotłowało i nie mogłam nic na to poradzić. Poddanie się tym emocjom było wyzwalające i dziwnie uzależniające.

Sebastian nie dość, że kazał mi okłamać Claudię, to jeszcze naraził mnie na wszelkie możliwe konsekwencje, gdyby to moje kłamstwo wyszło na jaw. Pragnęłam jedynie pomóc Claudii, a zamiast tego zostałam mimowolnie uwikłana w ich rodzinne tajemnice. Wygrzebałam z kieszeni telefon. Ta rozmowa nie mogła się odbyć drogą mejlową. Wciągnęłam w płuca rześkie wieczorne powietrze, pozwalając, żeby chłód ostudził mój gniew.

Sebastian odebrał po pierwszym sygnale.

– Clover, hej! – powitał mnie, a ja aż się skrzywiłam, słysząc jego radosny ton. – Jak poszło z babcią?

Wzięłam kolejny głęboki wdech, starając się zapanować nad głosem.

– Ona wie.

Pauza.

– Wie? Co masz na myśli?

– Wie, że ją okłamujemy.

Ciszę po drugiej stronie wypełniły trzaski i szумы.

– O raju. Skąd?

– Sama zadzwoniła do specjalisty i kazała mu powiedzieć prawdę. – Wciąż nie mogłam uwierzyć, że lekarz był gotów oszukiwać pacjentkę.

Sebastian z gwizdem wypuścił powietrze.

– Rany, okej. Jak to przyjęła?

– Całkiem dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Świetnie! Poniekąd liczyłem na to, że sama jakoś się dowie i nikt z nas nie będzie jej musiał przekazywać złych wieści. Choć teraz muszę powiedzieć o tym ojcu i wcale mi się to nie uśmiecha.

Zabolało mnie, że nawet przez chwilę nie pomyślał, jak ja mogłam się poczuć.

– Całe szczęście, że się nie załamała. Mogła naprawdę źle zareagować.

– Taa, cóż, babcia zawsze była twardzielką. Nie dziwi mnie to, że zbytnio się nie przejęła. – Roześmiała się na siłę, jakby z zażenowaniem. – Ale nie ma nic przeciwko, żebyś nadal do niej przychodziła?

– Nie. – Musiałam przyznać, że cieszyła mnie możliwość spędzenia z nią czasu bez tego całego napięcia związanego z utrzymywaniem pozorów. – Mimo wszystko nie powinieneś stawiać mnie w takiej sytuacji. Fajnie, że Claudia dobrze przyjęła tę wiadomość, ale w przeciwnym razie to ja musiałabym sobie radzić z konsekwencjami. Czy w ogóle o tym pomyślałeś?

Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, uświadomiłam sobie, że w gruncie rzeczy nie chodziło mi o to, że zostałam przyłapana na kłamstwie – Sebastian ewidentnie sądził, że w ten sposób pomaga Claudii. Najbardziej wkurzył mnie fakt, że koleś w ogóle nie przejmował się tym, jak to się odbije na mnie, kiedy Claudia pozna prawdę.

– Och, kurczę, chyba rzeczywiście dałem ciała. – Znowu trzaski. – Masz rację, Clover. Wybacz, że cię z tym zostawiłem.

Jego nagle przeprosiny zbiły mnie z tropu. Może po prostu był zbyt zaaferowany tym, że jego ukochana babcia umiera. Poczulałam się trochę jak egoistka, bo skupiałam się na sobie.

– Dobra, w porządku – odpowiedziałam, a moje rozżalenie ustąpiło miejsca zawstydzeniu. – Na szczęście sytuacja została opanowana.

Co za ulga, że akurat w tym momencie obok z hukiem przejechała śmieciarka i na chwilę przerwała nam rozmowę.

– No więc... właściwie cieszę się, że zadzwoniłaś – odezwał się Sebastian, kiedy hałas ucichł.

– Ach, tak?

– Tak... bo chciałem zapytać, czy miałabyś ochotę jutro wyjść na drinka. Fajnie będzie pogadać, no wiesz, tylko we dwoje.

Tego już na pewno się nie spodziewałam. Czy proponował oficjalne spotkanie, żeby omówić dalsze działania, skoro Claudia już wie o stadium choroby? Czy może w grę wchodziło coś innego? Jakie to żałosne, że choć dobiegam niemal wieku średniego, nadal nie potrafię stwierdzić, czy ktoś zaprasza mnie na randkę. Tak czy inaczej, perspektywa niezobowiązującej pogawędki z Sebastianem w hałaśliwym barze wydała mi się wystarczająco straszna.

– Na jutro mam już chyba jakieś plany – odparłam w panice. Potrzebowałam czasu, żeby to wszystko przyswoić. I przeanalizować z Sylvie.

– Spoko – powiedział Sebastian zupełnie niespieszony. – Możemy się spotkać pojutrze. Albo dzień później.

Naprawdę się uparłam, ale niewykluczone, że zbyt wiele sobie dopowiadałam. W końcu zdarzyło mi się już zagalopować w wyobrazeniach na jego temat. Tylko czy pożałuję, jeśli mu odmówię? Może Sylvie miała rację: to moja szansa, żeby zaryzykować.

– Za dwa dni powinnam dać radę – powiedziałam, zanim się rozmyśliłam. – Napisz mi gdzie i kiedy.
– Lepiej niczego po sobie nie zdradzać, na wypadek gdyby chodziło o sprawy służbowe.

– Świetnie! Nie mogę się już doczekać!

Staralam się nie wysnuwać pochopnych wniosków z jego podekscytowanego tonu.

– Sebastian, przepraszam, ale śpieszę się na metro. Muszę kończyć.

– Pewnie. Na razie.

– Dobranoc.

Stuknęłam w czerwone kółko na telefonie i pokonałam ostatnie metry dzielące mnie od stacji, zastanawiając się, czy to drżenie, które mnie ogarnęło, było objawem niecierpliwego oczekiwania na coś miłego czy lęku.

Od czasu mojej rozmowy telefonicznej z Sebastianem czułam w żołądku nieustanny niepokój.

W ocenie Sylvie jego zaproszenie zdecydowanie wskazywało na randkę, co zaznaczył, mówiąc „tylko we dwoje”. Ja z kolei uważałam, że chodzi o zwykłe spotkanie przy drinku ze zleceniodawcą, bo do tej pory nikt mnie jeszcze nie zaprosił na randkę, więc dlaczego akurat Sebastian miałby stanowić w tej kwestii wyjątek.

Niemniej w razie gdyby Sylvie miała rację, co było bardzo mało prawdopodobne, skorzystałam z propozycji i pożyczyłam od niej sukienkę, która – jak to moja sąsiadka ujęła – „działa na wyobraźnię”. Na samą myśl, że mogę być obiektem czyichś fantazji, zalała mnie fala przerażenia.

Stałam przed niczym niewyróżniającą się fasadą baru w Lower East Side, żałując, że nie mogę wtopić się w tę porowatą ceglana ścianę. Czarna sukienka ścisnęła mnie w talii, a szwy drapały w uda. Czułam się tak, jakbym wślizgnęła się w czyjąś skórę, zbyt opinającą tam, gdzie nie trzeba, a z kolei zbyt luźną gdzie indziej; moje kończyny wydawały się przez to jeszcze mniej proporcjonalne względem reszty ciała. Zazdrościłam wrodzonej klasy i pewności siebie ludziom wchodzącym do baru, którzy niewątpliwie od razu poznali, że jestem zwykłą oszustką.

Sebastian powiedział: dwudziesta. Była już dwudziesta dwadzieścia trzy, co znaczyło, że dopuszczalny kwadrans spóźnienia – zawsze trzeba wziąć tę poprawkę z powodu dość zawodnego nowojorskiego metra – dawno minął. Na pewno nie miałam obowiązku czekać dłużej. Przez chwilę rozważałam, czy nie napisać do Sylvie i nie zapytać, co o tym sądzi, ale i tak wiedziałam, jaką dostanę odpowiedź. Ona nie tolerowałaby tego, że ktoś nie szanuje jej czasu, i już dawno by sobie poszła.

Nagle jednak w oddali dostrzegłam znaną mi sylwetkę. Sebastian zmierzał pośpiesznie w moim kierunku, kuląc ramiona przed wieczornym chłodem. Tak jak zawsze ubrany był cały na czarno, ale to monochromatyczne zestawienie kolorów wyglądało jakoś schludniej, bardziej wyjściowo. Buty błyszczały mu chyba bardziej niż zwykle, choć w tym upiornie bursztynowym świetle latarni nie dało się tego stwierdzić na pewno.

– Przepraszam za spóźnienie – wysapał czerwoną na twarzy. – Utknąłem w pracy.

– Nie ma sprawy. – Gdyby to była randka, pewnie by napisał, żeby mnie uprzedzić, prawda? Kolejny punkt dla mnie.

Staliśmy naprzeciwko siebie, czując się niezręcznie jak nastolatki na dyskotecę, aż w końcu Sebastian otworzył drzwi do pubu.

– Spodoba ci się ten lokal. Stale tu przychodzę.

Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, jakby ktoś je przybił do brudnych płytek.

„Po prostu przestań analizować”, usłyszałam w głowie głos Sylvie.

Chodnik wreszcie mnie uwolnił.

Mroczny przybytek był tylko trochę szerszy od szkolnego autobusu. Przednią część baru zajmował długi półmisek ostrzyg ułożonych na lodzie; za nim stał mężczyzna w kamizelce i eleganckiej białej koszuli, z usztywnionymi na wosk wąsami. Z udawaną beztroską potrząsał miedzianym shakerem. Rozejrzałam się z fascynacją. Nigdy nie czułam potrzeby, żeby wstępować do tego typu lokali, ale zawsze mnie ciekawiło, co kryje się za ich celowo nijakimi drzwiami.

Sebastian zaprowadził mnie w głąb pomieszczenia, gdzie wzdłuż ścian ciągnęły się obite skórą ławy. Na każdym stoliku wielkości taboretu dojarza stała migocąca świeczka. W niezbyt praktycznym półmroku nie widziałam wyraźnie, ale podejrzewałam, że patyna na blaszanych ścianach i suficie powstała w sposób sztuczny, nie naturalny.

Trzy brunetki właśnie zwalniały stolik w rogu. Najniższa z nich spojrzała na nas ze zdziwieniem.

– Sebastian! Cześć!!! – rzuciła z entuzjazmem.

Niemal słyszałam te wszystkie zbędne wykrzykniki.

Sebastian stężał.

– O, hej... Jessie. – Wywnioskowałam z tej krótkiej pauzy, że w mgnieniu oka przypomniał sobie jej imię. – Jak się masz?

– Świetnie! – Wskazała przyjaciółki. – Urządziłyśmy sobie dziś babski wieczór! – Spojrzała na mnie

ostentacyjnie.

– Och – powiedział sztywno Sebastian. – Jessie, to Clover.

– Cześć, Clover. – Głos dziewczyny był zbyt przesłodzony, żeby mówiła ze szczerą sympatią. Odwróciła się do Sebastiana i pociągnęła go za klapę płaszcza z teatralnie nadąsaną miną.

– Minęło sporo czasu. Zadzwoń, to go nadrobimy!

– Yyy, jasne. – Zaczął się bawić końcem szalika. – Na razie, Jessie.

– Do zobaczenia wkrótce. – Przechodząc obok, przesunęła dłonią po jego przedramieniu.

Sebastian szybko skierował mnie ku zwolnionej przed chwilą ławie i poczekał, aż znajoma z przyjaciółkami oddała się na bezpieczną odległość, żeby go nie słyszały.

– Rok temu spotykaliśmy się przez jakiś miesiąc – oświadczył, jakbym kazała mu się wytłumaczyć. – Jest miła, tylko trochę głupiutka.

Nie wiedząc, jak zareagować na tę informację, zaczęłam przeglądać menu zapisane kursywą na postarzałym papierze.

– Ho-ho, mają tu bardzo wymyślne koktajle.

– Tak, znają się na miksowaniu drinków – przyznał, przysuwając się do mnie.

Powinłam się przesunąć, żeby zrobić więcej miejsca, czy chodziło mu właśnie o to, żeby być blisko mnie? Szkoda, że nie mogłam dyskretnie napisać do Sylvie z prośbą o radę, ale Sebastian nie odrywał ode mnie oczu. Wybrałam złoty środek i się przesunęłam, choć nie za daleko.

Kiedy wypiliśmy pierwszy koktajl – na bazie burbona z dodatkiem rozmarynu – napięcie, które czułam w całym ciele, trochę odpuściło.

– Chciałem ci podziękować za wszystko, co robisz dla babci. – Położył łokieć na oparciu ławy, tuż przy moim ramieniu, ale mnie nie dotknął. – Teraz, kiedy wszystko się wydało, jest znacznie lepiej. Ojciec jednak nadal nie chce o tym rozmawiać.

– Cieszę się, że mogę pomóc. Bądź co bądź, to moja praca – odparłam rozproszona pozycją jego ręki. – Ee, jak długo grasz na wiolonczeli? – Zmieniłam temat, licząc, że nie rozgryzie mojej taktyki tak łatwo jak Sylvie.

– Od małego. – Zakręcił tropikalnym koktajlem. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że facet po trzydziestce zamówi coś takiego, ale co ja tam wiem. – Nigdy nie byłem typem sportowca, ta pula genów przypadła moim siostram. No i miałem alergię na mnóstwo rzeczy, więc mama rzadko pozwalała mi wychodzić na dwór. W moje dziesiąte urodziny babcia zabrała mnie do sklepu muzycznego i powiedziała, że mogę sobie wybrać jakiś instrument... wybrałem wiolonczelę. Ponieważ wtedy byłem najmniejszy w klasie, a wiolonczela wydawała się taka wielka i potężna, uznałem, że jeśli nauczę się na niej grać, to też się taki poczuję. – Zaczął dziabnąć kostki lodu słomką. – Teraz uważam, że powinienem wybrać coś fajniejszego, na przykład gitarę, a przynajmniej coś bardziej poręcznego. Taszczenie wiolonczeli po mieście jest nieco uciążliwe.

– O, nie wątpię. – Staralam się ukryć uśmiech, który cisnął mi się na usta na myśl o Sebastianie, który próbuje wbić się z tą kolubryną do zatłoczonego metra pełnego nowojorczyków, jakże ceniących swoją przestrzeń osobistą.

Upił drinka, po czym obliznął usta.

– A ty na czymś grasz?

– Kiedyś trochę brzdąkałam na starym banjo dziadka. Sama się nauczyłam. – To była moja kolejna przygoda z YouTube'em. Zakończyła się tylko połowicznym sukcesem, sądząc po tym, jak szybko moje zwierzaki uciekały z pokoju, ilekroć sięgałam po ten instrument. – Chciałabym umieć grać na pianinie, ale w moim mieszkaniu i tak by się nie zmieściło.

– A keyboard?

– I bez tego jest tam wystarczająco ciasno.

– Och, mieszkasz z kimś? – spytał ze sztucznym luzem.

– Tylko ze zwierzakami. Mam dwa koty i psa.

– No, no, istny zwierzyniec.

– Ty nie masz żadnych zwierząt? – Na pewno nie zamierzałam wspominać, że rozważam adopcję kakadu z internetowego ogłoszenia.

Pokręcił głową.

– Sierść kotów i psów mnie uczula, więc nic z tego. – Podrapał się po nosie, jakby już na samo wspomnienie o tym dostał alergii.

– Przykro mi – powiedziałam ze szczerym żalem. – Nie wyobrażam sobie życia bez zwierząt. – To dzięki nim było bardziej znośne, dzięki tej świadomości, że w domu codziennie czekają na mnie trzy bijące serduszka.

Wzruszył ramionami.

– I tak nie przepadam za zwierzętami, więc w sumie wszystko mi jedno.

Pod koniec wieczoru, po trzech koktajlach, nadal nie miałam pewności, czy to randka. Sebastian siedział z ręką wyciągniętą za moimi plecami, na tyle blisko, że czułam ciepło bijące spod jego pachy, ale wciąż mnie nie dotykał. Ilekroć się pochylał, żeby upić drinka, moje nozdrza wypełniała woń, która kojarzyła mi się z nim – mieszanka korzennego zapachu żelu pod prysznic, ubrań zbyt długo zalegających w szufladzie i odrobiny potu.

Kiedy mówił, uważnie przyglądałam się jego twarzy, starając się ustalić, czy jest atrakcyjny, bo przecież jutro Sylvie na pewno będzie mnie wypytywać o szczegóły. Sposób, w jaki włosy opadały mu na czoło, miał pewien chłopięcy urok. A jego stylizacja na erudyte – okulary w złotych oprawkach i szalik owinięty luźno wokół szyi – przywodziła mi na myśl właściciela jednego z moich ulubionych paryskich antykwariatów. Ale w tak słabym świetle trudno dokonać ostatecznej oceny. Na pewno nie był nieatrakcyjny. I lubiłam jego towarzystwo. Przypuszczałam, że w prawdziwym życiu miłość rodzi się powoli, a nie że pojawia się od pierwszego wejrzenia jak w filmach. Zresztą jako niewolnica nawyków i tak zwykle potrzebowałam trochę czasu, żeby oswoić się z nowymi rzeczami.

– Nieźle – rzucił Sebastian, chowając rachunek do kieszeni. Wcześniej ostentacyjnie nalegał, że on ureguluje płatność. – Zapomnieli nam policzyć za jeden drink.

– Może powiedzmy o tym kelnerowi?

– Nieee... Powinni lepiej uważać. – Wstał i włożył płaszcz. – Idziemy?

– Uhm. Spotkamy się na zewnątrz – powiedziałam z kurtką przewieszoną przez rękę. – Skoczę tylko do łazienki.

Tak naprawdę nie musiałam skorzystać z toalety, ale spędziłam tam kilka minut, myjąc i nawilżając dłonie balsamami z eleganckich bursztynowych buteleczek, zamocowanych na ścianie. Kiedy w drodze do drzwi przeciskałam się przez tłum szykownych mieszczuchów, kelner – chudy studenciak – sprzątał akurat puste kieliszki z naszego stolika, więc wychodząc, wcisnęłam mu do ręki dwudziestodolarowy banknot.

Sebastian stał oparty o hydrant i przeglądał coś na telefonie.

– Gotowa?

– Tak. Przejdę się do metra. – Naprawdę powinnam mieć w zanadru jakiś solidny plan ewakuacyjny, żeby uniknąć takich niezręcznych sytuacji.

– Och, chciałem właśnie wezwać ubera. Mogę cię podrzucić. – Opary jego słów rozplynęły się w nocnym powietrzu.

– Nie trzeba. To bardzo nie po drodze. A stacja jest raptem przecznicę stąd. Ale dziękuję.

Sebastian skrzywił w dłoniach szalik, jakby z zakłopotaniem.

– Na pewno?

– Tak. – Moja asertywna odpowiedź mogła zabrzmieć trochę agresywnie, ale w żadnym razie nie chciałam, żeby podwoził mnie o tej porze do domu, nawet jeśli to rzeczywiście była randka. Nie zniosłabym takiej presji.

Posłusznie skinął głową.

– Okej, w porządku. W takim razie odprowadzę cię do metra i stamtąd zamówię dla siebie samochód.

Cóż, nie mogłam nie przystać na tak szarmancki gest.

Kiedy szliśmy, zaczął opowiadać o koledze ze studiów, który zaprojektował jeden z nowych wieżowców w tej okolicy, ale jakoś nie mogłam skupić się na tym, co mówi. W uszach dudniła mi krew, a w dole brzucha poczułam nagłe parcie na pęcherz, choć jeszcze przed chwilą nie chciało mi się sikać.

Po trzech koktajlach zwykły uścisk dłoni na pożegnanie wydawał się zbyt oficjalny. Czyżby Sebastian oczekiwał, że go przytulę? Szedł znacznie bliżej niż do tej pory. Tyle tych niewiadomych, że miałam ochotę w panice puścić się biegiem przed siebie. Kiedy naszym oczom ukazały się zielone światła wejścia do metra, z nerwów aż mnie coś ścisnęło w żołądku. Ryk policyjnej syreny – odgłos, który zwykle nie robił na mnie

wrażenia – tym razem wydał mi się irytujący i jazgotliwy, zwłaszcza w zestawieniu z piskliwym śmiechem dwóch kobiet stojących na chodniku.

Żałowałam, że nie siedzę w domu na sofie z moimi zwierzakami, przyglądając się czyjemuś życiu na ekranie – albo za szybą. Ciekawe, jak wyglądała pierwsza randka Julii i Reubena. Zawsze sprawiali wrażenie, jakby czuli się bardzo swobodnie w swoim towarzystwie, jakby świat istniał tylko dla nich. Jakoś sobie nie wyobrażałam, żeby kiedykolwiek zapanowała między nimi niezręczna atmosfera.

– No więc co myślisz? – Sebastian patrzył na mnie wyczekująco.

– O czym? – spytałam zmieszana.

– O tej architekturze...?

Oblałam się rumieńcem.

– No, jest super.

Zatrzymaliśmy się na szczycie schodów prowadzących do metra. Musieliśmy robić uniki przed podróżnymi, którzy zbiegali w pośpiechu, na wypadek gdyby dochodzący z dołu zgrzyt oznaczał, że właśnie podjechał ich pociąg. Sebastian stał jakiś metr ode mnie, a z tyłu na plecach czułam chłód metalowej poręczy. Chociaż raz panująca między nami cisza przeszkadzała bardziej mnie niż jemu.

– No więc – zaczęłam – miło było się zobaczyć.

– Taa – powiedział cicho. Byłam pewna, że się we mnie wpatruje, ale przez światło latarni odbijające się w jego okularach nie potrafiłam odczytać jego miny.

Zrobił krok do przodu, zmniejszając dzielącą nas odległość. Cofnęłam się odruchowo, ale nie miałam dokąd uciec. Wsunął rękę pod moją rozpiętą kurtkę i położył dłoń na talii; nawet przez materiał sukienki czułam, że jego palce są zimne.

Pochylił się i przywarł ustami do moich ust.

Z początku chciałam się uchylić, ale ciekawość wzięła górę.

Czyli to jest to. Mój pierwszy pocałunek.

Wyobrażałam sobie tę chwilę na tysiąc różnych sposobów – i wreszcie się jej doczekałam. To było niemal surrealistyczne przeżycie. Nadal nie miałam pewności, czy akurat z nim chciałam się całować. Ale jak zaznaczyła Sylvie: nie dowiem się, czy mi się podoba, jeśli przynajmniej nie spróbuję. Dlatego starałam się po prostu obserwować, co się dzieje, zupełnie jakbym dokumentowała w notatniku pewne zjawisko, tak jak radził mi dziadek w przypadku każdego nowego doświadczenia.

Pocałunek Sebastiana był wilgotniejszy, niż przypuszczałam, a ślina miała słaby posmak soku ananasowego z koktajlu. Wcześniej nie zauważyłam zarostu na jego brodzie, ale kiedy potarł nią o moją twarz, była szorstka jak pumeks. Obie dłonie trzymał na moich biodrach i przyciągał mnie do siebie. Zastanawiałam się, co zrobić z rękami. Kobiety w filmach często wplatają je partnerowi we włosy, ale wydało mi się to lekką przesadą. Może uczeplić się klap jego płaszcza? Nie, to z kolei zbyt agresywne. Poza tym nie chciałam, żeby pomyślał, że mi się podoba, dopóki sama nie byłam tego pewna.

Ostatecznie postanowiłam nic nie robić, tak na wszelki wypadek.

Nagle zaczął mi wpychać język do ust, zupełnie jakby chciał je rozewrzeć siłą. Czy powinnam mu na to pozwolić, skoro nie wzbraniałam się przed pocałunkiem? W ramach eksperymentu uległam. I nie mogę powiedzieć, że było nieprzyjemnie, ale nie poczułam fajerwerków, które zawsze wyobrażałam sobie w tym scenariuszu. Może do całowania też trzeba najpierw przywyknąć.

– Nie przy ludziach!

Okrzyk, który dobiegł ze schodów, brutalnie nam przerwał. Przestraszona niemal odskoczyłam od Sebastiana, a on natychmiast mnie puścił. Mocno zarumieniona zrobiłam krok w prawo, żeby nie stać między nim a balustradą.

Nagle to wszystko wydało mi się trochę zbyt realne. Pomyślałam o Claudii i o tym, że całowanie się z jej wnukiem, a jednocześnie moim zleceniodawcą, na pewno stanowi konflikt interesów.

– Muszę lecieć – wymamrotałam, unikając jego spojrzenia. – Dziękuję za drinki – rzuciłam, po czym pognałam jak burza po schodach. Nie wiedziałam, czy kręci mi się w głowie od alkoholu czy od pocałunku.

– Clover, czekaj!

Zdezorientowana pobiegłam w kierunku bramek. W duchu podziękowałam wszystkim bogom i mocom wszechświata, że moja karta miejska zadziałała bez problemu, a obrotowe ramię umożliwiło mi ucieczkę.

Kiedy skręciłam w przecznicę, przy której mieszkała Claudia, gdzieś na konarach drzew zaczęły się już pojawiać pierwsze oznaki wiosny, ale nie zwracałam na nie zbytnej uwagi. Targały mną różne emocje – ulga, bo już nie musiałam kłamać na temat swojej roli, i panika, ponieważ nie wymyśliłam, co powiedzieć Sebastianowi, kiedy znów go zobaczę.

Już jako dziecko zastanawiałam się nad tym, jakie uczucia mnie ogarną, kiedy po raz pierwszy kogoś pocałuję. Radość, euforia, podniecenie. Na pewno nie znajdowałam wśród nich paniki.

Tak jak w przypadku wszystkich czułych filmowych scen, do których wciąż wracałam i które obejrzałam już chyba ze sto razy, w głowie w kółko odtwarzałam tamten pocałunek. Nie, nie był okropny, po prostu sądziłam, że będzie mi się bardziej podobało – że przesyje mnie coś jakby prąd elektryczny. Ale pewnie tak bardzo się na to nakręciłam, że nic nie sprostaby moim oczekiwaniom. A może to wina naszej popkultury, utrwalającej fałszywy stereotyp, że każdy pocałunek jest cudowny.

Zebrałam się w sobie i dołączyłam do Claudii. Starsza pani akurat wypoczywała w ogrodzie. Tak na chłodno musiałam przyznać, że już samo wieczorne wyjście z Sebastianem było z mojej strony niezbyt profesjonalnym posunięciem.

– Dzień dobry, moja droga – powitała mnie radośnie Claudia. Cień zdobił jej skórę cętkami. Na krótką chwilę zamknęła oczy, rozkoszując się słońcem przenikającym przez gałęzie. – Nie mogłam się już doczekać, aż przyjdiesz.

Jej życzliwe słowa sprawiły, że zaczęłam się miotać w jeszcze większej rozterce.

– Ciebie również miło widzieć.

– Muszę przyznać, że zafascynowała mnie twoja profesja – powiedziała, zacierając ręce. – To jak dziś podejmiemy do sprawy śmierci? Boże, jakież to wyzwalające moc na ten temat swobodnie porozmawiać. Żałuję, że tak długo z tym zwlekałam. To by wiele ułatwiło.

Postawa Claudii była godna podziwu, ale jakoś nie do końca mnie przekonywała. Podobnie jak w przypadku Guillerma, którego gniew był tylko przykrywką dla strachu i samotności, jej nonszalancja miała pewnie jedynie zamaskować bezsilność.

– Cóż... – zaczęłam ostrożnie. – Wiem, że twoim bliskim trudno mówić o tym, że umierasz, więc pomyślałam, że pomogę ci przygotować tak zwany segregator śmierci.

Claudia podniosła filiżankę z herbatą, ujmując ją delikatnie za ucho.

– A co to takiego, skarbie?

– To sposób na uporządkowanie dokumentów oraz informacji przydatnych i ważnych dla rodziny. Chodzi o numer ubezpieczenia społecznego, akt urodzenia, dane bankowe, hasła i oczywiście twój testament. Ale taki segregator może także zawierać inne rzeczy, na przykład listę osób do powiadomienia o twoim odejściu.

– Rozumiem.

– Mogę ci również pomóc spisać rzeczy, które należałoby wziąć pod uwagę, przygotowując ceremonię pogrzebową. O ile w ogóle jej sobie życzysz. Czy trumna ma być otwarta? A jeśli tak, w co powinnaś być ubrana? Jak chcesz, aby cię upamiętniono? Masz jakąś ulubioną piosenkę, modlitwę albo ciekawy wiersz? A może ukochane kwiaty? Tego typu rzeczy.

– To iście makabryczne, Clover – stwierdziła Claudia lekko rozbawiona. – A jednak mówisz o tym z taką łatwością.

Zarumieniłam się ze wstydu. Nie wykazałam się zbyt dobrze. Cała ta sprawa z Sebastianem zbiła mnie z tropu.

– Przepraszam, jeśli to zabrzmiało nonszalancko. Po prostu twoi bliscy pogrążeni w smutku raczej nie będą mieć głowy do tych wszystkich spraw. Więc jeśli je teraz spiszę, myślę, że każdemu to zapewni emocjonalne wsparcie.

– Podoba mi się twoje rzeczowe podejście – stwierdziła. – A taki segregator wydaje się całkiem sensowny. Nie wątpię, że nie zapomną stawić się na ogłoszeniu testamentu, ale o innych rzeczach pewnie nie pomyślą.

– Moim zdaniem nie skupią się wyłącznie na testamencie – powiedziałam łagodnie. – Z tego, co mówi

Sebastian, darzą cię bezgraniczną miłością.

– Och, na pewno – zachichotała Claudia. – Mój syn i jego dzieci być może są nieco dysfunkcyjni i dziwni, ale wiem, że każde z nich kocha mnie na swój sposób. Nawet jeśli rzadko ich widuję. Z drugiej strony, trudno ich winić, że mają chrapkę na ten dom. – Upiła łyk herbaty Darjeeling.

– Jest piękny. – Spojrzałam na wyłożoną ceglami tylną ścianę, zastanawiając się, jak Claudia zamierza podzielić swoją małą fortunę i tę istną żyłę złota dla nowojorskiego rynku nieruchomości. Niewykluczone, że znaczna część majątku przypadnie Sebastianowi, jako jej najbardziej oddanemu wnukowi.

Nagle przez głowę przemknęło mi wspomnienie wczorajszego pocałunku i ponownie ogarnął mnie dojmujący lęk.

Claudia położyła dłonie na stole niczym prezes firmy domagający się uwagi podwładnych.

– No więc od czego zaczynamy?

Zadowolona, że mam na czym skupić myśli, wyjęłam notes i pióro.

– Cóż, przede wszystkim zastanawiałaś się może, czy wolałabyś zostać pochowana czy skremowana?

– Skremowana. – Oświadczyła to z taką beztroską, jakby zamawiała jedzenie z menu. – Nie ma sensu niepotrzebnie zajmować miejsca na świecie, jeśli i tak mnie tu nie będzie, żeby się nim cieszyć. Choć muszę przyznać, że pochówek na morzu wabi pewnym urokiem.

– Jeśli tego sobie życzysz, da się to załatwić.

– Za dużo zachodu. Poza tym większość moich krewnych dostaje strasznej choroby morskiej. Nikt by się nie wzruszył takim pożegnaniem, gdyby wszyscy wymiotowali za burtę, prawda?

– Słuszna uwaga. – Jej pragmatyzm zmusił mnie do uśmiechu. – Czyli kremacja. Czy jest jakieś szczególne miejsce, w którym najlepiej byłoby rozsypać twoje prochy?

Oczy Claudii spowił smutek.

– Chciałabym, żeby rozsypano je z klifów w Bonifacio.

– Na Korsyce?

– Widzę, że znasz geografie.

– To moja ulubiona część świata. Byłam tam ze dwa razy, kiedy pisałam pracę magisterską w Paryżu. Bonifacio... urocze miasteczko.

– Ja akurat większość czasu spędziłam na łodzi, ale i tak uważam, że jest bardzo urokliwe – odparła nieco tajemniczo. – Co dalej?

– Zobaczmy... O, zróbmy listę osób, które warto powiadomić. Spróbuję do nich dotrzeć, jeśli nie masz danych kontaktowych.

– Dobrze. Na szczęście to zadanie nie powinno nam zająć dużo czasu – stwierdziła Claudia. – Kiedy człowiek dożywa dziewięćdziesięciu jeden lat, większość jego przyjaciół i znajomych leży już w grobie.

Leo też nad tym ubolewał.

– To musi być bardzo przykre. Ale domyślałam się, że przez te wszystkie lata nawiązałaś wiele pięknych przyjaźni.

– Niektóre rzeczywiście były wspaniałe. Co do innych... wolałabym je zerwać, zanim same wygasły. – Kiedy uniosła filiżankę do ust, zadrżała jej ręka. – Clover, oto kolejna ważna lekcja: ostrożnie dobieraj przyjaciół. W twoim wieku na pewno masz ich mnóstwo, chyba się nie mylę?

Ze wstydem spuściłam wzrok na żelazną koronkę stolika ogrodowego.

– Niezupełnie. Chyba można uznać, że jestem samotniczką. Ludzie na ogół nie lubią przebywać w towarzystwie kogoś, kto cały czas ma do czynienia ze śmiercią.

– Samotniczką, naprawdę? – Claudia odchyliła się na krześle i zmierzyła mnie wzrokiem. – Nigdy bym na to nie wpadła, zważywszy na to, jaką jesteś uroczą i otwartą młodą kobietą. Mój wnuk wydaje się tobą oczarowany.

Aż mi się skręcił żołądek. Czy to jakiś test? Co takiego Sebastian nagadał Claudii?

Na wszelki wypadek lepiej udać głupią.

– Chyba zawsze wolałam własne towarzystwo – przyznałam, nadal lekko roztrzęsiona. – Jako jedynaczka na ogół zostawałam sam na sam ze swoimi myślami.

– Rodzice nie zachęcali cię do zabawy z innymi dziećmi?

– Zginęli w wypadku, kiedy miałam sześć lat. Wtedy właśnie zamieszkałam z dziadkiem w Nowym Jorku. – Przesunęłam palcem po metalowym wzorze stolika.

– Musiało być ciężko dorastać bez matki. – Claudia wyraźnie ważyła słowa. – Bóg wie, że moja matka potrafiła utrudnić życie, ale nie wyobrażam sobie, jak by to było bez niej.

Wzruszyłam ramionami.

– Przed śmiercią mojej mamy właściwie nie spędzałyśmy razem zbyt wiele czasu. Trudno tęsknić za czymś, czego nigdy tak naprawdę się nie doświadczyło.

– Cieszę się, że przynajmniej miałas dziadka.

– Ja również. Był cudownym człowiekiem. Ale też typem samotnika. Możliwe, że mam to po nim.

– Dzieci często naśladową osoby, które wywierają największy wpływ na ich życie. – Claudia wychyliła się, żeby poklepać mnie po dłoni. – Ale najwyraźniej spisał się na medal, wychowując swoją wnuczkę. To wcale nie takie proste, zwłaszcza dla kogoś, kto nie jest na to przygotowany. Idę o zakład, że byłby z ciebie bardzo dumny.

– Dziękuję. – Kiedy ścisnęłam dłoń swojej podopiecznej, poczułam, że jej skóra jest jak pergamin. – Starał się, jak mógł.

Wiedziałam, że to prawda. Niemniej obserwując wróble dokazujące w ogrodzie, uświadomiłam sobie, że dziadkowi nie było łatwo, kiedy nagle musiał się zaopiekować sześciolatką. I zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście czułby dumę, patrząc teraz na mnie.

Później w drodze do metra rozmyślałam o rodzicach Claudii i moich. Mama wprawdzie spełniała funkcję rodzica pod względem biologicznym, ale chyba nigdy nie doświadczyła instynktu macierzyńskiego. W ciągu tych sześciu wspólnych lat nie zauważyłam u niej żadnych oznak troski ani czułości, które filmowe matki przejawiały w sposób naturalny. Nie obdarzała mnie ciepłymi uściskami, nie przewiązywała włosów wstążką ani nie piekła ze mną babeczek. Czasem lubiłam sobie wyobrażać, że pewnie robiłaby to wszystko, gdyby dano jej szansę rozkwitnąć w macierzyństwie. A kiedy ktoś o czymś mocno marzy, to może odnieść wrażenie, że to prawda.

Dziadek zawiązką zrekompensował mi brak ojca – bez wątpienia ukształtował moje podejście do świata. Ale często się zastanawiałam, jak wiele straciłam przez to, że przyszło mi dorastać, nie mając nikogo, kto byłby dla mnie jak matka. Pewnie i tak nie umiałabym się malować i nie dbałabym zbyt wiele o ubiór. Ale czy polegałabym bardziej na intuicji? Albo czuła się bardziej komfortowo, wyrażając emocje?

Czy przez to, że brakowało mi wzoru, byłam mniej kobieca?

Nie rób mi zbyt mocnego drinka, Leo. – Usiadłam przy stole u niego w jadalni, gotowa na kolejną partyjkę madżonga.

Ochoczo pochylił się nad wózkiem barowym niczym czarodziej nad swoim kociołkiem i zaczął przygotowywać miksturę na bazie burbona. Kostki lodu zadzwoniły o szkło jak dzwonki wietrzne. Kiedy z zadowoleniem podał mi trunek, jak zwykle poczułam bijący od jego skóry znajomy zapach mydła.

– Jak tam twoja nowa klientka?

– Claudia? Naprawdę intrygująca osoba. Trochę przypomina mi ciebie.

Spojrzał na mnie ze sceptycznym uśmiechem.

– Bogata biała kobieta z Upper West Side kojarzy ci się ze mną? Naprawdę? – Pomimo żartobliwego tonu przekaz był jasny.

– Okej, miałam na myśli jej zadziorne poczucie humoru, nostalgię za dobrymi starymi czasami i ciągoty do łamania reguł.

– Ach, jak tak, to co innego. – Siorbnął drinka, po czym kilkakrotnie z namysłem mlasnął ustami.

– Chyba dodałam trochę za dużo limonki.

Ja też upiłam odrobinę.

– Moim zdaniem jest pyszny. – Uśmiechnęłam się do niego szeroko. – Rozczarowany moim niezbyt wytrawnym gustem?

– Wkrótce się wyrobisz, młoda uczennico.

Podałam mu kości.

– Twoja kolej. Wyrzucaj.

Zamknął je w swoich smukłych dłoniach i teatralnie potrząsnął nimi przy każdym uchu jak kokosem.

– Podobno spędzasz sporo czasu z naszą nową sąsiadką.

Rzucił kości na stół. Wypadła dwójka i czwórka.

– Z Sylvie? Tak, bardzo miła dziewczyna. – Zgarnęłam kości i też potrząsnęłam nimi w dłoni.

– Spotkałyśmy się parę razy. Poszłyśmy na kawę, na jogę, raz zaprosiła mnie na kolację, takie tam.

Otrzeptałam dłonie z satysfakcją, kiedy wyrzuciłam piątkę i szóstkę. Leo posłał mi w żartach gniewne spojrzenie.

– Chyba ktoś tu znalazł przyjaciółkę.

Speszona spłonęłam rumieńcem.

– Jeszcze za wcześnie, żeby wyrokować. – Miałam nadzieję, że moje wzruszenie ramion wypadło wystarczająco nonszalancko.

– Cóż, dobrze, że Sylvie się tu wprowadziła. – Leo ponownie zanurzył usta w burbonie. – Choćby dlatego, że tak jak ja uwielbia plotecki.

– Czy to znaczy, że już nie będziesz mnie zameczał opowieściami o grzeszkach sąsiadów?

– No tak, ty tego nie pochwalasz. To znaczy: tak udajesz, przez wzgląd na dziadka. On, dżentelmen w każdym calu, rzecz jasna, nigdy by się czegoś takiego nie dopuścił. Ale wiesz co? – Pochylił się do przodu i zniżył głos. – Wydaje mi się, że w głębi ducha lubił te podwórkowe historyjki tak samo jak ja, tyle że żadne z was by tego nie przyznało.

Zaczerwieniłam się. Bycie na bieżąco z sąsiedzkimi nowinkami bez konieczności wdawania się w rozmowy z obcymi miało swoje zalety.

– Bardzo mi go brakuje.

– Mnie też. – Leo pokiwał głową. – Stary poczciwy Patrick. Wierzyć się nie chce, że nie ma go z nami już trzynaście lat.

Przerwaliśmy grę, pogrążając się w zadumie.

– Leo, czy dziadek mówił ci kiedykolwiek, jak się czuje z tym, że musi mnie sam wychowywać?

– Kostki lodu w mojej szklance obracały się w letargicznym wirze. – Bo to było trochę tak, jakby został na mnie skazany. Wcześniej spotkałam go może ze dwa razy.

Z oczu mojego przyjaciela biło współczucie pomieszane ze smutkiem. Nabrał powietrza, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał, zanim poszczególne sylaby zdążyły się zmaterializować. Nie

sądziłam, że doczekam chwili, kiedy zabraknie mu słów.

Upił powoli drinka i wreszcie się odezwał:

– Skąd to pytanie?

– Coś, co usłyszałam od Claudii, dało mi do myślenia. Musiało być mu trudno, kiedy tak znenacka został opiekunem sześciolatki. – Odstawiłam szklankę i przyjrzałam się liniom na swoich dłoniach. – Myślisz, że... zrujnowałam mu życie?

Leo przeciągle wypuścił powietrze.

– Nie będę cię okłamywał. Czasem stanowiło to dla niego nie lada wyzwanie. Ale dla każdego rodzica wychowywanie dziecka bywa wyzwaniem.

– Tak, tylko że większość rodziców decyduje się na dzieci świadomie. – Prawdę mówiąc, było mi wstyd, że nigdy nie pomyślałam, jak musiał się czuć, kiedy nagle dostał pod swoje skrzydła dziewczynkę, którą ledwo znał.

Leo wzniósł wzrok ku sufitowi, jakby naradzał się z siłą wyższą.

– Clover, myślę, że twojemu dziadkowi nie mogło się przytrafić nic lepszego. Z tego, co od niego słyszałem, dużo pracował, kiedy twoja mama dorastała, więc nie brał zbyt dużego udziału w jej wychowaniu.

Skinęłam głową, przypominając sobie naszą rozmowę podczas urodzinowego wyjścia do Central Parku.

– Pamiętam, jak kiedyś opowiadał, że sporo podróżował, kiedy mama była mała. – W ogóle rzadko wspominał o ich relacjach.

– Uhm. I dlatego twoja matka stała się trochę rozwydrzona. Myślała głównie o sobie, tak to przynajmniej wyglądało. Twój dziadek nigdy nie pochwalał tego, że ona i twój ojciec ciągle tylko podróżowali, a ciebie zostawiali z sąsiadką. Uważał, że źle cię wychowują. Z przykrością na to patrzył, bo podejrzewał, że twoja matka po prostu poszła w jego ślady i przedkładała pracę nad rodzinę. Wydaje mi się, że czułem się z tego powodu winny. – Zrobił dłuższą przerwę, a ja wlałam w siebie całego drinka naraz. – Kiedy się okazało, że jest jedynym krewnym, który ci pozostał – kontynuował – chyba uznał, że dostał drugą szansę. Że może odkupić swoje winy i ukształtować cię tak, żebyś była najlepszą wersją siebie. Pragnął naprawić błędy, które popełnił jako ojciec.

Te rewelacje tylko pogłębiły mój smutek.

– Nie wiedziałam.

– Bo i skąd miałabyś wiedzieć? Radziłaś sobie najlepiej, jak mogłaś, pomimo kiepskich kart, które rozdało ci życie. Pamiętam jednak, jak czasem tu wpadał na kielicha, kiedy już spałaś, i rozpaczał, że nie ma pojęcia, co robić. Bał się, że z tobą też pokpi sprawę.

– Przecież zawsze był taki pewny tego, czego mnie uczył.

– Ha, wcale się nie dziwię. Chciał, żebyś wiedziała, że możesz na nim polegać bez względu na wszystko. – Tęczówki Leo rozbłysły z rozbawienia. – W większości kobiecych spraw, takich jak kupno pierwszego stanika i tak dalej, radził się Bessie, właścicielki księgarni, do której zawsze chodziłaś.

– Naprawdę? – Z pozoru niepasujące do siebie elementy puzzli, które przez całe życie próbowałam ułożyć, nagle zaczęły łączyć się w całość.

– Naprawdę. Posłuchaj, obiecałem twojemu dziadkowi, że zawsze będę o ciebie dbał. I wydaje mi się, że to oznacza również, że powinienem być z tobą szczery. – Ponownie skierował wzrok ku sufitowi. – Jestem pewny, że nie miałby nic przeciwko tym wyznaniom.

– Dziękuję, Leo – powiedziałam cicho, choć teraz, kiedy spojrzałam na swoje dzieciństwo przez nowy pryzmat, w głowie miałam istny mętlik. – Doceniam to. Serio.

Puścił do mnie oczko.

– Drobiazg.

Obawiałam się, że nie zniosę więcej przyjacielskich wspomnień, dlatego skupiłam się na grze.

– Gotowy na partyjkę?

– Jeszcze jak! – Zatarł ręce, lecz nagle znieruchomiał i skrzywił się, wyciągając szyję.

– Wszystko w porządku, Leo?

Odchylił się na krześle z zamkniętymi oczami, żeby przeczekać tę chwilę. Kiedy znów uniósł powieki, widziałam, że próbuje wziąć się w garść.

– W jak najlepszym, tak jak zwykle. Po prostu od czasu do czasu boli mnie szyja. Starość nie radość.

Jakoś mnie nie przekonał.

– Nie musimy dziś grać, jeśli nie masz ochoty. Zamiast tego możemy obejrzyć jedną z tych starych brytyjskich komedii, które tak lubisz.

– O, co to, to nie. Chcesz, żeby przypadły mi punkty. – Leo pokiwał mi przed nosem palcem. – Nie myśl, że tak łatwo zrezygnuję z przewagi.

– Leo...

Błysnął zębami w zawadiackim uśmiechu.

– Twoja kolej, mała.

Towarzystwo Leo zawsze poprawiało mi humor, ale gdy po skończonej grze zamknęłam drzwi do swojego mieszkania, byłam wyczerpana. Jeszcze przed miesiącem życie wydawało się znacznie prostsze. Teraz czułam się trochę przytłoczona.

Na półce leżała lornetka – dla wszystkich wokół rzecz zgoła niewinna, dla mnie coś zakazanego, jeżeli używałam jej w domu. Ale chyba nic wielkiego się nie stanie, jeśli tylko rzucę okiem, czy domowa sielanka Julii i Reubena trwa bez zakłóceń. Czy jeszcze coś w moim świecie jest takie, jak dawniej.

Skrupulatnie odprawiłam swój rytuał: wyłączyłam światło, przysunęłam krzesło do okna, podniosłam żaluzje.

Uroczysta kolacja. Julia i Reuben lubili je od czasu do czasu wyprawiać. Zawsze ci sami ludzie, zawsze pary – zniuansowana mowa ciała każdej z nich stanowiła zagadkę, która tylko czekała, żeby ją rozwikłać.

Tak, właśnie tego potrzebowałam.

I oto ujrzałam Julię i Reubena. Spleceni w objęciach rozmawiali z gośćmi, ich cicha wzajemna adoracja wciąż była silnie wyczuwalna.

Opatuliłam się kocem, usiadłam wygodnie i patrzyłam, czerpiąc pociechę z jedynej relacji, która nie groziła rozczarowaniem.

Kiedy Sylvie w ostatniej chwili zaproponowała, żebym poszła z nią na kurs tańca, ku własnemu zdziwieniu zgodziłam się od razu. Po moim publicznym pocałunku z Sebastianem i rewelacjach Leo na temat dziadka mój mózg miał do przepracowania naprawdę dużo emocji. Dobrze by mi zrobiło, gdybym rozładowała trochę energii.

– Pierwsze pocałunki tak w dziewięćdziesięciu procentach przypadków nie wypadają najlepiej – stwierdziła Sylvie, kiedy siedziałyśmy po turecku na podłodze małego studia tańca w Chelsea. – Mój był tragiczny. Ale, na naszą obronę, mieliśmy wtedy raptem dwanaście lat. Niestety wciąż trafiają się faceci, tacy jak Sebastian, którzy nawet po trzydziestce nie potrafią się dobrze całować. Wydawałoby się, że do tego czasu ktoś już powinien mu o tym powiedzieć.

Nagle poczułam się tak, jakbym wstąpiła do tajnego klubu „nieudanych pierwszych pocałunków”, do którego – o dziwo – należało mnóstwo osób. Na tę myśl ciężar rozczarowania przestał mnie tak przygniatać.

– To co powinnam zrobić?

Sylvie wygładziła zagniecenie na swoich lśniących legginsach.

– Jesteś pewna, że nie poczułaś żadnej chemii? Może po prostu trudno ci zapomnieć o tym kiepskim pocałunku? – Zrobiła szelmowską minę. – Szkoda, że sama mu nie pokazałaś, jak to się robi.

Z trudem starałam się nie okazywać skrępowania.

– Czy ja wiem? To wydarzyło się tak szybko. No i nie mam praktycznie żadnego punktu odniesienia. – Przede wszystkim zabrakło klimatu. Lubiłam towarzystwo Sebastiana, a jego relacja z Claudią była ujmująca, ale nie pociągał mnie tak, jak myślałam, że będzie mnie pociągał pierwszy mężczyzna, którego pocałuję.

– Umów się z nim i zobacz, jak będziesz się przy nim czuć – zasugerowała Sylvie. – Trochę poeksperymentuj, dopóki masz okazję. Pomyśl o tym jak o nauce. Przynajmniej teraz nie będziesz mieć wątpliwości, że to randka!

– No, chyba mogę tak zrobić – powiedziałam bez przekonania. – Tylko dopiero wtedy, jak skończę pracę z Claudią. Muszę oddzielić te rzeczy. – W ten sposób zyskam też więcej czasu, aby moje uczucia bardziej się skryształizowały.

Pod dłońmi czułam szorstką łuszczącą się powłokę parkietu, kiedy rozglądałam się po innych kobietach w sali. Na jodze wszyscy nosili spokojne, neutralne kolory w różnych wariacjach. Tutaj z kolei dominowały drapowane czarne tkaniny i intensywne odcienie kamieni szlachetnych, podkreślające kobiece krągłości. Po cichu liczyłam, że dzięki granatowym legginsom i szaremu T-shirtowi nie będę się rzucać w oczy. Ale nagle dostrzegłam coś, co onieśmieliło mnie jeszcze bardziej niż widok koleżanek z zajęć: dwa metalowe drążki sterujące pionowo pośrodku sali.

– Widzę strach w twoich oczach. – Sylvie trąciła mnie żartobliwie. – Nie martw się. To nie kurs tańca na rurze. Choć koniecznie powinnyśmy się na taki wybrać. Mówię ci, świetna zabawa.

Jej zapewnienia nie ukoily moich nerwów. Niepewnie podciągnęłam legginsy i przez chwilę rozważałam, czy nie związać sobie koszulki w talii, jak część kobiet w studiu.

– Więc co to jest?

– Zmysłowa synchronizacja – odparła Sylvie, wymownie poruszając brwiami. – W zasadzie możesz się tu poczuć jak striptizerka, ale bez zdejmowania ubrań.

– Czekaj, to chyba miał być taneczny aerobik. – Wyobrażałam sobie raczej coś w stylu zumby, nie striptizu.

– Nie aerobik, tylko aeroby, czyli trening, który poprawi zaopatrzenie w tlen twojego organizmu. Po prostu zinterpretowałaś to po swojemu. – Sylvie posłała mi szeroki uśmiech. – Poza tym wiedziałam, że się nie zgodzisz, jeśli ci powiem, na czym to dokładnie polega. Ale uwierz mi, takie wygibasy dobrze ci zrobią. Taniec to najlepszy sposób na poznanie własnego ciała. No może oprócz seksu. Ale na pewno ci się spodoba. To naprawdę fajne i wyzwalające doświadczenie.

Jakby na zawołanie światła przygasły, tworząc atmosferę, jakiej można by się spodziewać w romantycznej restauracji, w dodatku ze świecami strategicznie rozmieszczonymi dookoła sali. Jakoś nie zauważyłam, żeby ktoś je zapalał.

Nagle pomieszczenie wypełniły zmysłowe basowe dźwięki piosenki Beyoncé. Szykuje się droga przez mękę, pomyślałam. W przeciwieństwie do innych rzeczy, których nauczyłam się sama, rytm okazał się wrogiem nie do pokonania. W teorii wiedziałam, że trzeba klaskać na „dwa”, ale zdecydowanie trudniej było to przełożyć na praktykę.

Jakaś kobieta wyszła na środek sali, mocno kołysząc biodrami, co wyglądało tak, jakby to one nią sterowały. Przesunęła dłońmi wzdłuż ciała, ewidentnie rozkoszując się własnym dotykiem.

– Taaak – wyszeptała z zachwytem Sylvie. – Zapowiada się wspaniale.

– Drogie panie, czy jesteście gotowe naprawdę poczuć swoje ciało? – Kobieta zamruczała jak kotka, zamykając oczy z rozkoszy.

Wszystkie uczestniczki zajęć odpowiedziały entuzjastycznym „Uuu!”.

Wszystkie, tylko nie ja.

Byłam pewna, że zaraz zwymiotuję. Według moich szacunków od drzwi dzieliły mnie ze trzy metry. Mogłabym dać drapak i nawet się za siebie nie obejrzeć.

Ale zanim zareagowałam pod wpływem impulsu, Sylvie złapała mnie za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Tak się cieszę, że jesteśmy tu razem, C!

Napięcie, które trzymało moje ciało w żelaznym uścisku, nagle odpuściło, a mdłości zaczęły ustępować. Sylvie patrzyła na mnie z taką nadzieją, że nie mogłam jej zawieść. Błagając moje nerwy, żeby się uspokoiły, skupiłam się na poczuciu więzi z przyjaciółką.

– Ja też się cieszę. – Uśmiechnęłam się słabo, w równym stopniu uradowana i przerażona. Zupełnie jakbym uczepliła się pęku balonów i wreszcie dała się oderwać od ziemi.

Z tego, co wiedziałam, zajęcia nie miały jakiejś sztywnej formuły. Polegały głównie na rytmicznym wiciu się do muzyki (albo, jak w moim przypadku, trochę arytmicznym), prężeniu się na czworakach jak dzikie koty (szkoda, że nie wzięłam ze sobą ochraniaczy na kolana) i przeczesywaniu włosów palcami (jak dla mnie mało praktyczne, ponieważ spięłam je na czubku głowy w ciasny kok). Sylvie, najwyraźniej od urodzenia obdarzona doskonałym wyczuciem rytmu, podeszła do tego z wielkim zaangażowaniem; wydawało się, że nawet jej kucyk kołysze się w takt. Od czasu do czasu trącała mnie ramieniem i uśmiechała się zachęcająco, po czym oddalała się powolnym krokiem, jakby zmysłowość miała we krwi i takie płużanie nie było dla niej niczym nadzwyczajnym.

Po dwudziestu minutach zajęć momentami miałam ochotę się poddać. Na pewno pomogło to, że instruktorka kazała nam zamknąć oczy i „po prostu się rozluuuźnić”, a kiedy ukradkiem zerknęłam dookoła, okazało się, że wszystkie kobiety na sali są skupione wyłącznie na sobie. W tym poczuciu swobody pozwoliłam swojemu ciału poruszać się tak płynnie, jak jeszcze nigdy dotąd. Przesuwając dłońmi po udach i talii, doświadczyłam czegoś zupełnie nowego, intymnego i... przyjemnego.

W nagłym przypływie ulgi uniosłam ręce i rozpuściłam włosy.

Kiedy odbierałyśmy nasze rzeczy z szatni, byłam w lekkiej euforii.

– Widzisz? Wiedziałam, że ci się spodoba – powiedziała Sylvie, z aprobatą przyglądając się moim rumieńcom. – Zobacz, jaka jesteś zrelaksowana.

– Tak, było lepiej, niż myślałam. – Nie chciałam okazywać zbyt dużego entuzjazmu, żeby nie próbowała mnie namówić na lekcje tańca na rurze. Kiedy jednak zmierzałyśmy w kierunku Ósmej Alei i moją skórę owionął wieczorny chłód, nagle zrozumiałam, co to znaczy być w pełni świadomą własnego ciała, dotyku ubrania i tego, jak się porusza. Czułam podobne podniecenie, ilekroć w telewizji oglądałam jakiś romans albo kiedy z daleka delectowałam się widokiem czułych pocałunków Julii i Reubena.

Niemniej to nie było do końca to samo.

Tym razem bodziec pochodził z wewnątrz.

Imię Sebastiana wyświetliło się na ekranie mojego telefonu po raz drugi tego ranka. Za pierwszym razem jedynie siedziałam i wpatrywałam się w nie, błagając w myślach, żeby zniknęło. Nie podobało mi się to, że wtargnął do mojego dnia bez zapowiedzi. Nawet nie nagrał się na pocztę głosową.

Za drugim razem, gdy zobaczyłam, że dzwoni, odczekałam piętnaście minut i w końcu do niego napisałam.

Cześć, Sebastian. Dzwoniłeś do mnie? Byłam pod prysznicem.

Pod moją wiadomością pojawił się dymek z trzema kropkami. Dzięki Bogu, że postanowił odpisać – w ten sposób będę miała przynajmniej czas na zastanowienie. Nagle jednak trzy kropki zniknęły i na ekranie po raz trzeci wyświetliło się jego imię. Nie miałam wyjścia, musiałam odebrać.

– Cześć, Clover! – Na dźwięk jego głosu zdenerwowałam się tak, jak podczas naszego ostatniego spotkania. – Uznałem, że łatwiej będzie zadzwonić, niż pisać wte i wewte. Jak się masz?

– Całkiem dobrze, dziękuję. – Czekałam, aż zdradzi powód, dla którego dzwoni.

– No więc, tamtego wieczoru było naprawdę fajnie... – powiedział, jakby sprawdzał pewną hipotezę.

– Owszem. – Przynajmniej częściowo, dodałam w myślach.

W tle rozległa się melodyjka furgonetki z lodami.

– W każdym razie – odchrząknął – jutro gram koncert wiolonczelowy ze swoim kwartetem. Może będziesz chciała przyjść... z babcią. Zawsze lubiła słuchać moich koncertów, więc pomyślałam, że byłoby miło, gdyby mogła zobaczyć, jak gram, yyy, po raz ostatni.

Cóż, nie odmówię tego Claudii. Stres trochę odpuścił – nagle telefon Sebastiana i cała ta rozmowa wydały się mniej natarczywe.

– To bardzo miłe z twojej strony – odparłam. – Z przyjemnością się wybierzemy.

Sebastian musiał dotrzeć na koncert wcześniej, więc zostałam z Claudią dłużej niż zwykle, żeby pojechać z nią uberem do galerii w Chelsea.

Patrzyłam, jak staruszka siedzi przy toaletce przed lustrem w złoczonej oprawie. Nałożyła na usta czerwoną szminkę równie łatwo, jakby się podpisywała, potem rozsmarowała kroplę perfum na przegubach dłoni, za uchem i na dekolcie. Czułam się niczym dziecko, które obserwuje szykującą się do wyjścia matkę, pełne podziwu dla jej urody i elegancji. I choć sama nigdy tego nie doświadczyłam – a przynajmniej tego nie pamiętałam – widok ten nie sprawił mi bólu. Wręcz przeciwnie, miałam wrażenie, jakby ta pustka została wreszcie wypełniona.

– Kochana, pomóż mi, proszę – zwróciła się do mnie Claudia, podając mi sznur pereł.

Wzięłam naszyjnik i otworzyłam zapięcie, a ona w tym czasie uniosła kosmyki włosów, które spływały jej po szyi z francuskiego koka. Zapięłam perły i poklepałam ją po ramieniu.

– Gotowe.

Nakryła dłonią moją dłoń i przez chwilę ją przytrzymała, patrząc na mnie w lustro.

– Dziękuję, skarbie. Tak się cieszę, że tu jesteś.

Nie sądziłam, że kiedykolwiek to usłyszę. Poczułam, że w gardle rośnie mi gęsia skórka.

– Ja też się cieszę. – Nie potrafiłam wyrazić, jak bardzo jej słowa mnie wzruszyły. – Ale powinniśmy się już zbierać, żeby się nie spóźnić.

Pomogłam Claudii wstać z zabytkowego windsorskiego krzesła, wyłapując przy tym nutę bergamotki i tuberozy w perfumach, którymi dopiero co się skropiła. Zerknęłam na nazwę wytłoczoną na szykownym flakoniku i szmaragdowej zatyczce: Creed Fleurissimo. Jak dla mnie chyba zbyt wyszukane.

– No i? – spytała, wyglądając zagniecena na spódnicy. – Jak wyglądam?

– Bosko. – Objęłam wzrokiem jej elegancką sylwetkę. Podobnie jak Leo Claudia również ubierała się jak w latach sześćdziesiątych, ale mniej w klimacie *Mad Men*, a bardziej w stylu Joanne Woodward. Tego wieczoru miała na sobie wyrafinowaną jedwabną bluzkę ze stójką, a do tego spódnicę do połowy łydki i czółenka na słupku. – Poproszę Selmę, żeby pomogła nam zejść po schodach, zanim wyjdzie. Wózek czeka już w holu.

Claudia machnęła ręką, jakby chciała coś przegonić.

– Żadnego wózka. To może być mój ostatni wieczór na mieście, więc ma być z klasą!

Bez wózka inwalidzkiego nasze wielkie wejście do galerii sztuki przypominało raczej żółwi chód – cały czas mocno obejmowałam Claudię w talii, pomagając jej utrzymać równowagę. A jednak jej wdzięk i pewność siebie nie umknęły uwadze ludzi zebranych przy wejściu, którzy uśmiechali się do niej z uznaniem.

Ciekawe, jak to jest przyciągać spojrzenia wszystkich i odznaczać się taką charyzmą, bez cienia skrępowania, że ktoś patrzy i cię podziwia.

W głębi stały rzędy składanych krzeseł zwróconych tyłem do nas, między którymi środkiem biegło przejście. Kiedy Sebastian ruszył nim w naszą stronę, rój ciem w moim brzuchu poderwał się do lotu. Do tej pory byłam tak zaaferowana Claudią, że nie miałam czasu martwić się o to, jak zareaguję na jego widok.

– Cześć, babciu! – Cmoknął ją dwukrotnie, potem odwrócił się do mnie.

Przerażona, że będzie chciał mnie pocałować przy Claudii, od razu wyciągnęłam do niego rękę.

– Cześć, Sebastian – powiedziałam.

Potrzebował chwili, żeby się zreflektować, ale szybko oprzytomniał i przełożył telefon z jednej dłoni do drugiej, żeby się ze mną przywitać.

– Cieszę się, że przyszłyście – oświadczył, choć patrzył głównie na mnie. – Zająłem wam krzesła w pierwszym rzędzie.

Podszedł do babci i przytrzymał ją za drugi łokieć, po czym razem powoli zaprowadziliśmy staruszkę na miejsce. Kiedy zasiadła wygodnie, Sebastian stał jeszcze przez chwilę z rękami założonymi za plecami, jakby chciał coś powiedzieć. Ja tymczasem skupiłam się na skopiowanym programie koncertu, który leżał na siedzeniu.

– *Suity na wiolonczelę* Jana Sebastiana Bacha – przeczytałam na głos.

Uśmiechnął się wstydliwie.

– Tak, wiem, straszna sztampa... Ja wolałbym zagrać *Pavane* Gabriela Faurégo. – Wskazał innych gości zajmujących miejsca wokół nas. – Ale trzeba dać ludziom to, czego chcą... Zwłaszcza jeśli mają coś ofiarować potrzebującym.

Nie zdawałam sobie sprawy, że to koncert charytatywny. Miło ze strony Sebastiana, że się zaangażował w taką akcję. Jego skrępowanie wydało mi się przez to jeszcze bardziej urocze.

– Mój dziadek uwielbiał Bacha – oznajmiłam, starając się go trochę uspokoić, skoro sama też pewnie przyczyniłam się do jego zdenerwowania. – W dzieciństwie chodziłam z nim na koncerty do Filharmonii Nowojorskiej.

Siedzieliśmy z dziadkiem na balkonie, a on szeptem uczył mnie nazw wszystkich sekcji w orkiestrze i wchodzących w ich skład instrumentów. Najbardziej lubiłam jednego dyrygenta, który tak bardzo wczuwał się w muzykę, że wyglądał, jakby tańczył. I co jakiś czas przystawał, żeby podciągnąć opadające spodnie.

Sebastian aż się rozpromienił.

– Babcia też mnie tam zwykle zabierała! Ciekawe, czy byliśmy kiedyś na tym samym koncercie.

Wyobraziłam nas sobie jako dwoje chudych smarkaczy, mijających się w holu Centrum Lincolna.

Claudia podniosła wzrok na wnuka.

– Zawsze chciałam go przekonać do jazzu, ale on uparcie twierdził, że woli muzykę klasyczną. Podobnie jak jego dziadek.

– Taa. – Sebastian uśmiechnął się szeroko. – Dziadek naprawdę nie cierpiał jazzu. W ogóle nie chciał go słuchać. – Kolejna fascynująca ciekawostka z życia Claudii i jej męża.

Jakiś krępy mężczyzna poklepał Sebastiana po ramieniu i kiwnął głową w kierunku prowizorycznej sceny, gdzie stały cztery wiolonczele oparte o krzesła.

– A, racja – rzucił Sebastian. – Musimy się przygotować. – Odwrócił się do Claudii i do mnie. – Miłego wieczoru!

Patrzyłyśmy, jak znika w sali obok.

Kiedy przyciemniono światła, a widownia ucichła, zamknęłam oczy i poddałam się dreszczykowi oczekiwania, który zawsze mi towarzyszył na początku jakiegoś występu. Tej atmosferze intymności jednoczącej obcych sobie ludzi, którzy na chwilę odkładali swój życiowy balast, żeby być tu i teraz jako jedność – temu poczuciu łączącej nadziei. Wciągnęłam w płuca kojący drewniany zapach instrumentów i pobudzającą woń smyczka świeżo natartego kalafonia.

Otworzyły się boczne drzwi, przez które gęsiego wkroczyli Sebastian i pozostali muzycy – wszyscy

ubrani na czarno, wszyscy tak samo szykowni. Zajęli swoje miejsca, nieśmiało spuszczać głowy wobec ciepłego powitania. Kobieta siedząca po lewej od Sebastiana odliczyła takt i zaintonowała preludium z *I Suity na wiolonczelę* Bacha. Jej palce z gracją poruszały się po gryfie majestatycznego instrumentu, jakby wydobywały z niego dźwięki pieszczotami. Kiedy rozbrzmiał znajomy refren, przez galerię przetoczyło się zbiorowe westchnienie słuchaczy, oddających się w objęcia muzyki.

Po chwili dołączyło pozostałe trio muzyków, a ja skorzystałam z okazji, żeby przestudiować ruchy Sebastiana. To, jak pochyla się nad wiolonczelą, jakby chciał jej zdradzić jakiś sekret. Jak spina twarz w skupieniu. Jak wybija rytm stopą – to palcami, to piętą – kołysząc się przy tym. Od razu było wiadomo, że osoba, na którą patrzę, robi coś, co naprawdę kocha.

Możliwość obserwowania, jak ktoś daje się ponieść czemuś, co uwielbia i do czego ma prawdziwy talent – niekiedy określa się to mianem „flow” – jest jednym z największych przywilejów w życiu człowieka. Wręcz czuć tę energię, czy też magię, którą emanuje, zupełnie jakby otworzył swoje serce na oścież i komunikował się ze światem całym sobą, w najczystszej postaci – nieskrępowany własnymi niedostatkami, stresem czy rozgoryczeniem. Jakby czas się dla niego zatrzymał, a on pozwalał sobie po prostu być.

Patrząc na Sebastiana grającego na wiolonczeli, ujrzałam go w kompletnie innym świetle. I przez chwilę, zamiast nieustannie głowić się nad tym, co do niego czuję, pozwoliłam sobie pójść za jego przykładem – dać się ponieść muzyce i po prostu być.

Kiedy występ dobiegł końca, usiadłyśmy z Claudią na ławce przed galerią. Czekaliśmy na Sebastiana.

– Cudowny koncert. Dziękuję, moja droga, że mi towarzyszyłaś. – Claudia wzięła mnie pod rękę. – Mam nadzieję, że mój wnuk płaci ci za to, że spędzasz z nami czas po godzinach.

Spięłam się w poczuciu winy, kiedy napłynęło wspomnienie innego wieczoru z Sebastianem, za który bynajmniej nic mu nie policzyłam.

– Och, nie – odparłam, wążąc słowa. – W końcu chodzi o szczytny cel. Nie mogłabym przyjąć za to zapłaty.

– Masz naprawdę dobre serce, kochana – stwierdziła, wprawiając mnie w zakłopotanie z powodu tego niezasłużonego komplementu. – Ale nie chcemy cię zatrzymywać... Na pewno już marzysz o odpoczynku. Mogę tu sama poczekać na wnuka.

Kusiło mnie, żeby skorzystać z okazji i się oddalić, ale byłam ciekawa ponownego kontaktu z Sebastianem.

– Poczekał z tobą, przynajmniej dopóki nie przyjdzie – zaproponowałam. – Nie zostawiłabym cię tu samej.

Omiotła sceptycznym wzrokiem elegancką okolicę.

– Uwierz mi, bywałam w znacznie niebezpieczniejszych miejscach.

Drzwi galerii się otworzyły i najpierw z wnętrza wyłonił się futerał na wiolonczelę, a zaraz za nim Sebastian.

– Ach, tu jesteście! – Oparł instrument o przeszklony front budynku. – Szukałem was w środku.

– Właśnie mówiłam Clover, że powinna już wracać – oznajmiła Claudia. – Nie będziemy jej dłużej zabierać czasu, skoro i tak pracuje do późna. No i trochę tu zimno.

Nie mogłam rozgryźć miny Sebastiana, kiedy przeskakiwał wzrokiem między mną a babcią.

– Ach, tak, oczywiście. – Wyjął telefon. – Zamówię nam samochód.

– Ja pojedę metrem – zadeklarowałam szybko, żeby nie siedzieć ściśnięta między nimi na tylnym siedzeniu i udawać, że wszystko gra. – To tylko kilka stacji.

Sebastian uniósł telefon.

– Ale uber będzie tu za minutę. Możemy cię podrzucić.

– Nie, nie – nalegałam. – Jadę w przeciwnym kierunku. Bez problemu wrócę metrem.

Claudia położyła dłoń na rękę wnuka.

– Niechże zrobi, co chce, pączusiu. – Puściła do mnie oczko. – Clover pewnie ma nas już dość.

Patrzyłam, jak Sebastian oblewa się rumieńcem.

– Racja, przepraszam.

– Dziękuję za propozycję – powiedziałam. – I za zaproszenie. To był naprawdę cudowny występ. – Spojrzałam nieśmiało na Sebastiana. – Jesteś bardzo utalentowanym muzykiem.

Po raz pierwszy zabrakło mu słów.

Świadoma tego, że Claudia obserwuje naszą rozmowę, spanikowałam.

– No to lecę już do swojego psa – rzuciłam, zapinając płaszcz. – Dobrej nocy!

Z tymi słowami uciekłam ulicą, co chyba weszło mi już w nawyk. Tylko że tym razem nie byłam pewna, przed czym uciekam.

Kiedy zjawiłam się u Claudii w najbliższą środę, drzwi otworzyła mi Selma.

– Claudia bardzo dziś cierpi – oznajmiła stłumionym głosem. – Oczywiście nie chciała zostać w łóżku, więc przeniosłyśmy ją do biblioteki. – Wskazała w głąb holu. – Po schodach w górę i na lewo.

Biblioteka wielkości dwóch trzecich mojego mieszkania wyglądała jak żywcem wyjęta z moich marzeń. Wielkie półki z orzecha, starannie zapełnione książkami, ciągnęły się aż do sufitu. Przez lukowe okna sączyło się rozproszone światło słoneczne, rozświetlając pokój delikatnym blaskiem. W kącie stała wiolonczela Sebastiana.

Wciąż próbowałam dojść do ładu ze swoimi uczuciami, które zmieniły się podczas koncertu. Czy to, że doceniam talent Sebastiana, jest równoznaczne z odczuwaniem pociągu do tego człowieka? Nie potrafiłam stwierdzić, czy mój opór ma związek z tym, że Claudia to moja klientka, czy raczej z samym Sebastianem. Szkoda, że nie miałam do czego się odnieść. Ale skoro nigdy nie przyjaźniłam się z mężczyzną, a tym bardziej z żadnym się nie umawiałam na randki, nie umiałam odróżnić platonicznego podziwu od początków romantycznego zauroczenia.

Claudia leżała na mahoniowym szezlongu, a jej coraz węższe ciało było wsparte na całym arsenale dekoracyjnych poduszek, przez co przypominała ozdobną lalkę. Była przykryta żakardową kołdrą, która sięgała jej aż pod pachy. Choć oczy miała zamknięte, ręką wystukiwała rytm melodii Duke’a Ellingtona, dobiegającej z małego głośnika stojącego obok na stoliku. Kiedy stare deski podłogowe powiadomiły ją skrzypnięciem o moim przybyciu, powitała mnie sennym uśmiechem.

– Kiedyś poznałam Duke’a Ellingtona na przyjęciu – powiedziała łagodnym, rozmarzonym głosem.

– Zapewne wiąże się z tym ciekawa historia. – Usiadłam na tuftowanym uszaku, tak żeby mnie widziała.

– Właściwie to z tego wieczoru pamiętam głównie kłótnię z mężem – wyjaśniła, próbując się podnieść. Wstałam, żeby jej pomóc, i przytrzymałam ją, poprawiając poduszkę. – Nie podobało mu się, kiedy rozmawiałam z innymi mężczyznami, obojętne, czy byli interesujący czy też wprost przeciwnie. To była nasza kość niezgody, w zasadzie jedna z wielu, bo uwielbiałam rozmawiać z ludźmi. Dzięki temu świetnie się sprawdzałam jako fotoreporterka.

– Pewnie było ci trudno zawiesić karierę na kołku – zauważyłam. – Znałaś jeszcze jakieś kobiety, które w tamtych czasach parały się tym zawodem?

– Wówczas, jak zapewne się domyślasz, stanowiłyśmy bardzo małą grupę. Ale to właśnie kobiety takie, jak Margaret

Bourke-White, Dorothea Lange czy Martha Gellhorn utorowały drogę całej reszcie.

– Akurat skończyłam czytać książkę Gellhorn *Podróże z nim i samotnie*. Cóż za fascynująca postać. – To tylko jeden z kilku poleconych przez Bessie zbiorów wspomnień spisanych przez dzielne, niezależne kobiety. – Miałaś okazję ją poznać?

– Nasze ścieżki skrzyżowały się kilkakrotnie w latach pięćdziesiątych. Była bardzo zgryźliwa. Ale tylko ona ze wszystkich żon Hemingwaya miała wystarczająco dużo rozsądku, żeby się z nim rozwieść.

– Wyobrażam sobie, że w tamtych czasach korespondentki wojenne nie miały lekko – zauważyłam. – Zgryźliwość chyba pozwalała nie dać się stłamsić.

– Bystra jesteś, Clover. To w tobie lubię.

– Czy kiedykolwiek myślałaś o wznowieniu kariery? Kiedy twój syn już podrósł?

– A gdzie tam – odpowiedziała ze znużeniem. – W tamtych czasach większość kobiet z naszych kręgów towarzyskich nawet nie pracowała, nie mówiąc już o tym, żeby rozbijać się samotnie po świecie i robić zdjęcia nieznanym. Mój mąż nigdy by na to nie pozwolił. Nic dziwnego, że Gellhorn i Bourke-White dwa razy się rozwiodły. Z dziennikarstwem i fotografią wiąże się pewna intymność, której ówczesni mężczyźni po prostu nie rozumieli.

– Tak czy siak, na pewno masz mnóstwo fascynujących opowieści z podróży, które odbyłaś, zanim wyszłaś za mąż. – Przesunęłam wzrokiem po regałach ciągnących się wokół szezlonga. – Chętnie zobaczę więcej twoich zdjęć. – Miałam nadzieję, że to skłoni ją do refleksji nad swoim życiem.

Claudia wskazała głową w kierunku dużego teakowego biurka po drugiej stronie pokoju.

– Pod przyciskiem do papieru znajdziesz klucz. Większość prac trzymam w piwnicy. To chyba dobry moment, żeby je przejrzeć, skoro zegar tyka i takie tam. Bóg wie, że ta moja czereda pewnie je wyrzuci, gdy tylko wyzionę ducha.

– Wątpię, żeby Sebastian na to pozwolił. – Wiedziałam, że jest zbyt czułościowy, żeby postąpić tak bezdusznie.

– Racja. Trzeba przyznać, że oddany z niego wnuk, choć ogólnie w życiu nie radzi sobie najlepiej – stwierdziła Claudia. – Miałam nadzieję, że kogoś sobie znajdzie i się ustakuje, zanim umrę. Miło byłoby wiedzieć, że jest szczęśliwy. Zawsze lubiłam jego sympatie... urocze młode damy, nigdy jednak nie wydawały mi się dla niego odpowiednie. Czasem odnoszę wrażenie, że w jego związkach chodzi nie tyle o dopasowanie, ile o to, że nie lubi być sam.

Pomyślałam o kobiecie, na którą wpadliśmy w koktajlbarze – trudno stwierdzić, czy była odpowiednia dla Sebastiana. Dotarło do mnie, że nigdy nawet nie zadałam sobie pytania, czy on i ja jesteśmy dopasowani. Ani co to w istocie znaczy. Wiem, że to nie fair mieć komuś za złe, że jest uczulony na zwierzęta, niemniej alergią na koty i psy z pewnością skomplikowałyby nasze relacje.

Podeszłam szybko do biurka i pod mosiężnym wielorybem znalazłam klucz.

– Czego szukać w piwnicy?

– Możliwe, że będziesz musiała trochę pogrzebać, ale powinnaś zobaczyć stos starych pudeł archiwizacyjnych... o ile jeszcze się nie rozleciały. Od lat nikt tam nie zaglądał.

– Jasna sprawa! – Wymknęłam się z pokoju, zanim Claudia jeszcze bardziej zagłębiła się w życie osobiste Sebastiana.

Zawartość piwnicy przeczyła prawom fizyki. Meble, dzieła sztuki, stare skórzane walizki i sprzęt do odśnieżania – wszystko niepewnie balansowało na stosie, gotowe runąć na podłogę przy najmniejszym szturchnięciu. A więc tak ludzie utrzymują swoje domy w eleganckim minimalistycznym porządku – upychając różne szpargały tam, gdzie ich nie widać.

Gruba warstwa kurzu zalegająca na każdej powierzchni pozwalała przypuszczać, że skłonny do alergii Sebastian raczej rzadko się tu zapuszczał. Kurz podrażnił nawet moją – na ogół niezbyt wrażliwą – śluzówkę nosa, tak że kichnęłam aż cztery razy z rzędu. Przemierzając tę kryptę pełną zapomnianych przedmiotów, zanotowałam sobie w pamięci, żeby później sporządzić spis wszystkiego, co się tu znajduje. Claudia może zechce, aby te rzeczy trafiły w konkretne miejsca zamiast wylądować na wyprzedazy albo, co gorsza, na chodniku. Wprawdzie to nie należało do moich obowiązków, ale zbyt często patrzyłam, jak zbierane przez całe życie pamiątki były bezceremonialnie wyrzucane przez pogrążonych w smutku bliskich zmarłego, którzy chcieli jak najszybciej sprzedać jego dom. Perspektywa przygarnięcia pokaźnej sumki często pozbawiała ludzi skrupułów.

Pudła, o których mówiła Claudia, były wciśnięte pod stare drewniane sanki. Głębokie wgniecenie od płozy sugerowało, że stały nietknięte od dekad. Wydobyłam je ostrożnie i wróciłam triumfalnie do biblioteki ze strzępami pajęczyn we włosach.

– Oho, chyba nie obyło się bez przygód – zauważyła Claudia. – Obyś uznała, że było warto.

– Na pewno było – oświadczyłam, starając się pozbyć pajęczej przędzy. Pod powiekami wciąż czułam drobiny kurzu. Postawiłam pierwsze pudło na szklanym stoliku kawowym.

– Zajrzymy do środka?

Staruszka zadrżała niczym artystka, która po raz pierwszy odsłania swój obraz.

– Chyba tak.

W pudle mieściło się pewnie z trzysta fotografii wydrukowanych na kartonie. Wszystkie czarno-białe, w większości matowe. Wiele wyblakło do tego stopnia, że pozostały jedynie widmowe zarysy postaci i budowli. Wyjęłam plik zdjęć owiniętych szpagatem i zaczęłam je przeglądać.

Na pierwszym widniała kobieta we wzorzystej sukience; siedziała na poboczu drogi, a przed nią leżały dwie ogromne kiście bananów.

Przeczytałam opis na odwrocie.

– *Tunezja, 1956*. Rany, byłaś w Tunezji?

– To moja pierwsza i jedyna podróż do Afryki Północnej. – Claudia cała wręcz promieniała. – Przebywałam akurat w Marsylii i próbowałam ubłagać naczelnego, żeby pozwolił mi jechać do Tunezji i zrelacjonować ostatnie dni walki o niepodległość. Kiedy się nie zgodził, wyruszyłam na własną rękę...

Wkręciłam się na statek dzięki niewinnemu flirtowi. Potem wysłałam do redakcji telegram z Tunisu, ponownie prosząc o zgodę. Wtedy szef nie miał już wyjścia.

– Mnie chyba zabrakłoby odwagi – przyznałam, choć nagle zatęskniłam za tym uczuciem, kiedy przyjeżdża się do obcego kraju, nie mając pojęcia, czego się spodziewać. Tak dawno tego nie robiłam.

– Cóż, w głębi ducha wiedziałam, że to moje ostatnie szaleństwo, że się tak wyrażę. – Błysk w oczach Claudii nieco przygasł. – Pod koniec lata miałam wrócić do domu i wyjść za mąż, co oznaczało, że moja krótka kariera fotografski dobiegnie końca. Więc pomyślałam sobie: „Co mi szkodzi?”.

– Ile miałaś wtedy lat?

– W sierpniu tamtego roku skończyłam dwadzieścia pięć, czyli jak na ówczesne standardy byłam już trochę za stara, żeby brać ślub. Mąż poprosił mnie o rękę, kiedy miałam dwadzieścia trzy lata, ale powiedziałam mu, że potrzebuję jeszcze dwóch lat, aby poświęcić się fotografii. I jeśli się na to zgodzi, to obiecuję, że później będę wierną i przykłądną żoną, jakiej pragnie.

– I dotrzymałaś słowa.

Skinęła głową.

– Chciałam mieć dzieci i zależało mi też, żeby dorastały w stabilnym, spokojnym środowisku. Więc małżeństwo było jedynym wyjściem. Nie to co dziś: młode kobiety zamrażają jajeczka i jeśli chcą, radzą sobie same, mając po trzydzieści czy nawet czterdzieści parę lat. Gdyby wtedy istniała taka możliwość, na pewno bym ją rozważyła.

Nigdy nie myślałam o zamrożeniu jajeczek. Chyba powinnam przynajmniej pogooglować trochę na ten temat, skoro pomału dobiegałam czterdziestki.

– Potrzebowałam tych dwóch lat dla własnego zdrowia psychicznego – kontynuowała Claudia.

– Powiedziałam sobie, że upcham do nich jak najwięcej doświadczeń i wspomnień, tak żeby starczyły mi do końca życia. – Kpiarskie spojrzenie. – Oczywiście nie spodziewałam się, że będę żyć aż tak długo.

Sterna zdjęć, które przeglądałyśmy, dawała świadectwo fotograficznej przenikliwości Claudii. Od każdej z zatrzymanych w kadrze osób biła pewna surowość, zupełnie jakby dopiero teraz ktoś je dostrzegł. Ujmująca nieśmiałość manifestowała się w postaci lekko pochylonych głów, choć twarze emanowały nadzieją. Niektórzy byli bardziej sterani życiem, a ich oczy zdradzały głęboki smutek. Tak czy siak, każde zdjęcie wyrażało prawdziwe emocje – radość, tęsknotę, ból, gorycz – a ja czułam je wszystkie.

Tunezyjskie portrety wkrótce ustąpiły miejsca bardziej tradycyjnym podobiznom i scenkom znad Riwiery Francuskiej. Dzieci pluskające się w płytkich spokojnych wodach Morza Śródziemnego. Starzec drzemący pod drzewkiem oliwkowym. Pies uciekający z ukradzioną bagietką. Coś jak analogowa wersja tablicy na Pinteresie frankofila.

– Na południu Francji materiał do fotografowania był zdecydowanie mniej wdzięczny – wyjaśniła Claudia, jakby czytała mi w myślach.

Zatrzymałam się na zdjęciu młodego kędzierzawego mężczyzny w koszuli w bretońskie paski, który stał w stoickiej pozie na dziobie łodzi.

– No, nie wiem. – Podałam Claudii fotografię. – Według mnie ten smagły dżentelmen ma mnóstwo wdzięku.

Liczyłam na ciętą ripostę, ale się jej nie doczekałam. Claudia zapatrzyła się na wizerunek przystojniaka i przyłożyła rękę do piersi.

– Dobrze się czujesz? – Wstałam gotowa do działania. – Zawołać Selmę? Wezwać lekarza?

Złapała mnie za przedramię.

– Nie, skarbie, wszystko w jak najlepszym porządku. – Oddech jej się uspokoił. – Po prostu, cóż, nie widziałam go od przeszło sześćdziesięciu lat.

– Kto to?

Claudia zniżyła głos do szeptu, zupełnie jak nie ona.

– Hugo Beaufort.

No więc wczoraj opowiadałam komuś w pracy, jaką masz fajną robotę – oznajmiła Sylvie, kiedy czekałyśmy w kolejce do minimalistycznej lunchowni w SoHo, znanej ze zdekonstruowanych potraw i dużych stołów, pozwalających wspólnie spożywać posiłki. – I uświadomiłam sobie, że mam jeszcze tyle pytań, które chciałabym ci zadać.

– Na przykład? – Zainteresowanie Sylvie miło mnie polectało.

– Na przykład czy to prawda, że tuż przed śmiercią ludzie opowiadają, jak to planują wybrać się w podróż?

– Czasem tak.

– I próbujesz ich od tego odwieść?

– Nie, z reguły oferuję im pomoc w pakowaniu.

Przyjaciółka przybrała sceptyczny wyraz twarzy.

– Naprawdę?

– Jasne. Poza tym w pewnym sensie rzeczywiście wybierają się w podróż. Kto wie dokąd? Ale lepiej, jak się na nią cieszą i czują, że są do niej przygotowani.

– To chyba sensowne. – Poczekala, aż przejedzie okropnie hałasująca ciężarówka. – A czy to prawda, że słyszą wszystko, co się do nich mówi, nawet kiedy są nieprzytomni?

– Tego nie mogę potwierdzić z całą pewnością, ale miewałam podopiecznych, którzy byli w śpiączce i jakoś docierały do nich tajemnice wyjawiane przez bliskich.

– Mój Boże, musisz mi o tym koniecznie powiedzieć.

Nagle zdałam sobie sprawę, że też lubię mieć oddanych słuchaczy – może jednak zbyt różniłam się od Leo.

– No więc był taki jeden facet... Leżał w śpiączce, a jego żona opowiadała siostrze, że nigdy mu nie zdradzi pewnej tajemnicy. Otóż ich córka nie była jego dzieckiem. Kobieta myślała, że mąż już się nie obudzi, ale kiedy odzyskał przytomność, pamiętał każdy szczegół z tej rozmowy i poprosił prawnika, żeby zmienił testament i usunął z niego tę babkę i jej córkę. Zmarł następnego dnia, kompletnie rozgoryczony.

Sylvie się skrzywiła.

– Przykre dla każdej ze stron. Na pewno czułaś się nieswojo jako świadek tego wszystkiego.

– No, niemiła sytuacja. – Dałam się w to za bardzo wciągnąć, ale tamten mężczyzna miał prawo zmienić testament. Błędnie zakładałam, że jeśli mu w tym pomogę, odzyska trochę spokoju. Szkoda, że nie zachęciłam go do tego, aby najpierw przedyskutował ten ruch z rodziną. Obawiam się, że zamiast zmniejszyć jego rozgoryczenie przed śmiercią, tylko je powiększyłam.

– Kiedyś czytałam, że pewna kobieta poprosiła o rozwód na łożu śmierci, bo nie chciała umierać, trwając w nieszczęśliwym małżeństwie.

Pokiwałam głową.

– Podobne rzeczy są częstsze, niż ci się wydaje – oznajmiłam. – Tak się składa, że Claudia powiedziała mi wczoraj coś ciekawego. Wyraziła żal, że nie poślubiła mężczyzny, którego poznała, kiedy jako dwudziestolatka mieszkała we Francji.

– Jakie to romantyczne – westchnęła Sylvie. – Ale też bardzo smutne, bo pewnie nie zaznała szczęścia z tym, za którego wyszła.

– No, tego nie wiem. W tamtych czasach kobiety nie miały takiej swobody wyboru, więc postawiła na to, co wydało jej się bardziej rozsądne.

Sąsiadka wzięła mnie pod ramię, kiedy przesuwałyśmy się wzdłuż kolejki.

– Kontynuuj.

Ogarnęło mnie poczucie winy, bo zdradziłam najskrytszy sekret Claudii, ale nie mogłam oprzeć się pokusie zaimponowania Sylvie i sprostania jej wyobrażeniom na mój temat. No i przecież nie znała Claudii.

– Okej – powiedziała na dopaminowym haju, ciesząc się z zainteresowania. – Opowiem ci tę historię dokładnie tak, jak sama mi ją przedstawiła.

Choć minęło już przeszło sześćdziesiąt lat, odkąd poznała Hugona Beauforta, Claudia opisała mi ten dzień w najdrobniejszych szczegółach, jakby to wszystko wydarzyło się w zeszłym tygodniu. Ewidentnie

latami odtwarzała to w pamięci tysiące razy.

Zaczął się od trójnogiego psa, którego ktoś przywiązał przed księgarnią w Marsylii. To był lipiec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku.

Powietrze stało w miejscu. Upał tego i tak parnego dnia był niemal nie do zniesienia, do tego stopnia, że nawet najpróżniejsi z próżnych nie przejmowali się swoim wyglądem. Wszystkich pokrywała ta sama połyskująca warstwa potu, zatem nie pozostawało nic innego, jak się z tym pogodzić.

Claudia żałowała, że postanowiła wtedy włożyć spodnie. Odkąd przyjechała do Europy, żeby pracować jako fotoreporterka, zaczęła je nosić z czystego pragmatyzmu. To nie była pora, żeby się cackać z sukienkami; biała zapinana koszula i lniane spodnie w kancik wydawały się zdecydowanie rozsądniejszą opcją ubioru i łatwiej dało się je spakować. Wobec krytycznych uwag kolegów po fachu na temat niestosowności jej stroju wkładała je także na znak buntu. Ilekroć ktoś marszczył czoło z dezaprobatą, ona po prostu wsuwała ręce do kieszeni i oddalała się nieśpiesznie z lekceważącym uśmiechem.

Niemniej tego konkretnego dnia pozwoliła sobie na to, żeby przez chwilę pobiadolić nad swoim losem, fantazując o wentylacji, jaką w tej duchocie zapewniłaby jej zwiewna letnia sukienka. To, że będąc tak blisko Morza Śródziemnego, nie mogła poczuć choćby muśnięcia morskiej bryzy, także było bardzo niesprawiedliwe.

Żałowała również, że odrzuciła propozycję swojego bezceremonialnego gospodarza, który chciał ją podwieźć na dworzec kolejowy. Ponieważ jednak przez cały pobyt w Marsylii odpierała jego awanse, to na koniec przecież nie da mu satysfakcji, pozwalając, żeby dźwigał jej bagaż. Kiedy skórzany uchwyt sfatygowanej walizki zaczął jej się wyslizgiwać ze spoconej dłoni, złapała go mocniej i poprawiła pękatą torbę na ramieniu. Mały dyskomfort to niewielka cena za niezależność, przypominała sobie. Poza tym przed wejściem do pociągu do Paryża musiała jeszcze wstąpić w jedno miejsce. Dokonać ostatniego zakupu, który umili jej długą podróż do Nowego Jorku.

Księgarnia Le Bateau Bleu była oddalona o jakieś pięć minut spacerem od starego marsylskiego portu i o dziesięć od malutkiego mieszkania na poddaszu, które Claudia wynajmowała niemal za bezcen. Ten sklep traktowała jak swój azyl, własną oazę, prywatny bufor przed nawiedzającą ją falami tęsknotą za domem i samotnością. Książki zawsze dawały jej pocieszenie w trudnym okresie dzieciństwa, spędzonego z rodzicami, którzy się nie znosili. Kiedy nieustanne słowne utarczki odbijały się echem od ścian ich domu, Claudia zamykała się w szafie z poduszką i latarką i zatapiała w lekturze. Później, już jako dorosła kobieta, ilekroć potrzebowała chwili spokoju, uciekała do najbliższej księgarni – na Manhattanie знаła prawie wszystkie. I chociaż jej narzeczony nie przepadał za czytaniem, zawsze wiedział, gdzie ją znaleźć po kłótni.

Gdy Claudia skręciła w wąską uliczkę wiodącą w górę, przy której mieściła się Le Bateau Bleu, serce aż jej urosło z radości. Wiśniowy kolor markizy irytował miejscowych purystów, bo nie siedł w parze z kojącą pastelową paletą całej okolicznej zabudowy. Ale ten buntowniczy duch tylko pogłębił sentyment Claudii do tej księgarni.

Na spalonym słońcem chodniku przed sklepem zalegał skrawek cienia odpowiadający nieco zdeformowanemu kształtowi latarni. Kudłaty jack russell rozciągnął się tak, żeby zmieścić się w jego wąskie ramy – brzuch przyciśnięty do chłodnego betonu, różowe poduszki tylnych łap skierowane ku niebu. Kiedy Claudia przecięła mu drogę, pies ze znużeniem otworzył jedno oko. Odstawiła walizkę, wytarła wilgotne dłonie o płócienne spodnie – przynajmniej na coś się zdały – i uklękła przy potarganym szczeniaku. Szanując jego przestrzeń, wysunęła rękę, żeby ją kontrolnie obwąchał. Mały słodziak jednak pominął wszelkie formalności i z wdzięcznością umościł pysk na jej dłoni. Kiedy dźwignął się z ziemi i usiadł, Claudia zauważyła, że z przodu po prawej stronie miał tylko niewielki kikut, zupełnie jakby nigdy nie było tam łapy.

Z wypchanej po brzegi torby wyjęła termos i nalała trochę letniej wody na dłoń ułożoną na kształt miseczki. Pies zaczął chleptać cały szczęśliwy; przerwał tylko na chwilę, żeby polizać Claudię po nadgarstku, jakby chciał jej dodatkowo podziękować. Kiedy sama wzięła łyk z metalowego pojemnika, odkryła, że zostało w nim już zaledwie kilka kropel. Nie żałowała jednak, że podzieliła się tą resztką ze zwierzęciem.

Nagle drzwi do księgarni otworzyły się, obwieszczając to radosnym dzwonieniem. Claudia wstała, żeby nie blokować wyjścia. Sądząc po tym, jak piesek się ożywił, uznała, że stojący w progu mężczyzna jest jego właścicielem. Burza loków, którą miał na głowie, była tak samo potargana jak sierść jacka russella.

– Matelot! – Nieznajomy zwrócił się z entuzjazmem do swojego wiernego przyjaciela, po czym się pochylił i ujął jego pysk w opalone, stwardniałe dłonie. Następnie, zupełnie jakby nagle przypomniał sobie o dobrych manierach, wyprostował się i uśmiechnął szeroko, ukazując niewielką przerwę między górnymi

jedynkami. – Dzień dobry, *mademoiselle*. – Miał silny akcent, ale, jak się później okazało, płynnie mówił po angielsku.

Claudia zawstydzona faktem, że to takie oczywiste, że jest nietutejsza, nagle pożałowała, że nie przyłożyła się bardziej do nauki francuskiego.

– Dzień dobry – odpowiedziała, zwracając uwagę na małą łukowatą szramę, która przecinała jego brodę pokrytą kilkudniowym zarostem. – Właśnie witałam się z pańskim pupilem. Matelotem, zgadza się?

– Tak! „Matelot” to marynarz. Taki jak ja! – Blizna rozciągnęła się z jego uśmiechem. – A on jest moim... jak to się mówi... majtkiem?

Kiedy Claudia wyobraziła sobie tego mężczyznę żeglującego po morzach ze swoim kudłatym trójnogim pomocnikiem, uznała, że to czarujące. Skinęła głową na stos książek, które Francuz trzymał pod pachą.

– Domyślam się, że podczas rejsów ma pan sporo czasu na czytanie.

– Owszem. Jutro zamierzam popłynąć na Korsykę. – Czule przycisnęła książki do piersi. – A one dotrzymają mi towarzystwa.

– Korsyka podobno jest piękna – powiedziała z westchnieniem Claudia. – Niestety nigdy tam nie byłam.

– Cóż, nic straconego. Widzę, że jest pani gotowa do drogi.

W przypadku każdego innego mężczyzny taka bezpośredniość podziałałaby na nią odpychająco. Ale w przypadku tego szczupłego, młodego Francuza była przeurocza.

– Niestety, idę właśnie na dworzec – odparła, szczerze rozczarowana.

– W zasadzie to idzie pani do księgarni – stwierdził, akcentując każdą sylabę.

– Co racja, to racja.

– Może po księgarni i przed dworcem wybierze się pani z nami na drinka? – Zarówno Matelot, jak i marynarz spojrzeli na nią z nadzieją.

– Cóż, nie znam pana.

– Zaraz to naprawimy. – Wytarł wolną rękę o koszulę i wyciągnął w jej stronę. – Jestem Hugo.

Ona też przeciągnęła palcami po spodniach i uściśliła mu dłoń.

– A ja Claudia.

– Miło mi cię poznać, Claudio. – Blizna zniknęła w dołku na brodzie. – I pozwolę sobie nadmienić, że podobają mi się twoje spodnie.

Kiedy skończyłam opowiadać przyjaciółce historię Claudii i Hugona, dotarliśmy na początek kolejki. Podążyliśmy za kelnerem na koniec długiego dębowego stołu i zajęliśmy miejsca na aluminiowych taboretach.

– „Podobają mi się twoje spodnie” – powtórzyła Sylvie z afektowanym francuskim akcentem. – Co za tekst! Hugo to najwyraźniej niezły bajerant. Nic dziwnego, że Claudia zapomniała przy nim o swoim kontrolującym narzeczonym. – Wzięła serwetkę i rozłożyła ją sobie na kolanach. – Ciekawe, czy ten mężczyzna jeszcze żyje i pływa gdzieś po Morzu Śródziemnym, również za nią tęskniąc.

Ta słodko-gorzka perspektywa poruszyła we mnie czułą strunę. Jak to jest, kiedy kocha się kogoś tak mocno, że nawet po sześćdziesięciu latach nie można o nim zapomnieć?

Z tą zbliżającą się śmiercią nigdy nic nie wiadomo. Ktoś nieuleczalnie chory jednego dnia może być energiczny i silny, a drugiego zgasnąć w oczach, zupełnie jakby śmierć nagle nacisnęła pedał gazu. W ciągu tych trzech dni od naszego ostatniego spotkania Claudia ewidentnie doświadczyła takiego przyspieszenia. Choć jak zwykle siedziała w ogrodzie w swoim starym wiklinowym fotelu, mebel wydawał się teraz ogromny w porównaniu z wątłą sylwetką. Jej ciało pozbyło się nadmierowej wagi, przez co drobna figura stała się rażąco kanciasta, a skóra bezbarwna, niemal przezroczysta. Z kolei zuchwały błysk na ogół widoczny w jej oczach przyćmiła wyraźna melancholia.

Mimo że często byłam świadkiem tego raptownego spadku formy, i tak wciąż z przerażeniem patrzyłam na to, jak człowiek staje się cieniem samego siebie. Tym razem na widok Claudii ograbionej ze swojej żywiołowości przeżyłam jeszcze większy szok. Muszę przyznać, że się do staruszki przywiązałam, co do mnie niepodobne. Nie wiem, czy chodziło o moje relacje z Sebastianem, jej niespełniony romans z Hugonem czy o coś innego. Ale nawet nie posiadając kwalifikacji medycznych, potrafiłam intuicyjnie oszacować, ile czasu komuś zostało. W jej przypadku wiedziałam, że najpewniej nie doczeka końca miesiąca.

– Dopadła mnie dziś lekka chandra – oznajmiła, kiedy dosiadałam się do niej przy stoliku.

– O, to przykre. – Zauważyłam, że drży, jakby owiał ją fantomowy wiatr, i stara się podciągnąć koc. Otuliłam jej pierś grubym moherem. – Co cię trapi?

– Poza tym, że moje dni są już policzone? – Owszem, nikła w oczach, ale bynajmniej nie traciła sarkastycznego poczucia humoru. Zaczęła się bawić brzegiem koca. Jej kostki palców wyglądały jak supły obleczone skórą. – Wiesz, kiedy się dowiedziałam o tym raku, nie byłam szczególnie zaskoczona. W końcu mam już dziewięćdziesiąt jeden lat i od dawna zdawałam sobie sprawę, że moje ciało nie działa już tak, jak dawniej. – W jej piersi zarzęził głęboki oddech. – Sęk w tym, że... cóż, mam lekkie wyrzuty sumienia.

– Jak to?

– Dożyłam znacznie późniejszego wieku niż wielu moich rówieśników, wliczając w to męża, więc właściwie powinnam być wdzięczna losowi za to, co dostałam, i odejść ze spokojem i godnością.

– Może tak. – Stłumiłam w sobie pokusę, żeby ją pocieszyć. – Ale wdzięczność nie zawsze uwalnia nas od smutku. Ani od lęków.

Claudia westchnęła ponuro.

– Doskwiera mi fakt, że to wszystko jest takie niepewne. Lekarz powiedział, że zostało mi około dwóch miesięcy, ale niewykluczone, że mniej – wyznała. Cieszyłam się, że na mnie nie spojrzęła, szukając potwierdzenia. – Czasem odnoszę wrażenie, jakbym tylko siedziała z założonymi rękami i czekała, aż umrę, i że wszyscy dookoła też wyczekują tego momentu. Również ty. Zdarza się, że budzę się rano i jestem niemal zawiedziona, że jeszcze żyję.

– Rozumiem, że możesz się tak czuć. – Wkraczałam na dobrze mi znaną ścieżkę rozmowy. – A gdybyś miała odejść z godnością, to jak by to wyglądało?

– Nie wiem, kochana – przyznała z nutą irytacji w głosie. – Godnie umrzeć dla mnie znaczy chyba tyle, co w pełni korzystać z ostatnich dni, jakie mi pozostały, i nie skupiać się na każdej, nawet najbardziej błahej rzeczy, której żałuję... Oczywiście przez cały czas mając na sobie wspaniały szal.

Odczekałam chwilę, po czym powiedziałam:

– A czego na przykład żałujesz?

Zmierzyła mnie podejrzliwie wzrokiem.

– Nie każesz mi się skupić na pozytywnych aspektach życia?

– Wierz mi, wolno ci myśleć zarówno o tych dobrych, jak i złych rzeczach.

Z ulgą przestała zaciskać zęby.

– Zabawne. Przyłapuję się na tym, że wciąż przychodzą mi do głowy nieistotne, przyziemne sprawy – oświadczyła, patrząc na kota sąsiadów balansującego na płocie jak na linie. – Żałuję, że w dzieciństwie zrezygnowałam z baletu. Albo że nie nauczyłam się lepiej arabskiego. Albo że straciłam tyle czasu, udając, że lubię Szekspira, bo dzięki temu uchodziłam za bardziej inteligentną.

– Wszyscy udają, że lubią Szekspira.

Mój żart został nagrodzony nieznacznym uśmiechem.

– Choć wyda się to samolubne – podjęła Claudia – najbardziej żałuję tego, że przedkładałam potrzeby innych nad własne. Ale jako kobietę tego mnie właśnie uczono. Mąż, dzieci, rodzice. Ich szczęście należało stawiać na pierwszym miejscu, a kobieta zawsze była najpierw czyjąś żoną, matką albo córką, dopiero potem sobą. Czuję się trochę tak, jakbym nie żyła dla siebie. Jakbym zmarnowała to, co zostało mi dane.

– Robiłaś wszystko, czego od ciebie oczekiwali ludzie, których kochałaś. Nie postrzegalabym tego w kontekście marnowania. Nie miałam okazji kochać zbyt wielu osób, ale wyobrażam sobie, że ich uszczęśliwianie traktowałabym jako przywilej.

– Jeśli pożyjesz tak długo jak ja, to pewnie zmienisz zdanie.

Szpaki utworzyły na niebie widowiskową murmurację. Obie się odchyliłyśmy i przyglądałyśmy ich spektaklowi.

– Nigdy nikomu o tym nie mówiłam – odezwała się niepewnie Claudia, jakby nie całkiem gotowa przyznać się do tego, co zamierzała powiedzieć. – Kiedy mój syn był jeszcze maleńki, każdej nocy, gdy już go nakarmiłam, wykąpałam i ułożyłam do snu, przeczytawszy kilka bajek... przy czym zawsze robiłam to ja, nigdy jego ojciec... siedziałam przy nim i patrzyłam, jak śpi. I każdej nocy starałam się stłumić wzbierającą we mnie gorycz, żeby nie chować do niego urazy za życie, którego nigdy nie doświadczę. Patrząc na miarowe ruchy jego piersi i na te anielskie loczki okalające buzię, szeptałam mu raz za razem: „Nie będę mieć ci tego za złe. Nie będę mieć ci tego za złe”. – Na jej twarzy pojawił się grymas skruchy. – Ale nieważne, jak żarliwie to powtarzałam, nigdy nie przestałam się tak czuć. Miałam pretensję do syna i do męża, a przede wszystkim do tego domu za to, czego mnie pozbawił. Czułam się w nim jak w więzieniu.

Zamknęłam jej dłoń w swojej dłoni i uśmiechnęłam się pokrzepiająco. W takich przypadkach ludzie na ogół nie oczekiwali komentarza. Chcieli jedynie, żeby ktoś ich wysłuchał i nie oceniał. Łatwo ulec pokusie, żeby coś z tym zrobić, żeby pocieszyć. Ale prawda jest taka, że nie da się znaleźć właściwych słów – bo nic, co się powie, nie przyniesie im ulgi. To, że się przy nich jest, znaczy o wiele więcej.

Mimo to musiałam przyznać, że wyznanie Claudii trochę mnie przygnębiło. Nie żebym naiwnie wierzyła, że wszystkie małżeństwa są szczęśliwe, ale ostatnio miałam wrażenie, jakby rzeczywistość za wszelką cenę usiłowała zadać kłam hołubionym przeze mnie romantycznym ideałom.

– Moje życie mogło wyglądać zupełnie inaczej – kontynuowała Claudia. – Może nie siedziałabym tu z tobą, tylko pływała gdzieś po Morzu Śródziemnym z Hugonem. O ile w ogóle jeszcze żyje.

Ucieszyłam się, że znów wspomniała o ukochanym Francuzie – strasznie chciałam dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

– Co się właściwie stało po waszym spotkaniu pod księgarnią?

Staruszka jakby dostała zastrzyk z adrenaliny. Wyprostowała się na fotelu, a jej twarz ponownie nabrała blasku.

– Zaprosił mnie na lunch do pobliskiej kawiarni, wypiliśmy za dużo pastis i ostatecznie nie zdążyłam na pociąg do Paryża. Szczerze mówiąc, chyba chciałam go przegapić i zafundować sobie ostatnią przygodę, zanim wrócę do domu i wyjdę za mąż. No i przy nikim jeszcze nie czułam się tak jak przy nim. Kiedy więc zaproponował, żebym popłynęła z nim na Korsykę, nie mogłam odmówić. Pierwotny plan był taki, że zatrzymam się na dziesięć dni u przyjaciela rodziny w Paryżu, a potem wskoczę na statek do Nowego Jorku. Zamierzałam też sprawić sobie nową fryzurę i kupić trochę ciuchów, ale koniec końców, spędziłam ten czas, żeglując z Hugonem. – W jej oczach znowu pojawił się ten zawadiacki błysk. – Resztę pozostawię twojej wyobraźni.

– Co tak mocno cię do niego przyciągało?

– Nie wiem... Dawno o nim nie myślałam. – Claudia w zadumie zapatrzyła się na szpaki. – Spodobała mi się jego prostota. Cieszył się życiem, chociaż go nie rozpieszczęło. Tej blizny na brodzie dorobił się po tym, jak ojciec uderzył go butelką w pijackim szale. Poza tym był bystry, bynajmniej nie dzięki szkole, tylko dzięki bywaniu w świecie. Angielskiego nauczył się, pracując na kutrach rybackich, kiedy miał trzynaście lat, całą resztę przyswoił z książek pozostawionych przez innych marynarzy. – Westchnęła przeciągle. – Ale przede wszystkim lubiłam to, jak się przy nim czułam: niezależna, seksowna, pobudzona intelektualnie i ośmielona. Po prostu wolna. Przy nim czułam się sobą, czego nie mogłam powiedzieć o swoim mężu.

– Wygląda na to, że był cudownym mężczyzną. – Rozbłysła we mnie iskierka nadziei. Może jednak nie przeszacowałam mocy miłosnej chemii.

– Owszem. – Zachichotała, lecz zaraz wróciła powaga. – Z drugiej strony, może z nim również nie byłoby tak kolorowo. Powiedział, że nie powinnam rezygnować z kariery fotografki, ale kto wie, czy nie zmieniłby zdania, gdybyśmy doczekali się dzieci. Łatwo gloryfikować ścieżkę, której się nie obrało. Poza tym spędziliśmy razem zaledwie dziesięć dni. – Na jej policzki wpęłzył blady rumieniec. – Muszę jednak przyznać, że uwielbiałam całować tę jego bliznę na brodzie.

Claudia zamknęła oczy i uśmiechnęła się, jakby odpływała w przyjemny sen.

Kiedy tak przy niej siedziałam, trzymając ją za rękę, zaczęłam się zastanawiać, czy przed jej śmiercią zdołałabym sprawić, żeby nie żałowała chociaż jednej rzeczy.

Gwałtowne pukanie do drzwi sugerowało coś pilnego. Niechętnie wyplątałam nogi z koca i straciłam George'a leżącego na moich łydkach.

Chwila ciszy i znowu łomotanie, za każdym razem staccato pięciu uderzeń. Szkoda, że nie miałam wizjera, żebym mogła przygotować się na dramat, który najwyraźniej czekał na mnie za drzwiami.

Kiedy otworzyłam, ujrzałam przed sobą Sylvie z szerokim uśmiechem na twarzy i laptopem pod pachą. Jej potargany kok, spodnie od piżamy oraz skarpety w kropki dawały mi poczucie komfortu i zażyłości. Stanowiły ciche potwierdzenie, że nasza przyjaźń ewoluowała do tego stopnia, że nie musimy się już przejmować swoim wyglądem.

– Znalazłam Hugona! – oznajmiła entuzjastycznie. – Mogę wejść?

Zawahałam się. Nie żebym nie chciała jej wpuścić, tyle że oprócz Leo i gospodarza budynku nikt nigdy nie przekroczył progu tego mieszkania. Byłam też boleśnie świadoma, jak bardzo minimalistyczne gniazdko mojej sąsiadki różni się pod względem estetycznym od mojego. No i jeszcze dawało się tu wyczuć wyraźny odór kociego żwirku.

Niemniej jej zapowiedź odkrycia brzmiała zbyt kusząco – w końcu sama ją poprosiłam, żeby zbadała sprawę.

– Jasne.

Sylvie władowała się do środka i nagle stanęła jak wryta.

– Łooo. Tu jest prawie jak w muzeum. – Z zaciekawieniem wpatrywała się w słoiki, kamienie i skamieliny, którymi zastawione były półki. – Nie wiedziałam, że lubisz takie rzeczy. Ale to chyba logiczne, jeśli czyjaś praca kręci się wokół śmierci.

Zjeżyłam się, słysząc, jak powieli ten stereotyp.

– Większość tych rzeczy właściwie należała do dziadka. Po prostu jeszcze nie zebrałam się do tego, żeby zrobić z nimi porządek. – Zastygłam w bezruchu. – Napijesz się herbaty, a może coś przekąsisz? – odezwałam się po chwili.

Czy miałam w ogóle coś odpowiedniego? Ktoś o tak wyszukany guście, jak Sylvie, zapewne nie zadowoliliby się zwykłymi krakersami i cheddarem.

– Poproszę zieloną herbatę, jeśli to nie kłopot! Ale poczekaj. Najpierw powiem ci, czego się dowiedziałam o Hugonie. – Poklepała wolne miejsce na sofie między sobą a drzemiącym George'em. Usiadłam obok niej.

Z szelmowskim uśmieszkiem kogoś, kto trzyma w zanadrzu pikantną plotkę, Sylvie lekko uniosła pokrywę laptopa.

– No więc ta dziewczyna, z którą się umawiałam latem na studiach... Swoją drogą, spotykałam się też z jej chłopakiem, ale to inna historia. W każdym razie ta dziewczyna mieszka teraz we Francji i pracuje jako historyczka sztuki w muzeum w Marsylii. Mówiłaś, że właśnie tam Claudia poznała Hugona, prawda?

– Tak. – Ledwo nadażałam za randkowymi perypetiami Sylvie.

Zrobiła dramatyczną pauzę, a George nagle się ocknął przestraszony własnym chrapaniem.

– Otóż ona ma dostęp do różnych miejskich i historycznych archiwów, więc podałam jej imię tego dżentelmena i przybliżony wiek. Pewnie był rówieśnikiem Claudii, więc w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym miał dwadzieścia parę lat.

– Tak sądzę. – Nie chciałam się zbytnio ekscytować. – Claudia mówiła chyba, że miała dwadzieścia cztery lata, kiedy się spotkali.

– W każdym razie ta koleżanka musiała trochę poszperać, aż w końcu znalazła to... – Sylvie otworzyła laptopa do końca i obróciła go na kolanach, ekranem do mnie.

Zobaczyłam czarno-białe zdjęcie dość młodego ciemnowłosego mężczyzny w swetrze rybackim, stojącego na dziobie łodzi. Na brodzie z lewej strony spod kilkudniowego zarostu przebijała blizna. A u jego stóp siedział kudłaty jack russell bez przedniej prawej łapy.

Przyjrzałam się bliżej.

– To może być Hugo.

– To jest Hugo! – oznajmiła Sylvie, przewracając oczami. – Wykluczone, żeby w Marsylii było dwóch

facetów z taką samą blizną na brodzie i trójnogim psem. I muszę przyznać, że do twarzy mu w tym swetrze.

– Czego się o nim dowiedziałaś? Żyje?

– I tu się robi jeszcze ciekawiej. Okazuje się, że nie mają zbyt wielu danych o tym koleśiu, Hugonie Beaufortie. A to dlatego, że... – Kolejna pełna dramaturgii pauza. – Wyemigrował do Stanów w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym.

– Co? Mieszkał tu przez cały ten czas?

– Uhm. No więc pokopałam jeszcze trochę na własną rękę.

– Iii? – Ogarnął mnie niepokój. Bez wątpienia naruszałam prywatność Claudii, ale... musiałam dowiedzieć się czegoś więcej.

– Wygląda na to, że niejaki Hugo Beaufort, urodzony we Francji w tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku figuruje w spisie mieszkańców Lincolnville, w Maine. – Sylvie poczekała, aż to do mnie dotrze. – To znaczy, że pewnie mogłybyśmy go namierzyć, zanim Claudia umrze.

– O, kurczę!

– Ale jest jeden haczyk. – Zrobiła przeproszącą minę. – Szukałam i szukałam, ale nie znalazłam żadnego numeru telefonu zarejestrowanego na jego nazwisko. Tylko adres, ale co najmniej sprzed dziesięciu lat, więc trudno powiedzieć, czy facet nadal tam mieszka.

Toczyłam walkę z własnym sumieniem.

– Czy w takim razie warto o tym w ogóle wspominać Claudii? Świadomość tego, że przez cały ten czas był tak blisko, może ją tylko bardziej przybić.

– Dobrze pytanie. – Sylvie zatrzasnęła laptopa. – Ale może przyniesie jej to ulgę. Moim zdaniem to nie przypadek, że przeprowadził się tutaj rok po tym, jak ją poznał. A raczej rok po tym, jak ona niemal porzuciła dla niego swojego przyszłego męża.

– Chyba masz rację. – Zagryzłam dolną wargę. – Tylko że jej stan z dnia na dzień się pogarsza. Zostały jej maks dwa tygodnie. Nie wiem, czy powinnam ją narażać na tak silne emocje.

– Ale z drugiej strony... – nie dawała za wygraną – ...nie mówiąc o tym swojej podopiecznej, niewykluczone, że pozbawisz ją szansy na zaznanie spokoju i zamknięcie tego rozdziału. Ja chciałabym wiedzieć na sto procent. A ty nie, gdyby chodziło o miłość twojego życia?

– Nie jestem pewna – odparłam cicho. – Nigdy nie byłam zakochana. – Słowa, które padły z moich ust, brzmiały trochę żałośnie.

– Akurat! Przeżyłaś to już pewnie z milion razy, tyle że pośrednio, przez te komedie romantyczne, które tak namiętnie oglądasz.

Zdziwiło mnie to, że Sylvie najwyraźniej zna mnie lepiej niż ja sama.

– Przemyślę to jeszcze.

Musiałam się zastanowić nad logistyką i etyką tego całego przedsięwzięcia. Niemniej trzeba przyznać, że historia dawno niewidzianego kochanka, mieszkającego na wybrzeżu Maine, wydawała się idealnym materiałem na romans – choć trochę banalnym.

– Lepiej nie myśl za dużo. Claudia zasługuje na wspaniały epilog. W końcu czy nie o to chodzi w twojej pracy?

Spojrzałam na swoje notatniki.

– To jeden jej aspekt.

Sylvie wstała i pełna podziwu zaczęła krążyć po pokoju.

– Mówiłaś, że czym się zajmował twój dziadek?

– Wykładał biologię na Columbii.

– Hmm. – Podniosła słoik i spojrzała na umieszczony w środku szkielet, obracając go powoli nad głową, jakby wkręcała żarówkę. – Fajnie, że trzymasz te wszystkie rzeczy na jego pamiątkę, ale czy myślałaś o tym, żeby coś tu pozmienić? Wiesz, żeby to mieszkanie było bardziej twoje? Będę szczerą: trochę tu upiornie jak na trzydziestosześcioletkę.

Jej słowa mnie zabolowały.

– Ono jest moje. Mieszkałam tu z przerwami, odkąd skończyłam sześć lat. Dorastałam wśród tych wszystkich rzeczy.

– Rozumiem, naprawdę, ale to wciąż bardziej w stylu twojego dziadka, prawda? – Zdjęła z półki

książkę i przeczytała tytuł na grzbiecie. – No bo czy kiedykolwiek czytałaś *Spoleczeństwo owadów* Edwarda O. Wilsona?

– Nie – przyznałam, a moje policzki rozżarzyły się jak węgielki, na które ktoś dmuchnął. – Ale kiedyś może przeczytam.

Ponownie przewróciła oczami.

– Jasne, to na pewno bardzo romantyczna historia. – Odłożyła opracowanie na miejsce, po czym przesunęła palcem po innych grzbieciech stojących w rzędzie i zatrzymała się na trzech notesach.

– „Żale”... „Rady”... „Wyznania”... Hej, a to co?

Chwyliła pierwszy.

Dopałam do niej.

– Proszę, zostaw.

Patrząc, jak przeprowadza inspekcję mojego lokum, poczułam się bezbronna i obnażona. Każdy znajdujący się tu przedmiot był jak nić, która łączyła mnie z dziadkiem. I ilekroć Sylvie czegoś dotykała, czułam, jakby ją napinała, szarpiąc mnie boleśnie za serce.

Odstawiła notatnik, tyle że nie na jego miejsce, i posłusznie odsunęła się od regału.

– Przepraszam, to twoje prywatne pamiętniki? – Pojednawczo uniosła dłonie. – Jeśli tak, to nic mi do nich. Szanuję cudze granice.

– To niezupełnie pamiętniki. – Nie mogłam się powstrzymać, musiałam je ustawić we właściwej kolejności. – Raczej coś jak archiwum ostatnich słów, które ludzie wypowiadają przed śmiercią, ich mądrości. Gdybym pozwoliła je komuś przeczytać, czułabym się tak, jakbym pogwałciła ich prywatność.

Sylvie skinęła głową, choć wyglądała na zdziwioną.

– Ale ci wszyscy ludzie już nie żyją, tak? Więc jak miałby się o tym dowiedzieć?

– Ja będę wiedzieć. – Spojrzałam na fotel dziadka i dodałam, jeszcze bardziej upierając się przy swoim:

– To nie w porządku, bez względu na to, czy ktoś o tym wie czy nie. – Większość osób, których słowa zostały zapisane w tych notatnikach, wypowiedziała je w chwilach swojej największej słabości. Nie mogłabym zawieść ich zaufania.

Przez moment przyglądałyśmy się sobie niepewnie, aż w końcu Sylvie rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

– Wow, C, to wspaniale, że twój kompas moralny zawsze wskazuje właściwy kierunek, nawet jeśli nim mocno potrząsnę. To naprawdę godna podziwu cecha charakteru. Fajnie być osobą tak porządną jak ty. Ale naginanie zasad jest jakby... fajniejsze.

Mrugnęła do mnie, po czym podeszła do okna i dwoma palcami rozsunęła listewki żaluzji, otwierając romboidalny portal do świata nocy.

– Hej, wiedziałaś, że można stąd zajrzeć wprost do sąsiadów z budynku naprzeciwko?

Starłam się zapanować nad głosem.

– Ee, jakoś nigdy nie zwróciłam na to uwagi.

Niezależnie od tego, jak bardzo w swoim mniemaniu byłam uczciwa i szlachetna, nie mogłam zaprzeczyć, że w ostatnim czasie kłamie na potęgę.

– Właśnie widzę, że ktoś ogląda *Grę o tron*. Powinnam ich ostrzec, żeby nie marnowali życia na coś o tak irytująco słabym zakończeniu? E tam, pewnie chodzi im tylko o te wszystkie lubieżne sceny.

– Ha! No może.

Sylvie wzięła lornetkę spomiędzy słoików ze zwierzęcymi płodami.

– Przyjrzymy im się z bliska?

Miałam wrażenie, jakby ktoś przyszył mi stopy do dywanu. Ona tak serio? Czyżby wiedziała?

Wymachując lornetką na pasku, parsknęła śmiechem.

– Boże, szkoda, że nie widzisz swojej miny! – Odłożyła przyrząd na parapet i klapnęła z powrotem na sofę. – Wiem przecież, że nikogo byś nie podglądała. Jesteś dobrym człowiekiem!

Poszłam nastawić czajnik, a wstyd aż przeszył mnie dreszczem.

Kiedy dwie godziny później leżałam w łóżku, po głowie tłukły mi się wciąż te same myśli. Sylvie miała rację. Jeśli mogłam to zrobić, powinnam pomóc Claudii zamknąć pewien rozdział życia. Wiedziała, że będę żałować, jeśli przynajmniej nie spróbuję. Ale z drugiej strony nie chciałam być tą, przez którą być może umrze z jeszcze bardziej złamanym sercem. Informacje zdobyte przez Sylvie nie były zbyt konkretne.

Robiłam, co w mojej mocy, żeby wyciszyć umysł. Obróciłam poduszkę na tę chłodniejszą stronę. Wykonałam serię ćwiczeń relaksacyjno-oddechowych. Liczyłam wstecz siódmkami od tysiąca, najpierw po angielsku, potem po japońsku. Ale i tak nie mogłam zasnąć.

Sfrustrowana zwlekłam się z łóżka i poczłapałam boso do salonu. Na parapecie leżała lornetka – tam, gdzie zostawiła ją Sylvie. Może kilka minut z Julią i Reubenem położy kres galopadzie myśli.

Światła zgaszone. Żaluzje otwarte. Serce przepelnione radością.

Choć minęła już północ, jeszcze nie spali – wiedziałam, że to nocne marki. Telewizor był wyłączony, a oni stali pośrodku pokoju i kołysali się w objęciach. Nie musiałam słyszeć muzyki, żeby poczuć jej rytm. Zdradzały go ruchy ich bioder i stóp, kiedy przenosili ciężar ciała z jednej nogi na drugą, przytuleni do siebie.

Ich dwoje zatraconych we własnym świetle.

I ja – sama w swoim.

Zważywszy na moją tendencję do wpadania na Sebastiana w najmniej odpowiedniej chwili, nie byłam zdziwiona, kiedy nazajutrz po południu zmaterializował się nagle przed drzwiami do sypialni Claudii.

– Cześć, Clover. – Worki pod oczami trochę go postarzały.

Tego dnia zobaczyłam Sebastiana po raz pierwszy od koncertu i nadal byłam rozdarta. Szkoda, że nie miałam więcej czasu, żeby to wszystko przemyśleć, ale ostatnio naprawdę sporo się działo.

– O, cześć. – Zamknęłam drzwi i ruszyłam z nim korytarzem. – Claudia przespała prawie cały dzień. Rano przyszedł lekarz i trochę u niej posiedział. Selma przybliży ci szczegóły. To dobrze, że na weekend zjeżdża się twoja rodzina.

– Taa, właśnie rozmawiałem z siostrami – oświadczył. – Zajrzą jutro wieczorem po pracy.

– A twoi rodzice?

– Będą w niedzielę. Tata chyba stara się odwlec tę wizytę najdłużej, jak się da.

– Pewnie ciężko mu patrzeć na matkę w takim stanie.

– Oczywiście, rozumiem. – Zmarszczył brwi. – Ale to trochę egoistyczne... to jego miganie się od przyjazdu tylko dlatego, że nie chce się z tym mierzyć.

– Każdy przeżywa trudne momenty na swój sposób – zauważyłam, choć ojciec Sebastiana rzeczywiście zachowywał się jak duppek.

Staliśmy w milczeniu na korytarzu, czując pulsujący ciężar wypowiedzianych słów, które zawisły między nami. Kiedy nie miałam żadnego życia towarzyskiego, wszystko wydawało się znacznie prostsze. Wiedziałam, że z tą niekomfortową sytuacją trzeba coś zrobić.

– Sebastian, przepraszam, że tak uciekłam tamtego wieczoru, kiedy poszliśmy na drinka – wydusiłam z trudem. – I później po koncercie.

Wbił ręce w kieszenie, po czym wzruszył ramionami.

– Spoko, rozumiem. Sprawy potoczyły się trochę za szybko. Możemy nieco zwolnić.

W tym wirze myśli zdałam sobie sprawę, że jestem pewna tylko jednego, a mianowicie tego, że chcę być w pełni obecna dla Claudii – zwłaszcza teraz, kiedy koniec tak blisko.

– Właściwie wydaje mi się, że będzie lepiej, jeśli ograniczymy się do relacji czysto zawodowych. Powinam się teraz skupić na twojej babci.

– Ale...

– Przepraszam, muszę lecieć. Umówiłam się z sąsiadką. – Jak tchórz przemknęłam obok niego w kierunku schodów.

– Clover, poczekaj. – Złapał mnie za ramię, ale szybko puścił.

Odwrociłam się do niego, odruchowo chowając ręce za plecami.

– Tak?

– Kim jest Hugo?

Żołądek skręcił mi się w supeł.

– Co?

– Słyszałem, jak rozmawiałaś z babcią o jakimś kolesiu. Niejakim Hugonie. Chyba chodziło o coś... osobistego.

Rozważałam, co odpowiedzieć, czując pod pachami zbierający się pot. Okłamywanie Sebastiana przerodziło się już w nawyk, ale oto nadarzyła się szansa, aby to zmienić. Poza tym wolałam, żeby nie pomyślał, że nie chcę się angażować z powodu innego faceta.

Spojrzałam mu głęboko w oczy, tak jak uczył mnie dziadek, kiedy trzeba było się do czegoś przyznać.

– W zeszłym tygodniu przeglądałyśmy stare zdjęcia twojej babci i znalazłam fotografię pewnego mężczyzny z czasów, gdy Claudia mieszkała we Francji.

– Co to za gość?

– Wahałam się, czy ci mówić... – Jeszcze bardziej zniżyłam głos. – Był jej ukochanym.

– Słucham? – Szczerze zaskoczony dał mi znak gestem, żebym się zbliżyła, po czym dodał scenicznym szeptem: – Jak to? A nie była już wtedy zaręczona z moim dziadkiem?

– Owszem.

Gwałtownie pokręcił głową, jakby to miało coś zmienić.

– Uch – sapnął ciężko. – To znaczy, domyślam się, że dziadek nie grzeszył wiernością. Nie był wzorem cnót. Ale babcia? Nawet do głowy by mi nie przyszło. – Sprawiał wrażenie, jakby mu trochę zaimponowała.

– Najwyraźniej była w nim bardzo zakochana. Myślała nawet o tym, żeby zostać we Francji na stałe i nie wychodzić za twojego dziadka.

– Nic dziwnego, że nie za bardzo im się układało w małżeństwie. – Sebastian bezwiednie potarł kark. – Ale teraz chyba lepiej ją rozumiem.

– To nie wszystko. – Uznałam, że skoro już zerwałam plaster, to równie dobrze mogę wyjawić całą prawdę.

– Boże, nie mów, że ma jakieś dziecko z nieprawego łoża?

– Nie, nic z tych rzeczy. – Ale dobrze wiedzieć, że nastawił się na coś bardziej kontrowersyjnego niż to, co zamierałam mu powiedzieć. – Okazuje się, że ten facet, Hugo, wyemigrował do Stanów pod koniec lat pięćdziesiątych. I być może wciąż mieszka w Maine.

Sebastian nie krył sceptycyzmu.

– Skąd w ogóle to wszystko wiesz?

Ogarnęło mnie jeszcze większe poczucie winy.

– Opowiedziałam o tym swojej sąsiadce Sylvie, bo... – Nie potrafiłam tego wytłumaczyć. Bo miło podzielić się czymś interesującym z przyjaciółką? – Bo to naprawdę romantyczna historia. – Marny pretekst do naruszania czyjejś prywatności, ale na nic lepszego nie wpadłam. – A ona jest historyczką sztuki, więc ma dostęp do różnych źródeł. Sprawdziła to dla mnie.

– No więc do czego zmierzasz?

– Claudia jest wdzięczna za twojego ojca i za ciebie, za wszystkie swoje wnuki, ale wyznała mi, że... cóż, Hugo był miłością jej życia. I poniekąd żałuje, że mu tego nie powiedziała.

Sebastian zmarszczył czoło.

– Ach tak.

– Zdaję sobie sprawę, że to może być dla ciebie przykre, ale pomyślałam, że mogłabym spróbować nawiązać z nim kontakt.

Pomimo pochmurnej miny Sebastian przechylił głowę z zaciekawieniem.

– Zdobyłaś jego numer telefonu?

– Niestety nie. Próbowaliśmy człowieka namierzyć, lecz trafiłyśmy jedynie na stary adres w Lincolnville.

Ponownie schował ręce do kieszeni.

– Więc co planowałaś zrobić?

Czy mój pomysł jest śmieszny? Wpadłam na niego raptem kilka godzin wcześniej i przyznaję, że jeszcze go dobrze nie przemyślałam.

– Skoro w ten weekend przyjeżdża twoja rodzina, to może...

– Tak? – Stawał się coraz bardziej niecierpliwy.

– Może pojechałabym do Maine i spróbowała go odszukać. – Skupiłam się na pełnym zawijasów deseni na dywanie.

Sebastian zdjął okulary i zaczął je przecierać brzegiem koszuli. Dziwnie było zobaczyć jego twarz nieprzesłoniętą soczewkami – stracił przez to trochę tego profesorskiego uroku, który mu przypisałam.

– Jak długo się tam jedzie?

– Około siedmiu godzin. Wybrałabym się wczesnym rankiem i wróciła następnego dnia.

– Tylko co zrobisz, jeśli go znajdziesz?

– Jeszcze nie wiem – przyznałam ze wstydem, bo moje plany nie sięgały tak daleko. – Pewnie bym coś wymyśliła po drodze. Ale gdybym go odszukała, to postarałabym się zaaranżować rozmowę telefoniczną z Claudią. O ile oboje by tego chcieli.

– No nie wiem. Istnieje ryzyko, że otworzysz puszkę Pandory. Mówiłem ci, jaka jest moja rodzina.

– Tak, rozumiem. – Chodziło o jego babcię, więc decyzja należała do niego. Chyba pozwoliłam sobie na zbyt dużo. – Nieważne. Głupi pomysł.

– Nie, po prostu trudno mi to ogarnąć. – Ponownie nasunął na nos okulary. – Nie znałem babci od tej strony. Zastanowię się nad tym, okej?

– Jasne – odparłam wdzięczna za pretekst do zakończenia tej rozmowy. – I tak muszę już wracać do domu. Zgadamy się później, dobra?

Zbiegałam po schodach, rozważając w głowie różne możliwości. W sumie mogłabym tam pojechać bez jego wiedzy. Zanim wyszłam na chodnik, już zaczęłam sprawdzać w internecie koszty wynajmu samochodu. Na myśl o tym, że istnieje choć niewielka szansa, aby znaleźć Hugona, poczułam buzowanie adrenaliny. Sylvie na pewno bardzo się ucieszy.

– Clover, poczekaj.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak Sebastian zamyka za sobą ciężkie frontowe drzwi.

Schowałam komórkę do kieszeni. Oby się nie zorientował, że postanowiłam jechać wbrew jego woli.

– Co tam?

Zszedł z ganku i zwrócił się do mnie cicho:

– Powinnaś zrealizować ten plan. Powinnaś pojechać do Maine.

Ćmy w moim brzuchu zaczęły trzepotać skrzydłami jak szalone.

– Serio?

– Tak – odparł stanowczo. – Jeśli możemy coś zrobić, żeby babcia zaznała spokoju, to powinniśmy przynajmniej spróbować. Zasluguje na odrobinę szczęścia.

– Świetnie! – W porę się powstrzymałam, żeby go nie uściskać.

Oczy Sebastiana wręcz świeciły z euforii.

– Jadę z tobą.

Stałam jak sparaliżowana w alejce z przysmakami dla zwierząt i nie mogłam się zdecydować. Czy Lionel wolałby miks owoców morza czy raczej mieszankę imprezową? Był tak wybrednym kotem, że pewnie w obu przypadkach pokręciłby nosem.

Nie mogłam już tracić na to więcej czasu. Sebastian zapowiedział, że przyjedzie po mnie wczesnym rankiem, więc musiałam wracać do domu i się spakować. Wzięłam łakocie o smaku owoców morza, kilka suszonych mięsnych smaczków dla George'a i jeszcze dzwoniącą zabawkową ośmiornicę dla Loli – akurat jej w przeciwieństwie do całej reszty nie dało się przekupić jedzeniem. Te podarki miały odwrócić ich uwagę od mojej dwudniowej nieobecności. Liczyłam też, że Leo zgodzi się w tym czasie wyjść kilka razy z George'em na spacer. Ale z drugiej strony, ostatnio Leo poruszał się tak wolno, że może powinnam poprosić o tę przysługę Sylvie. Zresztą ona i George uwielbiali się nawzajem.

Sprawnie załatwiłam wszystko przy kasie samoobsługowej – na kurtuazyjne pogaduszki z kasjerką nie było czasu. Niestety potem utknęłam za krępy męczyzną i jego bernardynem, którzy próbowali przecisnąć się razem przez drzwi obrotowe. Choć już na pierwszy rzut oka dało się ocenić, że to bardzo trudny manewr i lepiej skorzystać ze zwykłych drzwi, nie dawali za wygraną. Kolysałam się więc niecierpliwie na palcach, starając się na nich nie gapić.

Kiedy wreszcie po ich czwartym podejściu udało mi się wydostać na zewnątrz, skamieniałam.

Przed kawiarnią obok sklepu zoologicznego stała kobieta wtulona w beżowy płaszcz i przewijała coś na ekranie telefonu.

Julia.

Teraz, kiedy dzielił nas raptem metr, zdałam sobie sprawę, jak wiele szczegółów umknęło mojej wiekowej lornecie: policzki oprószone piegami, pełna dolna warga, lekko zakrzywiony nos. Zupełnie jakbym do tej pory widziała ją tylko w dwuwymiarze.

Czyżby czekała na Reubena? Przeszył mnie dreszcz paniki, nerwowo zaczęłam się rozglądać za jakąś kryjówką. Obok znajdowała się jedynie skrzynka na listy, a ja byłam już tak blisko Julii, że każdy nagły ruch wydałby się dziwaczny. Ścisnęłam mocniej torebkę ze zwierzęcymi podarkami i skupiłam się na tym, żeby nie zwracać na siebie uwagi. W duchu modliłam się, aby Julia nie oderwała wzroku od telefonu i mnie nie zauważyła.

Przez to wszystko sama nie zauważyłam, że w papierowej torebce jest dziura. Brzęcząca pluszowa ośmiornica dla Loli wypadła na chodnik i wylądowała tuż przed moją sąsiadką z naprzeciwka.

Julia wystraszona hałasem spojrzała pod nogi i schyliła się, żeby podnieść jasnorożową zabawkę.

Zamarłam. Kiedy podawała mi maskotkę, przez chwilę wydawało mi się, że mnie rozpoznała.

– Mój kot też ma taką. – Potwierdziła to, co już wiedziałam. – Pani zwierzakowi na pewno również się spodoba.

Mięśnie rozluźniły mi się wystarczająco, żebym mogła wziąć od niej ośmiornicę i rozciągnąć usta w uśmiechu; oby tylko nie przyprawił o ciarki.

– Och, dziękuję – odparłam. – Na to liczę. Lola jest trochę wybredna.

Julia także się uśmiechnęła, obnażając nierówne dolne zęby – kolejny szczegół, którego wcześniej nie zauważyłam – po czym wróciła do grzebania w komórce.

Choć bardzo tego pragnęłam, nie wyrwałam sprintem, tylko ruszyłam normalnym krokiem. Nie obejrzałam się jednak za siebie, dopóki nie doszłam do rogu, gdzie udałam, że zawiązuję sznurówkę, żeby móc jeszcze raz rzucić okiem na Julię.

Akurat machała do kogoś po drugiej stronie ulicy.

Wstrzymałam oddech. Może wreszcie zobaczę Reubena i Julię bez dzielących nas szyb. Powiedzmy: w naturze.

Kiedy jednak obserwowałam rozwój wydarzeń, mój mózg z trudem próbował połączyć w całość te niepasujące do siebie elementy, zupełnie jakby to wszystko działo się w zwolnionym tempie. Owszem, znałam osobę, która przeszła przez ulicę i powitała Julię namiętym pocałunkiem. Ale to nie był Reuben.

Tylko Sylvie.

Nagle zrobiło mi się zbyt gorąco w płaszczu, zbyt duszno – jak w centrum handlowym w środku zimy

z rozkręconym na ful ogrzewaniem. Zgrzyt młota pneumatycznego rozpruwającego chodnik, na który wcześniej prawie nie zwracałam uwagi, nagle zaczął mi rozsadzać bębni.

Niewiele myśląc, puściłam się pędem przed siebie.

George, Lola i Lionel patrzyli na mnie z niepokojem, kiedy wpadłam przez frontowe drzwi i od razu pobiegłam do okien. Pośpiesznie zaciągnęłam żaluzje – nie chciałam wiedzieć, co dzieje się w mieszkaniu naprzeciwko.

Kiedy w końcu opadłam na sofę, poczułam dojmujący ból w splocie słonecznym, który przenikał moje wnętrze. Znałam to uczucie.

Zdrada.

Julia i Reuben – jedyna emocjonalna stała w moim życiu. Widziałam, jak bardzo się kochają; obserwowałam ich wspólne nawyki i codzienne rytuały. Stanowili rzadki dowód na to, że romantyczna miłość istnieje nie tylko w filmach. A teraz to wszystko okazało się kłamstwem.

Najbardziej jednak zabolowało mnie to, że maczał w tym palce ktoś, komu ufałam. Tak bardzo otworzyłam się przed Sylvie – opowiedziałam jej o moich obawach odnośnie do miłości, o swoim nieistniejącym życiu seksualnym, o pocałunku z Sebastianem. Wyjawiłam przed nią rzeczy, które tak bardzo starałam się ukryć. A ona? Prawie nic mi o sobie nie powiedziała. Nie wiedziałam nawet, że jest w nowym związku. Co to w ogóle za przyjaźń?

Przycisnęłam dłoń do czoła. Żałowałam, że nie mogę wymazać z pamięci tego, co właśnie zobaczyłam. Ale siedząc beczynnie, tylko bardziej się tym zadreślałam. Zaczęłam krążyć po salonie, ignorując zatroskane miny zwierzątek.

Nie potrafiłam się uspokoić, więc zrobiłam to, co wychodziło mi najlepiej. Wyłączyłam emocje, odepchnęłam je od siebie, aż przestałam czuć cokolwiek, i skupiłam się na jedynej rzeczy, na którą miałam jeszcze jakiś wpływ: na znalezieniu Hugona.

Ściągnęłam z górnej półki w szafie starą skórzaną torbę podróżną dziadka i zaczęłam wrzucać do niej ubrania. Torba była podniszczona, dość nieporęczna i nie mieściła się w schowku nad głową w samolocie. Ale z boku miała wytłoczone jego inicjały i choć od lat nigdzie nie podróżowałam, ilekroć brałam ją ze sobą, czułam się tak, jakby dziadek wciąż mi towarzyszył, ze swoimi mądrościami wszytymi między solidne szwy. Akurat teraz bym nimi nie pogardziła.

Na ekranie telefonu wyświetlił mi się esemes od Sebastiana. Zdołał na ostatnią chwilę wynająć samochód, więc podjedzie po mnie o ósmej rano, dzięki czemu dotrzemy do Maine wczesnym popołudniem.

O tyle dobrze, że mogłam na kims polegać, choć to ostatnia osoba, po której bym się tego spodziewała.

Odczekałam jeszcze godzinę, po czym poszłam do Leo z prośbą, żeby wyprowadzał George'a pod moją nieobecność. Na pewno nie zamierzałam prosić o to Sylvie. Głupia ubzdurałam sobie, że się przyjaźnimy. Co za wstyd. A przecież tak uważałam, żeby nie powtórzyć tego samego błędu, który popełniłam z Priyą.

– Coś nie tak, mała? – Leo z troską zmarszczył brwi, stojąc w progu swojego mieszkania. – Wydajesz się roztrzęsiona.

– Wszystko gra! – Zmusiłam się do uśmiechu. – Po prostu mam sporo rzeczy do załatwienia przed wyjazdem. Wielkie dzięki za opiekę nad George'em. To tylko jedna noc.

– Oby! Lepiej, żebyś nie próbowała się wymigać od naszej kolejnej partyjki madżonga.

– Jakżebyś śmiała?!

Kiedy zamykał drzwi, jeszcze przez chwilę rozkoszowałam się jego śmiechem. To coś, czego mogłam być zawsze pewna.

Byłam już jedną nogą u siebie, kiedy na schodach usłyszałam czyjeś kroki.

Cholera. Szkoda, że nie poczekałam jeszcze z godzinę.

– Cześć, C. Cieszę się, że cię złapałam! – Na dźwięk entuzjastycznego głosu Sylvie, który zwykle mnie uspokajał, tym razem poczułam bolesne ukłucie w piersi. Powinnam bardziej popracować nad wyłączaniem emocji.

– Hej, Sylvie. – Zachowałam neutralny wyraz twarzy.

W ręce trzymała kopertę.

– To przez pomyłkę trafiło do mojej skrzynki. Wygląda jak czek, więc pomyślałam, że prędzej czy później ci się przyda.

– Dzięki. – Odbierając list, starałam się nie patrzeć jej w oczy.

– Umieram z ciekawości, co postanowiłaś w sprawie Hugona! – Luzacko oparła się o ścianę przy moich drzwiach. – Spróbujesz go odszukać?

– Jutro z samego rana jadę z Sebastianem do Maine.

Wiele bym dała, żeby móc czmychnąć do mieszkania i zamknąć za sobą drzwi.

– Z Sebastianem? No coś ty! Chętnie o tym posłucham. – Sylvie jeszcze szerzej się uśmiechnęła. – Hej, właśnie kupiłam butelkę pysznego tempranillo od tamtego protekcyjnego typu. Może wpadniesz i przy kieliszku wina opowiesz mi o swojej wyprawie?

– Nie mogę, muszę się spakować. – Wsunęłam się bardziej do mieszkania. – Sebastian przyjeżdża po mnie naprawdę wcześniej.

– Okej, nie ma sprawy – odparła i odbiła się od ściany. – A chociaż wyjaśnisz, czemu się tak dziwnie zachowujesz?

Zaczęłam się bawić paskiem od zegarka, próbując wymyślić jakąś wymówkę.

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Cóż... – powiedziała niby z przekąsem, ale też z powagą. – Zacznijmy od tego, że przez cały czas uciekasz gdzieś wzrokiem.

Zmusiłam się, żeby na nią spojrzeć. Gdy tylko to zrobiłam, wróciły niechęć i rozczarowanie, które poczułam na widok Sylvie obściskującej się z Julią. Jak ona mogła wepchać się między dwoje ludzi, którzy ewidentnie bardzo się kochają?

Powoli wciągnęłam powietrze, starając się przełknąć urazę.

Taa, nic z tego.

– Jak mogłaś zniszczyć małżeństwo Julii? – wypaliłam irytująco piskliwym głosem. Miałam nadzieję, że Leo podkreślił głośno telewizor. – Ona i Reuben są ze sobą szczęśliwi. Byli szczęśliwi już od wielu lat.

Sylvie uniosła brwi zmieszana.

– A Julia to kto?

– Kobieta, z którą się dziś całowałaś przed kawiarnią. – Nie dbałam o to, że policzki mam pewnie czerwone jak burak. – Widziałam was.

Z początku nie dawała po sobie niczego poznać, ale po chwili przybrała podejrzliwą minę.

– Kobieta, z którą się całowałam, to Bridget.

Ach. Racja. To ja nadałam jej imię Julia. Wtedy, kiedy zaczęłam podglądać ją i jej męża.

Sylvie przechyliła głowę z zaciekawieniem.

– Skąd w ogóle wiesz, że jest mężatką? – Skrzyżowała ręce na piersi. – I co cię to właściwie obchodzi?

Czerwień rozlała mi się po szyi, kiedy ogarnęło mnie poczucie wstydu. Nagle zdałam sobie sprawę, jak bardzo się ośmieszyłam. Ale nie było już odwrotu – miałam wrażenie, jakby ta osoba, za którą uważała mnie Sylvie, była już zgubiona.

Jedyne, co mogłam zrobić w tamtym momencie, to wycofać się w głąb mieszkania, zamknąć drzwi i osunąć się na podłogę jak kupka nieszczęścia.

Wstałam przed budzikiem, głównie dlatego, że prawie nie spałam. Wczorajsza kłapa z Sylvie i Julią – no dobrze, z Bridget, jeśli już trzymamy się faktów – nie dawała mi spokoju przez całą noc.

Otumaniona z braku snu zniosłam George'a po schodach i wręcz zmusiłam do tego, żeby podniósł łapę i się wysikał. Choć Sylvie na pewno jeszcze się nie obudziła, i tak wstrzymywałam oddech, przechodząc obok jej drzwi. Po moim wczorajszym wybuchu i nagłym zakończeniu naszej rozmowy pewnie pomyślała, że jestem stuknięta. Patrząc z perspektywy czasu, moja reakcja faktycznie była melodramatyczna, a nawet trochę dziecinna. Mimo wszystko... Choć wiedziałam, że Sylvie lubi naginać zasady, nadal nie mogłam pogodzić się z tym, że rozbijała czyjś szczęśliwy związek. O tyle dobrze, że miałam czterdzieści osiem godzin, aby zastanowić się, co dalej z tym zrobić – dzięki Bogu, istniał dobry pretekst, żeby wyjechać z miasta.

Zarzuciłam na ramię pasek skórzanego torby, po raz ostatni zerknęłam na swój salon i nagle zatęskniłam za podróżami, zwłaszcza kiedy mi się przypominało, jak dawno nigdzie nie wyjeżdżałam. Ostatnio chyba z pięć lat temu do Filadelfii i tylko na weekend, żeby zobaczyć wystawę poświęconą stosom pogrzebowym. Brakowało mi tej swobody podróżowania – tego, że mogę obserwować świat, odkrywać jego magię i rozszyfrowywać zamieszkujących go ludzi. A przy tym wciąż cieszyć się samotnością. Nic nie sprawiało mi takiej radości.

Wyszłam na ganek przed domem dokładnie minutę przed ustaloną godziną spotkania. Sebastian podjechał pod budynek wynajętym czarnym chevroletem spark dwadzieścia pięć minut później.

Opuścił szybę i pomachał do mnie.

– Sorki, miałem problem z tak wczesną pobudką.

– Nic się nie stało – skłamałam. Byłam zła, że nie przejmował się tym na tyle, żeby stawić się punktualnie. A może po prostu wciąż nie opuszczało mnie rozdrażnienie przez całą tę sprawę z Sylvie. Ważne, że w ogóle się zjawiał. – Dzięki, że po mnie przyjechałeś.

– Drobiazg. – Sięgnął pod kierownicę i wcisnął przycisk do otwierania bagażnika, wskazując głową na moją torbę. – Powinna się jeszcze zmieścić z tyłu.

Przyglądał się w lusterku wstecznym, jak usiłuję wcisnąć nieporęczny bagaż obok jego walizki, zdecydowanie większej niż kabinowa. Czyżby zamierzał tam zostać dłużej niż na jedną noc? Po kilku nieudanych próbach dałam za wygraną i położyłam torbę na tylnym siedzeniu. Kiedy w końcu zajęłam miejsce obok Sebastiana, ucieszyłam się, że jest tak samo rozczochrany jak ja.

Jechaliśmy we względnej ciszy, dopóki nie opuściliśmy Manhattanu. Sebastian musiał być naprawdę zmęczony, skoro nie próbował mnie zagadnąć – a może też czuł się nieswojo po naszej wczorajszej rozmowie u Claudii.

Kiedy wreszcie mgła spowijająca mój ospały umysł ustąpiła, wyjęłam książkę. Może nie było to zbyt uprzejme, ale trudno – on też kazał mi czekać na siebie prawie pół godziny.

– Kurczę, możesz czytać w samochodzie? – Wrócił dawny gadatliwy Sebastian. – Ja nigdy tak nie potrafiłem. Zawsze dostawałem choroby lokomocyjnej.

– O, to przykre. I chyba dość frustrujące. – Pograżanie się w lekturze książki było jedną z rzeczy, które lubiłam najbardziej w podróżowaniu.

Poprawił osłonkę na przedniej szybie, żeby słońce nie świeciło mu w oczy.

– Nie bardzo. Rzadko czytam. Szczerze mówiąc, jak dla mnie to takie samotnicze zajęcie.

Wyznanie Sebastiana klóciło się z różnymi scenariuszami, które przychodziły mi do głowy, kiedy rozmyślałam o nim jako potencjalnym obiekcie moich westchnień: wspólne buszowanie po antykwariatach, wzajemne rekomendowanie lektur, czytanie ramię w ramię, leżąc w łóżku.

– Nie czytasz nawet przed snem?

– Nie, zwykle zasypiam przy włączonym telewizorze. – Spojrzał przez okno na nieciekawą fragment przedmieść, ciągnący się wzdłuż drogi. – Hej, przed nami Starbucks dla zmotoryzowanych. Wstąpmy po kawę.

Byliśmy drudzy w samochodowej kolejce.

– Dla ciebie z mlekiem i cukrem, prawda? – spytał.

Moja irytacja znów wzrosła.

– Poproszę czarną. Bez cukru i śmietanki. Może być z dripa. – Kilka razy robił mi kawę u Claudii, więc

chyba powinien już zapamiętać?

Chociaż nie wiem, czemu w ogóle się tym przejmowałam.

Po trzech godzinach jazdy, gdzieś w sercu Massachusetts, zatęskniłam za niezręczną ciszą, która towarzyszyła nam wczesnym rankiem.

Sebastian zaczął ze szczegółami opisywać oglądany niedawno dokument o produkcji soi, który nie wydawał się ani trochę ciekawy. Byłam pewna, że nigdy nie wspominałam, że jestem fanką soi. Ale pewnie podobnie jak ja denerwował się perspektywą spędzenia ze sobą wielu godzin w zamkniętej przestrzeni. Dlatego nie przerywałam mu, tylko kiwałam głową i wydawałam okazjonalne pomruki, udając, że jestem zainteresowana tym, co mówi. Reagowałam na tyle, żeby nie wyjść na nieuprzejmą, ale też nie zachęcać go do rozwijania tematu. Z drugiej strony, dzięki jego paplaninie przynajmniej nie usnęłam. I nie zaprzętałam sobie głowy Sylvie. Niemniej w miarę pokonywania kolejnych kilometrów zaczęłam się zastanawiać, ile czasu jeszcze minie, zanim zechce usłyszeć jakiś odzew.

Kiedy wreszcie do tego doszło – dokładnie po trzech godzinach i czterdziestu siedmiu minutach od wyjazdu – naprawdę mnie zaskoczył.

– Posłuchamy podcastu? – Sięgnął po telefon. – Ściągnąłem wczoraj kilka.

– Dobry pomysł. – Staralam się nie okazywać, jak bardzo mi ulżyło.

Podał mi komórkę.

– Trochę tego mam. Jestem poniekąd uzależniony od podcastów. Wolę słuchać, jak ktoś mówi, niż być sam na sam z własnymi myślami. Ty też?

Nie bardzo. Z własnymi myślami spędziłam większość minionej dekady.

– Właściwie to jakoś nigdy się nie wkręciłam w podcasty. Zawsze miałam wrażenie, jakby ktoś obcy trajkotał mi w mózgu. – Albo jakbym wybrała się w podróż samochodem z kimś, kto nie przestaje nawijać.

Lista podcastów była niczym okno do duszy Sebastiana. Subskrybował kilka poświęconych muzyce klasycznej, jeden o tym, jak radzić sobie, będąc alergikiem, i jeszcze parę o ekonomii i kryptowalutach. Zatrzymałam się na podcaście publicznej stacji NPR.

– Co powiesz na ten: *Czego zahujemy na łożu śmierci?* Trochę w temacie naszej wyprawy.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Tak przypuszczałem, że ten ci się spodoba. Ściągnąłem go specjalnie dla ciebie.

Moja irytacja nagle zniknęła, zupełnie jakby ktoś wyłączył palnik pod bulgoczącym garnkiem. Ten gest ujął mnie za serce.

– Dziękuję, to bardzo miłe z twojej strony. – Przez tyle lat wylano przede mną już chyba wszystkie możliwe żale, ale byłam ciekawa, czy jest coś, co jakimś cudem jeszcze nie pojawiło się w moich zapiskach.

– Zanim zacząłem przychodzić na nasze mityngi, słuchałem wielu podcastów o śmierci... Wiesz, żeby liźnąć temat – wyjaśnił i zmrużył oczy, patrząc na drogę. – Z początku to było dla mnie zbyt kosztowne i wytrzymałem zaledwie kilka minut. Mam wrażenie, że te podcasty wydobyły na wierzch cały mój strach przed śmiercią.

Podłączyłam telefon do kabla USB.

– A co cię w niej najbardziej przeraża? – Akurat takie rozmowy lubiłam.

– Czy ja wiem? – Sebastian poprawił ułożenie rąk na kierownicy i zaczął stukać kciukami do cichego rytmu. – Chyba jej ostateczność. – Zamilkł na dłuższą chwilę. Dałam mu czas do namysłu, przekonana, że nie będzie potrzebował zachęty, żeby kontynuować. – Na przykład w dzieciństwie zawsze się niepotrzebnie nakręcałem, leżąc w łóżku i rozmyślając przed snem o śmierci, przez co zaczynałem panikować. Z początku to było zwykłe poczucie winy, napędzane retoryką rodem ze szkółki niedzielnej. Coś w stylu: czy robię to, co należy, żeby trafić do nieba? Przerażało mnie to, ile rzeczy mogę spieprzyć w ciągu swojego życia. Tych zasad jest po prostu za dużo.

– Racja. – Wyobraziłam sobie małego, przestraszonego Sebastiana, który leży po uszy opatulony kołdrą, i poczułam przypływ współczucia.

– Później, kiedy miałem jakieś osiemnaście lat i doszedłem do wniosku, że nie wierzę w Boga, ta presja wcale nie zmaląła na tyle, na ile liczyłem. – Skóra napięta na jego knykciach stała się jeszcze bielsza, kiedy mocno chwycił kierownicę. – Bo ilekroć myślałem o własnym umieraniu, wpadałem w popłoch, wyobrażając sobie, jak to będzie. Rozumiesz? Że przestanę istnieć po wsze czasy. I ostatecznie każdy, kogo znam, też umrze, więc pamięć o mnie zaginie na zawsze. Czuję się przez to strasznie samotny.

Byłam pod wrażeniem, że tak otwarcie potrafi wyartykułować swój strach.

– Rozmawiałaś z kimś o tym?

– W tym sęk. – Spojrzał na mnie bezradnie. – Gdy jako dziecko miałem napady paniki, biegłem do sypialni rodziców i mówiłem im, że boję się śmierci, a tata mi wtedy odpowiadał, że mam się zachowywać jak mężczyzna i wracać do łóżka.

Fascynujące, w jak oczywisty sposób rodzice krzywdzą swoje dzieci.

– I nikt z twoich bliskich nie rozmawiał nigdy o śmierci? Nawet kiedy zmarł ci dziadek?

Pokręcił głową.

– Reprezentujemy typową protestancką rodzinę z wyższych sfer. Jak przystało na stoików, jesteśmy na wskroś powściągliwi, aż do granic emocjonalnego wyparcia, i zbyt dumni, żeby mówić o naszych uczuciach, a tym bardziej udać się do terapeuty. Znaczą się, owszem, rozmawialiśmy o całej logistyce: o pogrzebie, testamencie i tym podobnych sprawach. Ale potem już nigdy nie poruszaliśmy tego tematu, czyli co oznacza dla nas jego strata.

Poczekaliśmy chwilę, bo jakieś kombi zajęchało nam drogę.

– Jak według ciebie śmierć dziadka odbiła się na twoim ojcu?

Sebastian zmienił pas i przyspieszył, żeby wyprzedzić tamten samochód.

– Obserwując go, można by pomyśleć, że wcale. Nie uronił nawet jednej łzy na pogrzebie. Przez całą uroczystość stał ze wzrokiem wbitym przed siebie, a potem spełnił swoją powinność jako syn, dziękując każdemu za przybycie i takie tam. – Znów zacisnął dłonie na kierownicy. – Kiedy wszyscy się rozeszli po stypie, widziałem, jak siedzi w swoim gabinecie zapatrzony w dal. Podszedłem do niego i zapytałem, czy wszystko w porządku, a on odwrócił się do mnie i bardzo spokojnie odparł: „Oczywiście, jakżeby inaczej?”. I więcej już o tym nie rozmawialiśmy.

Typowa męska reakcja na żałobę. Nic dziwnego, że Sebastian miał taki problem z postawą wobec śmierci.

Potrząsnął ramionami, jakby chciał się pozbyć niekomfortowego doznania.

– Pewnie i tak nie chcesz o tym słuchać.

– Wręcz przeciwnie. – Szczerze mówiąc, schlebiało mi to, że czuje się przy mnie na tyle swobodnie, żeby się otworzyć. Miałam wrażenie, jakbym się do niego zbliżyła. Trochę bardziej się rozluźniłam.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Krótka, ale intensywnie.

– Okej, no więc pamiętam, że jako dziecko zadawałem dużo pytań – kontynuował. – O to, czemu umieramy i tym podobne rzeczy. Rodzice ciągle odpowiadali, że takie rozmowy są niestosowne. Z kolei kiedy zwracałem się do nauczycieli, peszyli się i kazali mi iść z tym do rodziców. Prawdę mówiąc, o śmierci rozmawialiśmy tylko w szkółce niedzielnej, ale zwykle w kontekście tego, że należy być dobrym za życia, żeby nie wylądować w piekle, co oczywiście tylko wszystko pogarszało.

Zmieniłam pozycję, usiadłam zwrócona bardziej ku niemu.

– Dlatego zaczęłaś chodzić do „kawiarni śmierci”?

– Tak. Na pierwszą natknąłem się przypadkiem, kiedy byłem w restauracji... na randce. – Oboje gapiliśmy się na drogę. – Spotkanie odbywało się w salce na tyłach i w drodze do toalety podsłuchałem prowadzoną tam dyskusję. Spytałem moderatorkę, czy następnym razem mogę dołączyć do grupy. Z początku w ogóle się nie odzywałem, bo przerażała mnie perspektywa mówienia o śmierci. Myślałem, że jeśli zacznę wypowiadać się o niej na głos, to ją do siebie przywołam czy coś równie głupiego. Ale potem, słuchając, jak inni opowiadają, dlaczego tu są, poczułem się mniej osamotniony. Także dzięki temu, że przychodziło im to z niezwykłą łatwością, jak coś zupełnie normalnego.

Ja też się tak czułam dzięki tym spotkaniom, choć z kompletnie innego powodu.

– Bo śmierć jest czymś zupełnie normalnym – zauważyłam.

Sebastian nagle cały zeszytywniał, niejako ponownie uniośł gardę, którą na chwilę opuścił.

– Może dla ciebie, ale nie dla nas – rzucił z wymuszonym śmiechem. – Fajnie, że ten temat cię nie krępuje, ale to dość nietypowe, nie sądzisz? Nikt, kogo znam, nie chce rozmawiać o śmierci.

Jego słowa podrażniły tę samą ranę, co komentarz Sylvie na temat wyglądu mojego mieszkania. Kolejny dowód na to, że jestem inna niż reszta świata. Że jestem dziwakiem.

Pozwoliłam wybrzmieć ciszy – poniekąd w odwecie – patrząc, jak na polu wzdłuż drogi stado gęsi podrywa się do lotu. Wreszcie podniosłam jego telefon.

– Posłuchamy tego podcastu?

– Jasne, odpalaj.

Chociaż raz wydawał się zadowolony ze zmiany tematu.

Wcisnęłam „Play” i rozparłam się na siedzeniu. A potem przez czterdzieści pięć minut rozkoszowałam się przerwą w rozmowie.

Podcast NPR był poświęcony historiom ludzi, którzy doświadczyli stanu z pogranicza śmierci, oraz temu, czego żalowali, kiedy stanęli z nią oko w oko. W większości pokrywało się to z tym, co nieustannie przewijało się w moim notatniku z żalami – bohaterowie programu żalowali, że nie pracowali mniej, że nie kochali mocniej, nie ryzykowali bardziej i nie podążali za swoją pasją. Większość wypowiedzi do przewidzenia. Dla niektórych takie doświadczenie było swoistym dzwonkiem ostrzegawczym; niestety inni szybko zapominali o tej lekcji. W sumie trudno wyzbyć się starych przyzwyczajzeń.

Kiedy rozbrzmiał dzingiel kończący podcast, sięgnęłam do komórki, żeby włączyć pauzę, zanim zacznie się kolejna audycja. Ledwo ucichły głośniki, Sebastian natychmiast rzucił radośnie:

- Pewnie już nieraz słyszałaś podobne opowieści.
- Kilka z nich tak. – Nie chciałam się przechwalać.
- Która z nich wydała ci się najdziwniejsza?

Spoglądając przez okno na umykające do tyłu sosny, w myślach przebiegłam historie, które udokumentowałam przez te wszystkie lata.

– Pewna kobieta najbardziej żałowała tego, że nie szarpnęła się na drogi płyn do mycia naczyń, który reklamowano w telewizji. – Banał, ale i tak ogarnęło mnie lekkie poczucie winy, że zdradziłam zaufanie Helen. Obiecałam sobie, że w ramach zadośćuczynienia na jej cześć kupię w tym tygodniu ów wyszukany ekologiczny detergent. Podobał mi się jego zapach: połączenie lawendy i konwalii.

Sebastian prychnął kpiarsko.

– Musiała mieć całkiem fajne życie, skoro to uznała za swój największy żal.
– Chodziło raczej o fakt, że wciąż tylko oszczędzała i zaciskała pasa, i nigdy nie pozwoliła sobie na takie drobne przyjemności. – Uznałam, że muszę stanąć w obronie jej pamięci. – Ostatecznie zmarła, a w banku leżały te wszystkie pieniądze, których nigdy nie wydała.

– Ale przynajmniej miała co zostawić rodzinie, no nie?

Ciekawe, czy przypadkiem nie myślał o Claudii.

– Żyła dziewięćdziesiąt pięć lat i nigdy nie wyszła za mąż, więc nie miała rodziny. Cały majątek został chyba przekazany na cele dobroczynne.

– Rany. – Sebastian poprawił okulary na nosie. – Niefajnie tak umrzeć, wiedząc, że nikt za tobą nie będzie tęsknił.

– To się zdarza częściej, niż myślisz – powiedziałam cicho i poczułam się tak, jakbym dostała niewidzialną pięścią w brzuch.

– Czyli na ogół siedzisz sama z umierającą osobą? – Wzdrygnął się. – Za nic bym tak nie mógł.

– Gdyby nie ja, ci wszyscy ludzie umarliby w samotności. – Odruchowo wsunęłam rękę między fotele, żeby dotknąć skórzanej torby dziadka.

– Ale to i tak trochę dziwne, że właśnie tym się zajmujesz. – Ton Sebastiana wyraźnie się zmienił. Wrażliwość, którą emanował jeszcze przed godziną, i bliskość, którą poczułam, nagle wyparowały. Siedzieliśmy raptem kilka centymetrów od siebie, lecz miałam wrażenie, jakbyśmy coraz bardziej się od siebie oddalali.

– Według mnie to przywilej, że mogę być przy kimś, kiedy odchodzi z tego świata. – Głos mi zadrżał. – I czasem to naprawdę piękne przeżycie.

Znów zaczął nerwowo stukać w kierownicę.

– Piękne? Jak to? – Jego ton wyrażał wzburzenie.

– Cóż, dla niektórych osób, zwłaszcza dla tych, które kochają muzykę, zamawiam tak zwany chór przejścia. Grupa ochotników śpiewa konającym, żeby dodać im otuchy. – Uznałam, że takie zobrazowanie tematu pozwoli mu to wszystko lepiej zrozumieć. – Niesamowite, że muzyka od razu ich uspokaja, zupełnie jakby koła duszę.

Zmarszczki sceptycyzmu na jego czole nieco się wygładziły.

– Owszem, muzyka może tak działać.

– Ale niekiedy nawet w ciszy tuż przed śmiercią ludzi ogarnia niesamowita błogość. Na ich twarzach widać coś, czego nigdy nie zobaczysz u żywych. Zupełnie jakby przestawali walczyć o to, czego się tak

kurczowo trzymali, i w końcu po prostu byli. Szkoda, że wcześniej nie potrafimy tak odpuścić.

– Ale... – Zaciśnięła wargi, po czym pokręciła głową. – Nieważne.

– Śmiało, mów. – Może przy odrobinie zachęty znów się otworzy.

Poruszył się nerwowo na siedzeniu.

– Nie obraż się, Clover, ale czasem gadasz jak moralizatorka. I hipokrytka. No bo posiadłaś całą tę wiedzę, patrząc, jak inni umierają, ale na co ci ona, jeśli nie zamierzasz jej wykorzystać?

Już po raz drugi w ciągu pięciu minut niewidzialna pięść wymierzyła mi cios w bebechy.

– To znaczy?

– Cóż, sama przyznałaś, że nie licząc tego staruszka Leo, właściwie nie masz przyjaciół, prawda? I słyszałem, jak mówisz babci, że jeszcze nigdy nie spotykałaś się z żadnym facetem. Pewnie gdybyś wiedziała, że jutro umrzesz, żałowałaśbyś więcej niż tylko kilku rzeczy.

Z trudem przełknęła ślinę i wbił wzrok przed siebie, szykując się na ripostę.

W środku aż się zagotowała ze złości.

„Odpowiadaj, nie reaguj” – powtarzał mi zawsze dziadek. Jednak w tym przypadku mój język nie był skory do negocjacji.

– Udane życie nie oznacza, że trzeba się w kółko spotykać z facetami... czy w ogóle z kimkolwiek.

– Zauważyłam, że mój głos przybrał ten sam histeryczny ton, jak podczas kłótni z Sylvie. – Powiedziałabym, że jest wręcz na odwrót. Ty najwyraźniej randkujesz na okrągło tylko po to, żeby nie siedzieć samemu i nie rozmyślać nad tym, kim naprawdę jesteś.

Ryk klaksonu przemykającego obok nas pick-upa postawił kropkę nad i. Przez chwilę siedzieliśmy wściekli w milczeniu.

– Ale przynajmniej byłem zakochany. – Sebastian odwrócił się nagle i przykuł mnie wzrokiem do siedzenia, a potem dodał aroganckim tonem: – Nie sposób się do ciebie zbliżyć. Być samemu i nie dopuszczać do siebie nikogo to dwie różne rzeczy.

To był ostateczny cios – krótki, celny i najbardziej bolesny. Nagle poczułam się tak, jakby w samochodzie robiło się coraz mniej miejsca. Nie mogłam już dłużej w nim wysiedzieć.

Przez przednią szybę dostrzegłam stację benzynową.

– Zatrzymaj się, proszę – powiedziałam.

– Co?

– Zatrzymaj się! – Po raz pierwszy w życiu na kogoś warknęłam.

Zjechał na stację i zaparkował. Wysiadłam z auta i niezdarnie wydobyłam torbę z tylnego siedzenia.

– Clover, co robisz?

– Sama wrócę do Nowego Jorku.

Zatrasnęłam drzwi i już się za siebie nie obejrzałam.

O śmierci dziadka dowiedziałam się w środę, trzy dni po swoich dwudziestych trzecich urodzinach. Byłam wtedy w Kambodży. Siedziałam w autobusie z walizką na kolanach, ściśnięta między mężczyzną a kobietą na siedzeniu przeznaczonym dla dwóch osób, a obok w przejściu stała skrzynia z żywymi kurczakami. Tkwiłszy tak upchnięci już od dwóch godzin, podążając wąską, wyboistą i krętą drogą gdzieś między prowincją Takéo a stolicą Phnom Penh. Zlani potem marzyliśmy choćby o małym powiewie świeżego powietrza, a ja żałowałam, że nie zapłaciłam więcej za bilet w autobusie z klimatyzacją. Zabójcza mieszanka upału, kurzych odchodów i zjełczałego zapachu potu sprawiła, że z nudności omal nie dostałam białej gorączki. Jedyne, co mogłam zrobić, to skupić się na oddychaniu.

Ta męcząca podróż wieńczyła mój dwumiesięczny pobyt w Kambodży, podczas którego studiowałam buddyjskie obrzędy związane ze śmiercią. Na czwartek miałam zabukowany lot do Nowego Jorku, z przesiadką w Singapurze, co znaczyło, że powinnam dotrzeć do domu w samą porę, aby zjeść z dziadkiem niedzielne śniadanie w barze.

Minął niemal rok bez jego krzepiącego towarzystwa i bardzo się za nim stęskniłam.

Przed Kambodżą spędziłam trochę czasu na Sorbonie w Paryżu, gdzie kończyłam pracę magisterską z tanatologii. Moja mała walizka nie była wypchana ubraniami, tylko masą notatników, w których zapisywałam obserwacje z wojaży. Odliczałam dni, aż w końcu będę mogła się nimi podzielić z dziadkiem. Wyobrażałam sobie, jak w zadumie miesza kawę i metodycznie studiuje każdą stronę.

Ostatnią rozmowę odbyliśmy kilka dni wcześniej, z samego rana w poniedziałek, czyli w niedzielę wieczorem tutejszego czasu. Po cichu wymknęłam się z pokoju w hostelu i poczłapałam do starego telefonu z tarczą, który stał na stołku w rogu wspólnego pomieszczenia. Tylko bladym świtem dało się tu spokojnie porozmawiać. To, jak smugi porannego słońca przenikały przez zasłony, przypomniało mi nasze nowojorskie mieszkanie.

– Clover, najdroższa. Właśnie myślałem o tym, że nie miałem od ciebie wieści już od przeszło miesiąca.

Brzęczenie w słuchawce pozbawiło baryton dziadka ciepłego brzmienia, przez co jeszcze bardziej zatęskniłam za domem.

– Przepraszam – powiedziałam uspokojona dźwiękiem jego głosu. – Powinnam zadzwonić wcześniej. Nawet pomimo kiepskiego odbioru jego głęboki śmiech jak zwykle mnie rozczulił.

– Wiem, że twoje myśli zaprzęta teraz mnóstwo innych rzeczy niż stary człowiek.

– Ty zawsze jesteś w moich myślach. Nawet jeśli nie dzwonię zbyt często i ci tego nie mówię. – Przez ten rok byłam tak zajęta odkrywaniem świata, że nasze regularne rozmowy telefoniczne stały się rzadkością.

– Nie martw się, skarbie. Jeśli nie dzwonicz, wiem, że używasz życia. I bardzo mnie to cieszy – dodał dla jasności. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, jak siedzi w zielonym fotelu z nogą założoną na nogę, a w blasku lampy tańczy smużka pary unosząca się znad wieczornej kawy. – Zatem – kontynuował – opowiedz mi, czego się dowiedziałaś, studiując w Kambodży.

Przyłożyłam słuchawkę do drugiego ucha, żeby było mi nieco wygodniej.

– Ten świat jest zupełnie inny od zachodniego.

– Ach, tak, buddyści i ich wiara w reinkarnację.

– Zgadza się. No więc proces umierania ma ogromne znaczenie, jeśli chodzi o odrodzenie się w nowym wcieleniu.

– Intrygujące. Czyli?

– Umierającemu często towarzyszy mnich, żeby pomóc mu się przygotować na kolejne życie. – Pękałam z dumy, że chociaż raz to ja mogłam go czegoś nauczyć. – A niektórzy wierzą, że kiedy dusza opuszcza ciało, pozostaje w miejscu, w którym ten ktoś umarł. Bywa, że jest zagubiona albo przerażona, więc musi być tam mnich, żeby ją uspokoił i wskazał, dokąd ma się udać. To naprawdę piękne... ta idea pomagania w przejściu do następnego życia.

– Owszem – przytaknęła dziadek. – Możliwość zrobienia tego dla kogoś to na pewno wielki przywilej.

Autobus szarpnął i zatrzymał się gwałtownie przed stacją paliw pośród pól ryżowych. Chwila wytchnienia od naszego piekła na kółkach – przeznaczona jedynie na siusiu i szybki posiłek – miała potrwać dwadzieścia minut. Na myśl o jedzeniu albo skorzystaniu z kucanej ubicacji tylko bardziej mnie zemdliło,

więc kupiłam butelkę wody gazowanej i stanęłam przed małym biurkowym wentylatorem, który ospale młócił stęchłe powietrze.

Na wściekle różowej tekturowej tablicy, przyklejonej taśmą nad starym komputerowym monitorem obok wiatraka, widniał napis *Kios Intanet*. Wi-fi w hostelu nie działało od kilku dni, więc dawno już nie sprawdzałam mejli. Przesunęłam w kierunku kasjera dwa tysiące kambodżańskich rielów i wykupiłam kartę, dającą dziesięciominutowy dostęp do irytująco wolnego internetu.

W skrzynce odbiorczej czekało na mnie sześć wiadomości. Jedna to przypomnienie o czwartkowym locie, druga od koleżanki, z którą studiowałam we Francji – prosiła o pomoc przy artykule naukowym. Cztery pozostałe były od Charlesa Nelsona, wieloletniego kolegi dziadka, również pracownika Uniwersytetu Columbia.

Na widok jego nazwiska tętno mi przyśpieszyło.

Odczytałam jego mejle w tej kolejności, w której je przysłał. W pierwszych jedynie prosił, żebym jak najszybciej oddzwoniła. Ale najnowsza wiadomość, wysłana zaledwie przed godziną, była rzeczowa aż do bólu.

Clover,

wiem, że jesteś za granicą, i przykro mi, że informuję Cię o tym drogą mejlową, ale Twój dziadek wczoraj zmarł.

Proszę, skontaktuj się ze mną, kiedy to odczytasz, bo trzeba poczynić pewne przygotowania.

Z poważaniem

dr Charles Nelson

Mdłości ustąpiły miejsca przerażeniu. Z podróżnej saszetki wygrzebałam międzynarodową kartę telefoniczną, po czym podeszłam chwiejnie do automatu i wybrałam numer komórki Charlesa, widniejący w stopce.

Trzy sygnały, wreszcie nas połączyło.

– Tu Clover – wypaliłam, jeszcze zanim się odezwał.

Odchrząknął.

– Ach, tak, witaj, Clover. Rozumiem, że dostałaś moje powiadomienie. Bardzo mi przykro z powodu śmierci twojego dziadka i że musiałem ci przekazać tak okropne wieści.

Przez przytłaczającą duchotę mój spanikowany, urywany oddech stał się jeszcze płytszy.

– Co się stało? – wydusiłam z trudem, choć stać mnie było tylko na szept.

– Udar, tak podejrzewają. – Charles zawsze mówił krótko i na temat, ale w tej chwili jego lakoniczność wydawała się naprawdę okrutna. – Pracował do późna w swoim gabinecie w kampusie i woźny znalazł go nieprzytomnego przy biurku.

Pomasowałam się na wysokości mostka, próbując wykrzesać z siebie choć jeden głęboki oddech.

– Zmarł... sam?

– Obawiam się, że tak. Bardzo mi przykro.

Na zewnątrz rozległo się trąbienie, a moi współpasażerowie zaczęli smętnie wsiadać do autobusu. Jakimś cudem z mętliku w głowie wyłoniła się pragmatyczna myśl. Jeśli mam zdążyć na jutrzejszy lot do Nowego Jorku, muszę wsiąść z nimi.

– Charles, najmocniej przepraszam, ale jestem na jakimś odludziu i zaraz ucieknie mi autobus. Zadzwoń, gdy tylko dotrę do Phnom Penh.

Ponownie odchrząknął.

– Dobrze, w takim razie... bezpiecznej podróży. Odezwij się.

Wkrótce znów siedziałam wciśnięta między tych samych ludzi, z klatką pełną piszczących kurczaków obok. Teraz jednak byłam obojętna na nieznośny upał, kakofonię dźwięków i odór spoconych ciał. Myślałam jedynie o tym ciemnym, ciasnym gabinecie na końcu korytarza. Tym, w którym gościłam chyba ze sto razy,

odkąd byłam mała.

O miejscu, w którym mój najlepszy przyjaciel przeszedł samotnie na drugą stronę, nie mając przy sobie nikogo, kto by mu pomógł w tej podróży.

Żałowałam, że rozstałam się z Sebastianem akurat na tej stacji. Jak okiem sięgnąć nic, tylko jednopasmowa droga i leżące odłogiem pola. Wiatr niósł ze sobą słony cuchnący zapach przybrzeżnych bagien i chłód przenikający przez każdą nieszczelność mojego ubrania. Stojąc twarzą do stacji, intensywnie wpatrywałam się w telefon, dopóki warkot wynajętego samochodu nie ucichł w oddali. Kiedy się w końcu odwróciłam, na parkingu znajdował się jedynie brązowy pick-up, którego wgniecione drzwi najwyraźniej nieraz skupiły na sobie czyjś gniew.

Sebastian naprawdę mnie zostawił.

Pod pachami zebrał mi się pot. Przycisnęłam torbę do ciała.

Ileż bym dała, żeby móc teraz porozmawiać z dziadkiem. W chwilach, kiedy ogarniała mnie panika podczas pierwszej podróży do Ameryki Łacińskiej, dzwoniłam do niego z budki telefonicznej tylko po to, żeby przez dziesięć minut posłuchać jego kojącego, racjonalnego głosu, dopóki nie wyczerpał mi się limit.

– To tylko twój układ współczulny płata ci figle – tłumaczył rzeczowo. – Typowa biologiczna reakcja „walcz lub uciekaj”. Musisz jedynie odzyskać kontrolę. Zamknij oczy, żeby wyeliminować bodźce zewnętrzne. Weź długi, głęboki wdech, a potem powoli wypuść powietrze.

Choć udzielił mi tych wskazówek lata temu, teraz, stojąc pośrodku niczego, znów posłuchałam jego rady.

Zamknij oczy. Wdech. Wydech.

– Zamiast skupiać się na tym wszystkim, co poszło nie tak – dodawał – pomyśl o kolejnym kroku, który pozwoli ci wrócić na właściwe tory.

Przeszkłone drzwi stacji otworzyły się z impetem. Ze środka wyszedł masywny facet w kraciastej koszuli, utuczony na kukurydzy, i wsunął do kieszeni na piersi paczkę papierosów. Podłużne plamy potu na daszku jego truckerki przypominały ślady pozostawione na plaży przez fale przypiływu.

– *Pardon*, złotko – rzucił do mnie i mojej wielkiej torby blokującej przejście. Kiedy się przesunęłam, żeby go przepuścić, w nozdrza uderzył mnie stęchły zapach starego tytoniu, resztek piwa i braku higieny osobistej.

Jeden mały krok naprzód.

Zawiesiłam wzrok na nieznanym i jego sfatygowanym pick-upie.

Widząc, że się mu przyglądam, facet puścił do mnie oczko i uśmiechnął się szeroko, choć niezbyt ciepło.

– Może podwieźć?

Po namyśle stwierdziłam, że raczej nie wybiera się do Nowego Jorku.

– Dziękuję za propozycję. – Ścisnęłam mocniej torbę. – Ale nie skorzystam.

– Jak uważasz – odparł z niezapalonym papierosem zwisającym z kącika niepokojuco wyszczerzonych ust.

Kiedy pick-up, rżąc, odjechał ze stacji, zalała mnie fala adrenaliny. Mało brakowało.

Do cementowego klockowatego budynku stacji przylegała dobudówka mieszcząca niewielki bar. Od pięciu godzin nie miałam niczego w ustach – po części pewnie też dlatego byłam roztrzęsiona. Po posiłku powinnam poczuć się lepiej. Wstąpiłam do cuchnącej chlorem łazienki, po czym usiadłam na najmniej klejącej się kanapie w barze.

Skinęłam głową do kelnerki i kucharki w jednym, która stała w siatce na włosach i poplamionym fartuchu. Za nią z frytkownicy dramatycznie buchała para, spowijając imponującą sylwetkę kobiety eteryczną bielą.

– Menu wisi na górze – oznajmiła bez emocji, apatycznie wskazując palcem w kierunku dachu.

Na tablicy widniał pokaźny wybór błędnie zapisanych dań, z których większość była nierówno przekreślona kredą. W rzeczywistości dostępne były tylko dwie pozycje: kanapka à la cheeseburger i grillowane tosty z serem.

Uznałam, że ryzyko zarażenia się salmonellą po spożyciu tego drugiego jest mniejsze.

– Poproszę tosty z serem.

– Korniszon do tego? – Ewidentnie miała to gdzieś.

– Jasne, to znaczy, tak, chętnie.

– Kawy?

– O, super, dziękuję.

Machnęła głową w kierunku dzbanka z kawą stojącego na podgrzewaczu, a potem przesunęła do mnie kubek.

– Niech się obsłuży.

Zapach spalenizny sugerował, że dzbanek tkwił na podgrzewaczu trochę zbyt długo. Nalałam sobie brunatnego płynu, choć raczej dla pokrzepienia niż dla smaku. Usiadłam w boksie i zamyśliłam się, mieszając napój. To było naprawdę przykre doświadczenie, kiedy dorastając, zrozumiałam, że odpowiedzi na wszystkie trudne pytania jednak nie leżą na dnie kubka kawy. Uderzyłam łyżeczką o brzeg. Trzykrotnie.

Oto znów siedziałam sama w barze.

Być może nieco przesadziłam z reakcją na krytykę Sebastiana. Ale w zasadzie powiedział mi, że całe moje życie to jedno wielkie kłamstwo.

Po niewspółmiernie długim oczekiwaniu na posiłek, zwłaszcza że byłam jedyną klientką tutejszego przybytku, kelnerka w końcu postawiła przede mną talerz z rozmięktą grillowaną kanapką i żałośnie wyglądającym ogórkiem.

Uśmiechnęłam się do niej najuprzejmiej, jak umiałam.

– Dziękuję.

– Proszę. – Ponownie zniknęła w kuchni.

Kiedy ostrożnie wgrzyzałam się w zaklejającą usta kanapkę, mój telefon, który leżał na blacie ekranem do dołu, nagle zawibrował. To mógł być esemes od Sebastiana, który pisał, żeby przeprosić, chociaż głowy bym nie dała, czy tego chcę.

Odwrociłam komórkę tak szybko, jakby to był gorący tost.

Mike, natychmiast skorzystaj z tych niewiarygodnie niskich rat kredytu hipotecznego.

Spam. Choć stale blokowałam ten numer, i tak raz w tygodniu dostawałam podobne wiadomości. Ktokolwiek je przysyłał, najwyraźniej uważał, że „Mike” to naiwniak. Znów zabrałam się do pałaszowania kanapki, usilnie starając się nie zwracać uwagi na ser, który swoją konsystencją bardziej przypominał plastik.

Mogłabym wezwać taksówkę i podjechać do najbliższej wypożyczalni samochodów. Albo na przystanek autobusowy. Albo na lotnisko. Oczywiście pod warunkiem, że taksówki w ogóle kursują na tym zadupiu.

Ponowne wibracje oznajmiły nadejście kolejnej wiadomości, a mnie aż skoczyło tętno. Na ekranie telefonu wyświetliło się imię Sylvie.

Wyszarpnęłam szorstką serwetkę z dyspensera i wytarłam otłuszczone palce.

Hej, C. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko OK i podróż mija miło. Wczoraj wyszło trochę dziwnie – możemy o tym pogadać?

Jakaś część mnie chciała podnieść telefon i opowiedzieć jej o spięciu z Sebastianem – na pewno wzięłaby moją stronę. Poza tym dobrze by było usłyszeć jej kojący głos rozsądku.

Ale że najwyraźniej nie znałam Sylvie tak dobrze, jak myślałam – a także z powodu mojego wczorajszego zachowania – być może podobnie jak on uznałaby, że jestem dziwna i żalosna. Kiedy z rozżaleniem usunęłam esemesa, pieczenie w piersi zastąpiło jakże dobrze znane mi uczucie.

Samotność.

Wróciłam do punktu wyjścia, do czasu, zanim poznałam Sebastiana i Sylvie. Po co otwierać się na ludzi, skoro tak to się kończy? Najchętniej skuliłabym się na sofie ze swoimi zwierzakami i już nigdy nie wychodziła z mieszkania.

Ale co z Claudią? To dla niej to wszystko robiłam, nie dla Sebastiana. Gdybym teraz odpuściła, choć byliśmy tak blisko odnalezienia Hugona – bądź co bądź dojechalibyśmy do Maine – to na pewno bym tego pożałowała.

Wdech. Wydech. Pora na kolejny krok.

Przywołałam gestem kelnerkę, ignorując narastający niepokój w żołądku. Kobieta nabazgrała coś na bloczku i oderwała kartkę, po czym położyła ją przede mną na stole.

– Wiem, że trudno się przyznać do błędu, skarbenku, ale czasem po prostu trzeba to zrobić dla dobra małżeństwa.

Spojrzałam na nią zmieszana, aż w końcu dotarło do mnie, że pewnie widziała moje pełne dramaturgii rozstanie z kierowcą samochodu.

– Nie mam męża – oznajmiłam, starając się ukryć zawstydzenie.

– Och – rzuciła w odpowiedzi. – W takim razie powodzenia, kimkolwiek on jest.

Pośpiesznie wyjęłam gotówkę z portfela.

– Nie policzyła mi pani za kawę, więc dorzuciłam coś ekstra. Mam nadzieję, że tyle wystarczy.

Wygramoliłam się z boksu i poszłam do toalety wyszorować ręce ociekające tłuszczem. Torba wisząca na moim ramieniu bynajmniej nie była stworzona do wąskich przejść między regałami. Zanim się obejrzałam, wszystkie chipsy plantanowe poleciały na podłogę. Nastoletni pracownik stacji przewrócił oczami, ale nie ruszył się zza lady, żeby pomóc mi je pozbiierać.

Wiedziałam, że nie mogę dłużej grać na zwłokę. Przystanęłam w rogu, jak najdalej od sprzedawcy, nabrałam powietrza i stuknęłam palcem w imię Sebastiana na wyświetlaczu komórki.

Odebrał już po pierwszym sygnale.

– Cześć. – Nie czekałam, aż się odezwie. – Przepraszam, że... tak zareagowałam. – Resztki mojej dumy właśnie dogorywały na brudnym linoleum w kałuży krwi. – Ale teraz najważniejsze, żeby znaleźć Hugona.

– Ja też cię przepraszam – odparł ostrożnie. – Twoje życie to nie moja sprawa. Nie powinienem mówić... tego, co powiedziałem.

Nie przyznał wprost, że nie chciał mnie urazić, ale teraz nie było czasu na błahostki.

– Nie wiem, jak daleko ujechałeś, ale czekam na stacji – oświadczyłam, sprawdzając terminy przydatności na tubach pringlesów w poszukiwaniu takich, które nie stanowiłyby potencjalnego zagrożenia dla zdrowia. – Mógłbyś zawrócić i po mnie przyjechać?

Zapadła wypełniona trzaskami cisza.

– Wyjrzyj przez okno.

Spojrzałam ponad chipsami w kierunku dystrybutorów paliwa.

Sebastian stał oparty o wynajęty samochód i machał do mnie ręką.

Numer na skrzynce pocztowej potwierdzał, że jesteśmy na miejscu. Ale nie zobaczyliśmy tu żadnego domu, jedynie piaszczysty podjazd; po jego obu stronach rosły strzeliste brzozy, szpaler ciągnął się aż do jeziora. To nie mógł być właściwy adres – niczego tu nie było.

Sebastian jeszcze raz sprawdził lokalizację GPS.

– To na pewno tutaj.

Wytężyłam wzrok, spoglądając między drzewami, ale nie dostrzegłam żadnego budynku.

– Może podjedziemy bliżej wody?

– Tam też nie ma żadnego domu – stwierdził zniecierpliwiony. – Już stąd byśmy go widzieli.

Czułam, jak ogarnia mnie smutek. Straciliśmy tyle czasu i energii na tę durną wyprawę. Dzięki Bogu, że nie wspomniałam o niej Claudii.

– A ja głupia myślałam, że go znajdziemy – mruknęłam zawstydzona, że muszę przyznać się do kolejnej pomyłki. – Przepraszam, że ciągnęłam cię tak daleko zupełnie na darmo.

Wskazał ruchem głowy w kierunku wody.

– Dobra, zjedźmy nad jezioro i rozejrzyjmy się po okolicy. W sumie, co nam szkodzi. Skoro nikogo tu nie ma, to raczej nie naruszamy niczyjej prywatności.

– Zgoda. – I tak było już za późno, żeby wracać do miasta.

Cierpkie, rześkie powietrze, zaprawione zapachem drzew, złagodziło moje rozczarowanie, kiedy kroczyliśmy po opadłej korze, która trzeszczała nam pod stopami. Zapomniałam, jak kojąca może być przyroda – ostatnio przestałam już nawet chodzić do Central Parku.

– Najwyraźniej to jest jezioro Megunticook – oświadczył Sebastian, zerkając na telefon. – Siedlisko łososia jeziornego, bassa słonecznego i ryb z rodziny karpieńcowatych.

– Wędkujesz? – Tego się po nim nie spodziewałam.

Sebastian się skrzywił.

– Boże, nie. Nie jestem typem, który lubi przebywać na łonie przyrody. Mam alergię na siedemdziesiąt procent wszystkiego, co występuje w naturze. Kiedy ojciec zabrał mnie raz na biwak, przeżyłem istny koszmar. – Zaczął odganiać niewidocznego owada, który niby bzycał mu koło twarzy.

Podjazd wznosił się delikatnie, po czym opadał łukiem po zboczu. Zatrzymaliśmy się na szczycie i spojrzeliśmy na zapadający się pomost, przy którym cumowała staroświecka łódź z wypłowiałym niebieskim pasem wzdłuż burty.

– Czy to dom na łodzi? – Sebastian poprawił okulary. – Nie wiedziałem, że ktoś jeszcze może tak mieszkać. Siostry zmuszały mnie kiedyś do oglądania takiego starego filmu z Carym Grantem i Sophią Loren. Coś jakby *Dźwięki muzyki*, tylko że na łodzi. Rany, jaki to był tytuł?

– *Dom na łodzi?*

– Ha! No tak. Że też zapomniałem. Ten z Kurtem Russellem i Goldie Hawn, też na łodzi, był zabawniejszy. – Ruszył w dół zbocza. Podeszwy jego oxfordów nadających się raczej na miejskie warunki ślizgały się na wilgotnym podłożu.

Zadowolona, że obudził się w nim zmysł detektywa, podążyłam w ślad za nim. Wełniany sweter przewieszony przez reling świadczył o tym, że ktoś tu niedawno zaglądał – albo że wciąż jest na pokładzie.

Może nasz przyjazd do Maine jednak nie był takim głupim pomysłem.

Gdy tylko Sebastian postawił stopę na pomoście, rozległo się głośnie ujadanie. Nagle z łodzi wypadł czarny kudłaty terier i rzucił się wprost na Sebastiana, który niezdarnie odskoczył do tyłu. Pies zaczął skakać wokół niego na tylnych łapach jak na sprężynach, a bezradny Sebastian próbował daremnie uciec przed jego entuzjastycznym atakiem. Przelknęłam śmiech, który wzbierał mi w gardle.

– Gus! – Z kabiny dobiegł czyjś głos. – Spokojnie, koleżko.

Po chwili z wnętrza wyłonił się mężczyzna z burzą ciemnych loków, chyląc głowę pod niskim nadprożem. Kiedy się wyprostował, wyglądał na dwa razy wyższego.

– Witam. – Przeskakiwał wzrokiem między mną a Sebastianem. – Pomóc w czymś?

Gus podbiegł do swojego właściciela. Czerwona obroża odcinała się na tle jego kruczoczarnej sierści jak flara na nocnym niebie.

– Cóż... – zaczął Sebastian wdzięczny za uratowanie od niedającego mu spokoju napastnika.

– Szukamy Hugona Beauforta.

– No to go znaleźliście.

Sebastian zmarszczył brwi.

– To ty?

– Nie inaczej. – Mężczyzna sceptycznie zmrużył oczy. – Co mogę dla was zrobić?

Ten facet miał nie więcej niż trzydzieści pięć lat i z całą pewnością nie brzmiał jak Francuz. Spojrzałam na Sebastiana, który wydawał się równie zawiedziony jak ja.

– Przepraszam, chyba jednak zaszła pomyłka – odezwał się po krótkiej chwili. – Hugo, którego szukamy, jest od ciebie znacznie starszy. Tak o pięćdziesiąt lat.

– Och – rzucił mężczyzna. – Pewnie chodzi wam o mojego dziadka.

– Tak! – wykrzyknęliśmy chórem.

Hugo, ten przed nami, pochylił głowę.

– Niestety zmarł dwa miesiące temu.

– Moje kondolencje – powiedziałam odruchowo.

Na dźwięk mojego głosu Gus przechylił łepkę i podbiegł do mnie, omijając Sebastiana. Kiedy się pochyliłam, żeby go podrapać za oklapłymi uszami, spokojnie przytulił się do mojej nogi.

– Dziękuję. – Hugo skinął głową. – Miał ponad dziewięćdziesiąt lat, więc tak jakby można się było tego spodziewać.

– Ale przez to ból wcale nie jest mniejszy – stwierdziłam, żeby złagodzić nie tylko jego smutek, ale też swój.

Cała nasza trójka pograżyła się w milczeniu.

– Chwila – ożywił się Hugo, nagle zaintrygowany. – Właściwie dlaczego szukacie dziadka?

– Chodzi o moją babcie – odparł cicho Sebastian. – Ona też umiera. – Wydawał się oszołomiony, jakby przez wymówienie tych słów stało się to bardziej realne. Po tym, jak skulił ramiona i wbił wzrok w ziemię, domyśliłam się, że przyniósł go ogromny smutek.

– Przykro mi – skwitował ze współczuciem Hugo. Czekał, aż Sebastian rozwinie temat, ale ten spojrzął na mnie błagalnie, żebym przejęła pałeczkę.

Podeszłam do pomostu; Gus podbiegł za mną truchtem.

– Podejrzewamy, że babcia Sebastiana znała twojego dziadka. W połowie lat pięćdziesiątych mieszkała przez jakiś czas w Marsylii.

Dopiero teraz, kiedy wypowiedziałam to na głos, uświadomiłam sobie, jak niedorzeczny jest cały ten pomysł. Byłam naiwna, wierząc, że nasza podróż coś zmieni... po sześćdziesięciu latach.

Ale zamiast spojrzeć na mnie jak na wariatkę, Hugo przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

– Mówicie o... Claudii?

Oboje popatrzyliśmy na niego z niedowierzaniem. Gus z kolei przeskakiwał między nami wzrokiem, dysząc nerwowo.

Sebastian wszedł na pomost.

– Znasz moją babcie?

– No tak jakby. – Hugo podrapał się po kilkudniowym zaroście. – Tuż przed śmiercią dziadek koniecznie chciał mi powiedzieć coś, czego nigdy nikomu nie zdradził. Szczerze mówiąc, myślałem, że kogoś zabił czy coś w tym stylu. Tymczasem on opowiedział mi o pewnej Amerykance, fotografce o imieniu Claudia, w której się zakochał, kiedy mieszkał we Francji. Twierdził, że to właśnie z jej powodu przeprowadził się do Stanów.

– To babcia Sebastiana! – wykrzyknęłam, usiłując pohamować rodzącą się we mnie nadzieję. – Nie miała pojęcia, że twój dziadek się tu przeniósł.

– Niezła akcja! – rzucił Hugo. Odziedziczył po dziadku wydatny, kanciasty podbródek. Trzeba przyznać, że dodawał mu uroku. – Ale skoro ona o tym nie wiedziała, to jak odkryliście, że tu mieszkał?

Sebastian wskazał na mnie kciukiem jak autostopowicz próbujący złapać okazję.

– Moja znajoma jest kimś w rodzaju internetowego superdetektywa.

Hugo uniósł brwi ze zdziwieniem.

– Naprawdę?

Okropnie żałowałam, że rano się nie uczesałam.

– Cóż, w zasadzie twój adres wyszperała moja sąsiadka – sprostowałam; ni stąd, ni zowąd nagle zaschło mi w ustach. – Wcześniej jednak wśród starych fotografii Claudii znalazłam zdjęcie twojego dziadka, a ona opowiedziała mi, jak się poznali.

– Niesamowite, mam tyle pytań. Ale najpierw... – Hugo wyciągnął rękę. – Sebastian, tak?

Mój towarzysz ją uścisnął.

– Tak.

– Miło cię poznać, stary – powiedział Hugo, po czym zwrócił się do mnie, ponownie unosząc brwi:
– A ty to...?

Błagałam w duchu, żeby nie oblać się rumieńcem.

– Yyy, Clover.

Na twarzy Hugona zagościł swobodny uśmiech.

– Jak z piosenki Etty James? Zawsze podobał mi się ten kawałek. – Teraz to mnie podał rękę. – Miło mi, Clover.

Kiedy jego stwardniała skóra dotknęła mojej miękkiej dłoni, poczułam w niej mrowienie.

– Mnie również.

– Hej, jesteście głodni? – Przeczesał włosy palcami, jakby z przyzwyczajenia. – Znam świetny pub. To niedaleko. Może pogadamy przy kanapkach z homarem? Chętnie dowiem się czegoś więcej o Claudii.

Sebastian sztywno przestąpił z nogi na nogę.

– Mam alergię na skorupiaki, ale piwem nie pogardzę.

– Żaden problem. Serwują tam też obłędny placek z kurczakiem. – Hugo wskazał zdezelowanego oliwkowego land rovera, zaparkowanego pod drzewem. – Możecie jechać za mną. – Przeniósł wzrok na mnie.

– Co ty na to?

Na usta wstąpił mi głupkowaty uśmiech, jakby nie mój.

– Ja? Ee... uwielbiam placki.

Skrzywiłam się w duchu, żałując, że jestem taką dziwaczką i nie potrafię być tak wyluzowana i pewna siebie jak moja sąsiadka.

A jeszcze bardziej nie podobało mi się, że jej potrzebuję.

Wznoszący się na nadbrzeżnej skale Stary Wielorybnik był zdecydowanie godny swojej żeglarskiej nazwy. Wystawione na działanie morskiej wody i słonego powietrza zardzewiały daszki pubu oraz łuszcząca się farba przywodziły na myśl zgrzybiałego, steranego życiem i szorstkiego w obejściu marynarza.

Hugo czekał na nas przed wejściem z rozwianymi włosami, targanymi przez mały szkwał znad zatoki.

– To ulubiony lokal mojego dziadka. Jadał tu niemal codziennie. – Widząc, jak opatulam się kurtką, otworzył drzwi i zaprosił mnie do knajpy. – W środku będzie cieplej, słowo.

Trzaskający w kominku ogień w głębi pubu potwierdził obietnicę.

Hugo zaprowadził nas do mahoniowego boksu, z którego zszedł cały lakier.

– Mogę wziąć wasze kurtki?

Sebastian zdjął parkę, potem wsunął się na siedzisko.

– Dzięki.

Kiedy próbowałam wyswobodzić się z budrysówki, jedna z drewnianych przetyczek zaplątała mi się we włosy. Hugo pomógł mi ją wyjąć. Poczulałam się jak niezdara, trochę jak te nowo narodzone żyrafy, które uwielbiałam oglądać na Discovery.

– Dziękuję. – Przelotnie spojrzałam mu w oczy. Czułam jednak, że on nie odrywa ode mnie wzroku, przez co byłam jeszcze bardziej zakłopotana. Ucieszyłam się, widząc, że Sebastian jest zaabsorbowany telefonem. Jego obecność nagle zaczęła zawadzać.

– Proszę. – Wnuk Francuza zachęcił mnie gestem, żebym usiadła. Przysunęłam się do Sebastiana, bo Hugo zapewne potrzebował więcej miejsca na swoje długie nogi.

Do naszego stolika podeszła siwa kobieta w spranej koszuli z denimu i džinsach starych jak świat. Pod pachą miała karty dań, spod kołnierzyka zaś wyzierały fragmenty misternego tatuażu, nieco zniekształconego przez zmarszczki.

– Dawno cię tu nie widziałam, słodziutki – zwróciła się do Beauforta chrapliwym głosem, sugerującym wieloletni romans z nikotyną.

Hugo nachylił się do niej i pocałował ją w policzek.

– Cześć, Roma. Taa, przepraszam, ostatnio byłem bardzo zajęty. Większość czasu spędziłem w rozjazdach.

– Dałeś się zwabić wielkiemu miastu, co? Ha, ważne, że już wróciłeś. – Roma przeniosła spojrzenie na drugą stronę boksu. – I jak widzę, przyprowadziłeś gości.

– Się wie. Roma, poznaj Clover i Sebastiana.

Spodobało mi się to, że przedstawił nas tak, jakbyśmy znali się od lat.

– Witajcie w Starym Wielorybniku – powiedziała Roma. Odniosłam wrażenie, że od razu wyrobiła sobie o nas zdanie, którym raczej nie zamierzała się podzielić. Bez zbędnych ceregieli zapisała zamówienia, po czym wsunęła długopis w niedbały kok i pewnym siebie krokiem szeryfa w wielkim kapeluszu pomaszzerowała do kuchni. Po chwili zniknęła za wahadłowymi drzwiami.

– Czyli przyjechaliście tu aż z Nowego Jorku? – Kiedy Hugo pochylił się nad blatem, splatając ze sobą palce obu rąk, nie mogłam przestać przyglądać się jego dłoniom, wielkim, ale o dziwo ładnym pomimo kilku blizn.

– Tak, wyruszyliśmy wczesnym rankiem – przyznał z dumą Sebastian, jakby siedmiodzinna podróż samochodem stanowiła nie lada wyczyn.

– Ja też wolę pokonać tę trasę za jednym zamachem – odparł Hugo. – Wstać przed wschodem słońca i na ile to możliwe, uniknąć korków.

Muszę przyznać, że to mnie zaintrygowało.

– Często bywasz w Nowym Jorku?

Wyciągnął długie ramię na oparciu ławy.

– Ostatnio tak. Jestem architektem krajobrazu. Udzielałem konsultacji w sprawie kilku projektów realizowanych przez urząd miasta.

– Kawał drogi, żeby tak jeździć wte i wewte – stwierdził Sebastian.

– Istotnie. Pewnie powinienem wynająć jakieś lokum. – Hugo wskazał na rozciągający się za oknem

widok wzburzonej zatoki. – Ale jakoś nie potrafię się odciąć od żeglarskich korzeni. Podobnie jak mój dziadek.

Odważyłam się spojrzeć mu w oczy, choć właściwie trudno powiedzieć, czemu tak się tym stresowałam. Może dlatego, że czułam udo Sebastiana przyciśnięte do mojej nogi. Wzięłam się w garść i skupiłam na celu naszej wyprawy.

– Skoro twój dziadek przeniósł się do Stanów dla Claudii, to czemu się z nią nie skontaktował? Jak to się stało, że wylądował w Maine?

– Hm, nie znam zbyt dobrze tej historii – odparł przeproszającym tonem. – Nie zdradził mi zbyt wielu szczegółów. Ale na pewno najbardziej żałował tego, że pozwolił jej odejść – wyznał. Na tę wiadomość niemal zakręciło mi się w głowie. Jednak dobrze, że tu przyjechaliśmy. – To tłumaczy, dlaczego babcia i dziadek nie okazywali sobie zbyt dużo czułości. Byli raczej jak dobrzy przyjaciele – dodał po chwili. – Zawsze myślałem, że dla ich pokolenia to zupełnie normalne.

– Tak – odezwał się Sebastian. – Ja też nie nazwałbym małżeństwa swojej babci najszcześniejszym. Dziadek zachowywał się jak buc. Wydaje mi się, że przez te dziesięć lat, odkąd zmarł, babcia była znacznie radośniejsza.

Przyszła Roma z tacą zastawioną napojami i puściła oczko do swojego stałego klienta, stawiając na stole piwo, czysty burbon i wodę gazowaną z dodatkiem angostury.

Hugo wziął wodę i wznosił toast.

– Zdrówko!

Kiedy stuknęliśmy się szklankami, Sebastian wskazał głową na drink z odrobiną likieru.

– Dbasz o zdrowie?

– Niezupełnie – odparł pogodnie Hugo. – Kilka lat temu rzuciłem picie. Po prostu nie przepadam za tym człowiekiem, w którego zmienia mnie alkohol. Okazuje się, że bez niego jestem znacznie szczęśliwszy. – Jego pełna dystansu samoświadomość była rozbijająca. Sprawiała, że inaczej spoglądałam na swój trunek.

– I tak trzymać! – rzucił szybko Sebastian.

Pogrążyliśmy się w milczeniu, pijąc.

– Wiecie, to super, że przejechaliście taki kawał drogi, żeby znaleźć mojego dziadka – odezwał się nagle Beaufort. – Ale właściwie na co liczyliście? Twoja babcia prosiła, żebyście go odszukali?

– Nie. – Sebastian posłał mi spojrzenie. – Nie wie, że tu jesteśmy.

– Nie chcieliśmy sprawić jej zawodu, gdybyśmy go nie znaleźli – dodałam pośpiesznie na naszą obronę. – Postanowiliśmy spróbować. Zawsze żałowała, że go nie poślubiła. Uznaliśmy, że jeśli mu o tym powiemy, przynajmniej będzie mogła zamknąć ten rozdział przed śmiercią. Najwyraźniej spędzili ze sobą trochę czasu na Korsyce.

– Ach, rozumiem. To by wyjaśniało, dlaczego chciał, żeby rozsypać tam jego prochy. Ostatnio byłem tak zapracowany, że nie miałem kiedy wybrać się w tę podróż.

– Claudia poprosiła o to samo. – Na myśl o niespełnionej miłości, która przetrwała ponad pół wieku, o tym, że ktoś może kochać kogoś tak mocno, że jego ostatnim życzeniem jest spocząć u boku tej osoby, serce ścisnęło mi się boleśnie.

– Mówiłeś, że twój dziadek zmarł raptem dwa miesiące temu? – zagadnął Sebastian. – Och, tak mało brakowało. Szkoda, że wcześniej tego nie odkryliśmy.

– Rzeczywiście wielka szkoda – przyznał Hugo. – Domyślałem się, że nie zostało jej wiele czasu?

Sebastian ze smutkiem utkwiał wzrok w szklance piwa.

– Dają jej góra kilka tygodni.

– Bardzo mi przykro. Wiem, jakie to okropne uczucie, kiedy traci się kogoś drogiego sercu.

– Cóż, w zasadzie można powiedzieć, że jestem szczęściarzem. – Sebastian przesunął kciukiem po krawędzi szklanki. – Poza dziadkiem nie straciłem jeszcze nikogo bliskiego. – Westchnął ciężko, ponownie zwieszając ramiona. – Czy człowiekowi jest łatwiej, kiedy ma częstszy kontakt ze śmiercią?

Hugo przybrał zbolaną minę.

– Chciałbym powiedzieć, że tak, ale moja mama zmarła piętnaście lat temu, a mnie to wciąż boli. – Patrzył, jak luźna plandeka łopocze na wietrze. – Smutek tak naprawdę nigdy nie przemija. Ktoś powiedział mi kiedyś, że to bagaż, który wszędzie ze sobą nosisz. Najpierw ma postać wielkiej walizy. Z biegiem lat może się zmniejszyć do rozmiarów torebki, jednak zawsze będzie z tobą. Wiem, że to banał, ale dzięki temu rozumiałem, że nie muszę koniecznie całkiem się go pozbywać.

Poczułam się tak, jakby Hugo pochylił się nad stołem i mnie przytulił. Przez chwilę nie byłam już tak osamotniona w swoim smutku.

Sebastian odwrócił się do mnie.

– A ty co o tym myślisz? Bez przerwy patrzysz, jak ktoś umiera.

– Tak, ale to moja praca.

Nasz nowy znajomy zrobił wielkie oczy.

– Twoja praca polega na patrzeniu, jak inni umierają?

– Niezupełnie – odparłam nieco skrzepowana, że nagle cała uwaga skupiła się na mnie. – Ale to jej nieodłączna część.

– Clover jest doułą śmierci – wyjaśnił Sebastian, może trochę zbyt dramatycznie.

– O kurczę, fajnie. – Hugo się rozpromienił. – Niedawno czytałem o tym artykuł. To dość nowa profesja, prawda?

Ulżyło mi, że nie muszę się wdawać w szczegóły, ale poczułam też coś w rodzaju dumy.

– Sam termin „doula śmierci”, owszem, jest nowy, ale ludzie pełnili tę funkcję od tysięcy lat, w ten czy inny sposób. Księża, zakonnice, pracownicy hospicjum, lekarze. To pojęcie pozostaje jednak nieco mgliste nawet teraz. Każdy interpretuje je na swój sposób.

– Ciekawe. – Hugo upił łyk napoju, nie przerywając kontaktu wzrokowego. – A co ono znaczy dla ciebie?

Próbowałam dostrzec na jego twarzy cień sceptycyzmu albo krytyki, lecz malowało się na niej jedynie niewinne zaciekawienie.

– Według mnie chodzi o to, żeby pomagać ludziom umrzeć z godnością i w spokoju. – Dłonie, w których trzymałam szklankę, zrobiły się nagle śliskie od potu. – Czasem wystarczy dać im poczucie, że nie są sami, albo ułatwić uporządkowanie pewnych spraw, zanim odejdą. Kiedy indziej trzeba pomóc im podsumować własne życie i przepracować nierozwiązane kwestie.

– Na przykład odszukać dawno niewidzianego francuskiego marynarza i powiedzieć mu, że był czyjąś jedyną prawdziwą miłością? – Miły uśmiech Hugona przeczył jego kpiarskiemu tonowi.

Ja też się nieśmiało uśmiechnęłam.

– Tak.

– Piękna sprawa pomagać komuś umrzeć z godnością – zawyrokował Hugo. – O, zaraz. Leonardo da Vinci powiedział... Chwila, jak to szło? Chyba jakoś tak: „Myślałem, że uczę się, jak żyć, a nauczyłem się, jak umierać”. Domyślam się, że ciebie takie doświadczenie też sporo nauczyło.

Sebastian odkasłał i wbił wzrok w piwo, a ja spłonęłam rumieńcem.

– Owszem – odparłam cicho. – Choć muszę przyznać, że nie jestem zbyt dobra w stosowaniu tej wiedzy w praktyce.

Beaufort wzruszył ramionami.

– A kto jest? Większość z nas wyciąga prawdziwą naukę z życia dopiero wtedy, gdy już za późno, no nie? Najważniejsze to i tak, żeby dawać z siebie wszystko.

Smutek chwycił mnie za gardło. Chciałabym być godna tych jakże łaskawych słów odnośnie do mojej osoby, ale wcześniejsza brutalna ocena Sebastiana wydawała się bardziej trafna.

Bierne obserwowanie świata i niewchodzenie z nim w interakcję znaczyło, że nie musiałam się angażować emocjonalnie. Jeśli nie zbliżę się do nikogo, nikt nigdy mnie nie zostawi. A przynajmniej nie będzie bolało, jeśli tak zrobi. Lepiej być samotnym z wyboru – to jedyna rzecz, nad którą zawsze miałam kontrolę.

Teraz jednak zdałam sobie sprawę, że nikogo nie nabrałam. Prawda była taka, że nie dawałam z siebie wszystkiego – zadowalałam się jedynie namiastką życia, jakie mogłam mieć.

I bardzo tego żałowałam.

Kiedy po kolacji wyłoniliśmy się ze Starego Wielorybnika, niewielki szkwał zamienił się w potężną wichurę. Każdy podmuch wiatru niósł ze sobą wielkie krople deszczu, które przeciwstawiały się grawitacji, padając po skosie.

Sebastian sięgnął po telefon, który zaćwierkał w kieszeni jego parki.

– To moja siostra – oznajmił, wpatrując się w ekran ze zmarszczonymi brwiami. – Chyba powinienem odebrać.

Razem z Hugonem odeszliśmy kilka kroków, żeby mógł porozmawiać na osobności, i skryliśmy się pod daszkiem.

– Wielkie dzięki za kolację – wydukałam, rozkoszując się błogostanem, w jaki wprowadził mnie burbon. – To było bardzo miłe, że za nas zapłaciłeś.

Choć dyskretnie wsunął pieniądze pod butelkę keczupu, zauważyłam, że zostawił także hojny napiwek dla Romy.

– Drobiazg – odparł. – Przynajmniej tyle mogłem zrobić, skoro fatygowaliście się taki kawał, żeby mnie znaleźć... a raczej mojego dziadka.

– Lubił ten lokal? – Ponieważ Hugo był ode mnie znacznie wyższy, kiedy z nim rozmawiałam, musiałam patrzeć w górę. To, jak pochylał lekko głowę, jakby z szacunkiem, wydało mi się uroczo znajome.

– Nie da się ukryć. W sumie zjadł tu pewnie tysiące posiłków. Przez wzgląd na niego zaczęli nawet serwować bouillabaisse. Tego najbardziej mu brakowało po wyjeździe z Francji. No i pastis, rzecz jasna.

– Wygląda na to, że wzbudzał sympatię.

Hugo uśmiechnął się szeroko.

– I to jaką! Lata temu znał praktycznie wszystkich w mieście, a oni uwielbiali przebywać w jego towarzystwie i słuchać żeglarskich opowieści z nad Morza Śródziemnego. Ale pod koniec jego życia większość znajomych przeniosła się do domów opieki albo zmarła. To było naprawdę smutne.

– Klątwa długowieczności – zauważyłam. Pierwszy raz w życiu nie chciałam kończyć rozmowy. – I mieszkał na łodzi?

Hugo skinął głową, a jego loki podskoczyły zgodnie.

– Zanim zmarła babcia, znajdował tu schronienie, ilekroć chciał uciec do własnego świata. Ale po jej śmierci sprzedał ich stary parterowy dom z dwuspadowym dachem i zamieszkał na jeziorze.

– Może ciągnęło go do wody, bo był marynarzem. – Spod rozpiętej kurtki Hugona doleciała do mnie subtelna woń cedru, podszyta chyba cyprysową nutą. Złapałam się na tym, że się do niego przysuwam.

– Wydaje mi się, że po prostu lubił być otoczony naturą, drzewami – powiedział. – I trudno się dziwić. Wokół jest tak spokojnie. Uwielbiam siadać tu rano i obserwować przyrodę. W koronach drzew tuż obok mojej łodzi żyje rodzina rubinobrodych koliberków. Widziałas je kiedyś?

– Potrafią trzepotać skrzydłami do osiemdziesięciu razy na sekundę, prawda? – Dzięki, dziadku, pomyślałam.

– Prawda! Niewiele osób o tym wie.

Moja pewność siebie momentalnie poszybowała wysoko.

– Gus chyba też się cieszy, że może sobie tutaj do woli hasać.

– Zapamiętałaś imię mojego psa. Jestem pod wrażeniem. – Przechylił głowę z uznaniem. – Czyżbyś była miłośniczką psów?

– Mam buldoga, wabi się George. Ale on nie przepada za bieganiem na dworze.

Hugo się roześmiał.

– Typowy mieszczech.

– Otóż to.

Sebastian spoglądał w naszą stronę ze zmarszczonym czołem, wciąż kłócąc się z siostrą.

– No to gdzie dziś nocujecie? – spytał Beaufort, starając się nie podsłuchiwać.

– Zarezerwowałam nam dwa pokoje w motelu tuż pod Lincolnville.

Czułam się bezpieczniej, biorąc na siebie organizację noclegu.

– Och... – Hugo zerknął na Sebastiana. – Myślałem, że jesteście... parą.

– Nic z tych rzeczy. – Zachichotałam. – Po prostu wykonuję swoją pracę. Czyli pomagam jego babci.
– Rozumiem. – Wsunął ręce do kieszeni. – To naprawdę miłe z twojej strony, że zadajesz sobie tyle trudu, żeby pomóc jej zamknąć tę sprawę z moim dziadkiem. Szkoda, że nie mogliśmy doprowadzić do ich ponownego spotkania.

Pokiwałam głową.

– Niestety tak jest częściej, niż myślisz. Ludzie zdają sobie sprawę ze swoich uczuć do kogoś lub czegoś dopiero u kresu życia. – Otuliłam się ciaśniej kurtką, chroniąc się przed wiatrem.

– Wszyscy powinniśmy wyciągnąć z tego jakąś naukę, no nie? – Stał bokiem, tak że plecami osłaniał mnie od wichury. – A ty czego byś żałowała, Clover?

Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie potrafiłam skłamać. Prawda sama cisnęła mi się na usta.

– Cóż...

Poczułam klepnięcie w ramię.

– Możemy się zbierać? – W głosie Sebastiana pobrzmiwało zniecierpliwienie.

Spojrzałam przepraszająco na Hugona, bo Sebastian najwyraźniej nie przejął się tym, że przeszkodził nam w rozmowie.

– Oczywiście. Wszystko okej?

– Tak, tylko jak zwykle siostra się rządzi i próbuje postawić na swoim, jeśli chodzi o sprawy związane z babcią, choć przez cały ten czas odwiedziła ją raptem kilka razy. – Szurnął butem po żwirze. – Tak czy siak, powinniśmy już jechać do motelu. Jutro czeka nas wczesna pobudka.

Niestety Sebastian nie zdawał sobie sprawy, że sam też czasem się rządzi.

– Jasne. Może ja poprowadzę? – Owszem, wypłam trochę za dużo burbona, żeby jeździć po ciemku po nieznanym mi drogach. Jednak sądząc po chwiejnym kroku, mój towarzysz podróży był jeszcze bardziej wstawiony niż ja, a jego złość raczej nie pomagała.

Sebastian obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Niech ci będzie. – Wcisnął mi kluczyki do ręki i ruszył w kierunku samochodu.

Otworzyłam drzwi pilotem, zanim do niego dotarł, żeby się dodatkowo nie zirytował.

– Pewnie jest tylko zdenerwowany z powodu babci – odezwał się spokojnie Hugo.

Jego życzliwość trochę złagodziła mój absmak.

– Pewnie tak. – Choć nasza wcześniejsza kłótnia też mogła mieć z tym związek.

– Wiesz, tutejsze drogi są nieoświetlone i usiane dziurami. Mogą być naprawdę niebezpieczne, zwłaszcza jak ktoś siedzi za kółkiem lekko podchmielony. – Uśmiechnął się nieznacznie, zapinając kurtkę. – Może pojedziecie za mną do motelu? Chyba wiem, o którym mówicie. Nie mamy ich tu za wiele. Chodzi o ten z niebieskimi drzwiami po drodze do Camden, tak?

– Uhm. – Przypomniałam sobie zdjęcia na stronie internetowej. W innych okolicznościach byłoby to świetne miejsce na romantyczny wypad. – Chętnie, jeśli to nie problem.

– Ależ skąd! – Wyjął kluczyki. – Tak się składa, że należy do moich znajomych z liceum. Urocze gniazdko.

W samochodzie panowała cisza, kiedy jechałam z Sebastianem, skupiając się na tylnych światłach wozu Hugona błyszczących w ciemności. Motel był oddalony raptem o kilka minut, ale droga do niego prowadziła wzdłuż skarpy, a wokół panowały egipskie ciemności. Jako że alkohol przytępił mi zmysły, na pewno bym go przeoczyła, gdyby Hugo się nie zatrzymał, błyskając awaryjnymi.

– Fajnie było was poznać! – krzyknął przez otwarte okno. – Bezpiecznego powrotu do Claudii.

Chrzęst kół na żwirze nagle przeszedł w pisk opon, kiedy Beaufort zawrócił na wąską asfaltową dwupasmówkę. Odjeżdżając, pomachał nam jeszcze na pożegnanie.

Podczas gdy Sebastian esemesował jak najęty ze swoją siostrą, patrzyłam, jak tylne lampy auta Hugona rozplywają się w podświetlonej blaskiem księżycy mgłę, unoszącej się nad drogą jak wata cukrowa.

Nagle poniżej obojczyka poczułam ucisk. Zdziwiona przyłożyłam dłoń do piersi.

Znałam Hugona jedynie kilka godzin, ale kiedy się oddalał, jakimś cudem ogarnął mnie smutek.

Po raz szesnasty tego dnia patrzyłam, jak Kevin Costner stoi spokojnie na pasie startowym z ręką na temblaku i wpatruje się w okno samolotu, w którym widać sylwetkę Whitney Houston. Kiedy w tle znowu rozbrzmiała kultowa ballada, a filmowa piosenkarka kazała zatrzymać kołującą maszynę i zbiegła po schodach prosto w objęcia swojego ochroniarza, serce aż mi się ścisnęło.

Zarówno z bólu, jak i z radości.

Od mojego powrotu z Maine minął już tydzień; skórzana torba podróżna wciąż leżała na podłodze w salonie i czekała, aż ją rozpakuję.

Podczas siedmiogodzinnej drogi powrotnej Sebastian i ja prawie się do siebie nie odzywaliśmy, nie licząc krótkiej rozmowy gdzieś w okolicy południowo-wschodniego krańca New Hampshire. Byłam tak pochłonięta myślami o romansie Hugona seniora i Claudii, że wręcz podskoczyłam na fotelu, kiedy nagle rzucił:

– Na pewno nie opowiemy o tym babci. Nie ma sensu.

Trochę mnie to zdziwiło. Przez ostatnie trzy godziny z ekscytacją obmyślałam, jak przekazać te wieści Claudii.

– Ale zaznałaby przynajmniej trochę spokoju, gdyby usłyszała, że Hugo nigdy nie przestał jej kochać. Zasluguje na to, żeby o tym wiedzieć.

Sebastian zapatrzył się na horyzont, ściskając mocno kierownicę.

– Zasluguje na to, żeby wiedzieć, że ktoś, kto rzekomo był miłością jej życia, przez ostatnie sześćdziesiąt lat mieszkał raptem kilka godzin jazdy od niej? Że jej życie mogło wyglądać zupełnie inaczej niż to, którego teraz najwyraźniej żałuje, mimo że ma kochającą rodzinę? Wykluczone.

Przełknęłam słowa protestu, które wzbierały mi w gardle. Miał rację. Na pewno zabolalo go, kiedy się dowiedział, że jego babcia przez większość swojego małżeństwa była nieszczęśliwa. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby przeze mnie Claudia zmarła z jeszcze większym brzemieniem żalu.

Ale i tak ukrywanie tego przed nią wydawało mi się niewłaściwe.

– Okej – powiedziałam neutralnym tonem, świadomie nie zdradzając żadnych emocji. – To twoja babcia, więc też twoja decyzja.

Osunęłam się na siedzeniu i przez resztę drogi spoglądałam przez okno, podczas gdy Sebastian wypełniał narastającą ciszę nieprzerwaną procesją podcastów.

Przez kolejny tydzień odwiedzałam Claudię tylko wtedy, kiedy wiedziałam, że Sebastian jest w pracy. Po jego ostrej ocenie moich wyborów życiowych chyba nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia.

Mrużąc oczy w ciemnościach pomimo wczesnopopołudniowej pory, włączyłam lampę do czytania przy fotelu dziadka. Nie otwierałam żaluzji od czasu mojej konfrontacji z Sylvie – nadal wołałam sobie nie wyobrażać, co dzieje się za oknami po drugiej stronie ulicy. Wychodziłam z mieszkania wczesnym rankiem albo późnym wieczorem, żeby w ogóle się z nią nie spotykać. A Leo powiedziałam, że dopadła mnie grypa i wołałabym go nie zarazić.

Nie miałam nawet ochoty wpaść do „kawiarni śmierci”. Chciałam po prostu pobyc sama.

Tuląc George’a do brzucha, stłumiłam pokusę, żeby odtworzyć tamtą scenę po raz siedemnasty. Wczoraj w kółko oglądałam, jak Tom Cruise z maniackalną wręcz szczerością wyznaje miłość Renée Zellweger, a dzień wcześniej, jak Hugh Grant w tym samym celu przerywa konferencję prasową Julii Roberts. Bez względu jednak na to, jak często wracałam do tych filmów albo bezgłośnie powtarzałam romantyczne kwestie, prawda wciąż bolała.

Niektórym ludziom szczęśliwe zakończenie po prostu nie jest pisane. Nie doczekają się go, nawet gdybym stanęła na głowie.

A przez to moje szanse na happy end, jakkolwiek by miał wyglądać, wydawały się jeszcze mniejsze.

Silą woli zmusiłam się, aby wyłączyć telewizor – ten kompulsywny cykl wślepiania się w ekran wyjątkowo nie przyćmiewał mojego poczucia osamotnienia. Rozejrzałam się po mieszkaniu, szukając alternatywnego rozwiązania. Wszystko, co widziałam, to pamiątki po dziadku – owady zastygłe w żywicy, jego ukochana czaszka kangura, zmatowiały mosiężny kompas. Nagle dotarło do mnie, jak bardzo byłby mną rozczarowany. Zamiast pójść w jego ślady i zaspokajając ciekawość, podróżując po świecie i rozszyfrowując

jego schematy, stałam się samotniczką z rosnącą skłonnością do nieszczerości. Kimś, kto szpieguje sąsiadów i woli spędzać czas z umierającymi, żeby nie wchodzić z nikim w trwałe relacje.

Musiałam się zgodzić z Sebastianem, że jestem hipokrytką. Każdego dnia stawałam oko w oko ze śmiercią, a wciąż jeszcze nie wykombinowałam, jak uporać się z własnym smutkiem. Kurczowo trzymałam się wspomnień o dziadku i jego rzeczy, choć już dawno nie żył. I poświęcałam więcej czasu, aby stosować się do nauk i mądrości życiowych innych ludzi, niż na to, żeby żyć własnym życiem.

Wiedziałam jednak, że mój rytuał związany z notatnikami pomoże mi się otrząsnąć z tej beznadziei.

Zdjęłam z półki zeszyt z żałami, zamknęłam oczy i otworzyłam go na przypadkowej stronie.

Jack Rainer, lat pięćdziesiąt sześć, prawnik o długich rzęsach, z sarkastycznym poczuciem humoru i nieoperacyjnym guzem mózgu:

„Żałuję, że nie nauczyłem się ojczystego języka mojej żony”.

Poznał Dityę, mistrzynię cukiernictwa, podczas podróży służbowej do Katmandu. Jej znajomość angielskiego sprowadzała się wówczas do słów popowych piosenek, które przyswoiła dzięki zamiłowaniu do karaoke. Kiedy jednak przeprowadziła się do Jacka, do Nowego Jorku, ciężko pracowała, żeby nauczyć się języka i móc się swobodnie komunikować z mężem oraz jego przyjaciółmi, i ostatecznie otworzyć własną cukiernię w Midtown.

– Wiesz, nie nauczyłem się nepalskiego, bo uważałem, że na nic mi się nie przyda – wyznał mi Jack, jeszcze zanim guz wpłynął na jego zdolność mówienia. Stracił już wzrok, więc nie kierował swoich słów bezpośrednio do mnie, tylko gdzieś obok. – Ale któregoś dnia nudziłem się, czekając u dentysty, a jedyne, co mieli tam do czytania to książka z inspirującymi cytatami. Autorem jednego z nich był Nelson Mandela, który powiedział: „Mówiąc do człowieka w języku, który rozumie, trafiasz do jego głowy. Mówiąc w jego własnym języku, trafiasz do jego serca”.

Położyłam dłoń na ramieniu mężczyzny.

– Piękne. Nigdy tego nie słyszałam.

– Zrozumiałem wtedy, że zawsze komplementowałem żonę po angielsku. Nigdy nawet nie pomyślałem, żeby ją zapytać, jak to się mówi w jej języku. Więc moje słowa tak naprawdę ani razu nie trafiły do jej serca.

Oparłam notatnik na podłokietniku i sięgnęłam po laptopa. Mnie znajomość nepalskiego pewnie też się nie przyda, ale mogłam przynajmniej nauczyć się podstaw – na cześć Jacka. Zapisalam się więc na dwutygodniowy kurs internetowy, który miał się zacząć w przyszłym miesiącu.

Jeden mały krok naprzód. I do razu poczułam się trochę lepiej.

Przejrzałam notatnik, sporządzając w myślach listę przepełnionych żalem osób, które mogłabym jeszcze uczcić przed swoją kolejną wizytą u Claudii.

Alison, zakonnica – zawsze chciała pofarbować włosy na niebiesko.

Una, prezeska banku – nigdy nie wybrała się na łyżwy do Central Parku.

Harry, dobrotliwy stolarz – wyraził żal, że nie zignorował drwin braci i nie nauczył się robić na drutach.

Mogłabym nawet zaadoptować chomika ku pamięci Guillerma.

A później, kiedy dotrę do końca listy, może warto by w końcu zająć się własnymi żałami.

Tyłną część dzinsów miałam wciąż moką od ciągłego upadania na lód, a sądząc po obolałych pośladkach i udach, na pewno używałam mięśni, które od lat pozostawały uśpione. Kiedy jednak, kuśtykając, opuściłam lodowisko Wollman Rink w Central Parku, towarzyszyło mi poczucie, jakbym się do czegoś przydała.

Gdy przemieszczałam się powoli po obrzeżu tafli, starając się nie trzymać barierki, wyobrażałam sobie, że Una jedzie obok mnie, a jej wydatne kości policzkowe zdobi rumieniec. Wdychałam zapach pieczonych kasztanów napływający ze stoiska przy Piątej Alei i zachwycałam się okolicznym widokiem – poskręcane konary drzew ciekawie kontrastowały z czystą geometrią błyszczących drapaczy chmur. Śmiałam się z małych dzieci w wielkich puchowych kurtkach, kiedy bez strachu przemykały na lodzie. Zazdrościłam im, że mają tak nisko środek ciężkości. Ale przynajmniej dzięki Unie nigdy nie będę sobie wyrzucać, że nie poszłam na łyżwy do Central Parku. I miałam nadzieję, że ona też była tam ze mną duchem.

Teraz musiałam jeszcze skądś wytrzasnąć niebieską farbę do włosów i druty.

Kiedy sięgnęłam do płaszcza, żeby wyszukać w Google’u najbliższe sklepy z akcesoriami do rękodzieła, nagle poczułam, jak telefon wibruje, oznajmiając przychodzące połączenie.

Ulżyło mi, kiedy zobaczyłam, że to nie Sebastian ani Sylvie – nie miałam tego numeru wśród zapisanych kontaktów, więc pewnie dzwonił ktoś w sprawie zlecenia. Wprawdzie Claudii nie zostało już dużo czasu, ale i tak uważałam, że to za wcześnie, żeby wiązać się z nowym klientem.

Zesłam z chodnika, żeby przepuścić grupkę jaskrawo ubranych biegaczy.

– Halo, tu Clover – odebrałam. W odpowiedzi usłyszałam tylko szczenięcie. – Halo? – powtórzyłam lekko zniecierpliwiona.

– Och, cześć, Clover. – Na dźwięk znajomego głosu serce zabiło mi mocniej. Kolejne podekscytowane hau, hau. – Gus! Spokój! – Odgłos gmerania przy komórce. – Przepraszam, Clover. Daj mi chwilę.

– Yyy, jasne. – W głowie zaroilo mi się od wszelkich możliwych powodów, dla których Hugo dzwonił. Czyżbym zostawiła szalik w Starym Wielorybniku?

– Dobra, już jestem – wysapał. – Przepraszam, ale Gus próbował gonić wiewiórkę. Och, tu Hugo, tak w ogóle.

– Cześć, Hugo. – Czekałam, aż dopadnie mnie typowa trema przed rozmową telefoniczną, lecz o dziwo nic takiego się nie wydarzyło.

– Nie masz nic przeciwko temu, że do ciebie dzwonię, prawda? – Głos zdradzał, że mój rozmówca się uśmiecha. – Dostałem do ciebie numer od tych znajomych prowadzących motel, w którym się zatrzymaliście. Szczerze mówiąc, miałem dylemat, czy się do mnie nie zrazisz, ale potem stwierdziłem, że pewnie będziesz chciała wiedzieć.

– Co takiego? – Pod skórą poczułam dziwną pulsującą energię.

– Cóż, kilka dni po waszym wyjeździe postanowiłem wreszcie przeszukać skrzynię z rzeczami dziadka, którą zostawił na łodzi. Nosilem się z tym od miesiący. – Westchnął. Dobrze go rozumiałam. – I znalazłem w niej stare pudełko po butach.

– Okej, no i...?

– Było w nim pełno listów od Claudii, plus jeszcze kilka, które on napisał do niej, ale nie wysłał. Do jednego z nich dołączył zdjęcie ukochanej.

Przez to jeżdżenie na łyżwach naprawdę miałam nogi jak z waty.

– Czytałeś je?

– Tylko jeden. – Podszyty zawstydzieniem śmiech Hugona brzmiał całkiem uroczo. – Ale był zbyt intymny. To znaczy, nie w znaczeniu seksualnym, dzięki Bogu. Chodzi raczej o to, że biła z niego tęsknota. Naprawdę smutno mi na myśl, że już do siebie nie wrócili.

Niski, łagodny ton jego głosu działał na mnie kojąco.

– Mnie też.

– No więc pomyślałem, że może Claudia poczuje się lepiej, jeśli zobaczy te listy i dowie się, że je zachował... o ile nie jest za późno. Chciałbym zrobić dla niego jeszcze tę jedną rzecz. – Kolejne szczenięcie Gusa. – Jak ona się miewa?

Wróciłam pamięcią do mojej ostatniej rozmowy z Sebastianem. Może ta korespondencja wystarczy, żeby zmienił zdanie i pozwolił mi opowiedzieć o wszystkim swojej babci.

– Chyba nie zostało jej dużo czasu. Z tydzień? Nie wiem, czy listy zdążą tu dotrzeć, jeśli je wyślesz pocztą. – Ciekawe, ile kosztowałaby ekspresowa przesyłka kurierska z Maine. Ale nawet jeśli kilkaset dolarów, zapłaciłabym tyle, gdyby to dało Claudii spokój i pocieszenie.

– Tak się składa – zaczął Hugo – że jesteśmy z Gusem w Nowym Jorku. Służbowo. – W tle, jakby na potwierdzenie jego słów, rozległo się wycie wozu strażackiego. – Dziś już wracamy, ale może złapiemy się gdzieś na mieście po południu i po prostu ci je przekażę?

– Yyy, pewnie, byłoby świetnie. – Z walącym sercem próbowałam wymyślić odpowiednie miejsce, żeby się spotkać. Po krytycznej reakcji Sylvie na moje mieszkanie na pewno nie zamierzałam zaprosić go do siebie. – Niedaleko mnie jest fajna kawiarnia przyjazna psom. Wyślę ci adres.

Czy postąpiłam nierozsądnie, że tak szybko zgodziłam się spotkać z kimś praktycznie obcym? A może, skoro już zjedliśmy razem kolację, awansowaliśmy na znajomych? Widziałam Hugona tylko raz, miałam jednak wrażenie, jakbym znała go znacznie dłużej.

– Super! – zawołał radośnie. – Nie mogę się już doczekać, Clover.

Nagle nogi przestały mnie boleć.

Hugo stał oparty o budynek kawiarni. Miał na sobie ten sam wełniany sweter, który wcześniej widziałam na relingu; warkoczowy splot opinał się na jego ramionach. Kiedy posłał w moim kierunku szeroki uśmiech, niemal się odwróciłam, żeby sprawdzić, czy nie był przeznaczony dla kogoś innego. Chyba nie zasłużyłam na tyle ciepła.

Gus, który w pełni korzystał z uroków zapachowej krainy czarów, za jaką należałoby uznać nowojorski chodnik, podbiegł do mnie i oparł przednie łapy na moich udach. Ujęłam jego pysk w obie dłonie.

– Hej, Clover! – Hugo owinał sobie smycz wokół nadgarstka, żeby powściągnąć towarzyskie zapędy pupila. – Super, że udało nam się spotkać.

– Cieszę się, że do mnie zadzwoniłeś. – I że nie zdążyłam przefarbować włosów na niebiesko, dodałam w myślach.

– Drobiazg. – Znowu ten uśmiech. Wskazał stare pudełko po butach, które trzymał pod pachą. – Może przeczytamy je przy kawie?

– Koniecznie. – Szybko weszłam przez drzwi, które dla mnie przytrzymał, zastanawiając się, czy ludzkie serce też może bić w tempie osiemdziesięciu uderzeń na sekundę.

Kawiarnia była jeszcze bardziej zatłoczona niż ostatnio, kiedy umówiłam się tu z Sylvie. Miałam wrażenie, że od naszej pierwszej wspólnej kawy minęły całe lata, a nie miesiące. Brakowało mi towarzystwa sąsiadki i jej szczerych rad.

Żołądek skręcił mi się z niepokoju, kiedy rozejrzałam się za wolnym miejscem. Nie miałam żadnego innego lokalu w rezerwie, ale przede wszystkim nie chciałam rozczarować Hugona. Ucisk w brzuchu trochę zelżał, kiedy w końcu wypatrzyłam ostatni wolny stolik: mój ulubiony, w rogu, dla jednej osoby.

– Proszę, usiądź, a ja znajdę jakieś krzesło – zaproponował Hugo.

Patrzyłam, jak podchodzi do dwóch klientek po drugiej stronie, które zaczęły bawić się włosami i chichotać, jakby opowiedział naprawdę zabawny żart, a nie tylko zapytał, czy może pożyczyć krzesło. Kiedy wreszcie usiadł, czułam, jak kobiety obcinają mnie wzrokiem, kwestionując moją obecność. Kelnerka przyniosła nam zamówione kawy. Ona też zachowywała się tak, jakbym była tam na doczepkę, poświęcając całą uwagę Hugonowi. Dobrze, że Gus opierał się o moją nogę pod stołem.

Hugo z kolei sprawiał wrażenie, jakby nie zauważał nikogo poza mną.

Ilekcję spotykałam się z Sebastianem, ten zawsze wydawał się rozkojarzony, rozglądał się po innych stolikach albo zerkał na telefon, jakby sprawdzał, czy gdzieś nie dzieje się coś ciekawszego. Podobało mi się to, że Beaufort słuchał uważnie tego, co mówię – wyłapywał prozaiczne szczegóły i dopytywał o nie, jakby naprawdę bardzo go to interesowało.

Niemal zapomniałam, że mieliśmy przeczytać listy.

Przebrnęliśmy przez pożółkłe koperty, odtwarzając chronologię wydarzeń. Kiedy latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku Claudia wróciła z Francji do Stanów, wciąż pisała do Hugona seniora, głównie o tym, że nabrała wątpliwości, jeśli chodzi o ślub i rezygnację z kariery fotograficznej.

– Wygląda na to, że dziadek próbował ją nakłonić, aby wróciła do Francji i wyszła za niego za mąż.

– Hugo junior przebiegł wzrokiem zapisaną kartkę, którą trzymał w dłoni. – Są tam jeszcze jakieś jej listy?
Kiedy się pochylił, żeby zajrzeć do pudełka, kolanem musnął moje udo. Skupiłam się na przeglądaniu pozostałej korespondencji, próbując nie myśleć o tym, że nogi zaczęły mi się trząść jak galareta.
Jedna koperta była cieńsza od reszty.
– Coś jest. – Wyjęłam uroczy liścik i przeczytałam wiadomość od Claudii, zapisaną nienagannym pochyłym pismem.

Hugo,

nie jest nam dane być ze sobą w tym życiu... ale może spotkamy się w innym.

Do tego czasu będę Cię nosić w sercu.

Claudia

Siedzieliśmy w milczeniu, przetwarzając ostateczność jej słów. Hałas panujący w zatłoczonej kawiarni nagle stał się odległy, nieistotny.

– Tylko tyle? Żadnego wyjaśnienia? – Hugo spojrział gniewnie na karteczkę. – To dość okrutne. Dziadek był niezwykle wrażliwym człowiekiem, jestem pewny, że to złamało mu serce.

Wyobraziłam sobie tęsknotę, która przepelniała tę młodą zakochaną parę, i pozwoliłam, aby rozlała się po moim ciele, jakbym to ja sama ją czuła. Choć wiedziałam, że ostatecznie oboje cierpieli, i tak zazdrościłam im łączącej ich zażyłości.

Pozostałe koperty były adresowane do Claudii i wciąż zapieczętowane.

– Na żadnej nie ma znaczka ani stempla pocztowego – zauważyłam, biorąc do rąk pierwszą z brzegu. Kiedy ją rozrywałam, czułam się niemal tak, jakbym popełniała przestępstwo.

Dziadek Hugona pisał głównie po angielsku, tu i ówdzie wplatając w swoim ojczystym języku jakąś refleksję, co przypominało strumień świadomości.

– „Jesteś stale w moich myślach, tak za dnia, jak i w nocy” – przeczytałam na głos. – A niech mnie. Pomijając jego słabo czytelne pismo, trzeba przyznać, że potrafił się wysławiać po angielsku. I jak na faceta żyjącego w latach pięćdziesiątych wyjątkowo nie bał się okazywać uczuć.

Smutek nieco stonował uśmiech Hugona.

– Tak, zawsze taki był. Mówił mi, że mnie kocha, ilekroć się widzieliśmy.

– To naprawdę coś. – Upiłam kawę, licząc, że złagodzi ukłucie zazdrości.

Młody Beaufort pokiwał głową.

– Szczęściarz ze mnie, że miałem takiego dziadka.

Przebiegłam list wzrokiem.

– Wygląda na to, że jej odpisał, prosząc, żeby zmieniła zdanie, ale nigdy tego nie wysłał.

– Ciekawe dlaczego. – Hugo pochylił się do przodu, żeby zerknąć na treść, i nagle moje nozdrza wypełnił delikatny zapach cedru i cyprysu.

– Może samo napisanie tych listów wystarczyło, żeby poczuł ulgę i w pewnym sensie zamknął ten rozdział – stwierdziłam, skupiając się na małej dziurce w swetrze na jego ramieniu. – Albo po prostu uszanował prywatną przestrzeń Claudii i jej ostateczny wybór. Jak o tym pomyśleć, to nawet godne podziwu.

Spojrzał na stół, nie kryjąc rozczarowania.

– Po prostu dobija mnie myśl, że przez większość życia miał złamane serce. Żałuję, że o nią nie walczył. Czy to dziwne?

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. To, jak bardzo Hugo współczuł cierpiącemu z miłości dziadkowi, naprawdę mnie ujęło.

– Nie, świadczy tylko o tym, jak bardzo pragnęłaś, aby twój dziadek był szczęśliwy. Myślę, że to urocze.

Zmarszczył czoło w determinacji.

– Na pewno próbował jej jakoś powiedzieć, że jest w Ameryce, bo niby po co miałby się przenosić taki kawał, zwłaszcza w latach pięćdziesiątych? Znam dziadka, on nie dałby tak łatwo za wygraną. – Przewertował

listy. – Chyba został nam jeszcze tylko ten.
Odchrząknął i zaczął czytać na głos.
Moja droga Claudio,

pewnie zawsze będziesz myśleć, że widzieliśmy się po raz ostatni przez szybę pociągu, który odjeżdżał z dworca w Marsylii tamtego parnego dnia w lipcu.

Ale właściwie to wydarzyło się rok później w Nowym Jorku. Był wietrzny listopadowy dzień, a ja akurat szedłem do twojej ulubionej księgarni w Midtown. Do tej, którą odwiedzałaś, kiedy potrzebowałaś pociechy i poczucia bezpieczeństwa.

Dzięki temu mogłem poczuć twoją bliskość, nawet jeśli Cię tam nie było. Może dotknąć tych samych książek, których i Ty dotykałaś, zachwycić się cenioną przez ciebie architekturą.

Tylko że tym razem Ty też odwiedziłaś to miejsce, z nim. Stałem na antresoli i przyglądałem się wam z zazdrością. On położył dłoń na Twoich plecach, a Ty uśmiechnęłaś się do niego z charakterystycznym błyskiem w oku. Samolubnie założyłem, że takie spojrzenie jest przeznaczone tylko dla mnie.

Przyjechałem do Nowego Jorku dla Ciebie. Skoro Ty nie mogłaś zostać we Francji, ja przeprowadziłbym się tutaj. Ale tego dnia w księgarni zrozumiałem, że lepiej Ci beze mnie. Miałaś kogoś, kto się o Ciebie troszczy, i wydawałaś się szczęśliwa. Dlatego się nie odezwałem. Po prostu patrzyłem, jak odchodzisz, trzymając go za rękę.

Miałaś rację – to życie nie jest dla nas stworzone.

Do zobaczenia w innym.

– Cholera – rzucił Hugo, rozpierając się na dębowym krześle, które jakby się pod nim skurczyło.
– Czyli o to chodzi. Przeniósł się tu dla niej i nigdy jej o tym nie powiedział.
– Tak niewiele brakowało, żeby byli razem. – Na tę myśl cała sytuacja zrobiła się jeszcze smutniejsza.
– Na pewno mu zależało, żebym się o tym dowiedział, inaczej nie zostawiłby tego pudełka na łodzi.
– Hugo wziął karton i zaczął metodycznie przeglądać koperty, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczyliśmy. Ponieważ żaden nowy list się nie zmaterializował, odłożył je znowu na stos i zamknął wieczko sfrustrowany. Następnie ujął moje dłonie i spojrzał mi głęboko w oczy. – Clover, musisz powiedzieć Claudii, że on nigdy nie przestał jej kochać.

Na ogół drzwi do domu Claudii otwierała mi Selma. Kiedy jednak zjawiłam się u niej następnego dnia, powitała mnie Sarah, najstarsza siostra Sebastiana. Nigdy wcześniej jej nie spotkałam, ale odniosłam wrażenie, że Sebastian dobrze ją opisał – wysoka, pretensjonalna i wiecznie niezadowolona.

– Clover, tak? – Głębokie bruzdy między jej zmarszczonymi brwiami sugerowały, że była to jej typowa mina. – Babcia o ciebie dopytywała. Chodźmy na górę.

Odwróciła się żwawo, pokazując palcem, żebym za nią poszła.

Na drugim piętrze na szczycie schodów stały dwie kobiety o czerwonych twarzach i potarganych włosach. Zawzięcie dyskutowały o czymś scenicznym szeptem. Jennifer to średnia z sióstr, Anne z kolei była najmłodsza i najtęjsza. Obie zmierzyły mnie wzrokiem. Podobnie jak reszta rodzeństwa miały taki sam orli nos.

– Możemy wejść? – Sarah wskazała zniecierpliwionym gestem drzwi do sypialni Claudii.

Anne stała przed nimi nieporuszona, jakby ktoś ją tam postawił na straży.

– Tata siedzi w środku z lekarzem. Musicie poczekać, aż skończą.

– Jest przytomna? – spytałam łagodnie, żeby trochę rozładować napięcie w tej ewidentnej walce o władzę.

Siostry odwróciły się do mnie gwałtownie.

– Tak – odparła poważnie Jennifer. – Ale głównie śpi.

– To całkiem normalne – stwierdziłam. – Jej ciało słabnie, zwłaszcza jeśli je niewiele.

– Nie chce jeść niczego poza pączkami – zauważyła Sarah, która wyglądała na zabiedzoną.

– Próbowałam ją nakłonić do wypicia zielonego smoothie, ale nawet nie chciała o tym słyszeć.

Stłumiłam uśmiech – z przyjemnością zobaczyłabym reakcję Claudii na tę propozycję.

Otworzyły się drzwi; z pokoju wyszedł mężczyzna – również z orlim nosem – a za nim kolejny, łysiejący.

– Tato, Rogerze, to Clover – oznajmiła zwięźle Sarah. – Pomagała Selmie i Joyce w opiece nad babcią.

– Ach, doula śmierci – zagrział Roger. – Ostatnio coraz częściej was widuję. Poczciwi z was ludzie.

– Dziękuję. – Zarumieniłam się i spuściłam wzrok, żeby uniknąć krytycznego spojrzenia sióstr. – Jak ona się czuje?

Roger zamknął za sobą drzwi.

– Obawiam się, że nie najlepiej. Został jej dzień, może dwa. – Przesunął wzrokiem po bliskich Sebastiana. – Doradziłem wszystkim, żeby się z nią pożegnali, póki jeszcze mogą.

Anne wybuchnęła szlochem i wyjęła chusteczkę z kieszeni spodnicospodni. Ojciec przyglądał się córce ze stoickim spokojem, ale nic nie powiedział. Nikt nie próbował jej pocieszyć.

Korytarz wydawał się strasznie mały, kiedy tak wszyscy staliśmy zbici w kupę – wręcz czułam zapach papierosów, którym przesiąkła marynarka Rogera. Ściana za plecami nie pozwoliła mi się cofnąć, żeby odzyskać choć trochę osobistej przestrzeni.

– Sebastian jest w drodze? – Bez względu na to, jak się czułam na myśl o naszym spotkaniu, powinien tu być dla Claudii. Nie chciałam, żeby nie zdążył się z nią pożegnać.

Sarah przewróciła oczami.

– Powiedział, że dotrze wkrótce, ale jak zwykle mu się nie śpieszy.

Im dłużej przebywałam z siostrami Sebastiana, tym lepiej go rozumiałam. Nic dziwnego, że w dzieciństwie tak dużo czasu spędzał u babci.

– Dobrze. Jeśli musicie się czymś zająć, mogę dotrzymać Claudii towarzystwa. – Pewnie przydałaby jej się chwila wytchnienia od gości. – Dam znać, jeśli jej stan ulegnie zmianie.

– Dziękuję. – Sarah popędziła wszystkich korytarzem. – Będziemy na dole w kuchni z mamą.

Claudia wydawała się jeszcze drobniejsza niż przed dwoma dniami, kiedy ją ostatnio widziałam. Weszłam do pokoju i zamknęłam za sobą drzwi, a wtedy otworzyła oczy i zdobyła się na lekki uśmiech.

– Och, dzięki Bogu. Już się bałam, że wróciły moje wnuczki, żeby mnie zamęczyć tymi swoimi egzaltowanymi opiniami i przesadną histerią. – Jej słowa były przerywane krótkimi, płytkimi oddechami.

– Myślałam, że skonam, czekając na ciebie. Żart jak najbardziej zamierzony, bo jaki to wszystko ma sens, jeśli nie można z tego dowcipkować?

Usiadłam na krześle tuż przy łóżku i ujęłam jej dłoń.

– Mnie też cieszy twój widok.

– Sądząc po waszych minach, mój koniec już bliski. – Claudia obróciła głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Bądź ze mną szczerą, kochana. Tylko ty nigdy mnie nie okłamujesz.

Uśmiechnęłam się ze spokojem.

– Tak, myślę, że nadszedł ten czas. Jak się z tym czujesz?

Niełatwo jest to przyznać. Spojrzeć komuś w oczy i potwierdzić, że jego życie dobiega końca. Ale przekonanie o tym, że dzięki mnie człowiek może przeżyć ostatnie chwile świadomie i z godnością, zawsze pomagało mi zmniejszyć ten dyskomfort.

– Wiem, że moi bliscy chcą dobrze, ale mam już dość tych ich ceregieli. – W oczach Claudii znów pojawił się charakterystyczny błysk. – Udawałam, że śpię, żeby choć na chwilę zostawili mnie w spokoju.

– Żyjesz do końca na własnych warunkach. Brawo! – Uśmiechnęłam się lekko. Przez jej bladą skórę prześwitywała siateczka żył. – Nie przeszkadza ci, że tu jestem? Mogę sobie pójść i dać ci odpocząć.

Ścisnęła moją dłoń.

– Zostań, proszę. – Powoli nabierała werwy. – A teraz mów, co tu przyniosłaś. Chyba nie prezent pożegnalny?

Przesunęłam pudełko na kolana.

– Poniekąd tak.

– Naprawdę? – Ożywiła się jeszcze bardziej.

Postanowiłam chwilowo nie mówić Sebastianowi o listach. Pomijając nierozładowane napięcie po naszej wycieczce do Maine, nie fair byłoby zdręzczać go szczegółami na temat niespełnionej miłości jego babci, kiedy zmagał się z perspektywą jej bliskiej śmierci. Przez chwilę rozważałam, czy nie zamknąć drzwi na klucz, ale trudno byłoby to wytłumaczyć, gdyby ktoś chciał wejść do pokoju. Ustawiłam krzesło tak, żeby opierać się o nie plecami i w razie potrzeby zdążyć schować listy.

– Cóż, kiedy opowiedziałas mi o Hugonie, razem z przyjaciółką trochę poszperałyśmy.

Claudia otworzyła szeroko oczy.

– I co... wyszperałyście?

Nabrałam powietrza, zbierając się na odwagę, żeby powiedzieć to, co wielokrotnie ćwiczyłam w myślach.

– Odkryłyśmy, że przeprowadził się do Stanów, jakoś krótko po twoim wyjeździe z Francji, i do niedawna mieszkał w Maine.

Zrobiłam pauzę, żeby oswoić się z tymi rewelacjami.

Na twarzy staruszki odmalowało się zmieszanie.

– Nie rozumiem.

– Przyjechał do Nowego Jorku, żeby cię odszukać. – Chyba trochę się podekscytowałam. – Ale zobaczył cię z mężem, a ty sprawiałaś wrażenie szczęśliwej, więc uznał, że nie będzie się wtrącał. – Może nie była to najbardziej romantyczna opowieść, ale chyba dobrze streściłam tę historię.

Na rzęsach Claudii zadrżały łzy.

– Przyjechał dla mnie?

– Tak!

– To znaczy, że... wciąż żyje?

Ten fragment wolałabym pominąć. Ścisnęłam ją mocniej za rękę.

– Niestety, okazało się, że zmarł kilka miesięcy temu – zakomunikowałam łagodnie, żałując, że nie ma lepszego sposobu na przekazanie tej wiadomości. – Przykro mi, Claudio.

Kiedy wreszcie odzyskała głos, powiedziała bardzo cicho:

– Podejrzywałam, że odszedł dawno temu, ale czyjaś śmierć mniej boli, kiedy jest tylko hipotetyczna.

Spojrzała na sufit, jakby oglądała tam powtórkę swojego życia i teraz doklejała do filmu zakończenie, którego się obawiała, ale nigdy do końca nie była pewna. Siedziałam w milczeniu, dopóki nie przeniosła na mnie wzroku.

– Odkryłam coś jeszcze. – Odchyliłam wieko pudełka na buty. – Miał wnuka, a on dał mi listy Hugona

do ciebie. Zawierają wyznania, że jesteś miłością jego życia, że nikt nigdy ci nie dorównał.

Po raz pierwszy zobaczyłam Claudię podenerwowaną.

– Naprawdę tak napisał?

Pomasowałam ją po ramieniu; teraz już prawie nic nie oddzielało skóry od kości.

– Chcesz, żebym ci je przeczytała?

Łzy płynęły wolno wzdłuż zmarszczek na policzkach staruszki niczym rzeki w korytach.

– Tak, proszę.

Przez kolejne dwie godziny czytałam listy, zatrzymując się, ilekroć prosiła, żebym powtórzyła niektóre fragmenty.

– Pamiętam tamten listopadowy dzień – wyszeptęła, kiedy złożyłam na pół ostatni list od Hugona. – Rano pokłóciłam się z mężem, bo nie chciał mnie wypuścić z domu w spodniach. Byłam tak zła, że uciekłam do księgarni. To jedyne miejsce, gdzie czułam, że mogę być sobą. – Zamknęła oczy, przenosząc się do przeszłości. – Znalazł mnie tam i przeprosił, tak jak zwykle, w ten swój jakże czarujący sposób. Zdałam sobie wtedy sprawę, że jeśli chcę mieć dziecko, to nie pozostaje mi nic innego do wyboru. Musiałam mu wybaczyć.

– Myślałaś kiedyś o tym, żeby wrócić do Francji i być z Hugonem?

Znużony uśmiech Claudii zrównoważył melancholię widoczną na jej twarzy.

– Po moim ostatnim liście do niego powiedziałam sobie, że jeśli odpisze i będzie mnie nakłaniał, abym zmieniła zdanie, to do niego pojadę. – Jej uśmiech nagle zbladł. – Ale nie odpisał.

– Hm, zrobił to, tyle że nie wysłał listu. Ale jego wnuk zdradził mi, że Hugo kochał cię aż do śmierci. Zawsze byłaś jego największą miłością.

Claudia rozluźniła palce zaciśnięte na mojej dłoni i zamknęła oczy.

– A on był moją.

Miarowy ruch unoszącej się i opadającej piersi zasygnalizował, że odpłynęła w sen zadowolona.

Drzwi nagle się otworzyły, a ja aż podskoczyłam ze strachu. Szybko schowałam pudełko do torby i starałam się wyglądać jak najbardziej niewinnie.

– Hej. – W progu stał Sebastian z posępną miną, ściskając w pięściach szalik. – Podobno poznałaś moje siostry.

– Owszem. – Uśmiechnęłam się nieznacznie. – Pewnie niełatwo było z nimi dorastać.

– To duże niedopowiedzenie.

Miał zmęczone oczy, widziałam to nawet przez jego okulary. Wyglądał tak, jakby nie golił się od kilku dni. Kiedy jednak posłał mi słaby uśmiech, uświadomiłam sobie, że po złości, która wciąż gdzieś się we mnie kotłowała od czasu naszej wycieczki, nie został już żaden ślad. Głównie dlatego, że wreszcie przyznałam przed sobą, że to, co powiedział o moim życiu, jest prawdą, choć może nie musiał być tak okrutnie szczery.

Teraz było mi go po prostu żal. Utrata bliskiej osoby jest okrutnie bolesna i żadne słowa nie sprawią, że stanie się bardziej znośna.

Miałam ochotę go przytulić, ale tylko wstałam z krzesła i zachęciłam go gestem, żeby usiadł.

– Claudia właśnie zasnęła, ale na pewno chciałaby, żebyś z nią posiedział i do niej pomówił.

Sebastian wyraźnie się spiął, lecz postąpił zgodnie z moimi wskazówkami. Kiedy zamykałam za sobą drzwi, usłyszałam, jak zaczyna jej opowiadać o podcaście, którego dopiero co wysłuchał.

Wczesnowieczorne słońce odbijało się od karmelowego drewna wiolonczeli stojącej w bibliotece Claudii, gdzie siedziałam, kartkując biografię Henriego Cartiera-Bressona.

– Dziwne, że babcia dosłownie leży na łożu śmierci, a nikt z mojej rodziny nie chce o tym mówić, prawda?

Sebastian opierał się o regał przy drzwiach. Wcześniej, kiedy zeszłam po wodę, jego bliscy rozmawiali o wszystkim, z wyjątkiem tego, czego nie chcieli przyjąć do wiadomości.

– W sumie to nie. – Odłożyłam książkę. – Wielu ludziom trudno mówić o śmierci, nawet jeśli rozgrywa się na ich oczach. Ale zrobiłaś, co w twojej mocy, żeby pomóc babci przez to przejść. Wiem, że to docenia.

– Chyba tak. – Usiadł obok mnie i podniósł przycisk do papieru w kształcie wieloryba, który jakimś cudem znalazł się na stoliku kawowym. – Tyle że to ty tak naprawdę byłaś przy niej przez cały ten czas.

– Zgadza się, jednak ty mnie znalazłaś, bo chciałaś jej pomóc.

Nieświadomie przekładał wieloryba z ręki do ręki.

– Po prostu mam wrażenie, że mógłbym zrobić więcej, rozumiesz? A nie tylko tu siedzieć i czekać, aż umrze.

Spojrzałam na torbę leżącą u moich stóp.

Wspomnieć mu o listach? Lepiej nie. Pewnie tylko by skomplikowały i tak trudną sytuację. Może wrócę do tego za jakiś czas, kiedy rana trochę się zablizni.

– Wydaje ci się, że powiedziałaś Claudii wszystko, co chciałeś?

– Powiedziałem jej, jak wiele dla mnie znaczy i że to cudowne, że jest moją babcią. – Spuścił wzrok na dłonie wyraźnie zawstydzony. – W tej rodzinie nie wyznajemy sobie miłości. Gdybym tak zrobił, to byłoby trochę na siłę.

A ja byłabym hipokrytką, gdybym próbowała go do tego nakłonić.

– Ona wie, że ją kochasz, nawet jeśli nie wypowiadasz tego na głos.

– Może. – Wciągnął głęboko powietrze, potem głośno je wypuścił. Wydało mi się to trochę teatralne, dopóki nie zrozumiałam, że zbierał się na odwagę, aby coś dodać. – Clover... – odłożył przycisk do papieru na stół – przepraszam, że nasza podróż do Maine wyszła, jak wyszła, i za to, co powiedziałem. Zachowałem się wobec ciebie jak dupek. Ale... według mnie jesteś super i to wspaniałe, co robisz dla takich osób jak babcia.

A to niespodzianka!

– Och, dziękuję – rzuciłam, powoli przyswajając komplement. – A ja przepraszam za swoją reakcję. Twoje słowa chyba zabolowały tak bardzo, bo obnażały prawdę. – Kiedy przyznałam to na głos, o dziwo poczułam ulgę. – Owszem, traktuję swoją pracę jako wymówkę, żeby nie zbliżać się za bardzo do ludzi. I gdybym wiedziała, że jutro umrę, na pewno pożałowałabym wielu rzeczy.

Tik-tak. Tik-tak. Tik-tak.

Rytmiczne cykanie starego zegara wahadłowego wiszącego na ścianie nagle stało się jakby głośniejsze. Sebastian zaczął stukać nogą o podłogę.

– No więc jest jeszcze coś, co chyba powinienem ci powiedzieć.

Jako że ostatnie tygodnie obfitowały w sensacyjne wiadomości, już się nie zdziwiłam, że zanoszą się na kolejną. Byłam gotowa na wszystko.

Odwrócił się do mnie twarzą.

– Zdaję sobie sprawę, że chciałaś nieco ostudzić nasze relacje do czasu, aż babcia... no...

– Tak.

– Cóż, wygląda na to, że... tak jakby zszedłem się z Jessie. – Przyglądał mi się z rezerwą, kiedy próbowałam skojarzyć, o kim mowa. – Wpadliśmy na nią wtedy w barze, pamiętasz?

Trio brunetek.

– Racja, tak, już sobie przypominam. – Z filmów i programów telewizyjnych wiedziałam, co człowiek zazwyczaj czuje, gdy usłyszy taką informację: odrzucenie, zazdrość, rozgoryczenie, zawód miłosny.

Ale ogarnęła mnie tylko szczerza ulga.

Upewniłam się, że sama siebie nie oszukuję, po prostu tłumiąc pozostałe emocje. Ale nie, naprawdę mi ulżyło. Choć może powinnam udać, że jestem przynajmniej trochę rozczarowana.

– Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. – Miałam nadzieję, że mój ton nie zdradzał obojętności.

– Nie ma sprawy. – Przestał stukać nerwowo stopą. – Przykro mi, że nam nie wyszło. To chyba nie był odpowiedni moment.

Za to pukanie do drzwi rozległo się w idealnym momencie. Tak przynajmniej myślałam, dopóki nie zobaczyłam miny Selmy.

– Lepiej chodźcie – odezwała się z powagą.

Gdy tylko weszliśmy do pokoju Claudii, poczułam ten charakterystyczny, choć trudny do opisania zapach.

Staruszka oddychała z wyraźnym trudem, lecz wciąż była przytomna.

– Pójdę na dół po pozostałych – oznajmiła Selma nieco łagodniejszym niż zwykle tonem.

Sebastian zamarł w drzwiach.

– Yyy, zaraz wrócę.

Odwrócił się nagle i wyszedł.

Usiadłam obok Claudii i położyłam jej rękę na czole.

– Dziękuję, że pomogłaś mi odnaleźć spokój – wyszeptęła. – Jest tyle rzeczy, których żałuję, ale dzięki tobie mogę opuścić ten padół z mniejszym ciężarem na duszy. – Urwała, żeby złapać oddech. – I jestem gotowa na kolejne życie.

– Myślę, że on już tam na ciebie czeka – powiedziałam szczerze i nie było w tym nawet cienia przesady.

Położyła głowę na poduszce.

– Kochana, wyciągnij naukę z moich błędów. – Każde słowo wymawiała coraz ciszej, bardziej

staccato. – Nie pozwól, żeby to, co najlepsze w życiu, ominęło cię tylko dlatego, że boisz się iść w nieznaną.
– Ostatnie mrugnięcie. – Bądź rozważnie nierozważna.

Wrócił Sebastian i przytaszczył ze sobą wiolonczelę. Wchodząc do pokoju, zahaczył nóżką instrumentu o brzeg dywanu. Potem przysunął sobie drugie krzesło i umieścił pudło rezonansowe między kolanami.

– Babciu, pomyślałem, że może będziesz chciała posłuchać muzyki – wyszeptał z czułością.

Przytaknęła sennie.

Sebastian ułożył dłoń wysoko na gryfie, a palce nad strunami. Kiwając głową, nabił sobie tempo, po czym przeciągnął smyczkiem po najniższej strunie, wydobywając jeden długi dźwięk, który przeszedł w powolną melodię *I'll Be Seeing You* Billie Holiday.

Podniosłam się i stanęłam w kącie obok Selmy, a wtedy do pokoju weszli pozostali krewni Claudii.

Zebrawszy się wokół jej łóżka, pozwolili, aby muzyka Sebastiana oddała to, czego oni nie umieli wyrazić.

Przebycie trasy z domu Claudii w Upper West Side do mojego mieszkania zajęło mi niemal dwie godziny, ale nawet nie zauważyłam, kiedy zleciały. Nie przeszkadzało mi to, że stadko uczniów szło wężykiem w parach wzdłuż Central Parku, spowalniając ruch. Dzieci nie mogły mieć więcej niż siedem lat. Jeśli przy odrobinie szczęścia dożyją wieku Claudii, przed nimi jeszcze osiemdziesiąt cztery lata życia. Ciekawe, po jakim czasie ten zachwyty w ich oczach zgaśnie i wypali się w nich ciekawość. Kiedy życie stanie się bardziej nawykem niż przywilejem, a lata zaczną mijać niepostrzeżenie?

Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że świat stał się bardziej pusty, zresztą jak zwykle, ilekroć umierał ktoś z moich klientów. Tym razem jednak mocniej odczuwałam tę pustkę. Zabawne, że człowiek dostrzega, jak ważna jest czyjaś obecność, dopiero wtedy, kiedy tego kogoś zabraknie. Mnie już brakowało dowcipu i ciepła Claudii. Owszem, umarła, żałując niejednej rzeczy, mimo to przez wiele lat żyła na całego, nie bała się zaistnieć w świecie i nigdy nie straciła swojej swawolności ani żądy przygód. W drodze do domu zaczęło do mnie docierać, że po raz pierwszy spotkałam kobietę, której podejście do życia naprawdę mi imponowało.

– Może zdjęcie, piękna?

Jakiś facet w tanim kostiumie Batmana wyrósł przede mną z rękami opartymi o biodra i wypiętą piersią.

Byłam tak pochłonięta myślami, że nogi jakimś cudem same zaprowadziły mnie w okolice skąpanego w świetle neonów kwartału na planie trójkąta. Każdy szanujący się nowojorczyk raczej unika tego rejonu. Dziś jednak pomimo migających billboardów, konkurujących ze sobą ulicznych grajków i okropnego zgiełku głosów, w których pobrzmiwały rozmaite akcenty, Times Square działał na mnie dziwnie pokrzepiająco. Ta energia, ten hałas i ta krzątanina – to wszystko oznaki życia. Symbol przecinających się ludzkich ścieżek, wspomnień zapadających głęboko w serca, zrębów młodzieńczych marzeń. I – co najważniejsze – błogiej nieświadomości, że w każdej chwili nasz czas może dobiec końca.

Stojąc pośrodku tego wiru i harmidru, pozwoliłam sobie na to, żeby choć raz być kołyszającym się wodorostem, a nie przemykającą rybą. Zamknęłam oczy i wdychałam cudownie swojską zapachową mieszkankę precelków, gnijących śmieci oraz spalin, wsłuchując się w chaos dźwięków, który dudnił mi w uszach.

Wciąż tu byłam, wciąż żyłam.

Lecz czy to aby nie tylko zwykła egzystencja z przyzwyczajenia?

Kiedy dotarłam do domu, George leżał po ciemku w swoim psim legowisku – tego dnia zanim wyszłam, wyjątkowo zapomniałam zostawić mu zapalone światło. Włączyłam lampkę, a on tylko odrobinę bardziej zmrużył oczy i ani drgnął. Kiedy mój wzrok przyzwyczaił się do jasności, zauważyłam coś pod jego brodą. Otwarty notatnik z żalami. Pewnie spadł z regału, co dziwne, bo stał tam dość mocno upchnięty. Rzuciłam się, żeby uratować zapiski, modląc się w duchu, aby nie były przesiąknięte śliną, przez co nie da się ich odczytać. George wydał z siebie głęboki pomruk, kiedy wyciągnęłam mu zeszyt spod pyska.

Kamień z serca – notatnik pozostał nienaruszony. Usiadłam na sofie i spojrzałam na niego, potem na tomiki z radami i wyznaniami, które wciąż stały na półce.

Te zeszyty nie były jedynie zbiorem czyichś ostatnich słów. Stanowiły także rejestr najwięcej dla mnie znaczących znajomości. Owszem, może pomogłam tym ludziom, ale w zasadzie oni pomogli mi bardziej. Dzięki nim wypełniłam brak bliskości, który tak mi doskwierał. A odprawiając różne rytuały zainspirowane żalami, radami i wyznaniami moich podopiecznych, nie tylko oddawałam cześć ich pamięci. Prawdę mówiąc, prowadziłam te notesy, aby nie skupiać się na tym, że podświadomie już wiedziałam, który uzupełnię osobistym wpisem.

To, że będę odchodzić, żałując wielu rzeczy, było tak jakby przesądzone.

Pozostawało pytanie: co dalej? Przez ostatnie trzydzieści sześć lat próbowałam pogodzić się z faktem, że trudno nie być tą osobą, za którą uważają nas inni. Ale co z własnym mniemaniem o sobie – czy zdołam zmienić to, jak postrzegam samą siebie?

Wzięłam głęboki wdech i chwyciłam za ołówek, którym na ogół wypełniam krzyżówki.

Otworzyłam notes z żalami na pustej stronie i na górze zapisałam swoje imię i nazwisko.

Clover Brooks

Żałuję, że częściej nie wykorzystywałam nadarzających się okazji.

Żałuję, że zamknęłam się na miłość.

Żałuję, że żyłam z przyzwyczajenia.

Nagle poczułam się tak, jakby ktoś zdjął z moich ramion niewidzialny ciężar. Kiedy siedziałam, raz po raz czytając ten wpis, zamiast spodziewanej rozpaczy serce przepełniło mi coś zupełnie innego.

Nadzieja.

Dokumentując swoje żale, wcale ich nie przypieczętowałam. Wręcz przeciwnie, otrzymałam dar, którego nie byłam w stanie ofiarować nikomu uwiecznionemu w tym notesie – szansę na to, żeby coś zmienić, zanim zrobi się za późno. Bądź co bądź zapisałam to wszystko ołówkiem.

Wstałam, podeszłam do okna i powoli podciągnęłam żaluzje. Światło latarni rozlało się po podłodze. W uszach słyszałam dudnienie pulsu, kiedy szykowałam się na to, co mogę ujrzyć. Ale – choć z okna naprzeciwko bił blask – w salonie nie zobaczyłam nikogo.

Na ulicy rozległo się pobrząkiwanie szkła. Spojrzałam w dół; przy ganku dostrzegłam znajomą postać. Charakterystyczny kucyk zakotyssał się lekko, kiedy wrzucała do kosza puste butelki.

Pora na kolejny mały krok naprzód.

Niewiele myśląc, zgarnęłam z kuchni worek z segregowanymi śmieciami i wypadłam z mieszkania.

Sylvie miała już wejść po schodach, kiedy wyłoniłam się z budynku. Przez chwilę stałyśmy – ja na górze, ona na dole – wpatrując się w siebie, jakbyśmy czekały, która pierwsza wykona jakikolwiek ruch. Wiedziałam, że to muszę być ja.

– Cześć, Sylvie.

Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak zaskoczonych.

– O, cześć, Clover. – Brak wykrzyknika, którym na ogół kończyła powitanie, nie umknął mojej uwadze. – Kopę lat.

– No racja. – Rozpaczliwie pragnęłam odwrócić wzrok, ale powstrzymałam się siłą woli. – Przepraszam, że ostatnio się nie pokazywałam. – Nie były to moje najlepsze przeprosiny, ale dało się z tym jeszcze coś zrobić. Podniosłam worek, który trzymałam w ręce. – Uch, te puszki po kocim żarciu naprawdę cuchną.

Wydało mi się, że w oczach sąsiadki dostrzegłam błysk rozbawienia.

– Pewnie dużo pracowałaś. – Oparła się o poręcz. – Jak się miewa Claudia?

– Zmarła dziś po południu. – Czułam, że jeszcze za wcześnie na takie obwieszczenie, chociaż to prawda. Z początku śmierć wydawała się tylko czymś chwilowym. Zapewne minie parę dni, zanim będę gotowa zapisać słowa Claudii w notesie z radami.

– Och, C, tak mi przykro. – Zapomniałam już, jakie to miłe, kiedy tak mnie nazywa.

Wzruszyłam ramionami.

– Cóż, taka praca.

– Jasne, ale to wcale nie znaczy, że jest łatwiej. Wiem, jak się zbliżyłaś do tej staruszki. – Sylvie pokonała jeden stopień i przystanęła. – Znalazłaś w końcu Hugona?

Potrzebowałam chwili, żeby sobie uświadomić, że mówi o Hugonie Claudii – o istnieniu tego drugiego nie miała nawet pojęcia. Źle się czułam z tym, że tyle przed nią zataiłam.

Zeszłam stopień niżej.

– Tak jakby. To długa historia. – Korciło mnie, żeby się wymigać od dalszych przeprosin, ale skoro Sebastian mógł się na nie zdobyć, to ja też. – Słuchaj, najpierw chciałam cię przeprosić za to, jak się zachowałam podczas naszego ostatniego spotkania.

Skrzyżowała ręce na piersi i uśmiechnęła się szeroko.

– Taa, to było trochę dziwne.

– Nie moja sprawa, z kim się całujesz i czyja to żona.

– Owszem – przyznała szczerze, ale nie nieuprzejmie. – Swoją drogą, wspomniałam o tobie Bridget i powiedziała, że cię nie zna.

– Fakt. W zasadzie się nie znamy. – Pot przykleił moje dłonie do plastikowego worka. – Wydawało mi się, że widziałam ją parę razy w spożywczaku na rogu. Chyba ją z kimś pomyliłam.

– Raczej. – W oczach Sylvie dostrzegłam iskrę przebiegłości. – Ale kiedy dodałam, że mieszkasz nade mną, skojarzyła, że w takim razie też naprzeciwko niej i jej męża Petera. I spytała, czy lubisz oglądać komedie

romantyczne z lat dziewięćdziesiątych.

Z mojego gardła wyrwał się dziwny chichot. Przypuszczałam, że Sylvie ma niezły ubaw, patrząc, jak się miotam.

– Najwyraźniej z ich mieszkania widać twoje – podjęła po chwili. – Stwierdziła, że tak naprawdę nigdy cię nie widzieli, bo zawsze jest tam strasznie ciemno, ale napatrzyli się na twój telewizor.

– Serio? – Nie byłam pewna, czy powinnam się ucieszyć czy poczuć zbrukana. – Ja ich chyba też parę razy widziałam z okna. To pewnie ci miłośnicy *Gry o tron*.

Przekonana, że Sylvie nie da się zwieść, przygotowałam się na przesłuchanie. Ale się go nie doczekałam.

– Dla jasności – powiedziała zamiast tego – jestem z nimi w otwartym związku. Poznałam ich na Tinderze. I przez kilka ostatnich tygodni spotykałam się i... figlowałam z obojgiem. Naprawdę lubię ich towarzystwo. W najbliższy weekend wybieramy się razem w góry, do Catskills.

– Och. – Boże, ale ze mnie naiwniaczka. – Przepraszam, że sugerowałam... coś innego. I cieszę się, że jesteś szczęśliwa – dorzuciłam naprawdę szczerze.

– Przeprosiny przyjęte. – Weszła wyżej, tak że stałyśmy na tym samym schodku. – Możemy znów być przyjaciółkami?

– Chętnie. – Świat nagle nabrał kolorów.

– Świetnie. Wpadnij jutro na kolację. Opowiesz mi wszystko o Hugonie! – Jak fajnie było znów usłyszeć w jej głosie entuzjazm.

Sylvie wspięła się po kolejnych stopniach i przystanęła przed drzwiami.

– Och, Clover, powiedz ci coś zabawnego? Bridget żartowała, że powinni sprawić sobie lornetkę, żeby lepiej widzieć, co się tam u ciebie dzieje.

Jestem niemal pewna, że zanim zniknęła w budynku, puściła do mnie oczko.

Pomimo zapewnień Claudii, że wszyscy jej przyjaciele nie żyją, na ceremonię pogrzebową przybyły tłumy.

Ja brałam udział w pochówku podopiecznego wyłącznie na prośbę jego lub jej krewnych lub gdy istniało prawdopodobieństwo, że nikt się nie zjawi. Claudia zażyczyła sobie tego osobiście – a nie odmawia się komuś, kto zaprasza cię na własny pogrzeb.

– Ktoś musi przypilnować tego i owego – stwierdziła.

Mimo to wolałam się nie wychylać. Kiedy wspinałam się po wielkich schodach przed neogotyckim kościołem przy Amsterdam Avenue, zauważyłam Sebastiana – prowadził kurtuazyjną konwersację z dwiema starszymi paniami w fikuśnych kapeluszach. Sądząc po tym, jak nieustannie kiwał głową, kobiety nie dawały mu dojść do słowa. Choć było mi go żal, zwłaszcza dzisiaj, rozbawiło mnie to, że trafił na godne siebie rozmówczynię. Pochwyciłam jego spojrzenie i pomachałam mu dyskretnie, po czym usiadłam w ławce w ostatnim rzędzie.

Bliscy Claudii spełnili przynajmniej część jej życzeń co do uroczystości, których listę zostawiłyśmy w segregatorze. Wazony z hortensjami wzdłuż ołtarza. Żwawa jazzowa muzyka zamiast standardowego „perwersyjnie dołującego” kawałka wygrywanego na organach. Żadnych gigantycznych portretów wystawionych na sztalugach obok trumny.

– Takie zdjęcia rzadko są udane, za to zawsze budzą dziwny niepokój – oznajmiła Claudia, korzystając z możliwości wyboru. – Nie chcę, żeby ludziom się wydawało, że czyham na nich jak jakieś widmo.

Zgodziła się jednak, żeby jej ulubione zdjęcia zostały wydrukowane w programie ceremonii. Kiedy go przeglądałam, musiałam się uśmiechnąć. Było tam kilka ujęć ulic Manhattanu, ale pozostałe czarno-białe fotografie ewidentnie zostały wykonane na południu Francji. Na ostatnim – jedynym przedstawiającym Claudię – miała około dwudziestu pięciu lat i siedziała na głazie, zapatrzona w Morze Śródziemne. Jej ciemne włosy były przewiązane jedwabną chustą. Nawet w tej monochromatycznej kolorystyce muśnięta słońcem skóra promieniała blaskiem. Pod łukiem, jaki utworzyły jej złączone kolana, leżał trójnogi jack russell.

Claudia dała w ten sposób jasno do zrozumienia, kogo zamierzała spotkać w życiu po śmierci.

Żałobnicy siedzieli stłoczeni obok siebie jak literki ze scrabblu na drewnianych podpórkach. Znaczna część przybyłych miała już siwe włosy, ale widziałam też wiele osób mniej więcej w moim wieku, zapewne przyjaciół Sebastiana i jego sióstr. Próbowалам sobie wyobrazić, jak by to było mieć tylu znajomych, gotowych przyjść i wesprzeć mnie w smutku.

Sama uroczystość zdecydowanie odbiegała od tego, czego życzyła sobie Claudia. Powinna być krótka i optymistyczna, bez przesadnej religijnej afirmacji. Tymczasem trwała długo, była ponura i nabożna. A także nudna. Tak to już jest z tymi pogrzebami – bez względu na to, jak bardzo człowiek próbuje wpłynąć na ich przebieg, po śmierci nie ma już nad tym kontroli.

W kościele rozległ się szelest miętoszonych papierowych programów, kiedy ojciec Sebastiana wygłaszał sztywną laudację na cześć Claudii. W swoim wystąpieniu niestety nie uchwycił najlepszych cech matki. Miałam nadzieję, że wszyscy w duchu je wspominają, ale trudno cokolwiek stwierdzić, jeśli się ogląda tylko tył czyjejs głowy.

Mowa ciągnęła się niemiłosiernie. Od razu wiadomo, po kim Sebastian odziedziczył swoją rozwlekłość. Kiedy przesunęłam wzrokiem po pierwszych rzędach, zauważyłam, że siedzi ściśnięty między Anne a Jennifer, których ramionami co chwila wstrząsał szloch.

Żeby powstrzymać się od ziewania, zaczęłam liczyć wysokie łuki podtrzymujące sklepiony sufit katedry. Dziadek wychował mnie na agnostyczkę, więc rzadko bywałam w kościołach. Architektoniczna dramaturgia tej świątyni bez wątpienia pasowała do ekstrawertycznej osobowości Claudii. Kiedy jednak odwróciłam się do tyłu, nagle straciłam rachubę.

W otwartych drzwiach, na tle bijącego z zewnątrz słońca, odcinała się znajoma sylwetka. Wysoka, choć nie tyczkowata. Głowa pochylona z szacunkiem i otoczona lokami, doprowadzonymi do ładu dzięki sporej ilości żelu.

Hugo. Był tutaj, duchem i ciałem – przynajmniej pośrednio przez swojego wnuka.

Beaufort junior podniósł głowę i spojrzał wprost na mnie, zupełnie jakby wyczuł na sobie mój wzrok.

Nie odrywając ręki od boku, pomachał dyskretnie, ale jego uśmiech był szeroki i szczery.

Kiedy go odwzajemniłam i oboje przenieśliśmy spojrzenie na ołtarz, w całym ciele poczułam przyjemne mrowienie.

Gdy wybrzmiały ostatnie dźwięki pieśni na wyjście, wymknęłam się z kościoła bocznymi drzwiami. Starając się nie zwracać na siebie zbyt dużej uwagi, wypatrywałam burzy loków pośród morza głów. Z łatwością dostrzegłam Hugona u podnóża schodów – trudno się wtopić w tłum ludzi, kiedy przewyższa się większość z nich o jakieś trzydzieści centymetrów. Zawsze podejrzewałam, że dziadek nosił neutralne kolory, w tym stonowane zielenie, aby zamaskować swój wzrost w miejskiej dżungli.

Tym razem Hugo pomachał do mnie z wyraźnym entuzjazmem. Podeszedł i stanął o stopień niżej, żeby znaleźć się na wysokości mojego wzroku.

– Cześć, Clover. – Uśmiechnął się szeroko. Podobało mi się to, że zawsze mówił cichym, łagodnym głosem, jakby był w bibliotece albo w teatrze, w którym właśnie przyciemniono światła przed rozpoczęciem spektaklu.

– Cześć, Hugo. – Trochę dziwnie czuć się tak swojsko przy kimś, kogo ledwie znam.

– Mam nadzieję, że moja obecność nikomu nie przeszkadza. – Rozejrzał się. – Po twojej wiadomości o śmierci Claudii pomyślałam, że pewnie dla dziadka wiele by to znaczyło, gdybym mógł złożyć w jego imieniu wyrazy współczucia. Kiedy przysłałaś mi link do nekrologu Claudii i zobaczyłem, gdzie się odbędzie uroczystość pogrzebowa, stwierdziłem, że jakoś wmieszam się w tłum. – Poklepał się po czubku głowy. – Cóż, na tyle, na ile to możliwe.

– Claudia na pewno doceniłaby twoją obecność. – Teraz, kiedy nasze oczy znalazły się prawie na tym samym poziomie, zauważyłam bursztynowe plamki na jego szarych tęczówkach. – Kiedy przeczytała tamte listy i dowiedziała się, że twój dziadek przyjechał tu, żeby ją odszukać, naprawdę odnalazła spokój.

– Cieszę się, że mogła je zobaczyć, zanim, cóż... – Poprawił kołnierz przy płaszczu. Kiedy się wystroił, wyglądał bardzo dystyngowanie.

– Zdążyliśmy w samą porę. – Spojrzałam ponad jego ramieniem w nadziei, że ta krótka przerwa w kontakcie wzrokowym pozwoli mi uspokoić nerwy. – Listy są u mnie w domu, jeśli chciałbyś je z powrotem. Nie miałam jeszcze czasu ich odesłać.

– Tak, chciałbym je zabrać, jeśli nie masz nic przeciwko. Czytając je, poczułem, że dziadek stał mi się jakby bliższy. Wiesz, przez to, że mogłem go poznać jako młodego mężczyznę, a nie tylko jako seniora rodu.

– Naturalnie. – Na schodach zauważyłam Sebastiana. Zmierzał w naszym kierunku. Tuż za nim szła Jessie w krótkiej różowej sukience, która, pomimo mojej znikomej wiedzy na temat mody, wydała mi się niezbyt stosowna na pogrzeb.

– Jeśli to nie problem, chętnie bym je zeskanowała. Nie powiedziałam o nich Sebastianowi, ale może ktoś go dnia zechce je zobaczyć.

– Świetny pomysł. – Hugo podał dłoń Sebastianowi, bo ten właśnie stanął u jego boku. – Cześć. Najszersze wyrazy współczucia. Wiem, że jest ci ciężko, nawet jeśli byłeś przygotowany na taką kolej rzeczy.

– Dzięki, stary. Doceniam. – Sebastian spojrzał na mnie kątem oka, po czym przeniósł wzrok na Hugona, jakby próbował dopasować do siebie elementy układanki.

– Nie gniewasz się, że przyszedłem? – spytał uprzejmie Hugo. – Zobaczyłem zawiadomienie o pogrzebie i postanowiłem złożyć kondolencje.

Jego wyjaśnienie chyba trochę uspokoiło Sebastiana.

– Nie, wszystko gra. Szkoda, że nie miałeś okazji poznać babci.

Hugo poklepał się po kieszeni na piersi.

– Z przyjemnością przeczytam program. Robiła piękne fotografie. – Odwrócił się do Jessie, która czaiła się niepewnie za Sebastianem. – Cześć, jestem Hugo.

Sebastian miał taką minę, jakby dopiero co sobie przypomniał o swojej dziewczynie.

– Ach tak, przepraszam, to Jessie. – Spojrzał szybko na mnie. – A wy już się poznałyście.

Brunetka zaborczym gestem wzięła Sebastiana pod rękę.

– Racja, w barze. Przypomnisz mi swoje imię? – Jej głos wciąż był nieznośnie przesłodzony.

– Clover.

– Uroczo – powiedziała takim tonem, że nabrałam wątpliwości, czy to komplement.

– Sebastian! – Sarah szła żwawo w naszym kierunku, balansując na szpilkach, z wiercącym się brzdącem wspartym na biodrze. – Wracamy do domu, żeby wszystko przygotować, zanim ludzie zaczną się schodzić na stypę. Och, cześć, Clover. Dziękuję, że przyszłaś. – Zerknęła niepewnie na Hugona.

– Cześć, Sarah – odparłam prędko. – To jest Hugo.

Obrzuciła nas szybkim spojrzeniem.

– Miło mi poznać. Dołączycie do nas podczas konsolacji?

Hugo aż się rozpromienił.

– Naturalnie.

Chociaż raz twarz Sarah wyrażała aprobatę.

– Wspaniale! – Kiedy odwróciła się do brata, autorytarna mina znów się pojawiła. – Sebastian, wracasz z nami?

Spiął się niczym szczeniak przywołany do nogi.

– Zaraz dojdziemy – rzucił i spojrzał na nas badawczo, jakby chciał się dowiedzieć, co tak ucieszyło jego siostrę. – Czyli widzimy się później?

Zamierzałam zostać na stypie tylko kurtuazyjnie, z godzinę, więc byłam wdzięczna, kiedy Hugo oświadczył, że musi już iść, i zapytał, czy mnie nie podwieźć.

– Mieszkasz w West Village, tak? Ja zatrzymałem się u znajomego w Brooklynie, więc jeśli chcesz, mogę cię podrzucić po drodze.

– Byłoby super. – Zgodziłabym się, nawet gdyby miał mnie wysadzić nie wiadomo ile przecznic od mojego mieszkania.

Rozglądając się za Sebastianem po zatłoczonym salonie, zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy widzę tu jakieś oznaki życia. Sebastiana znów dorwały kobiety w wielkich kapeluszach, które kojarzyłam z kościoła. Kiedy zwróciłam jego uwagę i ręką dałam znać, że już idę, spojrzał bezradnie i pomachał do mnie z rezygnacją. Chociaż w duchu cieszyłam się, że nasze pożegnanie ograniczy się do zwykłej wymiany gestów, ogarnął mnie też lekki smutek. Przez ostatnie dwa miesiące tyle razem przeszliśmy, że dziwnie będzie już go nie widywać. Ale kto wie, może kiedyś zostaniemy przyjaciółmi.

Zaczęłam się przedzierać między grupkami bogatych nowojorczyków stojących w holu. Nagle ktoś złapał mnie za przedramię. Sarah, tym razem z innym wiercącym się dzieckiem wspartym na biodrze, odsunęła się nieco od męża i nachyliła do mojego lewego ucha.

– Przystojniak z tego twojego faceta. – Skinęła głową w kierunku Hugona, który cierpliwie czekał przy drzwiach. – Brawo ty!

– Och, dziękuję. – Zarumieniłam się, ale niczego nie prostowałam. Moje zawstydzenie szybko ustąpiło miejsca cichej dumie.

Sarah i Claudia może nie zgadzały się w kwestii zdrowych zielonych koktajli, lecz najwyraźniej miały podobny gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

Kiedy zamówiony przez Hugona samochód zajechał pod moją kamienicę, odniosłam wrażenie, jakby minęło raptem kilka minut, odkąd opuściliśmy Upper West Side. Hugo pochylił się między siedzeniami do kierowcy, pogodnego kolesia o imieniu Dimuth:

– Hej, stary, mógłbyś chwilę poczekać? – Wręczył Dimuthowi dwadzieścia dolarów. – To za fatygę.

Staliśmy u podnóża mojego ganku w blasku popołudniowego słońca, który powoli rozpląwał się w zmierzchu.

– Naprawdę super, że się znów spotkaliśmy – powiedział Hugo. – Szkoda, że muszę już lecieć, ale obiecałem kumpłowi, że wyskoczę z nim na drinka. Nie mogę go wystawić. Zwłaszcza że u niego nocuję i że pilnuje mi teraz Gusa.

– Nie ma sprawy. – Staralam się przybrać nonszalancki ton. – Dziękuję za podwózkę.

Dimuth przyglądał się nam z wyczekiwaniem.

Hugo schował ręce do kieszeni i omiół spojrzeniem wierzchołki drzew.

– No więc będę w mieście przez najbliższy tydzień. – Przeniósł wzrok na mnie. – Może znów poszlibyśmy na kawę... i oddałabyś mi te listy?

Oczywiście, że chodziło mu tylko o tę pamiątkę. Zrobiło mi się głupio, bo pomyślałam – choć przez sekundę – że mógłby mieć inne intencje.

– Tak, pewnie. Jutro je zeskanuję i będą gotowe do odbioru.

– Świetnie! Spiszemy się. – Delikatnie dotknął mojego ramienia. – Cieszę się, że wkrótce znów się zobaczymy.

Rozczarowanie walczyło w mojej piersi z nadzieją.

– Ja również.

Kiedy odjechał, jeszcze przez długi czas czułam jego obecność.

Zgodnie z obietnicą Hugo wkrótce do mnie napisał; zaproponował spotkanie w niedzielę w Washington Square Park. Nie miałabym jednak nic przeciwko temu, żeby zadzwonił. Tego samego wieczoru byłam też umówiona na partyjkę madžonga z Leo – cała ta sprawa z Claudią tak mnie pochłonięła, że nie graliśmy już od kilku tygodni. Najpierw popołudnie z Hugonem, potem wieczór z Leo – zanosilo się na niemal idealny dzień.

Kiedy wrzuciłam do torby klucze i listy, w moim żołądku zagnieździło się znajome uczucie – to samo, które mnie ogarniało, ilekroć miałam wsiąść do samolotu lecącego tam, gdzie jeszcze nie byłam. Ogłupiająca mieszanina stresu i podekscytowania. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mi tego brakowało.

Niedziela okazała się pierwszym na tyle ciepłym dniem, żeby wyjść na dwór bez kurtki. Park skąpany w łagodnym blasku słońca powoli budził się ze snu zimowego. Trawniki zamieniły się w mozaikę koców piknikowych, na brzegu fontanny siedziały pary, a w alejkach roilo się od grajków.

Hugo stał oparty pod sklepionym przejściem. W rękach trzymał dwa kubki z kawą na wynos i starał się nie wchodzić w kadr turystom robiącym zdjęcia. Kiedy ruszyłam w jego stronę, poczułam coś jakby silny podmuch wiatru, który wręcz mnie ku niemu popchnął. Ale wierzchołki drzew sterczały nieruchomo.

– Hej! – Hugo pomachał do mnie, a w zasadzie tylko poruszał palcami, bo obie ręce miał zajęte. Rękawy swetra zakasał aż do łokci, ujawniając na przedramieniu mały botaniczny tatuaż, wykonany techniką kreski.

– Cześć! – odpowiedziałam nieco bardziej entuzjastycznie, niżbym chciała.

– Pomyślałam, że w tak piękny słoneczny dzień może wolałabys pospacerować po parku zamiast siedzieć w zatłoczonej kawiarni?

– Świetny pomysł. – W ruchu zawsze mniej się stresowałam.

Podał mi kawę.

– Czarna, bez cukru. Taka, jaką pił twój dziadek, prawda?

Jego troskliwość zbiła mnie z tropu – wspomniałam mu o tym tylko przelotnie podczas stypy.

– Niesamowite, że zapamiętałeś.

Wzruszył ramionami.

– Potrafię zauważać najdrobniejsze szczegóły. – Nachylił się ku mnie i zniżył głos. – Ale proszę, nikomu o tym nie mów. Niektórym aż skóra cierpnie, kiedy się dowiadują, ile rzeczy o nich pamiętam.

– Na szczęście dla ciebie umiem dochowywać cudzych tajemnic – stwierdziłam z udawaną powagą. – Poza tym wszyscy mamy swoje sekrety.

– W takim razie nie mogę się doczekać, aż zdradzisz mi własne. – Hugo wskazał kubkiem za fontannę, która wznosiła się pośrodku parku. – Zobaczymy, co się dzieje na wybiegu dla psów? To taka moja grzeszna przyjemność.

Na ogół wizyty w parkowej psiarni przypominały mi o tym, jak bardzo brakuje mi dziadka, ale dzisiaj ta perspektywa była jakby mniej bolesna.

– Chętnie.

– Powinniśmy przyjść tu z Gusem i George'em, żeby się poznali. – O dziwo jego oczy się uśmiechały, choć usta nie wyrażały żadnych emocji.

– Może następnym razem? – Nie wiedziałam, czemu ta propozycja wydała mi się taka intymna. Zmieszana podałam Hugonowi torbę z listami. – Lepiej ci je oddam, skoro po to się spotkaliśmy.

Przyjrzał się logo na płótnie.

– Robisz reklamę Nowojorskiej Bibliotece Publicznej?

Zaczerwieniłam się. Dzięki Bogu, nie wzięłam torby z Tesco.

– Nie, jestem po prostu mołem książkowym.

– Dobrze wiedzieć. – Skręcił w stronę psiego wybiegu. – Teraz, kiedy wszyscy są przyklejeni do telefonów, stanowimy rzadki widok. Co ostatnio przeczytałaś?

Ucieszyłam się, że mnie też zaliczył do swojego gatunku.

– Właśnie skończyłam książkę Marthy Gellhorn i muszę przyznać, że bardzo przypadła mi do gustu. – Czyżby kupił mi podwójne espresso? Miałam wrażenie, że mój mózg pracuje na najwyższych obrotach.

– To ta reporterka? Pisała o wojnie domowej w Hiszpanii?

– Tak, ta. – Rzeczywiście zaskakująca pamięć do szczegółów. – Claudia mi ją przypominała. Szkoda, że zrezygnowała z kariery fotografki.

– I to z wielu powodów – dodał; spoznał na słońce, mrużąc oczy. – Myślisz, że są teraz razem? Claudia i mój dziadek?

– Mam nadzieję – odpowiedziałam, choć byłam o tym przekonana.

Upił łyk kawy.

– Wiesz, naprawdę podobało mi się to, co napisała w ostatnim liście. „Nie jest nam dane być ze sobą w tym życiu... ale może spotkamy się w innym”. W sumie to bardzo pragmatyczne podejście. Bo założmy, że w każdym życiu mamy do załatwienia coś innego z tymi samymi duszami. I nie zawsze układa nam się tak, jak byśmy sobie tego życzyli.

– Ciekawe, co mieli ze sobą do załatwienia w tym życiu.

– Dobrze pytanie. – Hugo uśmiechnął się szeroko. – Tylko oni znają na nie odpowiedź. A nuż nam powiedzą, kiedy dostaną drugą szansę w kolejnym wcieleniu?

– Byłoby super. – Cudowna myśl.

– A ty co byś zrobiła inaczej, gdybyś dostała drugą szansę? W tym życiu? – zapytał nonszalancko, jakby poruszanie tak głębokich kwestii ze stosunkowo obcymi ludźmi uznawał za coś zupełnie normalnego.

Zaskoczyło mnie to, że nie miałam problemu z odpowiedzią – co więcej, podzielenie się tą myślą z Hugonem przyszło mi bez trudu.

Powoli nabrałam powietrza.

– Chciałabym być przy dziadku w chwili jego śmierci. – Przez moment szliśmy w ciszy, ale Hugo nie próbował wypełnić jej słowami. – Podróżowałam wtedy po Kambodży. Późnym wieczorem dostał udaru w swoim gabinecie na Uniwersytecie Columbia i zmarł... zupełnie sam.

Znowu milczenie.

– Clover, tak mi przykro. Musiałaś być zdruzgotana tym, że przy nim nie byłaś.

Cała stężałam.

– Wiem, że to głupie, ale chciałabym móc go poprosić o wybaczenie za to, że byłam na drugim końcu świata, kiedy mnie potrzebował. – Gdy powiedziałam to na głos, poczułam się tak, jakby ktoś zdjął mi z barków wielki ciężar. Ten, który dźwigałam od wielu lat.

Hugo zastanawiał się przez chwilę, jakby ważąc słowa.

– Czy między innymi dlatego poświęciłaś życie na to, żeby towarzyszyć innym w umieraniu?

Było mi wstyd, że tak szybko mnie przejrzał. Że w pewnym sensie wybrałam tę pracę z egoistycznych pobudek. Że nie staram się jedynie pomóc innym zmierzyć się z tym, czego żałują, ale też sobie.

Oczywiście wiedziałam, że dziadek i tak umarłby sam w gabinecie, nawet gdybym była wtedy w Nowym Jorku. Ale przynajmniej spędziłabym z nim jego ostatnie dni, a tak nie widziałam go przez cały rok i brałam za pewnik to, że po moim powrocie wciąż tu będzie. Co gorsza, nie doceniałam wielu drobiazków, które wówczas wydawały mi się nieistotne. Teraz jednak okropnie mi ich brakowało: tego, jak mieszał kawę; jak szeleścił, drapiąc się po kilkudniowym zarostu; jak gromko się śmiał. Jeśli ktoś jest zawsze przy tobie, łatwo założyć, że to się nigdy nie zmieni. Aż tu nagle, któregoś dnia tej osoby już nie ma.

– Chyba tak – odparłam. Kiedy wreszcie się do tego otwarcie przyznałam, coś we mnie pękło. Hugo zadał to pytanie tak łagodnie, bez cienia krytyki, że moje poczucie wstydu powoli zaczęło ustępować.

– Wiesz, z tego, co mi mówiłaś, raczej nie miałby ci czego wybaczać. – Zatrzymał się i przeniósł na mnie wzrok. – Może chodzi o to, żebyś sama sobie wybaczyła?

Wystarczyło jedno zdanie, a tłumione od lat uczucia zalały mnie niczym rzeka, która przerwała tamę. Bałam się, że się rozkleję na środku parku.

– Przepraszam. – Gwałtownie wciągnęłam powietrze. – Nie mogę o tym rozmawiać.

Hugo delikatnie położył mi dłoń na ramieniu i stanął do mnie przodem, żebyśmy patrzyli sobie w oczy.

– Nie musisz – powiedział cicho. – Przpracujesz żałobę w swoim czasie i na swój sposób. Nikt nie ma prawa ci niczego narzucać. Ale jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się o tym porozmawiać, z przyjemnością cię wysłucham.

– Dziękuję. – Choć Hugo się uśmiechał, na jego twarzy dostrzegłam też cień bólu.

Spuścił wzrok na kubek.

– Moja mama zmarła, kiedy byłem na studiach. Rak jajnika – dodał. – Pamiętam, jak się wtedy złościłem na wszystkich, którzy próbowali mnie pocieszyć. Rzucali frazesy: „Teraz jest w lepszym miejscu” albo „Nikt nie odbierze ci czasu, który wspólnie spędziliście” czy też „Na pewno nie chciałaby, żebyś się smucił”. A ja najchętniej bym się na nich wydarł. Bo to tak, jakby usiłowali sprawić, żebym już się pogodził ze śmiercią mamy, bo inaczej oni też będą musieli się użerać z całym tym smutkiem i przygnębieniem. – Przechesał włosy palcami. – Chyba właśnie dlatego tak dużo wtedy piłem. Żeby się znieczulić, bo nikt nie rozumiał, co przeżywam.

– Wiem, o czym mówisz. – Zrobiłam pauzę. – Tylko że ja znieczulałam się komediami romantycznymi. Oglądałam kilka za jednym posiedzeniem. – Nigdy wcześniej nikomu bym się do tego nie przyznała, ale szczerowość Hugona dodała mi odwagi.

– Cóż, nie widzę nic złego w maratonie filmowym z Sandrą Bullock. – Wskazał głową w kierunku wybiegu dla psów. – Pewnie omija nas teraz jakiś poważny psi dramat. Idziemy?

– Zdecydowanie. – Od razu poczułam się spokojniejsza. Jak on to zrobił?

Kiedy doszliśmy do wybiegu, dwa golden retrievery zamęczały energiczną zabawą szarego krótkowłosego pudła. Podczas gdy tamte psy dokazywały i podskakiwały dookoła, pudel stał nieruchomo, jakby pragnął się wtopić w otoczenie.

– Ktoś chyba powinien się rozmówić z tymi retrieverami, żeby trochę odpuściły – stwierdził Hugo.

Przekręciłam tekturową opaskę na kubku.

– A może to dobra okazja, żeby pudel wyszedł ze swojej strefy komfortu?

– Podoba mi się twój tok rozumowania – stwierdził Hugo i oparł przedramiona o ogrodzenie, ot tak, na luzie, jakby czuł się naprawdę dobrze ze sobą i ze światem.

Nagle zdałam sobie sprawę z mojego kawowego oddechu.

– Kiedy wracasz do Maine?

– Okazuje się, że zabawię tu jeszcze kilka dni – odparł. – Dostałem całkiem fajną propozycję pracy. Chodzi o założenie ogrodu na dachu dla kilku tutejszych szkół. W tym tygodniu czeka mnie parę spotkań, na których poznam szczegóły. Wtedy zobaczę, czy się tego podejmę.

– Brzmi naprawdę ciekawie – przyznałam. – Coś cię wstrzymuje?

Hugo obserwował, jak przysadzista suczka corgi dumnie maszeruje z patykiem dwa razy dłuższym od niej.

– Nadzorowanie projektu pewnie wiązałoby się z przeprowadzką. Co najmniej na sześć miesięcy. Muszę się zastanowić, czy chcę znowu zapuszczać się w świat, że tak powiem. Właściwie podoba mi się życie samotnika mieszkającego na łodzi. Choć to trochę dziwne.

Z każdym szczegółem, który Hugo o sobie zdradzał, ogarniała mnie euforia, zupełnie jakbym złapała do słońca świetlika.

– Wcale nie uważam, że to dziwne.

Ruchem głowy wskazał pudła.

– Okej, ale chyba już czas, żebym znów wyszedł ze swojej strefy komfortu. To poza nią zwykle przydarza się to, co najlepsze, no nie?

– Podobno – odparłam z lekkim uśmiechem. – Sama od dłuższego czasu tego nie robiłam. Raczej nie podejmuję ryzyka.

– Więc może oboje powinniśmy spróbować? – Uniósł brwi, jakby rzucał mi wyzwanie. – A ty? Co masz w planach? Teraz, po śmierci Claudii?

Suczka corgi przydreptała do nas, żeby zaprezentować swój patyk. Pochyliłam się i pogłaskałam ją przez ogrodzenie.

– Będę grać w madżonga ze swoim leciwym sąsiadem Leo i spędzać czas ze zwierzakami. Poza tym pewnie zakopię się w książkach i przez kilka dni nie będę wychodzić z domu.

– Dla mnie bomba. – Hugo też pogłaskał psinę. – Domyślam się, że po zakończeniu takiego zadania potrzeba trochę czasu na regenerację. Zwłaszcza że wypadł ci jeszcze nagły wyjazd do Maine.

Spojrzałam na pudła. Nieśmiały szczeniak wreszcie uległ uporczywym golden retrieverom i zaczął się z nimi bawić, choć dość nieporadnie.

Cofnęłam się pamięcią o kilka dni, kiedy w notesie z radami zapisałam ostatnie słowa Claudii:

„Nie pozwól, żeby to, co najlepsze w życiu, ominęło cię tylko dlatego, że boisz się iść w nieznanne”.

Kto wie, może najbardziej ryzykujemy wtedy, gdy nie podejmujemy żadnego ryzyka. Podobnie jak nieustraszona Claudia zebrałam się więc na odwagę i skoczyłam na głęboką wodę.

– No więc tu nieopodal jest ulubiona księgarnia mojego dziadka, do której tradycyjnie chodziliśmy co niedziela. – Podniosłam wzrok na Hugona. – Może chciałbyś ze mną wstąpić?

Jednym czystym rzutem trafił kubkiem po kawie do pobliskiego kosza na śmieci i uśmiechnął się szeroko.

– Z przyjemnością.

W księgarni było zaskakująco cicho, jak na niedzielę, i pustawo. Dostrzegłam tylko dwie kobiety w średnim wieku – rozprawiwały po mandaryńsku obok działu z powieściami historycznymi. Sądząc po ich podekscytowanych szepciach i gestach, musiało chodzić o coś niezwykle intrygującego.

Rozejrzałam się za Bessie, ale gdzieś zniknęła. Poniekąd poczułam ulgę, bo trochę się obawiałam jej reakcji na to, że nie przyszedł sama. Była zawsze taka... ekspresyjna. Nie chciałam, żeby spłoszyła Hugona.

– Clover, skarbie! – Puls mi przyspieszył, kiedy Bessie nagle wyłoniła się zza regałów. – Och, pomyślałam, że skoczę szybko do toalety, dopóki jest spokój i nie ma klientów. – Kiedy zauważyła stojącego obok mnie Hugona, zatrzymała się tak gwałtownie, że niemal słyszałam pisk jej podeszew; scena trochę jak z kreskówki. – No witam.

Hugo posłał jej swój typowy swobodny uśmiech, najwyraźniej nie dzieląc mojego zażenowania.

– Bessie, prawda? – Wyciągnął rękę, żeby uścisnąć jej dłoń. – Miło mi poznać. Hugo. Nie mogę się już doczekać, żeby pobuszować wśród tych wszystkich książek. – Kolejny szarmancki uśmiech. – Słyszałem o tej księgarni wiele dobrego.

Bessie cała się rozpromieniła.

– Cóż, Clover kupuje u mnie od szóstego roku życia!

– No właśnie! – Pokiwał głową. – To mi wystarczy.

Kobieta rozciągnęła usta w tak szerokim uśmiechu, że jeszcze trochę, a chyba nadwerżyłaby sobie jakiś mięsień.

– Hugo jest miejskim architektem krajobrazu – oznajmiłam, licząc, że to przyspieszy sprawy. – Wydaje mi się, że masz u siebie kilka książek o tej tematyce. – Sprawdziłam to po powrocie z Maine.

– Oczywiście – potwierdziła Bessie. – Na przykład piękną monografię Roberta Burlego Marxa, którą ubóstwiam.

– Burle Marx! – zawołał z entuzjazmem Hugo. – Jeden z moich ulubionych architektów krajobrazu. Z jego dzieł bije taka radość i niesamowity optymizm.

Zapamiętałam nazwisko, żeby później wygooglować tego Marxa.

– Ha! Wiedziałam. – Bessie wyglądała na zadowoloną z siebie. Rzeczywiście miała szósty zmysł, jeśli chodzi o czyjś gust literacki. – Pokażę ci, gdzie jest.

Przez chwilę myślałam, że jeszcze bardziej mnie zawstydzi i weźmie go za rękę. Na szczęście Hugo po prostu poszedł za nią w głąb sklepu.

– Pilnuj, żebym nie kupił zbyt wielu książek! – krzyknął do mnie przez ramię. – Bo inaczej dla Gusa zabraknie miejsca w samochodzie!

Dzwonek nad drzwiami zabręczał kilkakrotnie, kiedy do sklepu weszli kolejni klienci. W jednej chwili w małej księgarni zrobiło się tłoczno. Czytając różne blurby, co i raz zerkałam w stronę Beauforta, który z radością sięgał po książki polecane przez Bessie. Tak jakbym musiała się upewnić, że naprawdę tu jest i że to wszystko nie powstało jedynie w moim umyśle. Cały ten dzień wydawał się niemal nierealny.

Po jakichś trzydziestu minutach przeglądania zatraciłam się w lekturze pierwszego rozdziału powieści Françoise Sagan *Witaj, smutku*, kiedy nagle moje nozdrza wypełnił znajomy zapach cedru i cyprysa.

Podniosłam wzrok – u swojego boku zobaczyłam Hugona z książką w ręce.

– Powinno ci się spodobać. – Podał mi tomik. Choć wiedziałam, że mówi cicho z szacunku dla pozostałych klientów, musiałam przyznać, że było w tym coś intymnego, wyjątkowego. – Jest o Gertrude Bell, archeolożce i pisarce podróżniczej z początku dwudziestego wieku.

– Och, tego nie czytałam – odparłam. Ale zapowiadało się wspaniale.

– Moja mama też uwielbiała książki o śmiałych kobietach, które zapisały się na kartach historii. – W jego oczach znów pojawił się ból. – Choć zmarła dawno temu, czasem się zapominam i kupuję taką książkę, która na pewno przypadłaby jej do gustu.

– Rozumiem. – Sama też tak robiłam, wielokrotnie. – Wiesz, niektórzy Samończycy wierzą, że nawet po śmierci bliskich nam osób ich dusze pozostają z nami, więc wciąż możesz z nimi rozmawiać, kiedy masz na to ochotę.

Na twarz Hugona powrócił uśmiech.

– Cudownie. Ja też czasem do niej mówię – oświadczył. – Myślę, że bardzo chciałaby cię poznać.

Zaryzykowałam i nie odwróciłam wzroku.

– Żałuję, że tak się nie stało.

Nawet nie zamierzałam kryć rumieńca, który oblał moje policzki.

Rozległo się chrząknięcie. Za nami stał łysiejący mężczyzna z dzieckiem w spacerówce i próbował się obok nas przecisnąć w wąskim przejściu.

Kiedy Hugo przysunął się do mnie, żeby ich przepuścić, poczułam, jak nasze małe palce delikatnie się dotykają.

Stałam pod drzwiami Leo i pukałam już piąty raz. Dziwne. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek musiała pukać więcej niż dwa razy, zanim moim oczom ukazał się jego szeroki złoty uśmiech.

– Leo? – Teraz już prawie załomotałam. – To ja. Wszystko w porządku?

Może nie dogadaliśmy się co do godziny i po prostu wyszedł. Jeszcze nigdy nie wystawił mnie do wiatru. Według naszych reguł gry odwołanie spotkania w ostatniej chwili oznaczało automatyczną stratę punktów i dodatkowy punkt dla przeciwnika. Skoro chwilowo każde z nas miało na koncie po sześćdziesiąt siedem wygranych partii i oboje uwielbialiśmy rywalizować, wiedziałam, że tak łatwo by nie odpuścił. Chyba że wydarzyło się coś naprawdę złego.

Z kieszeni spodni dresowych wyjęłam pęk kluczy, próbując sobie przypomnieć, który jest do mieszkania Leo. Po chwili moje poszukiwania stały się bardziej gorączkowe, a ręce ogarnęło drżenie.

– Leo? Leo! – Znów zaczęłam gmerać przy kluczach, aż wreszcie wsunęłam właściwy do zamka i wykonałam nim pełen dodatkowy obrót, co było swego rodzaju kuriozum, jeśli chodzi o drzwi w naszym budynku.

Weszłam do pustego salonu. Pudełko z kamieniami do madżonga leżało już na stole, ale nigdzie ani śladu Leo. Na to, że coś nie gra, wskazywało jedynie uporczywe gwizdanie czajnika na kuchence. Cisnęłam klucze na stół i pobiegłam w kierunku, skąd dobiegał jazgot.

Mój sąsiad stał pochylony nad blatem kuchennym i trzymał się za serce. Czoło zalewał mu pot.

– Leo, co się dzieje?

– Czuję się tak... – oparł się ręką o szafki kuchenne, żeby nie upaść – ... jakby słoń usiadł mi na piersi.

Szybko wyłączyłam palnik, po czym zaprowadziłam staruszka do salonu, przytrzymując go za przedramiona, kiedy powoli siadał na sofie.

– Może to zawał. – Trzęsącymi się rękami wyjęłam telefon. – Dzwonię po karetkę. Wytrzymaj. Będzie dobrze.

Z trudem nabrał powietrza.

– Nie dzwoń, proszę. – Machnął słabo ręką. – Tylko posiedź ze mną.

– Ale potrzebny ci lekarz.

– Nie.

Gdzieś we wnętrzościach zagnieździło mi się przerażenie, a mój oddech stał się tak płytki jak jego.

– To chociaż przyniosę ci aspirynę i wodę. Jeśli to serce, powinny pomóc.

Leo wyciągnął wąż dłoń i położył ją na mojej.

– Po prostu ze mną zostań, proszę.

Moje przerażenie ustąpiło miejsca rozpaczy – dobrze znałam tę błogość, która go ogarnęła. Widziałam ją nieraz na twarzach umierających.

Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, bez słowa potwierdził to, co podejrzewałam. Nie musiałam nawet pytać.

– Leo – wyszeptałam. – Proszę, nie.

– Już czas, Clover – wymamrotał błagalnym tonem. – Jestem gotowy odejść.

Zalała mnie fala desperacji. Pomimo tylu lat doświadczenia czułam jedynie panikę.

– Nie możesz... Potrzebuję cię.

Uśmiechnął się sennie, przyciskając dłoń do mostka.

– Kto jak kto, ale akurat ty powinnaś wiedzieć, że kiedy przychodzi na człowieka pora, to nic z tym nie zrobisz.

– Tak, wiem – odparłam łagodnie. – Ale jesteś wszystkim, co mam.

– I nieźle się razem bawiliśmy, no nie? – Szybko zamrugał, lecz uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

– Żyłem pełną gębą, teraz trzeba się pożegnać. – Spojrzał na portret Winnie.

Zacisnęłam dłoń na jego długich palcach, kiedy z drżeniem wciągał powietrze, wydając przy tym dziwny odgłos – zupełnie jakby aluminiowa puszcza z grzechotem obijała się o płuca.

– Naprawdę żyłeś pełną gębą – potwierdziłam, odwzajemniając jego uśmiech najlepiej, jak umiałam. Kiedy ktoś postanowił wyruszyć na spotkanie ze śmiercią, nie dało się go już zatrzymać.

– Clover... muszę ci coś powiedzieć.

Ścisnęłam jego dłoń.

– Śmiało, Leo.

Chociaż raz nieustanny miejski zgiełk dobiegający z ulicy ucichł. W mieszkaniu zapanowało nabożne skupienie, kiedy czekałam, aż sędziwy przyjaciel ubierze w słowa swoją myśl.

– Patrzyłem, jak poświęcasz się dla innych, dbając o to, aby mieli piękną śmierć, której nie mogłaś zapewnić dziadkowi. – Nawet teraz jego brązowe oczy błyszczały. – Ale sekretem pięknej śmierci jest piękne życie. Otwieranie się na innych. Przeżywanie zawodów miłosnych. Ryzykowanie. Popęłnianie błędów.

– Oddychał z takim trudem, że już ledwo mówił. – Obiecuj mi, mała – wyszeptał – że pozwolisz sobie żyć.

Oparłam głowę o jego ramię.

– Obiecuję.

Rozluźnił uścisk i zdobył się na ostatni szeroki uśmiech.

– Kocham cię, Clover.

– Ja ciebie też, Leo.

Łzy, które zaczęły mi spływać po policzkach, szybko zamieniły się w istną powódź. I po raz pierwszy, odkąd byłam dzieckiem, nie starałam się ich powstrzymać.

W popołudniowej bryzie dało się wyczuć zapach wczesnej wiosny, kiedy wracałam z Sylvie do domu po ceremonii. Na pogrzebie Leo zebrał się prawdziwy tłum. Przez te wszystkie lata zdążyło go pokochać naprawdę mnóstwo ludzi z sąsiedztwa. Rzeczywistym powodem, dla którego ostatnio rzadko miewał czas, były ciągłe wizyty lekarskie, a nie odwiedziny przyjezdnych gości. Choroba wieńcowa, taki werdykt wydali specjaliści.

Leo nikomu jednak o tym nie powiedział, tylko po cichu porządkował swoje sprawy. Odłożył pokaźną sumę na pogrzeb – a raczej, jak sobie zażyczył: na „celebrację życia” obfitującą w jedzenie i picie. Poza tym cały dobytek przekazał ośrodkowi kultury w Harlemie.

Cóż, może nie cały – samochód i zestaw do madžonga zostawił mnie.

– Idealne pożegnanie – stwierdziła Sylvie, biorąc mnie pod rękę. – Czuję się zaszczycona, że mogłam spędzić choć kilka ostatnich miesięcy w jego towarzystwie. Gdziekolwiek teraz jest, na pewno uśmiecha się od ucha do ucha, eksponując ten swój złoty ząb.

Ta myśl podziałała na mnie pokrzepiająco. Nie wiem, czy dałabym radę przetrwać minione dni bez Sylvie. Miałam wrażenie, jakby nasza kamienica nagle straciła serce.

– Bardzo w to wierzę – odparłam.

Kolejną przecnicę przeszliśmy w milczeniu, aż w końcu przyjaciółka zatrzymała się przed małym sklepem spożywczym.

– Może kupimy lody, wskoczymy w piżamy i urządzimy sobie maraton z komediami romantycznymi z lat dziewięćdziesiątych? Najchętniej z Cameron Diaz!

Słowa kilkakrotnie podchodziły mi do gardła falami, ale za każdym razem gdy docierały do ust, natrafiały na mur.

– Właściwie to... – zaczęłam niepewnie – chciałam cię o coś poprosić. O przysługę.

– O to, żeby obejrzeć choć jeden film z Johnem Cusackiem? Wiesz, że go nie cierpię. – Uśmiechnęła się szeroko. – Ale dla ciebie jakoś zniosę dwie godziny z tym smutasem.

– Nie, nie chodzi o niego. – Jej dowcipna uwaga trochę mnie rozluźniła. – Myślałam o tym, co powiedziałaś. O tej całej graciarni w moim mieszkaniu. O rzeczach dziadka.

Sylvie podrapała się teatralnym gestem po brodzie.

– Kontynuuj.

– Chyba muszę ci przyznać rację. Uczepiłam się przeszłości, żeby nie myśleć o tym, czego w głębi serca chcę od przyszłości.

Sylvie łaskawie udała nonszalancję.

– Rozumiem.

– Wydaje mi się, że już pora... pozbyć się części tych rzeczy.

– I...? – Celowo próbowała to ze mnie wyciągnąć.

– Może byś mi w tym pomogła? Coś z tego pewnie przyda się muzeom albo uniwersytetom. A ty masz do nich lepsze dojścia niż ja. No i... – Długi, głęboki oddech. – Przypuszczam, że trudno będzie mi się z tym rozstać.

– Och, C, to zrozumiałe – stwierdziła. – Kochałaś dziadka ponad życie. Takie porządki są dużym wyzwaniem dla psychiki. – Otoczyła mnie ramieniem. – Zrobię, co mogę. Z przyjemnością. Od czego ma się przyjaciół... i sąsiadów, jeśli nie od tego, żeby pomogli się pozbyć niepotrzebnego emocjonalnego bagażu?

Poczułam ulgę, że nie będę musiała przechodzić przez to sama. I przez chwilę wyobraziłam sobie, jak by to było mieć własne miejsce, naprawdę swoje.

Sylvie była bezwzględny arbitrem. Po tym, jak przez parę dni sortowałam rzeczy na trzy kupki: „oddać/wyrzucić”, „na pewno zatrzymać” i „nie wiem”, zjawiała się wieczorem i zasiadła z wymyślonym młotkiem na sofie, która teraz stała się jej ławą sędziowską.

Szybko wyłonił się pewien schemat – wszystko, z czym nie wiedziałam, co zrobić, Sylvie natychmiast przenosiła na kupkę z rzeczami do oddania/wyrzucenia. A kiedy próbowałam uratować większość z tego, co na pewno chciałam zatrzymać, sceptycznie marszczyła czoło.

– Jestem niemal pewna, że to, co tam trzymasz, stanowi zagrożenie biologiczne i nie należałoby tego dotykać bez kombinezonu ochronnego – powiedziała niewzruszona moją argumentacją, że słoik z jakimś morskim stworzeniem był jedną z ulubionych rzeczy dziadka. – Odłóż to na kupkę do oddania i niech się tym martwi wydział biologii NYU.

Dzięki swoim koneksjom Sylvie znalazła dom dla bardziej naukowych parafernaliów w muzeum biologicznych osobliwości w jakimś zgentyfikowanym zakątku Brooklynu. Bessie z kolei dogadała się z antykwariuszem, żeby zabrał setki słowników oraz encyklopedii i udostępnił je niszowym bibliofilom w nadziei, że docenią je tak samo jak dziadek.

Pewnych rzeczy łatwo się pozbyłam – takich, które zawsze tu były, ale jakoś nigdy nie zwracałam na nie uwagi; ot, anonimowe części składające się na pewną istotną całość. W przypadku innych miałam jednak wrażenie, jakbym zrywała kolejną ważną więź, która łączyła mnie z dziadkiem. To, co zostało, uznałam za największą świętość i nawet Sylvie wiedziała, że nie wolno tego ruszać. Na przykład notatniki dziadka: całe dekady pieczołowitych obserwacji, zredukowane do oprawionych w skórę równych rzędów, leżały teraz upchnięte w błękitnej walizce, od której zaczęła się nasza wspólna podróż, bo kiedyś na pewno je wszystkie przeczytam. Jego tweedowa kurtka zimowa, której się trzymałam jako dziecko, gdy śmiało kroczył zatłoczonymi chodnikami, zawsze prowadząc mnie bezpiecznie do celu. Albo stara skórzana torba podróżna, jego miłość i mądrość wyrte na zawsze w każdym zagnieceniu i zadrapaniu.

W miarę pozbywania się kolejnych rupieci powiększała się przestrzeń. Światło słoneczne odbijało się od pasm białej ściany, którą przez długi czas skrywały zakurzone przedmioty i kompendia. A na drewnianej posadzce, wreszcie wyzwolonej spod stosów pudeł na dokumenty, tańczyły cienie rzucane przez drzewa.

Na wierzchu ostatniej skrzynki pełnej książek, przeznaczonej do zanieśienia Bessie, leżało *Społeczeństwo owadów* Edwarda O. Wilsona – w końcu przyznałam się Sylvie, że chyba nigdy nie przeczytam tego opracowania. Ale mogłam je przynajmniej przejrzeć. Podniosłam gruby tom i zaczęłam go kartkować. Wyobrażałam sobie przy tym dziadka z palcem wskazującym zawieszonym nad górnym rogiem każdej zbrązowiałej kartki, gotowego ją przewrócić, jeszcze zanim skończył czytać ostatni wers. Lubiłam myśleć, że to oznaka jego nienasyconej ciekawości, tego, że zawsze jest żądny wiedzy.

Między stronami 432 i 433 znalazłam tekturową podkładkę z argentyńskiego baru w East Village – musiała mieć co najmniej trzynaście lat, ponieważ nigdy nie zaglądałam do tej książki. Ktoś napisał coś na odwrocie, ale to nie były zgrabne, drukowane litery dziadka. Takie samo, pełne zawijasów, pochyle pismo widniało na jedynej kartce z życzeniami, jaką dostawałam co roku na Boże Narodzenie – od Bessie.

„Mój drogi Patricku, nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego partnera do tanga”.

Wpatrywałam się w serce nad literą „i” w imieniu dziadka – ten ozdobnik nigdy się nie pojawiał na moich świątecznych kartkach. Jeszcze kilka razy przeczytałam inskrypcję, nie mogąc się zdecydować, czy lepiej, gdyby chodziło o dosłowną wiadomość czy raczej o eufemizm.

Dziadek i Bessie? Wykluczone. Był samotnikiem tak jak ja – mam to po nim.

Ale z drugiej strony Leo wspominał coś o tym, że dziadek pytał Bessie o radę, kiedy kupował mi pierwszy stanik. O Boże! Czy to znaczy, że widział Bessie w staniku? Próbowałam sobie przypomnieć inne oznaki, które sugerowałyby, że to, co ich łączyło, wykraczało poza typową relację między księgarką a wiernym klientem.

Tylko... dziadek i tango? W życiu nie widziałam, żeby tańczył.

Nagle jego obraz w mojej pamięci się zmienił – zaczęłam w nim widzieć nie tylko dziadka, ale też mężczyznę.

Kiedy taszczyłam skrzynkę przez cztery przecznice do księgarni, postanowiłam, że rozegram to z Bessie na luzie. Na pewno miała na to wszystko jakieś nudne wyjaśnienie.

– To już ostatnie książki, przysięgam. – Postawiłam ciężki bagaż na blat, czując, że podkładka wypala mi dziurę w kieszeni. – Naprawdę doceniam, że chcesz mi pomóc znaleźć dla nich dom. Szkoda by je oddawać na makulaturę.

– Skarbie, cała przyjemność po mojej stronie. Cieszę się, że mnie o to poprosiłaś. – Uśmiechnęła się równie życzliwie jak zwykle, ale nie mogłam przestać się zastanawiać, czy w swoim repertuarze miała też inny uśmiech, zarezerwowany specjalnie dla dziadka. – Jak ci jest w związku z tym całym opróżnianiem mieszkania?

– Chyba dobrze. – Byłam tak zajęta, że nie pozwalałam sobie na przepracowanie uczuć. – Pomogła mi bliska osoba.

Zrobiłam pauzę, analizując swoje ostatnie zdanie – jeszcze kilka miesięcy temu takie słowa w moich ustach brzmiałyby nedorzecznie.

Bessie nieśmiało uniosła ramię do policzka.

– Uuu, ten przystojny kawaler, z którym tu ostatnio przyszłaś?

– Ach, nie, nie Hugo – odparłam zawstydzona, choć w duchu ucieszyłam się, że o nim wspomniała. W ciągu minionych tygodni kilkakrotnie się ze mną kontaktował. Pisał, jak bardzo podobała mu się jedna z poleconych przeze mnie książek. Czasem do esemesów dołączał zdjęcia Gusa. Poinformował też, że przyjął tamtą ofertę pracy. Planowaliśmy się spotkać, kiedy będzie w Nowym Jorku, i zabrać naszych pupili do psiego parku.

– Rozumiem – powiedziała Bessie, a dołeczki w jej policzkach stały się jeszcze głębsze. – Cóż, sprawiał wrażenie prawdziwego dżentelmena. Myślę, że twój dziadek też by się ze mną zgodził.

Przesunęłam opuszkami palców wzdłuż krawędzi podkładki w kieszeni, rozważając, czy nie naruszam prywatności dziadka. Musiałam to załatwić delikatnie.

– Tak się składa, Bessie, że coś znalazłam, kiedy przeglądałam jego rzeczy. – Dyskretnie wyjęłam podkładkę, jakby to była jakaś kontrabanda. Nie chciałam zawstydząć księgarki przy klientach.

Kobieta aż złapała się za serce.

– Mój Boże – rzuciła ze śmiechem. – To przywołuje piękne wspomnienia.

Takie, którymi można się podzielić z wnuczką? – przemknęło mi przez głowę, ale starałam się nie okazywać żadnych emocji.

– Ach, tak?

– Cóż, pewnie już się domyśliłaś. – Kiedy konspiracyjnie pochyliła się nad kontuarem, mojej uwadze nie umknął jej bujny biust wyzierający spod bluzki.

– Niby czego?

– Że twój dziadek i ja byliśmy... wyjątkowymi przyjaciółmi. – Bessie rozejrzała się po pomieszczeniu. – Wasze pokolenie nazywa to chyba „przyjaźnią z bonusem”.

Znak cudzysłowu, który zrobiła w powietrzu palcami, był zdecydowanie zbędny.

Zwalczyłam pokusę, żeby zakryć sobie uszy dłońmi, i miałam nadzieję, że nigdy nie pożałuję swojego kolejnego pytania.

– Dziadek lubił tańczyć tango?

Z rozmarzeniem zapatrzyła się w podkładkę.

– I to jak! Chodziliśmy na tańce w każdy czwartek przez niemal dziesięć lat.

– Pierwsze słyszę – wymamrotałam. Zawsze mi mówił, że w czwartki ma wieczorne spotkania wykładowców. Nie byłam pewna, czy powinnam się czuć zdradzona, bo wiódł podwójne życie, czy może cieszyć się z tego, że nie był tak samotny, jak sądziłam.

– Kiedy tańczył, sprawiał wrażenie naprawdę szczęśliwego – wyznała, a jej oczy zaświeciły się na to wspomnienie. – Tak jakby wreszcie mógł zrzucić z siebie pancierz. – Poklepała mnie po ręce. – Pamiętam, jak poszliśmy potańczyć po raz ostatni... zanim zmarł. Kilka dni wcześniej rozmawiał z tobą przez telefon. Podróżowałaś wtedy chyba po Tajlandii, prawda?

Cała aż się spięłam.

– Po Kambodży.

– Tak, po Kambodży! W każdym razie bardzo się cieszył, że podróżujesz i odkrywasz świat. Był niesamowicie dumny z ciebie i z tego, co robisz. Żałował, że nie sprawdził się w roli ojca, ale wyraźnie poczuł ulgę, że w twoim przypadku, jako dziadek, spisał się lepiej. Cudownie było widzieć go takiego.

Świat zaczął wirować mi przed oczami, kiedy zalała mnie fala emocji, a rzeczywistość minionych dekad, którą znałam, nagle się zmieniła. Udałam, że spoglądam na zegarek.

– Przepraszam, Bessie, ale spóźnię się na spotkanie.

– Jasne, nie zatrzymuję cię, skarbie. – Ścisnęła mnie mocno za ramię i przyciągnęła do siebie.
– Pamiętaj, w razie potrzeby zawsze możesz na mnie liczyć.

Przespacerowałam się aż do rzeki Hudson i z powrotem. Podczas tej wędrówki próbowałam ustalić, co właściwie czuję, a także wyobrazić sobie dziadka tańczącego – i flirtującego.

Znowu dotarło do mnie, że nigdy go nie pytałam o jego życie. Nie znałam jego lęków, problemów i celów.

Łatwo postrzegać kogoś, kto jest dla ciebie ojcem, wyłącznie przez ten pryzmat, i myśleć, że życie tego człowieka kręci się wyłącznie wokół ciebie. Ale zanim rodzice zostają rodzicami, są po prostu ludźmi, którzy starają się jak najlepiej pokierować swoim losem, radzą sobie z własnymi rozczarowaniami i próbują spełniać własne marzenia. A jednak często oczekujemy od nich, że będą nieomylni.

Egoistycznie zakładałam, że przez te wszystkie lata w życiu dziadka istniałam tylko ja. A przecież Bessie też go straciła. Czuałam wobec niej bezgraniczną wdzięczność za to, co mi wyznała. Bo choć dziadek zmarł sam, nie zmarł samotny.

I mimo że nigdy się nie dowiem, jak brzmiały jego ostatnie słowa, teraz wiedziałam, że był ze mnie dumny.

Powrót do domu, do mojego nowo urządzonego mieszkania lekko mną wstrząsnął. Większość osób w ogóle nie uznałaby, że jest pusto. Na półkach wciąż stało sporo książek i wybranych pamiątek z podróży. Mebli było w sam raz jak dla kogoś w moim wieku, w tym – dzięki zachęcie Sylvie – kilka nowych dodatków, które nadawały wystrojowi niemal nowoczesny sznyt. Niemniej w porównaniu z tym, jak to wewnątrz wyglądało jeszcze przed tygodniem, teraz wydawało się gołe.

A jedna z rzeczy czekała jeszcze na wywóz.

Kiedy Sylvie zasugerowała, że powinniśmy oddać fotel dziadka organizacji charytatywnej, stanowczo zaprotestowałam. Dzięki temu przedmiotowi najbardziej czułam jego bliskość. Jednak w miarę upływu czasu mój opór osłabł. Nieraz patrzyłam, jak członkowie rodziny nie chcą się rozstać z krewnym, choć życie i duch dawno z niego uleciały, pozostawiając samo ciało. Ale wreszcie nieuchronnie przychodził ten bolesny moment, kiedy musieli pogodzić się z faktem, że ów duch może żyć jedynie w ich sercach.

Usiadłam więc w jego ulubionym zielonym fotelu i przesuważąc palcami po wytartym sztruksie, wyobrażałam sobie, że dziadek po raz ostatni mnie przytula. A kiedy stałam na klatce i patrzyłam, jak tragarze wytaszczają fotel z budynku, poczułam się tak, jakbym dostała szansę na odkupienie.

Na to, żeby być przy ostatnim tchnieniu wydanym przez dziadka.

Wróciłam na górę. Pod drzwiami zauważyłam dużą paczkę dostarczoną przez UPS. Dziwne, bo przecież niczego ostatnio nie zamawiałam. W tej całej aż dwutygodniowej akcji chodziło o to, żeby pozbyć się starych rzeczy – a nie, żeby kupować nowe.

Postawiłam pudło na stoliku kawowym i zaczęłam świdrować je wzrokiem, próbując odgadnąć, co zawiera. Dopiero potem spojrzałam na nazwisko nadawcy na etykiecie.

Selma Ramirez

Dlaczego Selma miałyby mi coś przysyłać? Rozciąłam taśmę pakową kluczem do domu; w środku znalazłam kolejny karton. Kiedy go wyjmowałam, na podłogę upadła złożona karteczka z moim imieniem zapisanym eleganckim pismem Claudii.

Kochana Clover,

uwielbiam twój sposób patrzenia na świat – mam nadzieję, że to pomoże Ci dzielić się tym, co widzisz, z innymi.

(Nigdy nie jest za późno na nowe hobby, no nie?)

Pozdrawiam serdecznie

Claudia Wells

Spod warstw papieru wydobyłam nowiusieńki cyfrowy aparat fotograficzny, a także kilka obiektywów i flakonik perfum z zatyczką w kolorze szmaragdowej zieleni.

Usiadłam na sofie i starałam się to przetworzyć. Może dziadek, Claudia i Leo połączyli siły gdzieś po drugiej stronie.

Teraz musiałam jedynie wykombinować, jak żyć, żeby dać im powód do dumy.

Lola i Lionel patrzyli z ciekawością, kiedy wtoczyłam moją nową leciutką walizkę do salonu. George zaczął już swoje trzymiesięczne wakacje u Sylvie. Koty jednak miały tu zostać, z osobą, której podnajęłam mieszkanie, a konkretnie z koleżanką Sylvie. Ta dziewczyna z Chile kochała zwierzęta co najmniej równie mocno jak ja.

Mieszkanie nie wydawało się już puste, ale też nie czułam się do niego tak przywiązana jak kiedyś.

Zrozumiałam, że smutek jest jak pył. Kiedy nagle trafiasz w sam środek burzy piaskowej, gubisz się, ledwo co widzisz i z trudem oddychasz. Ale w miarę jak żywioł słabnie, a ty odzyskujesz orientację i wreszcie dostrzegasz przed sobą drogę, kurz powoli opada, wypełniając wszelkie możliwe szczeliny. Nigdy całkiem nie zniknie i jeszcze po latach będziesz go znajdować w najmniej oczywistych miejscach i w najmniej spodziewanych momentach.

Smutek to nic innego, jak miłość szukająca miejsca, które mogłaby wypełnić.

Nawet po oddaniu rzeczy dziadka wciąż czułam jego obecność – nie opuścił mnie nawet na chwilę. Na regale zostały jednak trzy notatniki, których nigdy się nie pozbędę.

Minął ponad miesiąc, odkąd Leo wymówił swoje ostatnie słowa, ale jakoś nie mogłam się zmusić do tego, żeby je zapisać. Zamknęłam oczy, zbierając się na odwagę, po czym sięgnęłam po notes z radami – stał na półce między dwoma pozostałymi.

Otworzyłam go na czystej stronie i zdjęłam skuwkę pióra, które dostałam od dziadka na dziewiąte urodziny i w którym wymieniłam już chyba ze sto nabożów.

Następnie zapisałam nazwisko Leo, jego adres, datę śmierci i złotą myśl.

„Sekretem pięknej śmierci jest piękne życie”.

Przez chwilę zadumałam się nad tymi słowami, zachowując je na zawsze w sercu. Potem podmuchałam na atrament i zamknęłam zeszyt. Kiedy odkładałam go na miejsce, moją uwagę przykuła lornetka leżąca obok notesów. Zupełnie o niej zapomniałam. Ale już nie obchodziło mnie to, co dzieje się w mieszkaniu naprzeciwko – moje życie okazało się znacznie bardziej fascynujące.

Sylvie otworzyła, gdy tylko do niej zapukałam.

– Czekałam pod drzwiami i nasłuchiwałam twoich kroków. Bałam się, że spróbujesz zwać bez pożegnania. – Skrzyżowała ręce na piersi. – Wiem, że potrafisz się skradać cicho jak kot.

Skrzywiłam się, znów z nadzieją, że kiedyś przestanie mi to wypominać.

– Nigdy bym tego nie zrobiła, przysięgam.

– Kiedy przyjeżdża po ciebie Hugo? – spytała śpiewnym głosem jak nastolatka.

– Za jakieś pięć minut, więc muszę już iść. – Widziałam, że George smacznie chrapie w snopie światła padającego na sofę. Miałam wielką ochotę przytulić go po raz ostatni, ale nie chciałam mieszać mu w głowie, skoro już się zadomowił u Sylvie. – Dzięki raz jeszcze, że zgodziłaś się nim zaopiekować. – W tym miejscu skinęłam na psa.

– Żartujesz? Jestem w siódmym niebie. Przez trzy miesiące na pewno zdążę go przekonać do wspólnej jogi. – Błysnęła zębami w przebiegłym uśmiechu, za którym na pewno zatęsknię. – Dla jasności, pomimo mojego minimalistycznego wystroju liczymy z George'em na pocztówkę z każdego miejsca, do którego zawitasz.

Ogarnął mnie smutek zmieszany z euforią.

– Załatwione.

– Świetnie. Cóż, wiem, że nie przepadasz za przytulaniem, dlatego lojalnie cię uprzedzam, że zaraz cię uściskam.

Dzięki Bogu, wyszła z tym pierwsza – dla mnie inicjowanie uścisku było takie nienaturalne. Odłożyłam bagaż.

– Śmiało.

Przytuliła mnie mocno, opierając brodę na moim ramieniu.

– Będzie mi ciebie bardzo brakować!

Poczułam się zaszczycona, że jest ktoś, w kim wzbudzę tęsknotę.

– Mnie ciebie też.

Wzięła głęboki wdech i wypuściła mnie z objęć.

– Mm, pięknie pachniesz. Nie sądziłam, że lubisz się perfumować!

Natychmiast poczułam rumieńce na twarzy.

– Bo nie lubię, ale pomyślałam, że pora coś zmienić.

Puściła do mnie oczko.

– Wspaniale!

Hugo zjawił się pod moim domem punktualnie. Jego zdezelowany land rover rzucał się w oczy na tle zadbanego krajobrazu West Village.

– Nie przesadziłaś z pakowaniem? – Uśmiechnął się szeroko, kładąc walizkę na tylne siedzenie, po czym otworzył mi drzwi od strony pasażera. Gus wcisnął się między moje stopy.

– Wielkie dzięki za podwózkę na lotnisko. – Podrapałam teriera pod brodą i zapamiętałam jego urocze psie spojrzenie.

– Drobiazg! – Terenówka wytoczyła się na ulicę, zręcznie omijając zaparkowany na drugiego samochód dostawczy. – Cieszę się, że spędzę z tobą te dodatkowe pięćdziesiąt minut, zanim odleczysz. To znaczy, w zależności od korków.

Kiedy skręciliśmy za róg, nagle załała mnie fala smutku. Siedziałam spokojnie i czekałam, aż ustąpi.

Spojrzałam na Hugona. Jego loki nie były już tak zmierzwiłone – pewnie się ostrzygł przed rozpoczęciem nowej pracy.

– Jak ci się podoba miejskie życie?

– Cóż, w Brooklynie nie jest tak spokojnie jak w moim domu na łodzi, ale na razie nie narzekam – powiedział. – No i nie muszę dojeżdżać siedmiu godzin, co jest fajne.

– Domyślam się.

Przez okno mignęło mi kino przy Szóstej Alei, w którym wyświetlano niezależne produkcje, i znów ogarnęła mnie nostalgia. Będzie mi brakować tego miasta i tego, że jestem tylko jednym z ogromnej liczby paciorków na jego liczydło.

– Czyli pierwszy przystanek: Nepal, tak?

– Tak! – Poczułam w sobie narastające podekscytowanie. – Nigdy tam nie byłam.

– A co potem?

– Kto wie? – Po raz pierwszy brak ustalonego planu podziałał na mnie ożywczo. – Zależy, na co najdzie mnie ochota.

Hugo zaczął się nerwowo klepać po prawym udzie.

– Ale za trzy miesiące widzimy się na Korsyce, prawda?

– Ja zawsze dotrzymuję słowa.

Najlepsze zostawiłam na koniec moich wojaży. W kieszeni plecaka miałam mały pojemnik, który dał mi Sebastian – z prochami babci. W ten sposób Claudia będzie mi towarzyszyć w podróży po świecie, zanim dołączy do swojej miłości życia pośród fal Morza Śródziemnego.

– Świetnie! – rzucił Hugo, wciąż poklepując udo. – Doskonale. – Z jakiegoś powodu nie był tak wyluzowany, jak zwykle.

Kiedy zajechaliśmy na lotnisko JFK, w żyłach buzowały mi entuzjazm i zniecierpliwienie. Paszport w moich dłoniach był niczym zabytkowy klucz, otwierający drogę do niezliczonych przygód. Z kolei aparat na moim ramieniu tylko czekał, aby je wszystkie udokumentować. Jak mogłam tak długo zwlekać, żeby znów to poczuć?

Hugo wyjął z samochodu walizkę i wyciągnął rączkę.

– Och – odezwał się podenerwowany. – O mały włos zapomniałbym. – Sięgnął na tylne siedzenie i wydobyl stamtąd papierową torebkę. – Kupiłem ci coś na podróż.

Widok ogromnych ilości taśmy klejącej i asymetrycznych zakładki papieru chwycił mnie za serce, podobnie jak zawartość paczki: oprawiony w skórę notatnik, z napisem „Przygody” na grzbiecie.

Nawet nie próbowałam ukryć łez, które napłynęły mi do oczu. Wspomniałam Hugonowi o tych zeszytach tylko raz. Pewnie właśnie o tym mówiła Claudia – tak to jest, kiedy ktoś cię naprawdę dostrzega.

– Dziękuję. – Przesunęłam palcami po jego gładkiej okładce. – Jest cudowny.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Wsunął ręce do kieszeni i wbił wzrok w stopy. – Będzie mi brakować twojego towarzystwa, Clover.

To już druga osoba, która o tym mówi. Aż trudno uwierzyć.

Kiedy otworzyłam notatnik, na dole pierwszej strony zobaczyłam odręczną inskrypcję.

„Żyj tak, żebyś nie miała czego żałować – Hugo”

Pośród zniecierpliwionego trąbienia, wykrzykiwanych pożegnań i ogólnego chaosu panującego w hali odlotów usłyszałam chór znajomych, zagrzewających mnie głosów: Leo, Sylvie, Bessie, dziadka i Claudii.

Bądź rozważnie nierozważna.

Pod żebrami poczułam coś jakby trzepotanie skrzydeł kolibra.

Wzięłam głęboki wdech, wspięłam się na palce i przyłożyłam dłoń do twarzy Hugona, pewnie spoglądając mu w oczy.

Mój drugi pocałunek był dokładnie taki, jak sobie wyobrażałam.

Epilog

Zapach spieczonych słońcem eukaliptusów mieszał się ze słoną bryzą, kiedy stałam na szczycie klifów w Bonifacio na Korsyce. Ten subtelny spokój różnił się dalece od miejskiego zgiełku, w którym dorastałam. Liście lekko ocierały się o siebie, jakby we wzajemnej pieśczoście. Jakiś ptak krzyknął na pożegnanie ku znikającemu słońcu, rozstając się z nim do następnego dnia. Drobne fale marszczyły taflę Morza Śródziemnego i delikatnie omywały przybrzeżne skały, połyskując w promieniach gasnącego światła.

W dole, poniżej klifu, dwa wyraźne obłoki prochów tańczyły przez chwilę w powietrzu, po czym spływały z wdziękiem ku wodzie.

Claudia i jej wielka miłość wreszcie byli razem.

Stojący obok Hugo ścisnął moją dłoń. Na jego twarzy, w śladach łez, odbijała się złota poświata.

Odwzajemniłam uścisk i patrzyłam, jak resztki prochów znika w toni.

W oddali mała żaglówka wypływała w morze. Wyobraziłam sobie, że Claudia siedzi na dziobie, ciesząc się, że wreszcie jest tam, gdzie jej miejsce. Ale tej radującej serce wizji towarzyszyło też słodko-gorzkie uczucie.

Gdyby Claudia i Hugo odnaleźli się wcześniej, ten Hugo, który stał obok mnie, nigdy by się nie urodził. Nie spędziłabym trzech ostatnich miesięcy, podróżując po świecie i zapisując swoje przygody, którymi tak pragnęłam się z nim podzielić. I nie stałabym teraz na tej francuskiej wyspie, ciesząc się na powrót do Nowego Jorku i rozpoczęcie studiów fotograficznych.

Los tych dwojga niespełnionych kochanków w jakimś stopniu przesądził o moim losie.

Ludzie, którzy jeszcze niecały rok temu byli mi kompletnie obcy, całkowicie zmienili trajektorię mojego życia. To, że wszyscy jesteśmy ze sobą jakoś powiązani – że każdy na tej planecie w pewien sposób kształtuje życie innych, często nawet sobie tego nie uświadamiając – jest naprawdę niepojęte.

Ale może o to właśnie chodzi. Czy naprawdę musimy rozumieć otaczający nas świat z jego schematami?

We wszystkim można odkryć sens, jeśli się temu dobrze przyjrzy – i jeśli chce się wierzyć, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Gdybyśmy jednak rozumieli siebie na wskroś, gdyby wszystko dookoła miało sens, tobyśmy się niczego nie uczyli ani nie rozwijali. Każdy nasz dzień pewnie byłby miły, ale też prozaiczny.

Chyba więc powinniśmy doceniać fakt, że wiele kwestii dotyczących naszego życia – oraz ludzi, których kochamy – na zawsze pozostanie tajemnicą. Bo bez tajemnic nie ma magii.

I zamiast wciąż zadawać sobie pytanie, po co tu właściwie jesteśmy, może powinniśmy cieszyć się z prostej prawdy: z tego, że tu jesteśmy.

Podziękowania

Dziękuję doulom śmierci, pracownikom hospicjów, pielęgniarkom, lekarzom, opiekunom medycznym zajmującym się chorymi w domach, przewodnikom duchowym i wszystkim, którzy nie odwracają wzroku od cudzego cierpienia. Jesteście jednymi z najszlachetniejszych ludzi, a jednak często nie otrzymujecie wsparcia, uznania i nagrody, na które w pełni zasługujecie. Dziękuję Wam za wszystko, co robicie dla innych, starając się, aby ich ostatnie chwile życia były trochę znośniejsze, a czasem nawet piękne.

Najbardziej w tej książce Kocham to, że na jej stronach swój ślad odcisnęło tak wiele osób, które przez tyle lat chętnie dzieliły się ze mną swoimi mądrościami, opowieściami, wiedzą i naukami.

Katie Mouallem dziękuję za to, że spędzała ze mną te wszystkie niedziele krótko po wybuchu pandemii, zachowując stosowny dystans w nowojorskich parkach i wyobrażając sobie świat Clover oraz jej podróż. Katie, dziękuję, że tak bardzo się przede mną otworzyłaś i przeczytałaś tyle wersji tej historii, że pewnie znasz ją niemal tak dobrze jak ja. Gdyby nie Ty, ta książka nigdy by nie powstała.

Michelle Brower dziękuję za to, że wybrała mój tekst z jakże wielkiej sterty innych, a także za to, że ujrzała jego potencjał – i zaryzykowała. Michelle, jesteś najwspanialszą agentką, rzeczniczką, skarbnicą prawd koniecznych i przede wszystkim kobietą, którą zawsze chciałabym mieć w swojej drużynie. Wielkie podziękowania należą się także cudownej Jemimie Forrester za to, że promowała Clover we wszystkich krajach Wspólnoty.

Sarah Cantin, Harriet Bourton i Beverley Cousins – dziękuję Wam za to, że użyczyłyście mi swoich bystrych umysłów, a także za Waszą wizję, która zmobilizowała mnie do tego, żeby wznieść się wyżej i stworzyć ostateczną wersję tekstu, którą szczerze Kocham. Dzięki Wam cały proces redakcyjny był prawdziwą przyjemnością i przykładem klasy mistrzowskiej.

Dziękuję Danyi Kukafce za fachowe notatki, Allison Malecha za to, że Clover zaistniała w świecie, a także Natalie Edwards i Khalidowi McCalli oraz całemu zespołowi Trellis Literary Management.

Dziękuję niezmiernie wdzięczna, że dorastałam u boku kogoś, kogo można uznać za wzór ciekawej świata, niezależnej, pomysłowej i odnoszącej sukcesy kobiety. Kocham Cię.

Jeremy, dziękuję Ci za to, że zabawiałeś mnie godzinami, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, kreując fantastyczne światy dla naszych zabawek – wtedy zrobiłam pierwszy krok na drodze do powieściopisarstwa – i za to, że podzieliłeś się ze mną wieloma cennymi obserwacjami na temat tej książki. To wielkie szczęście, że mam tak cudownego starszego brata.

Kirsten, Hugonie, Amélie i Reubenie – dziękuję za Waszą miłość i wsparcie podczas tej podróży. Wszystkim ciotkom, wujkom, dziadkom i dalszym krewnym, którzy pomagali w naszym wychowaniu, dziękuję za to, że rozbudzili w nas nienasyconą żądzę przygód, ciekawość, wyobraźnię i pasję do snucia opowieści, a także za to, że czuliśmy się Kochani.

Jamie Farnsworth Finn, Trisha Ray i Jesse Steinbach – dziękuję za przeczytanie roboczych wersji tej książki, za Wasze ogromnie pomocne uwagi oraz za to, że przez cały czas zagrzewaliście mnie do pisania.

Kirsten, Hugonie, Amélie i Reubenie – dziękuję za Waszą miłość i wsparcie podczas tej podróży. Wszystkim ciotkom, wujkom, dziadkom i dalszym krewnym, którzy pomagali w naszym wychowaniu, dziękuję za to, że rozbudzili w nas nienasyconą żądzę przygód, ciekawość, wyobraźnię i pasję do snucia opowieści, a także za to, że czuliśmy się Kochani.

Jamie Farnsworth Finn, Trisha Ray i Jesse Steinbach – dziękuję za przeczytanie roboczych wersji tej książki, za Wasze ogromnie pomocne uwagi oraz za to, że przez cały czas zagrzewaliście mnie do pisania.

Claudii Cosgrove i Carze O'Callaghan dziękuję za to, że były tak miłe, aby odpowiedzieć – nawet z innego kontynentu – na moje wiadomości zawierające dziwne medyczne i hipotetyczne pytania. Danielle Katvan za to, że podzieliła się ze mną swoimi doświadczeniami z dorastania w Nowym Jorku, a Stephanie Ogé, Annie Caradeuc, Shannon Sharpe i Carilyn Garrett za ich niegasnący entuzjazm i doping.

Emmie Brodie, KJ Dell'Antonii, Annabel Monaghan, Ruth Hogan, Meredith Westgate i wszystkim, którzy znaleźli czas, żeby przeczytać pierwsze egzemplarze tej powieści czy też napisać swoje rekomendacje, gorąco dziękuję za wsparcie i życzliwe słowa. Pragnę także podziękować Georgii Clark, Rosalind McClintock i Allison Warren za to, że tak chętnie dzieliły się ze mną wiedzą z branży wydawniczej.

Christine Arroyo, Meredith Craig De Pietro, Taro Crowl, Dani Fankhauser, Lydio Gidwitz, Suzanne Martinez, Evo Munz, Irino Patkianian, Nayomi Reghay, Liano Rodriguez, Natalia Sandoval i Kabira Stokes – dziękuję za Waszą jakże pozytywną reakcję, kiedy dołączyłam do grupy pisarskiej i obwieściłam, że próbuję napisać „książkę o śmierci, która będzie zabawna i podnosząca na duchu”. Wasze rady i obiektywne uwagi na wczesnych etapach pracy pomogły mi uwierzyć, że to się naprawdę może udać. Nie mogę się doczekać, aż któregoś dnia zobaczę Wasze powieści stojące na półkach obok moich.

Podziękowania dla Joe Veltrego, Olivii Johnson oraz ekipy The Gersh Agency za poświęcenie, z jakim pomagali Clover wejść na ekrany. Dziękuję także wszystkim zagranicznym agentom literackim: Ani Walczak i Beacie Glińskiej z Anna Jarota Agency, Mirze Droumevie z Andrew Nurnberg Associates, Vanessie Maus z Berla & Griffini, Sophie Langlais z Books and More Agency, Duran Kim z Duran Kim Agency, Evangelii Avloniti z Ersilia Literary Agency, Clare Chi z The Grayhawk Agency, Kristin Olson z Kristin Olson Literary Agency, Antonii Girmacea z Livia Stoia Literary Agency, Rik Kleuver z Sebes & Bisseling oraz Miguelowi Saderowi z Villas-Boas & Moss Literary Agency.

Imani Williams – dziękuję Ci za uważną lekturę oraz wrażliwość językową i w ogóle za niesamowicie pomocne opinie.

Chafinie Eliocie i Dorothy Hinz – dziękuję za Wasze towarzystwo, mądrość i anegdotki. Pracownikom i rezydentom domu opieki Fray Rodrigo de La Cruz w Antigui w Gwatemali dziękuję za to, że tak wiele mnie nauczyli i pokazali, jak pomagać innym starzeć się z godnością.

Dziękuję Jeanne Denney, która chętnie przedstawiła mi swoje poglądy na temat tego, na czym polega towarzyszenie umierającym w ich ostatniej podróży, i naświetliła, jak można im pomóc przejść na drugą stronę ze spokojem i klasą.

Pragnę podziękować również tym, którzy – za pośrednictwem książek, podcastów i webinarów – podzielili się własnymi doświadczeniami związanymi ze śmiercią i umierającymi, a w szczególności dziękuję Megan Devine, Atulowi Gawande, Michaelowi Hebbowi, Scottowi Macklinowi, Bronnie Ware i Karen M. Wyatt za ułatwienie dyskusji o śmierci. Dziękuję wszystkim z Doula Givers, Doula Program, Carter Burden Center for Aging i Citymeals on Wheels za Waszą znakomitą i jakże potrzebną pracę, a także Nowojorskiej Bibliotece Publicznej, Open Center, Nowojorskiemu Stowarzyszeniu na rzecz Etycznej Kultury oraz wszystkim, którzy udostępniają swoje wnętrza na potrzeby rozmowy i spotkań w ramach „kawiarni śmierci”.

Wyrazy wdzięczności kieruję także do Jane Birkin, która lata temu, udzielając mi wywiadu, doradziła, abym była „rozważnie nierozważna”. Od tamtej pory ta myśl przyświeca mi na każdym kroku i stała się także dewizą Claudii.

Tamara Salem – dziękuję Ci za wspianą przyjaźń i za wszystkie przygody, które wspólnie przeżyliśmy. Choć już nigdy nie wyruszymy razem w podróż, na zawsze pozostaniesz w moim sercu.

Carl Lindgren – cóż za ironia, że w tej książce przewija się tyle Twoich mądrości, a Ty nigdy jej nie przeczytasz, tym samym dowodząc słuszności jej przesłania: często tych, na których nam najbardziej zależy, tracimy znacznie szybciej, niż się spodziewamy, więc powinniśmy się o nich troszczyć i otaczać ich miłością, dopóki jeszcze możemy. Nie byłabym tu, gdzie jestem, gdybyś lata temu nie dał mi szansy i dalej nie pokładał we mnie wiary. Dziękuję, że nauczyłeś mnie, jak pisać sercem, a nie głową; dziękuję Ci za wszystko.

Na koniec, choć nie mniej gorąco, dziękuję Wam, drodzy czytelnicy, za to, że poświęciliście część swojego cennego czasu na tym świecie, żeby przeczytać moją książkę. Mam nadzieję, że znaleźliście własny klucz do tego, jak wieść piękne życie.